



JADWIGA WOJTYŁŁO

S. O. S.

CZYTELNIK

lesiojot

JADWIGA WOJTYŁŁO

S. O. S.

CZYTELNIK • WARSZAWA 1974

I

Miał czterdzieści sześć lat, był suchy, kanciasty, na ogół źle ubrany i właściwie brzydki.

Ludzie, którzy stykali się z nim pierwszy raz, nie umieli zapamiętać sobie jego twarzy; ale wszyscy pamiętali jego oczy. Mówili potem, że patrzy na każdego tak, jakby chciał go zmusić do spowiedzi.

Teraz siedział obok tej grubej, zapłakanej kobiety, która była starszą siostrą zmarłej, i mówił do niej cichym, napiętym głosem:

— Przed chwilą pokazałem pani zachowane fragmenty dziennika TV. Obejrzała pani swoją siostrę tak, jak wyglądała cztery miesiące temu, a więc dokładnie na miesiąc przed śmiercią. Poznała ją pani, prawda?

Oczywiście — szepnęła przez łzy.

— Czy wyglądała tak, jak zawsze? To znaczy tak, jak wcześniej, nie wiem, rok temu, półtora, dwa lata?

— Zupełnie tak samo. Zawsze się tak śmiała i machała włosami. Wie pan, tak zarzucała głową, żeby odgarnąć je z czoła.

— A ten dobry humor nigdy jej nie opuszczał?

— Chyba na pięć minut, jak sobie sparzyła palec żelazkiem. Ale potem też prędko się śmiała. Nie lubiła smutku; taki był z niej prawdziwy szczygiełek.

— Więc jak pani sobie tłumaczy tę zmianę w ostatnim miesiącu?

— Nie wiem, proszę pana. Nikt w rodzinie nie potrafi tego zrozumieć.

— Ale pani wie, że ona w tym okresie zrobiła się bardzo nerwowa i roztargniona?

— No, wiem z opowiadań, bo ja jej akurat wtedy nie widziałam.

Mieszkam w innym mieście, w ostatnich latach spotykałyśmy się dosyć rzadko, a od czasu, jak wyszła za mąż, to znaczy od roku, widziałyśmy się tylko raz, właśnie na jej ślubie.

— A czy jej śmierć była dla pani dużym zaskoczeniem?

— Absolutnym.

— To znaczy, że pani uważa te śmierć za coś sprzecznego z jej naturą?

— Och Boże! — zawołała. — Oczywiście, że sprzecznego!...

I rozpląkała się na głos.

Rafał ostrożnie podniósł oczy. Gruby Jasio, który miał dyżur przy konsolce, zrozumiał go i kiwoił głową. Kontrolna lampka zgasła. Przez chwilę oboje siedzieli bez słowa w hermetycznej klatce studia jak w akwariium i w milczeniu patrzyli na ludzi, którzy bezgłośnie poruszali się za grubą szybą.

Było ich tam teraz trzech: mikser Jasio, szpakowaty technik przy magnetofonie i kolega Rafała z działu reportażu krajowego, drobniutki redaktor Wyciążek. Ten ostatni raz po raz podnosił lewą rękę i stukał wskazującym palcem w zegarek. Rafał sam wiedział, że jego czas się kończy. Spróbował jeszcze raz.

— Niech pani posłucha — powiedział. — Pani jest ostatnią osobą, z którą ona rozmawiała, zanim... Możliwe, że wtedy, kiedy dostała połączenie, gaz już był otwarty. W każdym razie to były jej ostatnie słowa. Niech pani spróbuje dokładnie odtworzyć tę rozmowę.

— Kiedy ja to już robiłam! — zawołała rozpaczliwie. — Kilka razy robiłam! Najpierw na milicji, a potem u prokuratora! To wszystko jest zapisane i może pan to przeczytać! Jak pan poprosi, to na pewno panu pokażą!

— Pokazali mi — powiedział. — I ja wiem, że tam nie ma nic... No, nic, co by mogło... Brak motywów i w ogóle. A ja mimo wszystko...

— Ale po co? — zawołała, a jej spierzchnięte wargi zdrząły. — W jakim celu? Przecież śledztwo zostało umorzone! Nie znaleźli żadnych poszlak! Po prostu zrobiła to... a my się nigdy nie dowiemy, dlaczego.

— Ja właśnie próbuję się dowiedzieć — odpowiedział z uporem. — Niech pani jeszcze raz poszuka w pamięci. Czy nie powiedziała nic złego na przykład o mężu?

— O to mnie wszyscy najpierw pytali.

— I co?

— Nic, proszę pana. Ona go do końca kochała.

— A nie wspomniała na przykład, że ma do niego jakiś żal? Że coś jej zrobił... albo wyznał?

— Nie, panie redaktorze. Tam nie było drugiej kobiety. Ewa była bardzo szczerą i gdyby coś takiego miała na sercu, nie umiałaby tego ukryć. Ja tego naprawdę nie pojmuję. Przecież jej wszystko szło jak...

Urwała, a wzrok jakby się jej rozproszył.

Rafał niedostrzegalnie podniósł głowę. Jasio zrozumiał go bez słowa. Lampka kontrolna zapaliła się natychmiast i Rafał wiedział, że za szybą bezszelestnie ruszyły talerze magnetofonu.

— No? Słucham — powiedział, a ona szepnęła:

— Coś mi się przypomniało.

— Niech pani mówi.

— Kiedy to drobiazg. Na pewno bez znaczenia.

— W takiej sprawie każdy drobiazg może być ważny.

— Bo ja jej wtedy także powiedziałam, żeby nie narzekała, bo wszystko jej zaw^Tszło jak po maśle. A wtedy ona tak jakoś westchnęła: „szło mi, szło, aż raz nie poszło”. Ja zapytałam, co nie poszło, a ona powiedziała: „No nic, taki głupi pech.” I już więcej do tego nie wracała.

— Nie mówiła pani o tym w trakcie przesłuchania?

— Nie wiem już, mogło mi wylecieć z pamięci. Zresztą oni domagali się ode mnie czegoś konkretnego, na przykład nazwisk albo adresów. A ja nic takiego nie znałam. Zresztą jeśli chodzi o te jej słowa — te o pechu — to ja także nie przywiązywałam do tego żadnego znaczenia. W ogóle nie rozumiałam, że ta rozmowa jest ważna. I że ona akurat żegna się ze mną. Teraz mi strasznie przykro, bo gdybym zrozumiała, to może bym ją mogła uspokoić, powstrzymać... A tak to sam pan wie.

— Wiem — skinął głową Rafał. — Ale ten pech? To znaczy, że

coś musiało się wydarzyć... i to chyba w tym ostatnim miesiącu. No, jakiś fakt, okoliczność...

— Nie — pokręciła głową. — Przecież by znaleźli. A nie znaleźli, trudno. Tylko mi tak strasznie, jak ją sobie wyobrażę przy tym ostatnim telefonie: z tą zagryzioną dolną wargą, pan wie, tak jak na tym ostatnim kawalku, który pan mi pokazał. I z tą małą główką wciągniętą w ramiona...

Załkała.

— Chwileczkę — szepnął Rafał. — Dlaczego pani myśli, że ona wtedy także gryzła wargę... i wciągała głowę?

— Bo tak zawsze robiła, jak była czymś bardzo przejęta albo wystraszona. O tak, widzi pan — pokazała, a łyzy ciekły jej po policzkach. — Tak wciągała wargę do buzi i kulila się. To wyglądało trochę śmiesznie, niektórzy naprawdę się śmiali, a my w domu wiedzieliśmy, że io nie jest nic do śmiechu, tylko że ona nie może czegoś wytrzymać. I wtedy przedziutko biegliśmy ją objąć, pocałować i uspokoić. Bo płakać, proszę pana, to Ewa nigdy nie umiała. Tylko właśnie te zębki...

Znowu zaczęła głośno szlochać.

Wyciążek za szybą podniósł rozpaczliwie obie ręce do góry.

— Dziękuję — powiedział Rafał.

Lampka zgasła. Oboje powoli podnieśli się z miejsc. Kobieta wytarła oczy chusteczką i jeszcze raz wzruszyła ramionami.

— Bardzo mi przykro, że nie mogłam nic pomóc.

— Nie wiadomo — odpowiedział i poprowadził ją ku drzwiom.

— Jeżeli kiedyś skończę tę audycję, to zadzwonię po panią. Chciałbym, żeby ją pani odsłuchała, zanim pójdzie na antenę.

— Boję się, że pan jej nie skończy — powiedziała ze smutkiem.

— Pan ciągle myśli, że tam gdzieś pod spodem... A to była depresja. Tak jak powiedzieli w śledztwie. Depresja, proszę pana. Kobietom to się zdarza.

Za progiem czekało już trzech wykwintnych panów z teczkami pod pachą. Wyciążek uprzejmie zaprosił ich do środka, a sam chwycił Rafała za łokieć.

— Stary — szepnął. — Przeciągnąłeś o pięć minut!

— Przepraszam.

— Co za przepraszam? Trzech dyrektorów zjednoczenia czeka

na korytarzu, a ty blokujesz studio jedną zwariowaną ekspedientką?

— Ale twoi dyrektorzy żyją.

— Głupie- żarty! — prychnął Wyciążek i pobiegł rozsadzać swoich gości wokół mikrofonu.

Rafał wszedł do reżyserki, Gruby Jasio podał mu pudełko z nagraniem taśmą i pokręcił głową.

— Pana zdaniem klops? — zapytał Rafał.

— A pana?

— Moim nie.

— To się różnimy — odpowiedział pogodnie Jasio. — Ale daj panu Boże, ja pana lubię. Tylko po co takie rzeczy odprawiać w studio? Mógł pan ją po cichutku nagrać gdzieś przy herbatce. Wynik byłby ten sam, a po gmachu by się nie rozeszło. A tak znowu będzie gadanie.

— Nie — zaprzeczył Rafał. — Ja się z nią przedtem widziałem. Była zasznurowana po szyję. Pan wie, stara panna i w dodatku księgowia... Liczyłem na atmosferę.

— No i?

— Słyszał pan.

— Te parę słów o pechu i ząbkach?

— Mało?

— Panie Rafałku — powiedział z sympatią Gruby Jasio — pan, słowo daję, nigdy nie zarobi nawet na słoną wodę. Ale jak pan umrze, będzie pan miał największy pogrzeb w mieście. A ja na poduszce będę niósł rolkę taśmy; bo odznaczeń też się pan nigdy nie doczeka. Tylko ludzie będą po panu płakali.

Mrugnął do Rafała i odwrócił się w stronę konsoly.

— Proszę o próbę głosu.

Podczas gdy dyrektorzy za szybko kolejno poddawali się próbie, Rafał wykręcał trzy cyfry telefonu wewnętrznego.

— Pani Ireno? — powiedział znizonym głosem, żeby nie przeszkadzać Jasiowi. — Czy pani już odesłała ten materiał? No, ten, który pokazywaliśmy tej pani.

— Nie — odpowiedział mu głos w słuchawce. — Jeszcze leży.

— Niech go pani zatrzyma, dobrze? Chciałbym go jeszcze raz obejrzeć.

— Nie teraz — powiedziała. — Mam coś na stole. Za kwadrans, pasuje?

— Pasuje.

Odłożył słuchawkę, wyszedł, zamknął drzwi od reżyserki i poszedł do swojego montażu.

Przy stole montażowym siedziała Agata — płowa dziewczyna, z którą od trzech lat żył, mieszkał i pracował, ale z którą ciągle nie mógł wziąć ślubu. Była od niego osiemnaście lat młodsza i nikt obcy nie wiedział, dlaczego z nim została. Ona wiedziała. I on wiedział także.

Podniosła znad noża oczy, które były równocześnie łagodne i uparte. Nie zapytała o nic. Wiedziała, że jeżeli się udało, sam jej powie. A jeżeli nie, to po co go peszyć?

— Jest coś — powiedział. — Ale bardzo mało.

— Tak?

— W ostatnim telefonie oświadczyła, że miała pecha.

— Jakiego?

— Jej siostra nie wie.

— I nie domyśla się?

— Nie.

— A ty się domyślasz?

— Także nie — odpowiedział ponuro. — Ale już jestem pewien, że coś zaszło.

— Może masz rację — powiedziała. — Ale to jeszcze ciągle nie jest odskocznia. To są głupie relacje o głupiej dziewczynie, która popełniła głupie samobójstwo.

— Głupie samobójstwa zdarzają się tylko podlotkom. Łykają dziesięć tabletek i dzwonią o ratunek. Jej samobójstwo było przeprowadzone bezbłędnie. Zaczekała, aż mąż wsiądzie do pociągu, potem zadzwoniła, czy pociąg na pewno odszedł, oblepiła drzwi papierem, żeby gaz nie wychodził na klatkę, i dopiero wtedy odkręciła kurek.

— W porządku — powiedziała Agata. — Jeżeli jesteś przekonany, to ciągnijmy to dalej. Ja tylko nie widzę ani jednego człowieka, który mógłby ci dostarczyć nowych informacji. Wszyscy, którzy coś wiedzieli, są tutaj.

Mówiąc to położyła dłoń na brązowym krążku taśmy.

— No i tutaj — dodała odbierając mu z rąk pudełko z dzisiejszym nagraniem — czterdzieści dziewięć wywiadów i rozmów ze wszystkimi, co ją dobrze "znali.

— Nie wierzę — powiedział. — Gdzieś musi być człowiek, znający całą prawdę. I ja go muszę znaleźć. A na razie daj mi jeszcze posłuchać jej męża.

— Proszę.

Cofnęła taśmę, upstrzoną białymi plasterkami skoczą, spróbowała raz i drugi, wreszcie znalazła.

— Mam.

W tej chwili zadzwonił telefon.

Wzięła słuchawkę i powiedziała:

— Montaż — potem obróciła głowę w kierunku Rafała i mruknęła: — Do ciebie.

Odebrał jej słuchawkę i z rozdrażnieniem burknął:

— Kostroń.

W słuchawce odezwał się chłodny, ale grzeczny głos:

— Mówi porucznik Jasło z Miejskiej Komendy MO. Pan redaktor mnie pamięta?

— Oczywiście.

— Cieszę się. Czy znalazłby pan dla mnie chwilkę czasu?

— Kiedy?

— No, w każdym razie dzisiaj.

— Będzie trudno.

— Wolalbym.

— To będzie rozmowa urzędowa czy prywatna?

— No, jak by to powiedzieć... Właściwie ani taka, ani taka. Dlatego niech pan sam wybierze miejsce. Może w jakiejś kawiarni?

— Kawę już piłem — odpowiedział Rafał. — A poza tym pan jest na pewno bardziej zajęty ode mnie. Wpadnę do pana do Komendy.

— O której?

— Za godzinę.

— Będzie mi bardzo miło. Pokój trzysta trzysta, pan pamięta.

— Nie zapomina się tak uroczych miejsc. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i spode łba spojrział na Agatę.

— Twój porucznik? — zapytała.

Kiwnął głową.

— Myślę, że chodzi mu o to — powiedziała klepiąc brązowy zwój na talerzu. — Ostatecznie to on prowadził tę sprawę.

— Daj męża — mruknął. — Chcę jeszcze raz posłuchać jego głosu.

Włączyła magnetofon.

Z głośnika rozległ się apatyczny i lekko przytłumiony głos człowieka, któremu wszystko się w życiu pokręciło.

— Pan do mnie? Jak pan chce ze mną rozmawiać, to niech pan wyłączy mikrofon.

— Kiedy widzi pan, ja prowadzę audycję pod tytułem „S.O.S.”. Chciałem właśnie nagrać naszą rozmowę dla radia.

— Nic z tego — odpowiedział ten sam apatyczny głos, zresztą bez cienia arogancji. — Nie udzielam wywiadów, od tego jest specjalny pracownik, upoważniony przez dyrekcję. A na dodatek nasz zakład nie potrzebuje pomocy.

— Ja nie chciałem z panem rozmawiać o zakładzie.

— A o czym?

— O panu jako osobie prywatnej.

— Ja o sobie nie mam nic do powiedzenia. No, niech pan to zabiera.

Zaszumiało. Agata podniosła oczy.

— Tutaj wyłączyłeś „Nagrę” i przeszedłeś na kasetowego „Philipsa”. Z mikrofonem w zegarku.

— Zgadza się — powiedział Rafał.

Od tej chwili nagranie było już trochę brudne.

— Niech mi pan wybaczy — mówił niewyraźnie Rafał. — Chciałbym wrócić do tamtej przykrej sprawy sprzed trzech miesięcy.

— Po co? — burknął tamten.

— Widzi pan, pańska żona cieszyła się sympatią wielu mieszkańców naszego miasta. Chcieliby wiedzieć o tym coś więcej.

— Na przykład co?

— Na przykład taki szczegół: pan w dniu jej śmierci wyjechał w

góry, praw'da?

— A skąd mogłem wiedzieć, że to zrobi?

— Ale pan tam nie miał zamówionego miejsca.

— Za to miałem pieniądze. I parę dni zaległego urlopu.

— A ona?

— Ona już miała cały wykorzystany.

— Pan się chyba dość nagle zdecydował na ten wyjazd.

— No, czasem tak jest, nie?

— A może był jeszcze jakiś powód?

— Panie — powiedział groźnie tamten. — Czego pan chce? No, czego?

— Może coś się wtedy zdarzyło?

— A idź pan! — warknął tamten i odchodząc zaszurał nogami. Agata zatrzymała taśmę.

— No, szczyt delikatności to nie był — powiedziała. — Na dodatek dało tyle, co nic.

— Pomyśl: ona wspomniała o pechu — zamruczał Rafał. — A on tak nagle wyjechał...

Przerwała mu:

— Nie kombinuj. Ta Szmidt nie kręciła na boku. Sprawdzali to fachowcy lepsi od ciebie. I figę znaleźli. Nie otruła się z nieszczęśliwej miłości.

— Ach, gdyby! — westchnął. — Kamień spadłby mi z serca. Ale nie widać nic takiego; ani z jednej, ani z drugiej strony. Dlatego mnie to męczy. No, na razie narzuć płaszcz, przejdziemy do telewizji.

— Po co?

— Trzeba coś jeszcze raz zobaczyć.

Montażownie TV mieściły się w bocznym skrzydle, W pierwszej od schodów czekała już na nich pani Irena z przygotowanym materiałem.

— Założyłam na stół — powiedziała. — Od tego miejsca, gdzie ta Szmidt się pokazuje.

— No, to jedźmy.

Włączyła stół. Na małym ekranie ukazał się fragmencik reportażu z „Delikatesów”. Za ladą, obok elektrycznego młynka do kawy, stała śliczna dziewczyna o krótko przyciętych,

ciemnych i bardzo puszystych włosach, które co chwila odrzucała pełnym wdzięku ruchem. Reporter zadawał jej dość stereotypowe pytania, na które odpowiadała wesoło i bez najmniejszego zakłopotania. W pewnej chwili, niemal tuż przed tym, jak kamera miała zacząć panoramę stoiska, dziewczyna zauważyła kogoś, kto nie był widoczny w kadrze. Twarz jej drgnęła, górne zęby przychwyciły dolną wargę, a wąskie ramiona leciutko uniosły się w górę.

Trwało to zaledwie moment; potem operator odwrócił się od niej i cofając się zaczął pokazywać wnętrze sklepu. W ostatniej chwili, tuż przed końcem sklejkę jakiś mężczyzna wciął się ramieniem w kadr, przysyłając część obrazu. Potem nastąpiło cięcie i zaczął się następny fragment dziennika.

— Niech pani troszkę cofnie — powiedział Rafał. — Dosyć. Teraz pojedziemy jaszce raz.

Znowu zobaczyli Ewę Szmidt przygryzającą wargę, a potem nieostry fragment czyjegoś ramienia.

— Stop — powiedział szybko Rafał.

Taśma zatrzymała się; na ekranie nieruchomo widniało męskie ramię w jasnym, zamszowym płaszczu.

— Jak myślisz — zapytał Rafał. — Czy ona mogła patrzeć właśnie na niego?

— Nie wiem — mruknęła Agata. — Patrzy jakby w tę stronę, ale diabli wiedzą.

— W tę na pewno — potwierdziła pani Irena. — Tylko czy akurat na niego? A w ogóle po co to wam potrzebne?

Ja nie mam pojęcia — mruknęła Agata.

— A jak pani myśli? — zapytał Rafał. — Czy dałoby się gdzieś odszukać ścinki?

— Z tego kawałka?

— Końcówkę.

— Jakim sposobem? Nikt takich ścinków nie chowa. Od razu idą do kosza.

— Szkoda — mruknął Rafał. — Może zobaczylibyśmy jego twarz.

— A po co panu jego twarz?

— Ona się go przestraszyła.

— Wcale nie Wyglądała na przestraszoną.

— Ona bała się właśnie w ten sposób — powiedział z zamyśleniem. — Dowiedziałem się tego od jej siostry. A ten materiał był kręcony na miesiąc przed jej śmiercią. I przez ten cały miesiąc ona była już niespokojna i podenerwowana. No, nic, bardzo dziękuję. Niech pani to zdejmie, ale niech pani jeszcze nie odsyła, dobrze? Może będę chciał to komuś pokazać?

— Oczywiście — powiedziała pani Irena. — Niech sobie leży.

W tej chwili zadzwonił telefon. Wzięła słuchawkę i kiwnęła głową:

— Tak, jest. Już daję.

— Do mnie? — zapytał Rafał.

— Sekretarka starego.

Wziął słuchawkę i powiedział:

— Proszę... Teraz? Dobrze, już idę.

Ruszył ku drzwiom.

— Zachowuj się roztropnie — zawołała za nim Agata. — Robisz dobrą robotę i całe miasto o tym wie. Ale czasami całe miasto nie wystarczy. Nie podskakuj.

— W porządku — mruknął i wyszedł.

Stary czekał na niego w swoim gabinecie. Wyglądał jak porcelanowy krasnoludek, ustawiany przez Niemców w ogródkach. Ale nie był śmieszny, budził raczej uczucie troski.

Teraz machnął ręką w stronę fotela i zamruczał:

— Siadaj. Chcesz kawy czy herbaty? A w ogóle mógłbyś sobie kupić nowy sweter.

— Kupię sobie — obiecał Rafał. — Jak tylko zobaczę coś w twoim guście. A gdybyś sam zobaczył, to mi zadzwoń. A teraz powiedz: za co mnie chcesz opieprzyć?

— Za nic — odpowiedział dyrektor. — Chcę cię tylko uprzedzić: jest wielka awantura z „Polmechanem”. Jutro o dziesiątej masz być w KW.

— Nareszcie — westchnął Rafał. — Paru bubków oberwie po kieszeni.

— Uważaj na własną — powiedział stary i usiadł. — Dyrektor „Polmechanu” jest ciotecznym bratem naszego ojca miasta.

— Gdybym był ojcem miasta, ukrywałbym teraz ten fakt — odpowiedział ze współczuciem Rafał. — Ty wiesz, o co chodzi: rozdrapali między sobą premię w wysokości ponad pół miliona!

— No, musieli mieć na to jakieś przepisy.

— Może mieli — mruknął Rafał. — Ale fakt jest faktem: robili ten prototyp w mieszanym zespole, a premię dostali tylko umysłowi. Ci od śrubsztaka zobaczyli przysłowiowy kaczan.

— Pewnie masz rację — westchnął stary. — Ale ja chciałbym ci uzmysłwić sytuację. W ciągu ostatniego miesiąca naraziłeś się następującym instytucjom: kurii biskupiej, Radzie Adwokackiej, Wojewódzkiemu Zarządowi Dróg Publicznych i trzem dość ważnym związkom zawodowym, nie licząc poszczególnych dyrektorów i prezesów. Paru wprawdzie poszło, za to paru innych została Czy mam ci wyliczyć wszystkie telefony, jakie dostają prywatnie, zwłaszcza wieczorami?

— Nie trudź się — odpowiedział uprzejmie Rafał. — Zwłaszcza że nie chodzi tylko o ten jeden miesiąc. Jeżeli masz dość, to po prostu mi powiedz. Mój magazyn nazywa się „S.O.S.” i nie może być prowadzony inaczej. Natomiast wcale nie jest powiedziane, że w ogóle trzeba go prowadzić. To już zależy wyłącznie od ciebie.

— Nie tylko — westchnął krasnoludek. — Wiesz, jak jest u nas. W sumie nie mogę narzekać: ludzie cię słuchają. Czasem, jak wiatr zawieje, nawet w ogólnopolskim. Tylko powiedz mi jedno: podobno zabrałeś się do tej ekspedientki. W jakim celu? Ostatecznie to jest prywatna sprawa jej i męża. A teraz właściwie już tylko męża.

— Nie wiem — szepnął Rafał. — Po prostu czuję, że nie tylko.

— Czujesz? — powtórzył tamten i pociągnął nosem. — No, do czucia to ja się nie wtrącam. Ale jak chodzi o studio, to muszę. Dzisiaj znowu zarwałeś pięć minut. Czy możesz mi dać przesłuchać, co nagrałeś?

— Widzę, że kolega Wyciążek działa — powiedział z uznaniem Rafał. — Chwała mu, ale na razie nic ci nie dam. Muszę to najpierw doprowadzić do końca.

— Do jakiego?

- A to się okaże.
 - Rozumiem — powiedział z powagą tamten. — Ta mała Szmidt to była naprawdę fajna dziewczyna. Sam lubiłem kupować u niej kawę. Tylko co z tego będzie można puścić na antenę? Boję się, Rafał, że straciłeś busolę.
 - Może mi się rozmagnesowała. Ja tu jednak podejrzewam coś poważnego.
 - Morderstwo?
 - No, nie *w* tym sensie, żeby ktoś za nią odkręcił kurek. Takie rzeczy milicja musiałaby wyłapać.
 - No więc?
 - Ja myślę o czymś w rodzaju mordu psychicznego.
 - Dlaczego?
 - Widzisz, ja kiedyś, dwa lata temu, robiłem z nią wywiad. To było w półtorej godziny po tym wielkim wypadku kolejowym, pamiętasz? Ona też była poturbowana, ale nie dała się odwieźć, nosiła rannych aż do końca i odjechała ostatnią karetką. Nagrywałem ją tam, przy tych rozbitych wagonach. Była zakrwawiona, wargi miała spuchnięte jak dwa wrzody, mimo to odpowiadała z sensem i bez hysterii. Miała bardzo dużą odporność psychiczną. Jeżeli potem otworzyła gaz, to znaczy, że została do tego zmuszona.
 - No, może, może — mruknął dyrektor. Chwilę trwało milczenie. — No, dobrze, masz u mnie glejt i możesz kichać na Wyciążka. A jutro w KW pokaż, że miałeś rację. W gruncie rzeczy lubię to twoje „S.O.S.”
- Przez drzwi ostrożnie zajrzała sekretarka.
- Telefon do pana.
 - Do mnie? — zapytał Rafał.
 - Do pana.
 - Idź — powiedział stary. — Ja już nie mam nic więcej. Jak nas wyleją, to obu razem. Będzie weselej.
- Rafał wyszedł do sekretariatu. Słuchawka wewnętrznego aparatu leżała na stercie książek telefonicznych. Zanim ją wziął, zapytał:
- To ktoś od nas?
 - Nie, z miasta — odpowiedziała sekretarka. — Młoda pani o

ładnym głosem. Szukała pana po całym gmachu.

Odruchowo rozplątał sznur i dopiero wtedy powiedział:

— Kostroń.

W słuchawce odezwał się ostrożny, nieufny głos dziewczyny:

— To ja.

— A, jak się masz — powiedział zmieszany i zrobił, co mógł, by następne słowa zabrzmiały swobodniej. — Co słyszać?

— Chcę się z tobą zobaczyć.

Nie powiedziała „chciałabym”, tylko „chcę”; to już jej zostało po matce.

— Oczywiście — zawołał. — Bardzo fajnie. Ja cię też dawno nie widziałem. Masz jakieś propozycje?

— Przyjedź na rynek.

— Kiedy?

— Zaraz.

— Zaraz? — powtórzył z wahaniem.

— Tak. I bardzo cię proszę, żebyś przyjechał jak najszybciej.

— Czy coś się stało?

— Przyjedź — powiedziała. — Pogadamy. Chyba że nie możesz.

— No, postaram się — odpowiedział. — Chociaż w gruncie rzeczy...

— To jak? — przerwała mu dość stanowczo. — Przyjedziesz czy nie?

— Dobra — odpowiedział. — Gdzie będziesz?

— Stali pod numerem siedemnastym.

— Tam jest zakaz zatrzymywania.

— No więc stań naprzeciwko pod ratuszem. Możesz?

— Mogę.

— Za ile będziesz?

— Za piętnaście minut.

— Nie możesz przedzej?

— Jakim cudem? Muszę się ubrać, zejść do wozu...

— Dobrze, czekam.

Usłyszał odgłos odkładanej słuchawki.

— Kłopoty? — zapytała z kosym uśmiechem sekretarka.

— To córka.

— A przepraszam- Dawno nie dzwoniła, nie poznałam po

głosie.

Wykręcił miasto, a potem numer Komendy.

— Z porucznikiem Jasło.

— Łączę.

Porucznik sam podniósł słuchawkę i przedstawił się również grzecznie jak przedtem.

— Niestety — powiedział Rafał. — Coś mi wypadło, nie będę u pana za godzinę.

— Teraz toby już było za pół — odpowiedział Jasło. — Ale nie szkodzi. Mam nadzieję, że później znajdzie pan dla mnie chwilę czasu. W zasadzie jestem do czwartej, ale gdyby panu było wygodniej...

— Spróbuję być przed czwartą.

— Niech pan spróbuje. Prawdę mówiąc to leży w pańskim interesie.

— W moim?

— Nie powinienem tego mówić. Chociaż moim zdaniem tak.

— Pan mnie zdumiewa, panie poruczniku — powiedział z rezerwą Rafał. — Pocieszam się tylko myślą, że nie pierwszy raz.

— I może nie ostatni, panie redaktorze. Czekam.

Rozłączył się, po czym Rafał pobiegł do montażu Agata cięła właśnie materiał nagrany dzisiaj z siostrą Ewą Szmidt.

— Wylali cię? — zapytała spokojnie.

— Jeszcze nie.

— Zbieraj na książeczkę, bo kiedyś to zrobią. Co nowego?

— Odezwała się moja córka. Chce, żebyśmy zaraz przyjechał na rynek.

— Nie powiedziała, o co chodzi?

— Nie. Pewnie znowu pożarła się z dziekanem.

— Jak myślisz, po kim ona to ma? Po mamusi czy po tatusiu?

— Żartujesz — powiedział wkładając płaszcz. — Jej mamusia żarła się tylko ze mną. Poza tym była ostrożna jak królik.

— No, to jedź. I tylko mi powiedz, kiedy wrócisz.

— Nie wiem — odpowiedział. — To będzie zależało od skali konfliktu. I od tempa, w jakim Elżbieta będzie się zwierzać. Jak wiesz, ostatnio szło jej to coraz wolniej.

— Debrze — uśmiechnęła się. — W razie czego spotkamy się w domu.

Pocałował ją i wybiegł.

Gmach Radia stał przy wielkiej alei, która wychodziła z miasta na zachód i znikła wśród pagórków tuż nad brzegiem morza. Powietrze było mgliste i czuć w nim było gorzkawy zapach morskich porostów.

Wóz Rafała stał w bocznej uliczce, zaparkowany dwoma kołami na chodniku. Był to włoski „Fiat 1500”, mocno już podstarzały, nominalnie koloru białego, na co dzień zaś popielato-beżowy od brudu. Prawy błotnik miał wgnieciony od wielu tygodni, ale Rafałowi wciąż brakowało czasu, żeby go oddać do blacharza.

Teraz uruchomił silnik, trochę pogrzał i ruszył. Do śródmieścia miał dziesięć kilometrów; pokonał je łamiąc wszelkie przepisy. Dokładnie w kwadrans od rozmowy z córką zatrzymał wóz pod gotyckim ratuszem naprzeciw bramy numer siedemnaście, po czym wysiadł i rozejrzał się po oknach.

Było to bezprzedmiotowe, bo Elżbieta niemal natychmiast wyszła z bramy, jakby czekała ukryta za jej skrzydłem. Była piękną dziewczyną o pochmurnej, nerwowej twarzy i ciemnych, zawsze trochę gniewnych oczach. Miała na sobie czarny płaszcz, którego Rafał nie znał, czarne kozaki, które matka przywiozła jej z Bazylei, i szydełkową czapkę w biało-czarne pasy, którą pewnie zrobiła sobie sama. W prawej ręce trzymała skórzany woreczek i plastikową torbę z napisem „Cocorochia”. W torbie miała trochę fatalachów, które rozpychały ją na boki; nie było w niej książek, bo kształt torby był miękki i owalny.

Wreszcie podeszła.

— Jestem — powiedział Rafał i uśmiechnął się ciut za szeroko. Normalnie powiedziałyby „widzę”, dziś tylko kiwnęła głową i bez słowa wsiadła do samochodu.

Obszedł go z drugiej strony, usadowił się za kierownicą i zatrzasnął drzwi.

— Kupę czasu się nie widzieliśmy — powiedział.

— Jedź — rzuciła nie odwracając głowy.

— Gdzie?

— No, wszystko jedno, nie będziemy tu stali, nie?

— No, może byś chciała...

— Jedź! — powtórzyła ze złością.

Zapalił i ruszył. Okrążyli rynek. Przed Bankiem PKO był jakiś wypadek: zbiegowisko i dwa rozbite wozy. Rafał odruchowo zwolnił.

— Daj spokój! — powiedziała. — Obejrzysz to sobie innym razem.

Dodał gazu.

— Ile masz czasu? — zapytała, ciągle patrząc w szybę przed sobą. — Godzinę, dzień, tydzień?

— No, jak by to powiedzieć — zaczął.

Przerwała mu:

— Dobrze. Wyjedźmy na razie z tego kotła.

Odruchowo wziął kurs na dzielnicę, gdzie mieszkał.

— Gdzie jedziesz? — zapytała.

— No, przecież...

— Dobrze, jedź, gdzie chcesz. Mnie wszystko jedno.

Wyskoczyli ze zwartej zabudowy, wjechali między smukłe punktowce, stojące pojedynczo wśród bezlistnych drzewek. Rafał zwolnił, obejrzał się na córkę.

Miała dwadzieścia lat i kiedy patrzyło się na jej usta, policzki i szyję, wychodziło rzeczywiście na tyle. Ale oczy miała starsze. Dużo starsze.

— O co chodzi, Elżbieta? — zapytał wreszcie normalnym głosem. Pierwszy szok towarzyszący na początek każdemu spotkaniu z córką już minął. — Coś cię wkurzyło? Powiedz.

— Nie mów „wkurzyło” — mruknęła bez śladu zainteresowania. — Zawsze mi się wydaje, że mówisz tak pode mnie. A ja tak wcale nie mówię.

— Dobrze — odpowiedział. — Ale w gruncie rzeczy...

— O gruncie rzeczy pogadamy później. Na razie daj odetchnąć.

Okrążyli zdziczały park, dwa cmentarze i pomnik żołnierzy radzieckich z prawdziwym czołgiem na podmurówce.

— Tu jest dobrze — powiedziała. — Cicho. Jak chcesz, możesz stanąć.

Zatrzymał wóz w bocznej uliczce pod gołymi drzewkami akacji.

— Zapalisz?

— Nie — odpowiedziała. — Albo dobrze, daj.

Nie powiedział „dawniej nie paliłaś”. Bez słowa podsunął jej wymiętą paczkę „Ekstra mocnych” bez filtra. Wzięła jednego, bezmyślnie obróciła w palcach i równie bezmyślnie przyjęła ogień.

— Tata — powiedziała. — Pamiętasz, jak uczyłeś mnie jeździć na nartach?

— Oczywiście.

— Miałam wtedy dwanaście lat.

— Mniej więcej.

— Nie mniej więcej, tylko dwanaście, ja wiem. Kupiłeś mi granatowe spodnie i fiński skafander.

— A potem kupiłem sobie taki sam i w ten sposób powstał dwuosobowy Niskogórski Klub Fińczyków.

— Mama strasznie chciała do niego należeć, ale zawsze odrzucaliśmy jej podania.

— Nie umiała jeździć na nartach. A poza tym razilem ją jako prezes. Ale ostatecznie daliśmy jej członkostwo honorowe.

— Fajnie, że to wszystko pamiętasz — powiedziała z bladym uśmiechem. — Ale to niczego nie zmieni...

— Czego?

— No, ja nie mam już dwunastu lat. A ty nie ze mną jeździsz na narty.

— Elżbieta — powiedział cicho. — Ty wiesz, jak do tego doszło... Mama...

— Daj spokój — powiedziała. — Naprawdę nie warto.

I machnęła ręką z papierosem.

Przez chwilę milczeli. Potem Elżbieta powiedziała:

— Jedź.

— Gdzie?

— Gdzie chcesz. Możesz jeździć w kółko.

Znowu objechali park i oba cmentarze.

— Jesteś systematyczny — kiwnęła głową Elżbieta. — Zatrzymałeś się w tym samym miejscu.

— Może chcesz pójść na kawę?

— Rzygam kawą — odpowiedziała. — Posiedźmy, tak jest

dobrze.

Znowu chwilę milczeli.

– Pamiętam – powiedziała wreszcie Elżbieta – że zawsze mi mówiłeś: jak cię poniesie, to siadaj. Raz nie posłuchałam i złamałam nogę.

– To nie było groźne złamanie – pośpieszył z poprawką Rafał.

– Sześć tygodni gipsu...

– To był ładny okres – szepnęła. – Nie musiałam chodzić do szkoły, a ty siedziałeś przy mnie i czytałeś mi książki...

– Przeczytaliśmy wtedy całego Balzaka.

– Był okropny – powiedziała z uśmiechem. – Ale od tego czasu go lubię.

– Córeńko – szepnął. – Co się stało?

Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy.

– No, stało się coś? – powtórzył. – Powiedz. Mnie możesz wszystko powiedzieć.

– Jesteś śmieszny – powiedziała łagodnie. – A co myślisz, że ci powiem? Że zaszłam i nie mam na skrobankę? Że chłopak mnie rzucił i nie wiem, jak się do niego odezwać? Albo że oblałam semestr i nie chcą mi dać urlopu dziekańskiego?

– Nie wiem – szepnął. – Ale ja zawsze...

– Mój ty kochany, głupi staruchu – powiedziała i położyła mu dłoń na rękę. – Dwa razy w tygodniu ogłaszasz „S.O.S.” dla całego województwa, a sam... jeżeli chodzi o twoich najbliższych...

Urwała i po chwili zaczęła innym głosem:

– Nie chciałbyś się gdzieś urwać?

– Gdzie?

– No, nie wiem. Do lasu, nad jeziora... Żeby nas nikt nie znalazł.

– Oczywiście – powiedział niepewnie. – Jasne, że chciałbym.

Po tylu miesiącach pracy?

– A możesz to zrobić?

– No, gdybym się uparł...

– To się uprzyj.

– Ale dlaczego?

– Połazilibyśmy.

— Elżbieta — powiedział stanowczo. — O co chodzi?

Spojrzała na niego jak przebudzona.

— O co? Nie, o nic. Podwieź mnie do automatu, muszę zadzwonić.

Automat stał na skraju parku. Elżbieta wyszukała w torebce jakiś świstek, zabrała go ze sobą i przez chwilę dzwoniła. Potem wróciła do wozu, zwinęła ten świstek w kulkę i wcisnęła go do popielniczki. Później, kiedy już ruszyli, wyjęła go, odkręciła okno i wyrzuciła.

— W jednym miałeś rację — powiedziała. — Trzeba zawsze siadać na czas. Potem się robi za szybko.

— Nie możesz mówić po prostu?

— Mówię — powiedziała. — Ale ty mnie nie rozumiesz.

Rafał zmarszczył się i przez chwilę jechał w milczeniu.

Potem Elżbieta trąciła go w łokieć.

— Wróć pod budkę — powiedziała. — Przypomniał mi się jeszcze jeden telefon.

Wrócili, ale budka była teraz zajęta. W środku solennie pracowały dwie siksy z głowami w loczkach, a trzy następne tupwały na zewnątrz.

Chwilę czekali w samochodzie, ale wyglądało to beznadziejnie.

— Jedźmy gdzie indziej — powiedziała Elżbieta. — One mogą tu urzędować do końca świata.

— Może do mnie? — zapytał ostrożnie Rafał. — To parę kroków.

— Do ciebie? — powtórzyła Elżbieta. — Chyba do niej.

— Przecież wiesz, że tam mieszkam.

— Mieszkacie — poprawiła go z gracją.

— W każdym razie telefon jest.

Elżbieta chwilę milczała, potem wydeła wargi.

— A ona?

— O tej porze jest jeszcze w studio.

— Dobrze — powiedziała. — Znowu zobaczę wasze gniazdko. Mam nadzieję, żeście się trochę obsprawili. Jak tam byłam ostatni raz, to nie wyglądało imponująco.

— I nie wygląda — powiedział. — Zdaje mi się, że ja należę do tych, u których nigdy nie będzie wyglądało.

Podjechał pod piętnastopiętrowy wieżowiec, w którym największe mieszkanie dałoby się zmieścić w sporym, woj-skowym namiocie. Ale sam budynek wyglądał bardzo nowocześnie.

— Wstydź się — powiedziała Elżbieta wysiadając i lustrując obojętnym wzrokiem równiutkie centurie zaparkowanych przez domem samochodów. — Twój model zaczyna tu wyglądać jak lokomotywa Stephensona. Czy nigdy nie zdobędziesz się na coś bardziej wystrzałowego?

— Nie — odpowiedział prawie wrogo. — Zajeżdżę ten wrak do końca, a potem kupię sobie moped. Nie każdemu tak idzie jak twojej mamie.

— Cii — szepnęła i z całej siły przycisnęła jego rękę do siebie. W milczeniu wjechali na dwunaste piętro. Było i u kilkanaście par drzwi. Zza jednych słychać było palcówki na fortepianie, zza drugich smętne poszłochiwanie samotnego psa. Reszta przepuszczała na korytarz zwielokrotnione echo wczesnego programu telewizji.

Otworzył jedyne drzwi, za którymi panowała cisza, i powiedział:

— Proszę.

Weszła bez słowa, zdjęła płaszcz, powiesiła go na wieszaku i szepnęła:

— Przepraszam.

— No, dobra — powiedział i popchnął ją w głąb jedyne-go pokoju, który był po brzegi zapchany książkami, magnetofonami, adapterami i stosami płyt.

Znów się zbiesiła i mruknęła:

— Twoja pani nie byłaby zadowolona. Wszędzie pełno kurzu... a podłoga nie zapastowana. Nie mów jej, że tu byłam.

— Przestań mnie uczyć — powiedział ze złością. — Tu jest telefon, tam łazienka, zresztą pewnie pamiętasz. Zaczynaj, od czego wolisz.

— Zacznę od siusiu — powiedziała pokornie, a on znowu zmiękł i zawstydził się.

Kiedy wyszła z łazienki, zapytał:

— Zrobić ci coś?

— To znaczy kawy lub herbaty?

Wzruszył ramionami.

— Daj spokój — powiedziała. — W każdym biurze każdy dyrektor pyta o to każdego lepszego klienta. Od rana do wieczora słyhać tylko: czego się pan napije? Kawy czy herbaty? Błagam cię, wyskocz z koleiny!

— W porządku — powiedział. — Może wobec tego chłapiasz sobie kielicha?

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, jakby uraził ją ostry ton jego głosu. Potem skinęła głową.

Obrócił się w stronę wneki, która pełniła tu rolę kuchni i z mikroskopijnej lodówki „Igloo” wyciągnął pękata butelkę.

— Trzymasz koniak w lodówce? — zapytała.

— To nie koniak — powiedział agresywnie. — To tylko butelka.

W środku jest zwyczajna żytnia z cytryną. Chcesz?

— Tak — powiedziała. — Bardzo chcę.

I znowu w jej głosie był tylko smutek. I wielkie zmartwienie.

Nalał bez słowa dwa kieliszki.

— Tato — szepnęła. — Wszystko do dupy, prawda?

Szybko podniósł głowę. Ale ona już piła swoją wódkę i jej oczy były nieuchwytny.

Kiedy odstawiła kieliszek, szepnęła z odrobiną zakłopotania:

— A ty masz dosyć papierosów?

— Oczywiście.

— Szkoda — powiedziała. — Myślałam, że będziesz musiał zejść do kiosku.

— Zjechać — poprawił ją. — Tutaj jest dwunaste piętro i schodzenie należy do przeszłości.

— To zjedź — poprosiła go łagodnie. — Większy zapas na pewno ci nie zaszkodzi.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, a potem zmusił się do uśmiechu:

— To na razie.

Posłała mu spojrzenie pełne cichej wdzięczności.

Narzucił płaszcz, wyszedł, skręcił na klatkę schodową i oparł się o poręcz. Daleko pod nim poruszały się wydłużone pudełka samochodów. Jacyś ludzie zajeżdżali i odjeżdżali. Może było im

łatwiej, a może nie? Z góry wyglądali spokojniej.

Po pięciu minutach wrócił.

— Dziękuję — powiedziała. — Teraz mnie odwieź.

— Dokąd?

— No, w jedno miejsce.

— A może się jeszcze napijesz?

— Nie — odpowiedziała beztrąsko. — To przecież i tak nie pomoże. Albo nalej, wszystko jedno. Zdaje się, że pierwszy raz piję z rodzonym ojcem.

Nalał do pełna nie myśląc o tym, że jeszcze musi prowadzić. Wypili. Dziecinna buzia Elżbiety złagodniała, a jej oczy zrobiły się młodsze.

— Szkoda — powiedziała — że tak jakoś wyszło. Ty tu, a ja tam... Mogło być całkiem inaczej.

— Nie bardzo — odpowiedział. — Ale w każdym razie mogłabyś tu częściej przychodzić.

— Też nie — westchnęła. — Mamie to sprawia przykrość. A ja wolę jej nie kłamać... przynajmniej jak nie muszę.

Szybko włożyła płaszcz i sama otworzyła drzwi.

— Ale mi żal — powiedziała i szybko wyszła.

Zjeżdżali w milczeniu. Potem, już w samochodzie, Rafał zapytał:

— Gdzie cię odwieźć?

— Do „Europy”.

— Jednak na kawę?

— Nie — potrząsnęła głową. — Nie na kawę. Jedźmy.

„Europa” była dużą, hotelową kawiarnią naprzeciw dworca.

— Nie mogę stanąć przed wejściem — powiedział Rafał. — Wjadę tu, w tę uliczkę.

— Oczywiście.

Wjechał i zgasił silnik.

— Nic mi więcej nie powiesz?

— Chciałam — szepnęła. — Teraz już nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo ty mi nie pomożesz.

— Skąd wiesz?

— Wiem. Myślę, że nikt mi nie pomoże. Zrób dobre „S.O.S.” we

wtorek. Będę słuchać.

Nacisnęła kławkę.

— Zaczekaj — chwycił ją za ramię. — Pomogłem tyłu ludziom...

— Ale nie mnie — powiedziała z łagodnym uśmiechem.

Odsunęła jego dłoń i wysiadła.

— Elżbieta! — krzyknął.

Pomachała mu przez szybę i odbiegła.

Chwilę siedział bez ruchu, potem pojechał pod Komendę.

Porucznik Jasło był jeszcze u siebie. Przyjął go w małym pokoju, gdzie stały trzy biurka. Na szczęście przy innych nikt nie urzędował.

— Proszę — powiedział. — Niech pan siada. Napije się pan czegoś?

— Kawy albo herbaty? — zawołał ze złością Rafał. — Nie, dziękuję, nie napiję się niczego.

— Kiedy u nas to żaden kłopot...

— Mimo to nie skorzystam. O co chodzi?

Porucznik Jasło usiadł obok niego — nie za biurkiem, lecz przy malutkim stoliku, na którym stała paprotka w doniczce. Podkreślał w ten sposób, że rozmowa ma charakter nie formalny, lecz raczej przyjacielski, a przynajmniej towarzyski. Przez chwilę milczał, przyglądając się Rafałowi z z troskaniem. Był silny, młody i przystojny; miał bardzo męską, podłużną twarz, stalowe oczy i dokładnie przystrzyżone jasne włosy.

— Widzi pan — zaczął z wahaniem. — Mógłbym to załatwić inaczej, ale nie chcę. Ostatecznie znamy się nie od dziś i na pewno jeszcze nie raz się spotkamy...

— Chyba, że mnie wyrzucą z radia — powiedział Rafał.

— Albo mnie z milicji — dodał grzecznie Jasło. — Ale na to się nie zanosi. Moi zwierzchnicy są ze mnie raczej zadowoleni.

— Moi także. A więc?

— Pan się zrobił ostatnio nieostrożny, panie redaktorze.

— Pan się myli, panie poruczniku — odpowiedział Rafał. — Zrobiłem się nieostrożny znacznie wcześniej. W czasach, kiedy pan jeszcze nie chodził do szkoły.

— Możliwe — odpowiedział Jasło. — W każdym razie pan

przekracza zakres swoich uprawnień.

— To znaczy?

— Próbuje pan podważyć decyzje organów, powołanych do utrzymania porządku w naszym państwie. A ja na to nie mogę patrzeć spokojnie.

— Pan ma na myśli sprawę Ewy Szmidt?

— Powiedzmy.

— Jej mąż zwracał się do pana?

— Nie odpowiem panu na to pytanie — odpowiedział uprzejmie Jasło. — I bardzo proszę, żeby pan mnie o to nie pytał. W każdym razie prowadziłem tę sprawę i chcę z naciskiem podkreślić, że została zakończona.

— Wiem — powiedział Rafał. — Ale myślę, że została zakończona za wcześnie. Ewa Szmidt nie umarła w okolicznościach, które dla mnie byłyby jasne.

— Niech pan to zostawi — powiedział łagodnie porucznik. — Ja wiem, że wy, ludzie intelektu, miewacie różne pomysły. Ale ten pomysł nie jest dobry. W rodzinie obywatela Szmidta zdarzyła się tragedia. Prokurator nie znalazł podstaw, aby tę tragedię postawić na wokandzie sądowej. Pozwólmy Szmidтови zapomnieć o tym i wrócić do równowagi.

— Czy to znaczy — zapytał Rafał — że następna interwencja nie odbędzie się już tu, przy tej paprotce?

— Oczywiście — odpowiedział Jasło. — Dziś rozmawiamy jak przyjaciele. Jeżeli pan się nie poprawi, to ja skieruję rzecz na drogę urzędową. I potem niech pan nie ma do mnie pretensji.

— Nie będę miał — odpowiedział Rafał. — To wszystko?

— Na dzisiaj tak.

— No, to ja lecę. A tylko tak, na odchodnym, chciałbym panu coś poradzić. Niech pan jeszcze raz przepytá personel „Delikatesów”. Może ktoś tam zapamiętał mężczyznę w jasnym, zamszowym płaszczu?

— Myślę, że w ciągu roku przewinęło się tam wielu mężczyzn w zamszowych płaszczach — odpowiedział niedbale porucznik. — Ale mogę pana upewnić, że żaden z nich nie wkroczył w życie denatki. Wszystkie jej znajomości zostały dokładnie ustalone i nie wniosły do sprawy nic nowego. Tylko Ewa Szmidt mogłaby

nam powiedzieć, dlaczego targnęła się na swoje życie. Ale ona już tego nie robi.

— Dziękuję — powiedział Rafał. — I do widzenia.

— Raczej do niewidzenia, panie redaktorze. Przynajmniej na tym odcinku. Proszę pamiętać, że pana ostrzegałem.

Rafał wrócił do swego piętnastopiętrowego wieżowca, zaparkował wóz w zatoczce obok dziesiątków innych wozów, chwilę czekał na windę, czytając bezmyślnie napis na blaszanej tabliczce, informującej, że dźwig znajduje się w konserwacji MPRDO, wreszcie doczekał się i wyjechał na swoje piętro.

Agata siedziała bez pantofli na poręczy fotela i w skupieniu czyściła sobie paznokcie. Jej ogromne, błękitne oczy były teraz szare.

— Co się stało? — zapytał.

— Dzwoniła twoja pani małżonka.

— Czego chciała?

— Możesz sobie posłuchać, pudło było włączone.

Podszedł do stoliczka, na którym stał telefon. Cieniutki, prawie niewidoczny kabel łączył go ze starym magnetofonem, ustawionym na półce pod stolikiem.

Cofnął taśmę, zatrzymał, potem puścił ją do przodu. Z głośnika odezwał się głos Agaty:

— Słucham?

— Chciałabym mówić z panem Kostroniem.

Ten drugi głos — ostry, prawie kłujący — był mu znany aż za dobrze. Zawsze, ile razy go słyszał, miał uczucie, że zaraz stanie się coś przykrego.

— Pana Kostronia nie ma w domu.

— A gdzie mogłabym go znaleźć?

— Nie mam pojęcia.

— To bardzo pilne — powiedziała. Zauważył, że była bardzo zdenerwowana. — Coś się stało i ja muszę się z nim natychmiast zobaczyć. — Zrobiła pauzę i jakby ze złością zapytała: — Pani wie, kto mówi. Prawda?

— Oczywiście — odpowiedziała chłodno Agata. — Ale jego naprawdę nie ma i nie wiem, gdzie może być.

— Gdyby go pani znalazła, proszę mu powiedzieć, żeby zaraz

przyjechał. Zrobi to pani?

— Dlaczego nie? — odpowiedziała spokojnie Agata. — Oczywiście, że zrobię.

— Dziękuję. Czekam w domu.

Rafał zatrzymał magnetofon i przez chwilę stał ze spuszczoną głową.

— No, jedź, na co czekasz? — powiedziała z wściekłością Agata.

— Przecież słyszałeś, że cię woła!

— Ciekawe, co to może być...

— Pewnie się dowiedziała, że trzeci raz wystąpiłeś o rozwód. Teraz już niczego nie wymyśli, więc przypuszczam, że ma zamiar wypalić ci oczy. Masz — rzuciła mu ciemne okulary. — Włóż przed wejściem.

Zawahał się i niechętnie nakręcił numer swego dawnego mieszkania.

Niemal natychmiast rozległ się dźwięk podnoszonej słuchawki i ten sam głos, który przed chwilą rozmawiał z Agatą, zawołał nerwowo:

— Tak?

— To ja — powiedział głucho.

— Musisz w tej chwili przyjechać! Rozumiesz?

— Powiedz mi chociaż, po co.

— Nie na telefon. Wsiadaj i jedź, tu chodzi o Elżbietę. Słyszysz?

— Słyszę.

— Odłóż wszystko i natychmiast przyjeżdżaj.

Rzuciła słuchawkę. Rafał powoli odłożył swoją i nie pewnie zerknął na Agatę.

— Zdaje się, że naprawdę będę musiał tam skoczyć. Coś z Elżbietą...

— Przecież widziałeś ją dzisiaj.

— No, widziałem. Ale zachowywała się dziwnie. Chyba pojedą.

— A czy ja cię zatrzymuję? — zapytała wojowniczo. — Tylko gdybyś nie miał zamiaru wracać na kolację, to mi zadzwoń.

Objął ją, ale wywinęła mu się ze złością.

— Wróć, jak będę mógł najszybciej. Pa.

— Pa, pa, pa! — przedrzeźniła go marszcząc nos. — A nie zapomnij ucałować jej na przywitanie. Ostatecznie to twoja

ślubna żona!

Pojechał na drugi koniec miasta do dzielnicy ma tych domków otoczonych ogródkami. Przed jednym z nich stała nieduża czyściutka „Lancia”. Zaparkował obok niej i po czterech betonowych schodkach wszedł na oświetlony podest przed drzwiami.

Otworzyły się natychmiast, zanim jeszcze zdążył zadzwonić. Widocznie Barbara widziała go przez okno.

Była wzrostu Elżbiety, czarna i szczupła, ale nieładna, tylko oczy miała piękne i tak jak u córki zawsze trochę gniewne. W zeszłym roku przekroczyła czterdziestkę, trzymała się dobrze i jak zawsze była bardzo drogo ubrana. Mogła sobie na to pozwolić nawet bez jego pomocy, była bowiem głośnym chirurgiem-ortopedą, wyspecjalizowanym w leczeniu obustronnych zwicnięć stawu biodrowego u dzieci i pacjenci zjeżdżali do niej z całego województwa. W jej zachowaniu czuło się zawsze pewność siebie człowieka, który wie, co robi; teraz wyglądała na wzburzoną.

— Dlaczego tak długo? — zapytała ostrym głosem. — Miałeś się śpieszyć!

— Dziecko! — mruknął. — Do ciebie jest ładnych parę kilometrów, a połowa przez centrum! Co z Elżbietą?

Cofnęła się.

— Wejdz.

Nie oglądając się na niego weszła do dużego pokoju, który zajmował prawie cały parter. Wewnętrzne schody prowadziły z niego na piętro. Zauważył, że palą się wszystkie światła, jak u kogoś, kto właśnie przeżył niebezpieczny napad i chce sobie w ten sposób dodać odwagi.

— No więc? — zapytał.

Kilka razy przemierzyła pokój nerwowym krokiem, a potem bez słowa wzięła ze stołu jakąś kartkę i podała mu.

Masz, czytaj.

Na kartce było tylko kilkanaście słów. wypisanych grubym flamastrem: „Mama, przykro mi, ale muszę zniknąć. Jak będę mogła, to się odezwę. Nie szukaj, Elżbieta”.

— Kiedy to znalazłaś?

— Po południu, jak wróciłam ze szpitala. Od razu zaczęłam cię szukać. Ale oczywiście bez skutku.

Powoli podniósł oczy znad kartki.

— Byłem wtedy właśnie z nią.

— Z nią? — powtórzyła. — Nie rozumiem.

— Zadzwoiła do mnie, żebym po nią przyjechał na rynek. Jeździliśmy razem z godzinę.

— I gdzie ją zawiozłeś? — zawołała, patrząc na niego jak oficer śledczy w czasie przesłuchania.

— Właściwie nigdzie. Wysadziłem ją pod „Europą”.

— To znaczy, że wysadziłeś ją pod dworcem!

Przez chwilę oboje milczeli. Potem Barbara zapytała:

— Powiedziała ci coś?

— Nic.

— Przecież musieliście o czymś rozmawiać!

— Trudno to nazwać rozmową. Teraz myślę, że chciała, żebym ją gdzieś zabrał.

— Gdzie?

— Bąknęła coś o lasach. Ale to mogło być powiedziane ot tak...

— Przypomnij sobie! — powiedziała z mocą, której trudno było domyślić się w tej drobnej postaci. — Musisz mi powtórzyć każde jej słowo!

— To nic nie da —, mruknął. — Elżbieta przez cały czas mówiła co innego, niż myślała. Szukałaś jej?

— Ty głupcze! — syknęła. — Spędziłeś z nią tyle czasu i nic nie wiesz! Zawsze byłeś jednym z najgłupszych ojców, jakich znałam! Nie mogłeś jej jakoś zatrzymać?

— A ty? — zapytał cicho, z rosnącą wściekłością. — Przecież to ty z nią byłaś na co dzień, ty z nią jadłaś, rozmawiałaś i siedziałaś przy telewizji! Jak mogłaś nie zauważyć, że coś wisi w powietrzu?

Przez chwilę patrzyła na niego, jakby chciała wybuchnąć. Potem spuściła oczy i z zakłopotaniem zatarła dłonie.

— Widzisz, ostatnio... Ostatnio straciłam z nią kontakt.

Była niby taka sama, jak zawsze, robiła, co do niej należało, i rozmawiała ze mną jak przedtem. Ale między nami był jakiś mur.

— Nie mówiłaś mi o tym.

— A po co? — zawołała zaczepnie. — Żebyś mi przez telefon udzielił paru dobrych rad? Albo złożył wyrazy ubolewania? Przecież my dla ciebie przestałyśmy istnieć!

— To nieprawda — powiedział ze znużeniem. — Ty wiesz, że przynajmniej jeżeli chodzi o Elżbietę...

— Przestań, dobrze? — zawołała. — Zostawiłeś ją jak psa, który przestał ci być potrzebny! Przez trzy lata nie spędziłeś z nią nawet tygodnia! Mogłeś ją wziąć nad morze albo do Bułgarii, wyjechać z nią na jakieś święta! Ale ciebie było stać najwyżej na obiad za miastem! Albo na wspólne wypełnienie kuponów Toto-Lotka! Więc teraz bądź przynajmniej cicho, bardzo cię o to proszę! Dobrze?

— Barbara — powiedział z wysiłkiem. — Przecież ty wiesz, jak było naprawdę... Kilka razy proponowaliśmy jej wspólny urlop. To ty...

— Wspólny urlop z tą twoją dziwką?

Podszedł do okna i przez chwilę milczał. Za oknem ciemniały gołe, obskubane przez wiatr ogródki. Wyglądały żałośnie i bardzo smutno.

— Nie wracajmy do tego — szepnął wreszcie. — Ty wiesz, że odszedłem, bo nie mogliśmy już ze sobą wytrzymać. Jeszcze rok, a któreś z nas skoczyłoby pod pociąg. Co do Agaty, to już parę razy cię prosiłem, żebyś nazywała ją nieco oględniej. To nie jest głośny chirurg jak ty; ale to jest ktoś, kto chce zostać ze mną i z kim ja także chcę być. Więc omijaj ten punkt, jeżeli potrafisz.

— Masz rację — odpowiedziała mu z jadowitą uprzejmością. — Bo w gruncie rzeczy to ona jest nie tyle dziwka, co idiotka; dziwka na kilometr poczułaby w tobie partacza, który sknoci wszystko, czego się dotknie!

— Dziękuję ci — powiedział. — Tę piosenkę znam na pamięć. Teraz powiedz mi: kto może coś wiedzieć o Elżbiecie?

Jeszcze przez chwile patrzyła na niego z niechęcią; potem odwróciła się i odpowiedziała cicho:

— Zdaje się, że nikt. A przynajmniej nikt, o kim bym sama coś wiedziała.

— Obdzwoiłaś jej koleżanki, kolegów?

— Głupie pytanie — szepnęła. — Oczywiście, że zaczęłam od tego. Bardzo ostrożnie, rozumiesz, tak, żeby nikt się nie domyślił, o co chodzi. Niczego się nie dowiedziałam.

— Zaraz — mruknął. — Dlaczego mówisz, że zrobiłaś to bardzo ostrożnie? Ostatecznie fakt, że dorosła dziewczyna urywa się z domu i chce parę dni posiedzieć nad jakimś jeziorem bez twojej interwencji nie jest jeszcze żadną sensacją. Nawet gdyby pojechała tam z jakimś chłopcem.

— Tak — westchnęła nie patrząc mu w oczy. — Ale jej chłopak nie pojechał z nią; i także nie wie o niczym. A to jest chłopak, na którym jej naprawdę zależy. A poza tym...

— Zaczekaj. Powiedz, co to za jeden.

— To ci nic nie da, naprawdę.

— Wolałbym wiedzieć.

— Dobrze — powiedziała z nieoczekiwaną ustepliwością. — Nazywa się Marek Chlebowski i jest studentem czwartego roku architektury.

— Telefon?

— Musiałabym zajrzeć. Akademik przy placu Roosevelta. Pokój 315. Ale teraz go nie ma.

— Skąd wiesz?

— Był tutaj, wydawało mi się, że byli umówieni. Pobiegł jej szukać na mieście.

— Dokąd pobiegł?

— Rafał — mruknęła ociężale. — To nie ma sensu. Jest coś, czego ci nie powiedziałam. Wczoraj w nocy Elżbieta rozmawiała z kimś przez telefon. Było już bardzo późno, pierwsza, może po pierwszej. Obudziłam się, ale nie słyszałam, o czym mówi; dzwoniła z aparatu na dole. Potem zorientowałam się, że jest bardzo zdenerwowana, i podniosłam słuchawkę w moim pokoju. Elżbieta już kończyła; powiedziała jeszcze coś w tym rodzaju, że teraz chcą ją w to zrobić i myślą, że ona będzie siedzieć za innych, ale ona jeszcze nie zwariowała. A potem dorzuciła bardzo cicho „w tej sytuacji to rozumiesz i niczemu się nie dziw”. A potem odłożyła słuchawkę.

— Nie słyszałaś, z kim rozmawiała?
— Nie, bo ten ktoś już się nie odezwał.
— Co zrobiła potem?
— Siedziała długo na dole i paliła papierosy.
— Nie zeszałaś do niej?
— Nie, nie chciałam, żeby się czegoś domyśliła. Zresztą jeszcze ciągle myślałam, że to jakieś głupstwa. Gdzieś koło trzeciej usłyszałam, że otwiera lodówkę, i myślę, że coś piła. Ale nie jestem tego pewna. W parę minut później poszła do łóżka. Nie kąpiąc się i nie myjąc zębów, rozumiesz.
— Miałaś w lodówce coś do picia?
— Tak mi jakoś zostało — powiedziała ze złością Barbara. — Pewnie po jakichś gościach. Jakieś takie niecałe pół litra.
— Dużo wypila?
— Nie wiem — mruknęła niechętnie Barbara. — Nie pamiętam dokładnie, ile było. Rano, jak wychodziłam, to jeszcze spała. Nastawiłam jej budzik na dziesiątą, bo pamiętam, że o jedenastej ma ćwiczenia. Więcej już nic nie wiem.
— Chodźmy do jej pokoju — powiedział z namysłem Rafał. — Może tam coś znajdziemy.
— Wątpię. Przetrzęsnałam wszystko, każdy papier i każdą parę majtek. Szukałam też w piwnicy i na stryżku. Ale chodźmy. Weszli na pierwsze piętro. Po prawej był pokój Barbary, który kiedyś był ich wspólną sypialnią. Po lewej pokój Elżbiety, teraz otwarty i zarzucony drobnymi szpargałami. Rafał stanął w progu, rozejrzał się, podszedł do okna, otworzył je, wyjrzał, a potem wziął nocną lampkę, stojącą przy tapczanie Elżbiety, zapalił ją i oświetlił blaszany parapet za oknem.
— Paliła coś — powiedział. — Jakieś papiery. Widzisz, zostało jeszcze trochę popiołu. Odstawił lampkę na miejsce i usiadł na jasnym biureczku, gdzie pod szkłem widać było widokówki z całego świata. — Baśka — szepnął. — Przecież byłaś tu. Nic ci nie przychodzi do głowy?
— Nie — powiedziała z pochmurnym zakłopotaniem. — Widzisz, przez ostatnie miesiące byłam wyjątkowo zajęta. Dużo trudnych przypadków. Czasami siedziałam w szpitalu od świtu

do nocy. Elżbieta też zrobiła się inna. Niby grzeczna, ale... No, mówiłam ci już, straciłam z nią wszelki kontakt.

— Ona ma dopiero dwadzieścia lat — powiedział. — Jej się pewnie wydaje, że to dużo. Ale my wiemy, że w tym wieku najłatwiej jest palnąć jakieś głupstwo. I najtrudniej się z niego wyplątać. Poszperaj w głowie, może znajdziesz jakiś szczegółik!

— Nie męcz, Rafał — powiedziała. — Ja jestem zupełnie bezradna.

Przez moment zrobiło mu się jej żal: drobna, niemłoda kobieta, sama w pustym domu i postawiona oko w oko ze sprawą, do której nie mogła znaleźć klucza. Zaprzagnął jej jakoś pomóc. Powiedział:

— O jedno się nie martw. Powiedziała mi, że we wtorek będzie słuchać mojego „S.O.S.”

— Co to znaczy? — zapytała, mrugając szybko powiekami.

— No, że, rozumiesz... W każdym razie nie miała zamiaru...

— Rafał! — krzyknęła. — Czyś ty zwariował?

Zrozumiał, że nie była to najlepsza droga. Podszedł

i położył Barbarze dłoń na ramieniu. Poczuł, że drży, i spróbował się uśmiechnąć.

— To może być jakieś dzieciństwo.

— Nie — szepnęła. — Ona już nie jest dzieckiem.

Jego dłoń znieruchomiała.

— Jesteś pewna? — zapytał.

Odsunęła się i wzruszyła ramionami.

— Obudził się w tobie tatuś, co? Trochę za późno. Ona już od roku żyje z tym swoim chłopcem.

— Wiedziałaś o tym?

— Domyślałam się — powiedziała apatycznie. — Któregoś dnia znalazłam jej kalendarzyk. Wszystko tam było zaznaczone, jak trzeba. Ona nie uciekła dlatego, że ktoś jej nie zaprosił na bal. Ani dlatego, że oblała jakieś kolokwium. To była dojrzała decyzja dorosłego człowieka. I ja właśnie dlatego się boję.

Przeszedł się kilka razy po pokoju i jeszcze raz wyjrzał na parapet, gdzie ciemniały resztki spalonego papieru.

— A powiedz mi — szepnął bardzo cicho. — Jeżeli jest tak, jak

myślisz... Czy nie należałoby zawiadomić milicji?

Głęboko wciągnęła powietrze, a potem powiedziała głuchym, martwym głosem:

— Idź, zrób to. Niech ją zamkną. Ja nie wierzę, żeby zrobiła coś złego. Nie mogłaby, rozumiesz? Nie umiałyby, nawet gdyby bardzo chciała. Jest lepsza od nas, od ciebie i ode mnie. Jest czysta, prosta, zdrowa i odważna. Jeżeli została w coś wplątana, to znaczy, że ktoś ją w to wplątał. Sama z siebie nie byłaby do tego zdolna. Zresztą ty to wiesz, chociaż nie zrobiłeś nic, żeby jej pomóc w ostatnim, najtrudniejszym okresie. Jesteś tego tak samo pewien jak ja. Ale jeżeli chcesz mieć spokój, to zadzwoń. Niech się nią zajmą zawodowcy. Może nawet przyzna się do czegoś, czego nigdy nie zrobiła, a my do końca życia nie będziemy wiedzieć, dlaczego się przyznała. Telefon jest w moim pokoju, to jedno chyba jeszcze pamiętasz. Numer znajdziesz w książeczce telefonicznej. Idź i dzwoń. Proszę.

Odsunęła się od drzwi zrobiła mu miejsce.

Nie ruszył się od stolika, na którym kolorowo uśmiechały się pozdrowienia z pięciu kontynentów. Stał bez ruchu i w milczeniu kiwał głową. Potem powoli podniósł oczy.

— Rozmawiałem z nią dzisiaj — powiedział. — Mówiła dziwne rzeczy i nie zawsze mogłem ją zrozumieć. Ale myślę, że w jednym masz rację; ona jest absolutnie czysta. Weź teraz tabletkę na sen i idź się położyć. Ja się tym zajmę. I znajdę ją, mozesz być zupełnie spokojna. Znajdę i wszystko wyjaśnię. No, chodź, pościelę ci tapczan.

— Nie — powiedziała zachryple. — Skończyły się czasy, kiedy ścieliłeś mi tapczan. Dziś wystarczy, jak dobrze zamkniesz za sobą drzwi. I jak zrobisz to, co obiecałeś.

Jeszcze przez moment patrzył na nią ze współczuciem. Potem szepnął „dobranoc”, zbiegł na dół, dobrze zamknął drzwi, tak jak mu kazała, i wskoczył do swojego brudnego „Fiata”.

Agata ciągle jeszcze czyściła w zamyśleniu paznokcie.

Słyszając, że wchodzi, zamruczała:

— No, jak tam? Bardzo się wzruszyłeś? Do łez?

— Zrób mi kawy — powiedział nie zdejmując płaszcza. — Jest nad czym pomyśleć.

Usiadł przy stoliku z magnetofonem i puścił taśmę do tyłu.

— Czego szukasz? — zapytała nie podnosząc się z miejsca. — Może chciałbyś jeszcze raz usłyszeć skrzeczący głos twojej żony? Powiedz mi, to pójdę się przejść, a ty będziesz mógł napawać się do upojenia.

— Dobrze, Agata — mruknął. — Ale przez moment się nie odzywaj. Tu jest jakiś klops i niestety będziemy musieli go rozgryźć. A to wcale nie będzie takie łatwe.

Zatrzymał taśmę, spróbował, znowu cofnął i znowu ją włączył.

— O co chodzi? — zapytała z nagłą powagą.

— Była tu moja córka — odpowiedział. — Dzwoniła do kogoś, ale przedtem kazała mi pójść po papierosy. Szukam tego nagrania.

Przez chwilę w milczeniu słuchali zbełtanych dźwięków z taśmy. Wreszcie Agata zeskokczyła z fotela i klękła obok Rafała.

— Nie znajdziesz — szepnęła. — Słyszysz? Nikt nie podniósł słuchawki.

Jeszcze przez moment puszczał taśmę tan i z powrotem. Za każdym razem słyszeli tylko pięć zgrzytów tarczy, a potem nieskończoną ilość równomiernych, długich buczków, oznaczających, że numer jest wolny, ale nikt nie podchodzi do telefonu.

— Nie było połączenia — powiedziała cicho Agata.

— Sekundę! — mruknął Rafał.

Odłączył magnetofon od aparatu, ustawił taśmę na pierwszym zgrzycie i puściwszy ją, zaczął jednocześnie wybierać numery.

Przez chwilę się mylił, ale za którymś razem trafił w rytm.

— Trzy, dwa, cztery, cztery, pięć — szeptał. — Jeszcze raz, muszę mieć pewność.

Teraz ona puszczała taśmę, a on synchronizował obroty tarczy z długością zgrzytów, zanotowanych przez magnetofon. Po czwartej próbie mieli pewność: to był właśnie ten numer. Tyle, że abonent nie podnosił słuchawki.

Rafał wyłączył magnetofon i wydzwonił informację.

— Bardzo panią przepraszam — powiedział. — Czy mogłaby mi pani podać, do kogo należy numer trzysta dwadzieścia cztery

czterdzieści pięć?

— Chwileczkę — odpowiedział młody, uprzejmy głos. Trwało to może z dziesięć sekund. Potem ten sam głos wyrecytował: — Numer należy do pana Andrzeja Szmidta, ulica Długopolska 69.

— Dziękuję pani — szepnął Rafał i powoli odłożył słuchawkę. Agata, która nie słyszała odpowiedzi, patrzyła mu w twarz.

— Zdziwisz się — powiedział. — Ale to jest numer pana Szmidta. Męża naszej nieszczęsnej samobójczyni.

II

Przez parę sekund siedzieli przy telefonie bez słowa. Potem Agata pokręciła głową.

— To może nie mieć żadnego znaczenia. Dzwoni się do różnych ludzi: żeby przetkali zlew. Albo żeby poprawili antenę na dachu. Z niego może być złota rączka.

— Może — szepnął Rafał. — Ale kto robi sekret z zatkanego zlewu?

— Masz rację — powiedziała Agata i spojrzała ku niemu z ukosa. A może sam pan Szmidt?... Powiedz mi, jest atrakcyjny?

— Jako mężczyzna?

Ostrożnie skinęła głową,

— Zależy jak dla kogo — powiedział wzruszając ramionami. — Agresywny facet po trzydziestce, z dawno nie mytymi włosami. Horyzont myślowy na pół palca: w granicach meczu ligowego i miesięcznej premii. Wątpliwy ideał dla dziewczyny, która studiuje psychologię, a do poduszki czyta Gardnera w oryginale.

— Odpada — powiedziała Agata. — Ale w takim razie...

I niepewnie rozłożyła ręce.

— No, właśnie — mruknął Rafał.

— Nie masz żadnego pomysłu?

— Nie. Mam tylko dużo głupich obaw. Ta zbieżność, rozumiesz, że ja zaczynam rozgrzebywać sprawę Szmidtowej, a w tym samym czasie Elżbieta ucieka z domu i próbuje porozumieć się ze Szmidtem. Przypadek?

— Może być.

— Może. Ale nie musi. Bierz małego „Philipsa”, jedziemy.

— Do niego?

— Oczywiście.

— Nic ma go w domu.

— To lepiej. Mógłby nas nie wpuścić. Zaczekamy na schodach. W tej chwili zaterkotał telefon. Rafał szybko wyciągnął rękę. W słuchawce odezwał się nieśmiały, trochę przygluszony głos:

— Czy mógłbym mówić z panem Kostroniem?

— Przy aparacie.

— Mówi Marek Chlebowski. Jestem kolegą pana córki...

— Wiem.

Tamten jakby się zawahał i dopiero po sekundzie zapytał:

— Mówiła panu?

— Nie. Ale wiem.

— To dobrze — powiedział tamten jakby z ulgą. — Pana żona dała mi telefon. Prosiła, żebym się z panem skontaktował.

— Ma pan coś?

— Mam.

— Może pan mówić?

— W dużym skrócie. Rozumie pan, dzwonię z dworca, a tu dużo ludzi czeka na telefon.

— Niech pan mówi w dwóch słowach.

— Znalazłem kasjera, który ją zapamiętał. Kupowała bilet koło czwartej.

— Dokąd?

— Nie może sobie przypomnieć. Ale pamięta, że nie była sama.

— Kto był z nią?

— Kobieta.

— Jak wyglądała?

— Powiem panu później. Czy może pan być za półtorej godziny w „Borówce”?

— Gdzie?

— Taki barek owocowy, pięć kroków od dworca.

— Mogę. Jak się poznamy?

— Ja będę uważał, znam pana z fotografii.

— Nie możemy się spotkać od razu?

— Możemy, ale za półtorej godziny będę wiedział więcej.

— Dobrze, spotkamy się tak, jak pan proponuje. Do widzenia.

— Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i obejrzał się za Agatą.

— Była z nią jakaś kobieta.

- Słyszałam – powiedziała Agata.
- Co o tym myślisz?
- Nie podoba mi się.
- Dlaczego?
- Gdyby wyjeżdżała z chłopem metr osiemdziesiąt, byłabym spokojniejsza. Wiedzielibyśmy, co jest grane.
- Też byśmy nie wiedzieli.
- Ale moglibyśmy snuć jakieś domysły. Tak nie możemy. ...
- Masz rację. Zbieraj się.

Zjechali windą, wsiedli do swojego obitego „Fiata” i ruszyli.

– Pójdiesz do Szmidta sama – powiedział Rafał nie odrywając oczu od asfaltu, splukiwanego białym światłem r tęciówek. – Nie zna cię, łatwiej coś z niego wyciągniesz. Podaj się za koleżankę Elżbiety.

-- Nie przesadzasz?

– Możesz być koleżanką z ostatniego roku.

– Dobrze. O co mam pytać?

– Nie wiem. Idź na niucha. Może on cię sam naprowadzi.

– Ale od czegoś muszę zacząć.

– No na przykład, że Elżbieta przeprasza, ale nie mogła się dodzwonić, i prosi, żeby on czekał na telefon jutro o szóstej.

Zobaczysz, jak zareaguje.

– Czy mam to nagrywać?

– Oczywiście.

W milczeniu przygotowała sobie mały magnetofon i ukryła go w torebce. Tymczasem r tęciówki odpłynęły w bok, znaleźli się na szerokiej, ale prawie nieoświetlonej magistrali i Rafał musiał włączyć reflektory. Po bokach majaczyły martwe szkielety wielkopłytowych wieżowców w różnych fazach budowy. Gdzieś jarzyła się ostra lampa, oświetlająca baraki z pustaków, i nieczynne baki betoniarek. Wyżej, na tle czarnego nieba migotały czerwienią światelka pozycyjne kranów.

Przejechali jeszcze ze sto metrów i znaleźli się w tej części osiedla, która już była gotowa i oddana do użytku. Z prawej i z lewej otoczyły ich mrowiska oświetlonych okien. Rafał odnalazł świecący trójkąt z numerem 69 i powoli wsunął się między

wystygłe kadłuby zaparkowanych tam samochodów. Było tu prawie jasno; czterdziestometrowa klatka schodowa, przecinająca dom od góry do dołu, płonęła błękitnym światłem jak olbrzymi kratkowany neon.

— Mam nadzieję, że mają tu jakiś spis lokatorów. Wolalbym, żebyś się nie pytała dozorcę.

— Teraz nie ma dozorców, są sami gospodarze — westchnęła Agata i otworzyła drzwi. — A poza tym czuję, że wystawiasz mnie na idiotyczny wygłup. Ale niech ci, spróbuję.

Wysiadła i oburącz ściągnęła pod brodą kołnierz płaszcza.

— Jeżeli go nie będzie, to jak długo mam sterczeć pod drzwiami? Pięć minut, kwadrans, godzinę?

— No, poczekaj trochę — odpowiedział niepewnie. — Facet, który mocuje się z zamkiem, jest przez moment w sytuacji przymusowej; zanim skończy, zdążysz go trochę pocisnąć.

— No, to cześć.

Przeszła piętnaście metrów i znalazła się wewnątrz wieżowca, który był niemal identyczny z tym, w którym sami mieszkali; tyle że windy szły tutaj w osobnych filarach. Odnalazła numer Szmida na olbrzymiej tablicy, zawierającej prawie dwieście nazwisk, i wjechała na siódme piętro. Korytarz był tu wyłożony ciemnym lastrykiem i źle oświetlony; dwie spośród pięciu jarzeniówek nie paliły się wcale, a trzecia nerwowo mrugała.

Mieszkanie Szmida znajdowało się na samym końcu, tuż przy zapasowej klatce schodowej. Któreś okno na klatce musiało być otwarte, bo wahadłowe drzwi, oddzielające ją od korytarza, poruszały się z monotonnym zgrzytem.

Podeszła, poprawiła włosy i sprawdziła, czy może bez zwracania uwagi uruchomić magnetofon. I gdy już wyciągała rękę do dzwonka, usłyszała wewnątrz stłumione kroki, a potem niewyraźny zgrzyt, jakby ktoś wyciągał oporną szufladę.

Zaczekała parę sekund i zadzwoniła.

Ruch w mieszkaniu ustał i za drzwiami zrobiło się cicho.

Zadzwoniła jeszcze raz. Nikt nie podszedł, by jej otworzyć. Niepewnie nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Zobaczyła nieduży przedpokój i otwarte drzwi do nie oświetlonej kuchni. Z lewej strony była ścienna szafa, z prawej tani wieszak. Na

wieszaku wisiał przepocony sweter, zaczepiony o haczyk wewnętrzzną stroną golfu. Z siatki nad wieszakiem zwisał brudny szalik w purpurowo-czarną kratę.

Zawahała się. W pokoju, którego wnętrza nie widziała, paliło się światło; ale nikt się w nim nie poruszył, nikt nic zapytał „kto tam?”

Poczuła niepokój i pomyślała, że się cofnie. Potem jednak uruchomiła magnetofon w torebce i nie zamykając za sobą drzwi zrobiła trzy ostrożne kroki.

Zobaczyła wewnątrz niewielkiego pokoju, mniej więcej cztery na cztery i pół, z dużym balkonowym oknem naprzeciw. Pokój był ciasno zastawiony tuzinkowym kompletem na każdą okazję. W rogu pod oknem stał obrotowy telewizor „Tosca-Lux”. Meble były zakurzone, na stole walał się rozsypany popiół. Przy kombinowanym regale, pełniącym równocześnie funkcję szafy i kredensu, stał kościsty mężczyzna pod sześćdziesiątkę w lekkiej, skórzanej kurtce na futerku. Miał piękną głowę o szpakowatych skroniach i ostre, uważne oczy. W całej jego postaci, a zwłaszcza w czujnym ugięciu długich rąk czuło się napięcie, jak u złodzieja, schwytanego na gorącym uczynku.

Od pierwszej chwili wiedziała, że to nie on; mimo to zapytała ufnie:

— Pan Szmidt?

— Słucham — odpowiedział, jakby nie chciał ani zaprzeczyć, ani potwierdzić.

— Nie mogłam się dodzwonić — szepnęła nieśmiało. — Dlatego pozwoliłam sobie...

— O co chodzi? — zapytał i powoli ruszył w jej stronę, jakby chciał uniemożliwić jej ucieczkę.

Zerknęła niepewnie na boki. Regał był rozbebeszony, zawartość szuflad i szafek częściowo wyrzucona na podłogę. Oszklone drzwi do następnego pokoju przymknięte, nic się tam nie paliło i nie słychać było najmniejszego ruchu. A więc była sam na sam z tym człowiekiem w skórzanej kurtce. Poczuła strach i powiedziała szybko:

— Księgowy chciałby zamienić z panem kilka słów.

Był już blisko — na wyciągnięcie ręki. Gdyby chciał,

mógłby ją złapać za ramię. Ale nie zrobił tego. Zatrzymał się i po sekundzie milczenia zapytał:

— Jaki księgowy?

— Nasz, z administracji — odpowiedziała i poczuła ulgę, bo zabrzmiało to prawdopodobnie. — Chodzi o czynsz za wrzesień; nie możemy znaleźć pańskiego przekazu.

— A, za wrzesień — mruknął i zaraz dodał: — To możliwe.

— Nie mógłby pan teraz wpaść? Wyjaśnilibyśmy to. od ręki.

— Nie, teraz nie. Jutro.

— Dobrze, proszę pana — powiedziała i poczuła, że sweterek pod pachami ma mokry od potu. — Pan zna nasze godziny urzędowania?

— Oczywiście.

Już chciała powiedzieć „no, to dobranoc”, gdy przez szparę w ciemnych drzwiach usłyszała zgrzyt sprężyn i coś pośredniego między westchnieniem i jękiem. Zrobiła najwyższy wysiłek, by nie spojrzeć w tę stronę. On także się nie obejrzał, ale brwi lekko mu się ściągnęły i oczy zrobiły się jeszcze ostrzejsze.

— Pracujemy od szesnastej — szepnęła, czekając, że może coś jeszcze doleci ją zza tych nie domkniętych drzwi; ale tam znowu panowała głucha cisza.

— Wiem — powiedział niecierpliwie. — Coś jeszcze?

— Nie.

— To dziękuję

— Ja także. I przepraszam.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę drzwi. Korytarzyk był krótki; mimo to miała wrażenie, że niczego dłuższego nie przeszła w życiu. Ciągłe czekała, że coś się stanie; nie stało się nic. Wreszcie znalazła się przy drzwiach. Nie miały automatycznego zatrasku, zamykały się tylko na szeroką, metalową zasuwę: ten, którego zastała w środku, nie zamknął jej za sobą, dlatego przed chwilą mogła wejść.

— Dobranoc — powiedziała na progu i obejrzała się przez ramię.

Musiał stać dalej tam, gdzie go zostawiła; jego długi cień był widoczny na ścianie przedpokoju.

Zamknęła drzwi i skoczyła na prawo, do klatki schodowej,

jakby się bała, że może ją jeszcze dogonić przy windzie. Przez parę sekund biegła w dół jak oszalała; dopiero na czwartym piętrze ochłonęła: wyłączyła magnetofon, przeszła korytarzem do windy i zjechała na parter.

Rafał wysłuchał jej w milczeniu, a potem — także w milczeniu — puścił magnetofon. Usłyszeli te same krótkie, ostrożne słowa, które przed chwilą padły w mieszkaniu na siódmym piętrze.

— Tutaj — powiedziała Agata. — W tym miejscu ktoś zajęczał.

Rafał cofnął kasetę, potem znowu puścił do przodu.

— Nie utrzymało się — powiedział. — Musiało być za ciche. Albo za dalekie.

Wyłączył magnetofon i schował go do kieszeni.

— Co robimy? — zapytała.

— Na razie nic. Niech ten facet najpierw wyjdzie.

— A potem?

— Zobaczymy. Myślę, że ma tu zaparkowane jakieś taczki.

— A jeżeli pójdzie do tramwaju?

— Nie — powiedział. — Gdyby należał do tych, co jeżdżą tramwajami, miałby na sobie watowaną jesionkę, szalik i kapelusz. Facet pod sześćdziesiątkę w skórce na futerku to jest playboy. Może nie mieć własnych zębów i własnej wątroby, ale musi mieć własną gablotę. To ten?

W ostrym świetle przed wejściem do wieżowca pokazał się mężczyzna, który parę minut wcześniej rozmawiał z Agatą.

— Ten.

— Schowaj się.

Pochyliła głowę, zanurzając się w cień, padający od deski rozdzielczej.

Tamten szedł długim, zdecydowanym krokiem, nie oglądając się ani do tyłu, ani na boki. Kiedy doszedł do chodnika, skrzył w lewo i ruszył wzdłuż ławicy zaparkowanych tam samochodów. Po kilkunastu krokach u/szedł między wozy, przystanął i dopiero wtedy zamiótł dookoła czujnym wzrokiem.

— Co robi? — zapytała Agata.

— Szuka kluczyków. A przy okazji węszy, czy jest czysto.

Szpakowata głowa, stercząca nad dachami samochodów,

pochyliła się. Potem miękko pacnęły drzwiczki.

Rafał zaczął, aż tamten naciśnie starter, i równocześnie z nim zapuścił silnik. Potem płynnie wycofał się z zatoczki i ustawił „Fiata” maską ku miastu.

— Jedziemy za nim? — zapytała Agata.

— Nie. Wykapowałby coś po pierwszym kilometrze. Chcę tylko zobaczyć numer.

Mocne światła załazy łysy trawnik przed domem, potem drgnęły i zaczęły przesuwając się w prawo.

— Niżej — powiedział Rafał i przycisnął Agatę ramieniem.

Położyła mu głowę na kolanie i czekała. Podwójny strumień blasku wlał się przez tylną szybę do ich wozu; potem usłyszeli głęboki szum i duży, zielony wóz przesunął się wzdłuż ich prawej burty.

— „Ford-Mustang” — powiedział cicho Rafał. — Stary, ale w dobrym stanie. Zapamiętaj numer: ŁD5667 — i klepnąwszy ją dodał: — A jednak nie jeździ tramwajem.

Zaczekali, aż czerwone oczka tylnych świateł roztopią się w ciemnościach, i wysiedli.

Mieszkanie Szmida było nadal otwarte.

Ostrożnie przeszli korytarzyk i wsunęli się do pokoju. Oszklone drzwi były ciągle przymknięte, za matową szybą nie paliło się światło.

Rafał podszedł i powoli otworzył je na całą szerokość.

Zobaczył mały pokoik, który służył Szmidom za sypialnię. W poprzek podwójnego łóżka, twarzą do dołu, leżał nieruchomo człowiek w jesionce. Jego prawa ręka zwisała na podłogę.

Rafał wymacał na ścianie kontakt i zapalił porcelanową lampę.

Potem podszedł i ostrożnie uniósł twarz leżącego.

— To Szmidt? — zapytała szeptem Agata.

— Szmidt. Kompletnie pijany.

Człowiek na łóżku skrzywił się i westchnął. Rafał obrócił go na wznak i podciągnął na poduszkę.

— Jak myślisz? — zapytał. — Przyszli razem?

— Nie — odpowiedziała stanowczo. — Tamten był trzeźwy. I nie wyglądał na takiego, który pija ze Szmidami.

— A na takiego, który ich upija?

— Też nie. Był cały spięty... jakby wszedł tutaj ukradkiem. I bardzo niezadowolony z mojego przyjścia...

Rafał poluzował Szmidtowi krawat i otworzył okno. Chłodny powiew wydał zakurzoną firanę.

— Ona umarła na tym łóżku — powiedział cicho Rafał. — Męczyła się; czytałem w aktach, że wszystko było skopane i pogryzione. Kiedy ją znaleźli, trzymała w zębach rozprutą poduszkę...

Objął Agatę ramieniem i wyprowadził do pierwszego pokoju. Na półeczce pod telewizorem stał telefon. Wziął słuchawkę i powiedział przez ramię:

— Idź, poszukaj; jeżeli on ma kawę, to mu naparz. A potem zaczekaj na mnie w samochodzie.

— Nie chcesz, żeby mnie widział?

— Teraz już nie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że widział cię tamten. Dwóch naraz to byłoby za dużo.

Nakręcił numer, chwilę czekał, potem usłyszał w słuchawce dobrodusze, trochę ospałe „halo”.

— Fredziu? — zapytał. — To ja. Nie oderwałem cię od kolacji?

— Absurd — odpowiedział pogodnie tamten. — Czy człowiek, który waży osiemdziesiąt kilo mając metr sześćdziesiąt wzrostu, może sobie pozwolić na luksus jadać kolację?

— No, to posłuchaj. Muszę wiedzieć, do kogo należy stary „Mustang” z numerem ŁD 5667.

— Nic prostszego. Jutro o dziewiątej...

— Nie, stary — przerwał mu łagodnie Rafał. — Nie jutro. Dzisiaj.

— Zwariowałeś?

— Chciałbym to wiedzieć jak najwcześniej.

— Rafałku — powiedział słodko tamten. — Wydział Komunikacji ma tak samo określone godziny urzędowania jak wszystkie inne urzędy w całym kraju. Potem wszystko się zamyka i cześć... aż do następnego rana.

— Na pewno dyżuruje tam jakiś woźny.

— I co z tego?

— Zbudzisz go, powiesz, że coś zapomniałeś, weźmiesz klucz i pójdziesz do rejestracji po numer. A ja za godzinę zadzwonię i dowiem się, co znalazłeś.

— Rafałku — odpowiedział przyjaźnie tamten — nie dzwoń i nie dowiaduj się, bo ja na krok nie ruszę się z fotela.

— Ruszysz się, ruszysz. Tylko najpierw przypomnisz sobie, jak to kiedyś życzliwi koledzy chcieli cię wykończyć idiotycznymi donosami i jak twój przyjaciel Rafał przy pomocy swojej audycji „S.O.S.”...

— No, już — przerwał mu Fredzio. — Wystarczy. Zadzwonię za godzinę.

Rafał odłożył słuchawkę. Z kuchni dobiegało delikatne dzwonienie łyżeczki. Potem na progu stanęła Agata z filiżanką w ręku.

— Znalazłam jakąś resztkę „Marago”. Tobie też zrobić?

— Nie — pokręcił głową Rafał. — Postaw to i uciekaj. A ja zajrzę, czy nasz gospodarz już się wyspał.

Wyszła, on zaś znalazł łazienkę, namoczył ręcznik i przyłożył go Szmidтови do czoła.

Szmidt poruszył się, mlasnął, potem otworzył oczy i tępo wpatrzył się w płonąca lampę.

— Pobudka — powiedział Rafał i poklepał go po policzku. — Wstajemy.

Tamten powoli oderwał wzrok od lampy i z wysiłkiem przeniósł go na twarz Rafała. Przez parę sekund przyglądał mu się apatycznie, potem ściągnął brwi, mruknął coś i uniósł się na łokciach.

Był to drobny mężczyzna o wąskiej, bladej twarzy i bardzo wystającym jabłku Adama. Policzki i brodę pokrywał mu nieładny, jednodniowy zarost.

— No, jak tam? — zapytał Rafał. — Już pan wie, gdzie pan iesz? I kogo pan widzi?

— No — mruknął tamten. — Co jest, co jest...

— Nic nie jest. Niech pan siada i niech pan pije kawę.

Szmidt pokręcił głową, a potem jakby się przestraszył i bardzo gwałtownie usiadł na łóżku. Jego oczy zrobiły się przytomniejsze, a zarazem bardziej zaczepne.

— O co idzie? — zapytał zdartym głosem. — Ja mówiłem...

— Dobra, dobra — przerwał mu Rafał. — Tu jest kawa, niech pan nie rozleje.

Tamten przez chwilę przyglądał mu się ponuro, potem przeniósł wzrok na filiżankę, namyślił się i drżącymi rękami podniósł ją do ust.

— Gdzie pan się tak zaprawił? — zapytał Rafał.

— Nie pana sprawa — mruknął Szmidt, ale łapczywie wypił wszystko do ostatniej kropli.

Potem szybko postawił filiżankę na podłodze, obejrzał sobie dłonie, gwałtownie wstał i trochę niepewnie poszedł do łazienki. Przez chwilę słychać było plusk wody w umywalce i Szmidt znowu pojawił się w sypialni. Twarz miał mokrą, ale przytomniejszą, za to cały drżał, jakby zrobiło mu się zimno.

— Jak pan tu wlaźł? — zapytał, powściągając z trudem dzwonienie zębów. — Co?

— Normalnie — odpowiedział Rafał. — Przez drzwi, których pan za sobą nie zamknął. Okradną pana, panie Szmidt, jak pan nie będzie ostrożniejszy.

— Gówno — szepnął tamten i zatarł duże, silne dłonie, na których widniało mnóstwo niebieskich żył. — Zresztą mnie nie zależy. Mnie już na niczym nie zależy.

Ciągle nie zdejmując płaszcza usiadł na okrągłym pufie przed małą toaletką, przy której kiedyś jego śliczna żona musiała spędzać dużo czasu — i wpatrzywszy się bezmyślnie w lustro powiedział:

— Niech mnie pan zostawi, dobrze?

— Zostawię pana — odpowiedział Rafał. — Ale najpierw pan mi odpowie na parę pytań.

— Nie — pokręcił głową Szmidt. — Nie będę na nic odpowiadał. Niech pan się wynosi.

— Panie Szmidt — powiedział łagodnie Rafał — to nie ma sensu. Z panem coś się dzieje... i ja o tym wiem. Więc po co ta zabawa?

Tamten lekko zeszytniał i powoli odszukał wzrokiem odbicie Rafała w lustrze.

— A co się dzieje? — zapytał.

— No, coś dziwnego. Kręcą się koło pana ludzie, których nigdy bym o to nie podejrzewał.

— Na przykład?

— Wysoki facet pod sześćdziesiątkę, wyglądający na dawnego rotmistrza. Albo na rozparcelowanego dziedzica Chodzi z gołą głową, w skórzanej kurtce na futerku. Zna pan takiego?

— Nie.

— To ciekawe. Bo on tu był piętnaście minut temu.

— Tutaj?

— Niech pan patrzy.

Rafał otworzył drzwi do pierwszego pokoju i ruchem głowy pokazał Szmidтови rozrzucone pod regałem rzeczy.

— Co to znaczy? — zapytał Szmidt, wstając powoli z miejsca.

— Nie wiem. Ale wygląda na to, że czegoś szukał.

Szmidt podszedł do regału i ze znużeniem obejrzał jego wypatroszone wnętrze.

— Pan go widział?

— Widziałem.

— A on pana?

— Nie.

— Jakim cudem?

— A, to już moja tajemnica.

— I kto to był? Gliniarz?

— W tym wieku? Widzę, że pan nie wie, kiedy oni idą na emeryturę. A poza tym... Przecież pan jest z nimi dobrze, panie Szmidt? Prawda?

— Zwyczajnie — odpowiedział Szmidt. — Jak każdy. Ale jeżeli to nie był gliniarz...

— To kto?

Tamten wzruszył ramionami.

— Pan nie wie? — zapytał Rafał. — Nawet się pan nie domyśla?

— Nie.

— A jak pan myśli: czy on to znalazł?

— Co?

— No, to, czego szukał.

— A skąd ja mam wiedzieć?

— A stąd, że pan wie, gdzie to było schowane.

— Panie — powiedział ciężko Szmidt, ale więcej w tym było zmęczenia niż groźby — niech pan się wreszcie odwali. Ja dzisiaj nie mam głowy do takich rozmówek

— A Elżbieta? — zapytał cicho Rafał. — Dodzwoniła się do pana?

— Jaka Elżbieta?

— No, Elżbieta. Studentka.

— Nie znam żadnych studentek.

— Niech pan sobie przypomni. Czarna, dość wysoka... Koniecznie chciała z panem rozmawiać.

Szmidt zacisnął pięści, przymknął oczy i zajęczał:

— Ludzie, kurwa, bo ja już nie mam siły! — i nie otwierając oczu krzyknął: — Zjeżdżaj pan stąd!

Przez chwilę jechali w milczeniu. Potem Agata szepnęła:

— Jeżeli on to powtórzy porucznikowi Jaśle, to jutro od świtu będziesz miał dużą rozmowę na temat swojej córki. I nie będziesz mógł bardzo kręcić; chyba, że się zdecydujesz na wprowadzenie władzy w błąd. Ale za ta się siedzi.

— Nigdy nie wprowadzałem władzy w błąd — odpowiedział Rafał. — Chociaż nieraz wyprowadzałem ją z równowagi. Ale nie martw się, on tego nie powtórzy^ Sam jest w coś wplątany i boi się, żeby to nie wyszło.

— A Elżbieta? — zapytała cicha Agata. — Myślisz, że ona boi się tego samego?

Nie odpowiedział, ale w półświecie, padającym od wskaźników na desce rozdzielczej, widać było, że twarz mu spochmurniała. Potem nagle zahamował.

— Co się stało?

— Nic — odpowiedział. — Po prostu przypomniła mi się jedna rzecz... Ile mamy czasu?

— Do czego?

— Do spotkania z tym chłopcem,

— Jakieś dwadzieścia minut.

— Zdążymy.

Obejrzał się przez ramię, wziął ostry skręt i wjechał w małą, źle

wybrukowaną uliczkę. Wóz zaczął kołysać: karoseria piszczała przy każdym podskoku.

— Gdzie jedziemy?

— Do parku.

Przeskoczyli dwa puste skrzyżowania i znaleźli się wśród rzadkich drzew. Było tu ciemniej; pojedyncze mleczone kule dawały tylko tyle światła, ile potrzeba zakochanym. Gdzieniedzie czerwieniały nieruchome świetliki zaparkowanych samochodów.

Rafał odnalazł samotny kiosk z aparatem telefonicznym j zwolnił.

— To było gdzieś tu — powiedział.

Wrzucił jedynkę i prawie bez gazu zaczął pełznąć prawym brzegiem asfaltu.

Szukamy czegoś? — zapytała Agata.

— Tak — mruknął. — Kawałka papieru zgniecione w kulkę.

— Stąd też dzwoniła?

— Też.

— Trudno będzie; za dużo tu śmiecia.

Jeszcze chwilę włókł się bez słowa, a potem zatrzymał wóz.

— Masz rację.

Otworzył drzwi i wysiadł.

— Siadaj za kierownicą. Ja będę szedł obok.

Powoli ruszył skrajem trawnika. Agata przesunęła się na jego miejsce, włączyła bieg i ostrożnie zaczęła mu towarzyszyć.

Czasami zatrzymywał się, rozgarniał butem suche liście i puste opakowania po papierosach, podnosił coś i rzucał, a potem cierpliwie kroczył dalej.

Nagle stanął. W światłach przed nimi ukazał się niebieskoszary płaszcz, przepasany rzemieniem, spod którego zwisała czarna torba z gumową pałką.

Agata przycisnęła hamulec.

Usłyszeli nieśpieszny, trochę leniwy głos:

— Chwileczkę.

Czekali w milczeniu, aż tamten podszedł i oparł się brzuchem o maskę.

— Światelka pozycyjne — powiedział. — Bardzo proszę.
Pchnęła do góry pałeczkę zmiany świateł. Znaleźli się w półmroku, słabo rozświetlanym mlecznymi lampami na zewnątrz. Tamten trzasnął latarką, puścił promień blasku przez przednią szybę, przyjrzał się Agacie, a potem dokładnie oświetlił Rafała.

— O co chodzi? — zapytał.

— Szukamy czegoś.

— A czego?

— Stówy — odpowiedział Rafał.

— Stówy? — powtórzył tamten. — Jakiej stówy?

— Zwyczajnej, w czerwonym kolorze. Wyfrunęła nam przez okno.

Milicjant jeszcze przez chwilę świecił mu prosto w oczy, aż wreszcie spuścił latarkę.

— Dowody proszę.

Obejrzał je starannie i zmienił ton.

— Pan redaktor — powiedział. — I pani też redaktor. Dziękuję.

Oddał im dowody, zasalutował i rzekł z melancholią:

— Jeszcze nikt u nas nie znalazł stówy, która wyfrunęła przez okno. Naród, proszę państwa, jest tutaj bardzo spostrzegawczy. Ale życzę powodzenia.

Zasalutował drugi raz i zniknął.

Odczekali jeszcze chwilę i podjęli poszukiwania na nowo. Trwało to minutę albo dwie; potem Rafał zatrzymał się, otworzył prawe drzwi i wsiadł do środka.

— Jedź — powiedział.

— Zrezygnowałeś?

— Nie. Mam to. Ale ciągle mi się zdaje, że on wyskoczy i każe mi to oddać. A ja nawet nie wiem, co tam jest.

Dodała gazu i wyskoczyła poza park.

— Czytaj — powiedziała.

Włączył małą lampkę przy lusterku i rozwinął zgnieciony papier.

— No? — zapytała, zerkając od kierownicy.

— Jolka — przeczytał. — I numer: 25463.

— Nic więcej?

— Nic.

— Zaraz będzie automat. Sprawdzimy, co to jest.

Przelecieli kamienny most i zatrzymali się przed oszklonym kioskiem z pękniętą szybą w drzwiach.

— Masz złotówkę? — zapytał Rafał.

Wysypała mu na dłoń garść bilonu.

Wyszukał właściwą monetę, wysiadł i nakręcił numer znaleziony na kartce.

Usłyszał trochę zmęczony kobiecy głos i grzecznie za- pytał:

— Czy mógłbym prosić Jolkę?

— Chwileczkę.

Coś stuknęło i w słuchawce zaległa cisza, przerywana tylko dzwonieniem jakichś naczyń. Potem ten sam głos powiedział:

— Jolki już nie ma.

— Jak to nie ma?

— No, nie ma. Dziś wyszła wcześniej. A kto mówi?

— Znajomy.

— Proszę zadzwonić jutro.

Wrócił do wozu i oparł się o uchylone drzwi.

— Kawiarnia, bar albo szpital. Spróbuj ustalić.

— A ta dziewczyna?

— Już wyszła.

Agata wydeła wargi, przez moment zastanawiała się, a potem wysiadła i weszła do kiosku. Wsunął się za nią i przyłożył ucho do jej skroni, by usłyszeć odpowiedź.

Znowu odezwał się ten sam zmęczony głos, co przed chwilą.

— Tu „Orbis” — powiedziała sucho Agata. — Z kim jestem połączona?

— Kawiarnia „Lotos”, słucham.

— W porządku — powiedziała Agata — Prowadzę wycieczkę z Warszawy. Jak do was dojechać?

— A gdzie państwo jesteście?

— Na moście Jagiellońskim.

— Proszę jechać do śródmieścia i zapytać o ulicę Czerwonego Kapturka. Numer siedem. To każdy pokaże. Ale, zdaje się, że my nie mamy waszej rezerwacji. Czy to duża wycieczka?

— Nie — odpowiedziała Agata. — Na pewno się jakoś

zmieścimy.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Rafała.

— Co dalej?

— Odwieszysz mnie do „Borówki”, a potem skoczysz tam i spróbujesz dowiedzieć się o adres tej Jolki.

— A jak mi nie dadzą?

— Rób tak, żeby ci dali — powiedział. — To ważne.

— Spróbuję — szepnęła bez przekonania. — A co potem? Czy mam znowu udawać starszą koleżankę twojej córki?

— To ryzykowne — powiedział. — Ona może znać Elżbietę lepiej niż pan Szmidt. Wróc pod „Borówkę” i zaczekaj w samochodzie. Ale nie parkuj pod samym wejściem.

— A kolacja? — zapytała z westchnieniem. — Czy dziś będziemy o suchym pysku jeździć aż do północy?

— Kup sobie po drodze paczkę słonych paluszków.

— O tej porze? Co ci się zdaje, że to Paryż?

— No, to zjedz w „Lotosie” torcik firmowy z bitą śmietaną. Jedziemy.

Gdy ruszali, Agata westchnęła:

— A tak mi wszyscy radzili: nie wiąż się z facetem, który ma żonę i dziecko. Gdybym posłuchała, siedziałabym teraz przy telewizorze z kromką chleba, grubo posmarowaną masłem...

— I nudziłabyś się jak mops.

— Rafał — powiedziała miękko. — Ty naprawdę jesteś przekonany, że tylko z tobą człowiek się nie nudzi?

— Oczywiście — skinął głową. — Choćby dlatego, że ja więcej słucham, niż mówię.

Minęli dworzec i skręcili w ciasną uliczkę, zabudowaną brzydkimi kamienicami z początku naszego wieku. Bramy były tu wykute z żelaza, a do sklepów wchodziło się po kamiennych schodkach. Bar „Borówka” mieścił się w niskiej suterenie, gdzie kiedyś był pewnie ręczny magiel. Drogę wskazywał skąpy neon, w którym trzy litery były przepalone.

Rafał wysiadł, pokiwał odjeżdżającej Agacie i zszedł na dół. Bar był mały i źle oświetlony trzema czerwonymi lampionami. Tylko przy kontuarze, gdzie sprzedawano galaretki z bułgarskich kompotów i napój firmowy z plasterkami cytryny,

pałała się przykurzona świetlówka. Ludzi było mało, a wszyscy w płaszczach, bo lokal nie miał miejsca na szatnię.

W kącie siedział szczupły chłopak w ciemnej wiatrówce z błyszczącego materiału typu „Waterlook”. Kiedy zobaczył Rafała, podniósł się i niepewnie zrobił krok ku niemu.

Był wysoki, ale bardzo wąski w ramionach; w ogóle sprawiał wrażenie wątłego i podatnego na wszelkie choroby.

— To ja — szepnął nieśmiało, gdy Rafał podszedł. I zaraz poprawił się. — Marek Chlebowski. Dzwoniłem do pana...

— Wyobrażałem sobie pana inaczej — powiedział Rafał, wyciągając ku niemu rękę.

Dłoń, którą uściśnił, też była drobna i krucha jak u dziewczyny.

— Inaczej? — zapytał chłopak. — To znaczy?

— No, jak by to powiedzieć... bardziej zuchowato.

— Przepraszam — szepnął tamten. — Rzeczywiście nie jestem wysportowany.

Stał niezdecydowanie czekając, aż Rafał pierwszy zajmie miejsce, i usiadł dopiero wtedy, gdy tamten usadowił się za stołem.

— Jeżeli pan ma ochotę... — zaczął i ostrożnie dotknął butelki z sokiem porzeczkowym. — Ta druga szklanka jest czysta.

— Może potem — powiedział Rafał i nachylił się bliżej ku niemu. — Wie pan coś?

Chłopak spuścił oczy.

— Wiem, ale...

— Niech pan mówi.

— Kiedy tego jest niedużo. I nie bardzo przyjemne.

— Czy ona się wdała w coś głupiego? Możę pan jechać bez wstępów, ja mam zdrowe serce.

— Boję się, że tak — szepnął Marek i dopiero teraz popatrzył Rafałowi w oczy. — Nie mam jeszcze pewności, ale... Zaraz ma tu przyjść jeden facet; niezbyt fajny facet, to inna sprawa... Ale zdaje się, że on wie więcej. W każdym razie więcej niż ja. Tylko nie wiadomo, czy będzie chciał z nami gadać.

— A kto to jest?

Tamten zawahał się i po sekundzie mruknął:

— Podobno cinkciarz. Bony, waluty, pan wie... Nazywają go

Wiesio.

— Pan go zna?

— Osobiście nie. Pokazali mi go dzisiaj z daleka. I powiedzieli, że tu będzie.

— A dlaczego on ma coś wiedzieć o Elżbiecie?

— Nie wiem. Ale on zna tę kobietę, która kupowała z nią bilet.

— Co to za kobieta?

— Występuje jako pani Gizela.

— Też bony i waluty?

— Chyba.

— Nie zna pan jej nazwiska?

— Nie.

— Ani Adresu?

— Widzi pan, takie osoby nie chwalą się adresami na prawo i lewo.

— Racja — powiedział Rafał i bezmyślnie nalał sobie trochę soku. A jak pan wpadł na to wszystko?

Marek nerwowo potarł sobie dolną wargę.

— Przykro mi mówić — szepnął. — Przez tyle miesięcy było nam dobrze. Wie pan, ja niedługo kończę studia; ostatni rok architektury; myślałem, że to się uda...

— A teraz już pan tak nie myśli?

— Nie wiem — szepnął znowu; który to już raz w trakcie tej rozmowy? — Bardzo bym chciał; tym bardziej, że ja nigdy nie miałem własnej rodziny. Może pan nie uwierzy, ale wszystkie święta spędzam w akademiku. Po prostu nie mam do kogo pojechać. Jeżeli Elżbieta wróci...

— Musi wrócić.

— Ale nie musi do mnie.

— Czy poza tą całą historią... coś się między wami popsulo?

— No, popsulo się — powiedział z wysiłkiem. — Popsulo. Zrobiła się skryta i taka jakaś... Miała coraz mniej czasu, ale nie chciała mówić, gdzie go spędza. I nikt tego nie wiedział; nawet jej przyjaciółki. Kiedyś zobaczyłem ją w towarzystwie bardzo parszywych pipelsów. Wie pan, lisie oczy i rozbiegane ręce. Chciałem podejść, ale odwróciła się i wsiadła z nimi do taksówki. Potem upierała się, że to był ktoś inny, nie ona.

— Myśli pan, że teraz także...

— Właśnie, proszę pana.

Rafał przez parę sekund bawił się szklaneczką soku, którego nawet nie spróbował. Potem znowu podniósł wzrok na chłopca.

— A pan wie, że ostatniej nocy, zanim uciekła od matki, rozmawiała z kimś przez telefon?

— Wiem, pani mi wspominała.

— Kto to mógł być?

— Nie mam pojęcia.

— A to panu nic nie mówi?

Rozprostował na stoliku kartkę, znalezionej w parku.-

— Jolka — przeczytał Marek. — Nie, nie znam.

— A ten numer?

— Też nie. Ale to nie jest pismo Elżbiety.

Odwrócił głowę, chwilę milczał, a potem mruknął:

— Ciągłe jacyś ludzie, o których nic nie słyszałem...

— A ten Wiesio? Czego się pan po nim spodziewa?

— No, jakiegoś śladu.

— Myśli pan, że powie?

Marek zawahał się, a potem jakby ze złością powiedział!

— Mam coś w rodzaju rekomendacji.

— Nie rozumiem.

— Spotkałem dawnego kolegę... No, teraz to jest szmata, ale kiedyś... Mam się na niego powołać.

— I to pomoże?

— A czy pan ma lepszy pomysł?

Rafał powoli złożył kartkę z telefonem we czworo, schował do kieszeni na piersiach i w milczeniu potrząsnął głową.

Siedzieli potem parę minut, nie odzywając się do siebie i nie patrząc sobie w oczy, aż wreszcie na schodkach zastukały leniwce .kroki i do środka wszedł człowiek, na którego czekali.

Rafał od razu domyślił się, że to on znał ten gatunek z wielu swoich wcześniejszych reportaży. Nieokreślony wiek, nieokreślony wygląd — nic, co można by zapamiętać, oprócz oczu: zawsze czujnych, równocześnie drapieźnych i tchórzliwych, obmacujących bezczelnie każdą twarz i natychmiast umykających w drugą stronę. Ludzki insekt, wesz

w golfie i kamaszach, zawsze z ważnym dowodem osobistym i biletem miesięcznym na wszystkie linie.

Na jego widok Marek ostrożnie podniósł głowę. Tamten przyjrzał mu się z ukosa, przez moment zatrzymał spojrzenie na twarzy Rafała i łagodnie zwinął do baru. Wziął tam Coca-cole, przelał do wysokiej szklanki i zaczął pić małymi łykami, nie odwracając się do nich twarzą. Kiedy skończył, położył na ladzie kilka drobnych monet i bez pośpiechu skierował się do wyjścia.

— Niech pan zaczeka — szepnął Marek.

Wstał i także bez pośpiechu wyszedł za tamtym. Nie było go przez jakiś czas; potem znowu stanął na progu, spojrzał w stronę Rafała i zawrócił.

Rafał zostawił na stole dziesięć złotych, poprawił płaszcz i wyszedł.

Marek stał sam pod zdefektowanym neonem. Był zdeenerwowany. Tamtego nie było widać nigdzie w pobliżu.

— No i co? — zapytał Rafał.

— Kręci. Nie wiem, czy nie chce gadać, czy się boi. Może pan sam spróbuje?

— A gdzie on jest?

— Tu, w tej bramie.

Przeszli dziesięć kroków chodnikiem, zanurzyli się w stęchłą ciemność i wyszli na niewielkie podwórko, zamknięte murami z czterech stron.

Człowiek nazywany Wiesiem stał przy blaszanych pojemnikach na śmiecie i podrzucał na dłoń metalową zapalniczkę. Wydawał się obojętny na wszystko i znudzony, ale czuło się, że w każdej chwili gotów jest uderzyć i uciec.

Podeszli i Rafał sięgnął po papierosy, uruchamiając równocześnie „Philipsa” w kieszeni.

— Zapali pan?

Tamten wyciągnął cienką, nerwową dłoń i bez słowa wziął z paczki „Ekstramocnego”.

Zaciągnęli się. Potem Rafał mruknął:

— Widzi pan, mamy kłopot.

— Słyszałem.

— I co pan na to?

— A co ja? — zachnął się Wiesio. — Mało to mam swoich kłopotów? A ta sprawa śmierdzi.

— Dlaczego śmierdzi?'

— Dlatego — uciał Wiesio i wzruszył ramionami, a potem szybko dodał: — Ja nic nie wiem.

— Dobrze — powiedział Rafał. — Pan nic nie wie.

A my pana nie widzieliśmy nigdy w życiu. Tak jest lepiej?

— Lepiej.

— To niech pan teraz powie, jak złapać kontakt z tą pańską znajomą.

— Jaką znowu znajomą? Ludzie, czy wy macie dobrze w głowie?

— O rany, panie Wiesiu! — zgniewał się Marek. — Przecież pan wie, że chodzi o panią Gizełę.

Tamten obszedł dookoła wszystkie pojemniki, obstukując każdy czubkiem buta. Potem zawrócił na dawne miejsce i zamruczał:

— Jak ona prysnęła, to znaczy, że nie trzeba jej szukać.

— A skąd pan wie, że prysnęła? — zapytał Rafał.

— Tak mówią.

— Może po prostu wyjechała odetchnąć leśnym powietrzem?

— Dlaczego leśnym? — podchwycił czujnie Wiesio.

— A jakim?

— A ja skąd mogę wiedzieć?

Nagle objął ich obu ramionami i przyciągnął ciasno do siebie.

— Chłopcy — powiedział głuchym szeptem — zostawcie to, jak Boga kocham. Z tego będzie smród pod niebiosy.

Puścił ich tak samo nagle, jak ich przedtem chwycił, i cofnął się o krok do tyłu.

— Jasne?

— Panie Wiesiu — powiedział cicho Marek. — Pan wie, że my nie możemy. Ta mała...

— Nie słyszałem — przerwał mu Wiesio i zamachał rękami. — Absolutnie nic nie słyszałem — potem zwrócił

się do Rafała i zapytał zwyczajnym głosem: — Mogę jeszcze prosić o papierosa?

— Oczywiście.

— Przepraszam, ale ja dużo palę.

Zaciągnął się i zmrużył oczy.

— W pierwszej sprawie mógłbym spróbować... Ale byłyby koszty...

— Ile? — zapytał Rafał.

Tamten wydał wargi i udawał, że liczy. Potem zdecydowanie potrząsnął głową.

— Nie kalkuluje się.

— Panu czy mnie?

— Mnie, oczywiście. Co ja, dostanę, powiedzmy, te pięć stów...

— Powiedzmy — kiwnął głową Rafał.

Tamten przyjrzał mu się spod oka, a potem westchnął:

— Pan mi przerwał. A ja chciałem powiedzieć: te pięć na początek.

— Panie Wiesiu — powiedział dobrodusznie Rafał. — Na początek to będą tylko dwie. Dalsze trzy, jak się okaże, że pan naprawdę jest coś wart. A o reszcie pogadamy na końcu. Stoi?

Tamten manifestacyjnie stracił humor i przysiadł na pokrywie najbliższego pojemnika. Chwilę tak siedział bez ruchu, a potem podniósł głowę i odezwał się zgaszonym głosem:

— Gdyby nie ten gówniarz — tu wskazał brodą Marka — nawet bym nie spojrział w waszą stronę. Ale żal m go, młody... Tyle złego czeka go w życiu...

Zeskoczył z pojemnika i gestem tak obojętnym, że nie miał bezwiednym wziął od Rafała przygotowane dwie setki.

— Jak się łapiemy? — zapytał. — Może przez gówniarza?

— Jak panu wygodniej — odpowiedział Rafał. — W razie czego mój telefon jest w książce. Może pan też dzwonić do radia.

— W porządku. Na razie ja wychodzę pierwszy.

Kiedy jego kroki ucichły za bramą, Marek zapytał niepewnie:

— Co pan o nim myśli?

— Zobaczymy.

Wyszli na ulicę. Pięćdziesiąt metrów w lewo, w ciemnej przerwie między dwiema schorowanymi latarniami szarzał przybrudzony „Fiat” Rafała.

— Pan w którą stronę? — zapytał Marek.

- Niech pan się nie krępuje, ja jeszcze wrócę zadzwonić.
- No, to do jutra.
- Do jutra. I bądźmy ze sobą w kontakcie.
- Oczywiście, proszę pana.

Wcisnął ręce w kieszenie wiatrówki i skulony, drobnymi kroczkami pobiegł w stronę skrzyżowania, na którym dzwoniły tramwaje.

Rafał cofnął się na schodki pod neonem, chwilę czekał, a potem szybko przeszedł do samochodu.

Agata ziewała za kierownicą.

Usiadł koło niej i mruknął:

— Coraz brudniej. Już wleźliśmy między pluskwy z czarnego rynku. A co będzie jutro?

— Daj spokój — powiedziała. — Elżbieta i czarny rynek? Kupa śmiechu. Złotówek ma dość, a resztę przywozi najukochańsza mamusia; co miesiąc trzy dni wykładów

w Bazylei, płatnych w najprawdziwszej szwajcarskiej walucie. Czego mogłaby szukać u cinkciarzy?

— A czego szukała u Szmida?

Obsunął się niżej, wyciągnął ze złością nogi i zamruczał:

— Masz adres tej dziewczyny?

— Mam.

— Gdzie to jest?

— Na Starym Mieście. Podjechałam tam nawet, ale bałam się wchodzić: ciemne zakamary i w ogóle tak jakoś...

— No, zobaczymy, jedź.

Po paru minutach znaleźli się wśród wilgotnych murów, z których każdy liczył co najmniej czterysta lat.

— Dalej jest zakaz — powiedziała Agata. — Ale to tylko parę kroków. Czwartha brama na prawo, w oficynie na trzecim piętrze. Mieszkania 19. Czajkowska.

— Mieszka sama?

— Nie wiem; ale nie mówili mi, żeby mieszkała u kogoś.

Jeszcze chwilę siedział bez ruchu, jakby się namyślał, w co zagrać. Dotknęła go czubkami palców i zapytała:

— A ten chłopak Elżbiety? Jaki?

— Sympatyczny — powiedział. — Sympatyczny, ale| cholernie

słaby. Grubo za słaby dla niej.

Wysiadł i zanurzył się w uliczkę, która była tak wąska, że nie zmieściłby się w niej normalny miejski autobus. Fotografowali ją wszyscy turyści: ale żaden z nich nie zgodziłby się tutaj zamieszkać.

Czwarta brama po prawej przypominała loch. Nie było tam żadnego oświetlenia; wszystko tonęło w lepkiej, śmierdzącej ciemności.

Sforsował ją po omacku i wyszedł na podwórze, które co roku ściągало jakąś ekipę filmowców: całe było oplecione drewnianymi gankami, które już dawno powinny były zmurszeć i runąć, a jednak wszystkie stały na swoich miejscach — trzeszczące, mokre i obrzydliwe, ale wspaniałe w swej niezniszczalności. Konserwatorzy podpierali je coraz liczniejszymi stemplami, ale mieszkańcy bali się po nich chodzić.

Rafał odszukał schody, prowadzące do mieszkań w oficynie, i wspiął się na trzecie piętro. Drzwi z numerem dziewiętnaście były ostatnimi drzwiami na tym ganku; dalej był już tylko wąski korytarzyk, przypominający szczelinę i zupełnie ciemny. Prawdopodobnie prowadził na tyły domu, bo ze środka czuło się przeciąg, a u wylotu majaczyło światło ulicznych latarni.

Zajrzał tam, cofnął się i zapukał.

Drzwi były masywne i nie przepuszczały żadnych odgłosów ze środka. Pewnie dlatego nie usłyszał zbliżających się kroków, tylko od razu zgrzyt klucza i zaraz potem pisk zawiasów.

W oświetlonej szparze ukazała się niewysoka dziewczyna o gładko zaczesanych, połyskliwych włosach.

— Pani Czajkowska? — zapytał.

Przez chwilę milczała, potem mruknęła:

— Punktualni jesteście — i niechętnie cofnęła się, robiąc mu miejsce.

Wszedł do dużej, nisko sklepionej izby, której nie poprzedzał żaden korytarzyk. Nie było tam również żadnych innych drzwi, prowadzących do łazienki czy kuchni; wszystko mieściło się w tych czterech zabytkowych ścianach, oklejonych tapetą z NRD. Za perkalową, niedokładnie zaciągniętą zasłonką widać było

emaliowaną miednicę, dzbanek, wiadro i czerwoną, dwupalnikową butlę turystyczną, na której stał aluminiowy czajnik;

reszta była z wysiłkiem urządzona w stylu „intymny, mały świat” — stojąca lampa z woskowanym abażurem, ława-stół trzydzieści centymetrów nad ziemią, suche osty w siwaku, ustawionym na podłodze, i stary numer „Elle” z pieczętką czytelnicy, wybitą na okładce. Telewizora nie było; był tylko tranzystorek „Eltra” — jeden z pierwszych, jakie wypuszczono w tym kraju; stał na półeczce u węzłowia tapczanu i szeptem podśpiewywał „Butterfly, my butterfly”.

Dziewczyna, która to wszystko urządziła — prawdopodobnie za cenę wszystkich posiłków, od jakich mogła się powstrzymać — była pochmurną kokietką, która robi, co może, żeby nikogo nie kokietować, i jest wściekła, że kokietuje mimo woli. Minę miała nadąsaną, a postawę z lekka wyzywającą. Nie zamykając drzwi i nie patrząc Rafałowi w oczy zapytała:

— Co ma być dalej? — i zaplotła ręce na piersiach, jakby podkreślając, że sama wyłącza się z gry.

— Pani na mnie czekała? — zapytał Rafał.

— Nie wiem, czy na pana — odpowiedziała, wzruszając ramionami. — Ktoś miał przyjść, no to ja jestem.

O co chodzi?

— Chwileczkę — powiedział i zamknął drzwi, a potem, po namyśle, przekreślił klucz w zamku. — Zdaje się, że to nie miałem być ja. Jestem ojcem Elżbiety.

— Dobra, dobra — mruknęła. — Pan jest ojcem, a tamten był bratem. Mnie wszystko jedno. Ja się chcę tylko dowiedzieć, czego chcecie.

— Widzi pani — powiedział łagodnie — pierwszy kłopot jest z tym, że Elżbieta nie ma brata.

— Pewnie też nie ma ojca — prychnęła ze złością. — A w każdym razie nie takiego. Ale co mnie to obchodzi.

Macie coś do mnie? To gadajcie. Tylko że ja naprawdę nic nie wiem.

— Niech pani to obejrzy — powiedział i podał jej swój dowód osobisty. — Zgadza się?

- Niby z czym?
 - No, chyba pani umie czytać.
 - Rafał Kostron — przeczytała, wydymając wargi. — Wzrost średni, oczy szare, znaki szczególne: nie ma. I co z tego?
 - A jak nazywa się Elżbieta?
 - A skąd ja mam wiedzieć? — zapytała buńczucznie. — Elżbieta to Elżbieta; mnie wystarczy, ja nie jestem biuro przepustek.
 - A to? — zapytał i podał jej kartkę, znalezionej w parku. Obejrzała ją i zmarszczyła brwi.
 - Kto to pisał?
 - Ja — powiedziała cicho i podniosła na Rafała uważne oczy.
 - Skąd pan to ma?
 - Byłem z nią, kiedy do pani dzwoniła.
 - Pan naprawdę jest jej ojcem?
 - Przynajmniej zawsze mi się tak zdawało.
- Przeszła się po pokoju i szeroko usiadła na tapczanie.
- A tamten?
 - Jak wyglądał?
 - Obrzydliwie.
 - To znaczy?
 - Bydlaczek w koszuli non-iron. Z takimi łapami — pokazała.
 - Konia mógłby udusić.
 - A tak coś bliżej?
 - No, młody. Dwadzieścia sześć, siedem... Śmierdział piwem.
 - Był tutaj?
 - Nie, w „Lotosie”.
 - Kiedy?
 - No, tak po południu. Nie patrzyłam na godzinę.
 - Ale już po telefonie Elżbiety?
- Zawahała się, a potem kiwnęła głową:
- Po.
 - I czego chciał?
- Znowu się zawahała. Potem spuściła oczy i szepnęła:
- Ja chyba nie powinnam mówić.
 - Dlaczego?
 - Nie chcę mieć kłopotów.

— Elżbieta już ma — powiedział i sam się zdziwił, jak łatwo mu to przyszło; w ciągu tych niewielu godzin przyzwyczyił się do tego, jak do rzeczy oczywistej. — Uciekła z domu i nie wiemy, gdzie jest; ale boimy się, że to coś poważnego. Chce się pani wrobić tak jak ona?

— Ale ja nie wiem, o co chodzi! — krzyknęła z nagłym protestem. — Nie wiem, słyszy pan? Nie wiem.

— Czego chciał ten facet?

— Pytał się, czy ona dzwoniła.

— Powiedziała mu pani?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo Elżbieta prosiła, żeby nikomu nie mówić.

— Co jeszcze?

— Kazała mi iść do domu, z nikim nie rozmawiać, spakować się i jechać.

— Gdzie?

— Powiedziała, że wszystko jedno, byle mnie tutaj nie było.

— A co pani na to?

— Przestraszyłam się.

— Jeżeli pani nie wiedziała, o co chodzi, to czemu się pani przestraszyła?

— No, tak jakoś... Ona miała taki dziwny głos.

— Co było dalej?

— Powiedziałam kierownicze, że źle się czuję i muszę iść do przychodni. Pozwoliła. Przebrałam się i wtedy przyszedł ten człowiek. Wziął mnie na bok i powiedział: „Wal do chałupy i nie otwieraj nikomu, nawet żeby konał pod drzwiami. O dziewiątej przyjdziemy i powiemy ci, co masz robić dalej”. A potem jeszcze powiedział: „Jakby ci się chciało skrewić, to pamiętaj, wyrzniemy ci oba oczka razem z cebulkami”. I pokazał mi żyłkę, oprawioną w takie drewnienko, jakby w rączkę. A ja myślałam, że umrę.

— Jest za dwie dziewiąta — powiedział Rafał. — Niech pani włoży płaszcz. Czy tu jest jakieś drugie wyjście?

— Z pokoju?

— Nie, z domu.

— Jest taki przesmyk na sąsiednią posesję. Tutaj zaraz, za drzwiami. Ale bardzo niewygodny; trzeba schodzić na dół po drabinie.

— Niech pani wyjdzie tym przesmykiem. Pod murami przy zakazie wjazdu, stoi biały „Fiat” z wgniecionym błotnikiem. W środku siedzi dziewczyna, która nazywa się Agata. Niech pani powie, że ja panią przysłałem i że macie natychmiast jechać do nas, do domu.

— A pan?

— Ja przyjadę później. Jak już będziecie odjeżdża zatrąbcie głośno dwa razy. Muszę mieć pewność, że doszła pani do samochodu.

— Pan się boi, że co?

— Że nic. No, prędko, już dziewiąta.

Dziewczyna włożyła płaszcz, wzięła torebkę i niepewnie zatrzymała się pod drzwiami.

Otworzył je sam, wyjrzał na drewniany ganek i machnął ręką.

— Jazda.

Wybiegła z pośpiechem, skręciła w prawo i zniknęła w tym korytarzu-szczelince, z którego ciągnął przeciąg.

Rafał cofnął się z powrotem, zamknął drzwi, ale nie przekreślił klucza. Potem wziął jeden z miniaturowych taborecików, otaczających ławę-stół i ustawił go pod ścianą przy "samych drzwiach, tak by ich otwierające się skrzydło zasłoniło go przed wzrokiem wchodzących. Usadził się tam wygodnie, wyciągając nogi daleko przed siebie, wyjął z kieszeni „Philipsa” i bawił się nim tak długo, aż usłyszał na ganku ostrożne kroki. Wtedy włączył go i położył na podłodze pod taborem.

Było ich dwóch. Zatrzymali się przed drzwiami i jeden z nich zapukał. Chwilę czekali w milczeniu, potem któryś nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

Rafał siedział dalej bez ruchu. Tamci przekroczyli próg, ale jeszcze ich nie widział: stali za otwartym skrzydłem drzwi i pewnie się rozglądali. W końcu ten, który był bliżej, tuż za deską, zawołał półgłosem:

— Hej, mała.

Z daleka, jakby w odpowiedzi, nadleciały dwa przygłuszone

dźwięki sygnału.

Tamci jeszcze przez chwilę nie ruszali się z miejsca, jakby mieli nadzieję, że dziewczyna wynurzy się pokornie z jakiegoś kąta.

Potem weszli do środka.

Zobaczył ich od tyłu — napiętych, skupionych, z dłońmi lekko rozsuniętymi na boki — i łagodnym ruchem kopnął drzwi.

Zamknęły się z trzaskiem.

Tamci dwaj okręcili się w miejscu. Miał ich teraz trzy kroki przed sobą. Jeden był młody, tępy, od dzieciństwa zaprawiony do bójk; w jego żyłach z pewnością płynęło więcej owocowego wina niż krwi; drugi był starszy, pod trzydziestkę, w białej „Wólczance” z usztywnionym kołnierzem i rozpiętym trenczu za dwa dwieście. To o nim na pewno mówiła Jolka, bo ręce miał jak zawodowy dusiciel; mógłby w nich zdławić nie tylko konia, ale wieloryba.

Przez parę sekund przyglądali się Rafałowi z uwagą. Potem ten starszy ściągnął brwi i zapytał mrukliwie:

— To nie jest mieszkania dziewiętnaście?

— Jest.

— Myśleliśmy, że tu mieszka Jola Czajkowska.

— Bo mieszka.

— No, to nie wiem... Zapraszała nas.

— No, to siadajcie.

— A jej nie ma?

— Nie.

— Wyszła?

— Wyjechała.

— Wyjechała? — powtórzył niedowierzająco tamten. — A nie wie pan, dokąd?

— Daleko.

Tamci popatrzyli po sobie i ten młodszy skrzywił się ostrzegawczo.

— No, tak — zamruczał ten starszy. — No, tak... A pan też tu mieszka?

— Nie. Ja tylko tu siedzę.

— Acha, siedzi pan — szepnął tamten, jakby nie wiedząc, co zrobić.. — No, to my już chyba przepraszamy. Dobranoc...

— Nic z tego, chłopcy — powiedział łagodnie Rafał. — Wyjdziecie, jak skończymy rozmowę.

— Kiedy my z panem nic... Słowo daję.

— Nie szkodzi — odpowiedział Rafał.

Bez pośpiechu wstał i oparł się plecami o drzwi

— Dowody jakieś macie? No, to prędko, na stolik.

Tamci pociemnieli na twarzach i ten młodszy zagadał nerwowo:

— Panie władzo, jak Boga kocham. My tu tak, w celach towarzyskich, a pan zaraz...

— Śmieszny jesteś! — przerwał mu Rafał. — Czy ja wyglądam na milicjanta?

— No, to co?

— A tak, zwyczajnie. Chcę wiedzieć, kto jesteście. No, wyciągajcie papiery.

— Wie pan co? — powiedział ten w białej „Wólczance” i rozpiętym trenczu. — Pan jest człowiek starszy, nie? Na pewno już panu stuknęła czterdziestka...

— Czterdzieści sześć — odpowiedział uprzejmie Rafał.

— No, właśnie. A my mamy tyle do kupy. Po co się panu szarpać z młodymi? Jeszcze pan sobie coś uszkodzi... a części zamiennych brak. Niech pan grzecznie wróci na stołeczek, a my panu powiemy „adieu” i już nas nie ma.

— Chłopcy — powiedział Rafał. — Ja chcę być wobec was lojalny. Powiedźcie mi, czy słyszeliście o cichociemnych?

— O czym?

— Była taka formacja; dawno, w czasie wojny. Uczyli tam różnych praktycznych rzeczy. Na przykład, jak radzić sobie z takimi jak wy. A ja nie należałem do najgorszych uczniów.

— Dobra, wujku — szepnął ten starszy i szybkim ruchem wyjął z kieszeni drewniany trzonek, na którego końcu błyszczała osadzona sztorcem połówka żyletki. — Sam chciałeś. Powoli zaczął iść ku drzwiom, Rafał dopuścił go na półtora kroku, z wybiecia kopnął go w brzuch, w locie chwycił jego prawą rękę, z obrotu zarzucił sobie na plecy, zrobił błyskawiczny skłon i cisnął go aż pod umywalkę. Zadzwończyły przewracane naczynia, chlusnęła rozlana woda.

Drewniana rączka z żyłką wirowała na środku pokoju. Rafał kopnięciem wrzucił ją pod tapczan i skoczył za tym młodszym, który już zniknął w otwartych drzwiach. Zrolowali się zaraz za progiem i potoczyli pod balaski ganku.

Tamten, który dostał w brzuch, wytoczył się chwiejnie z pokoju, spojrzał ku nim, ale nie przyłączył się do szarpaniny, tylko kulejącym krokiem pobiegł stronę schodów.

Rafał widział go, nie mógł jednak puścić chłopaka, którego miał pod sobą. Przycisnął mu plecy kolaniem, wygiął prawą rękę do tyłu i pocisnął.

— O, kurtka! — zapałał chłopak.

— Będziesz spokojny? — zapytał zdyszczonym głosem Rafał.

— Jezu, złamie pan.

— Będziesz?

— Będę, będę...

Rafał poluzował trochę, ale nie puścił. Złączeni policyjnym uchwytem podnieśli się na nogi.

— Niech pan puści — syknął chłopak.

— Siedź cicho.

Wepchnął go przed sobą do pokoju, odtrącił i zamknął drzwi na klucz, a potem wpuścił klucz do kieszeni na piersiach.

— Wyjmuj wszystko z kieszeni.

Było tam trochę drobnych, „Sporty”, jednorazowa zapalniczka z dorobionym zaworkiem, chustka w kratę, grzebień, dwa wymięte listy i legitymacja szkolna w poprutej oprawce z celuloidu.

— Odsuń się. Dalej, pod ścianę. A teraz siadaj, ale nie tak. Tyłem do mnie.

— Gdzie ja jestem? W gestapo? — prychnął chłopak, ale posłusznie zrobił, co miał przykazane.

— Dowodu nie masz? — zapytał Rafał, biorąc legitymację do ręki.

— Nie wyrabiałem. |

— Dlaczego?

— Młody jestem, mam czas.

— Chodzisz tylko z tą szmatą?

— Z jaką szmatą? — oburzył się chłopak, zerkając przez ramię.

— To legitymacja z zawodówki.

— Tu nie ma adresu.

— Jest na listach.

Rafał wziął do ręki sfilcowane koperty i porównał z legitymacją.

— Jan Pasikonik — przeczytał. — To ty?

— Ja.

— Fabryczna 5, mieszkania...

— Przecież tam jest.

— A ty nie pamiętasz?

— Własnej chałupy mam nie pamiętać? Osiemnaście.

Rafał zajrzał do listów, ale prędko je odłożył; były to nieortograficzne wylewy uczucia jakiejś dziewczyny z Kieleckiego.

— Odwróć się.

Pasikonik powoli okręcił się razem ze stołeczkiem. Twarz miał pochmurną, ale bardziej speszoną niż złą.

Rafał schował jego legitymację razem z listami do kieszeni, wstał, wyciągnął „Philipsa” spod taboretu przy drzwiach i postawił na stole.

— Widzisz to?

— Fajne — mruknął tamten i wyciągnął rękę.

— Tylko bez łap.

— Chciałem obejrzeć.

— Innym razem.

— Pan nas nagrał?

— Od samego wejścia.

— A po cholere?

— Żeby nie zapomnieć waszych słodkich głosików. Kto był ten drugi?

— Ja go nie znam.

— Jasiu Pasikoniku! — powiedział strofującym tonem Rafał. — Zastanów się: ja teraz biorę ten aparacik, waszą kozią nóżkę z „Polsilverem”, twoją legitymację i ciebie i zawożę to wszystko na pierwszy z brzegu komisariat. Jak myślisz, wystarczy?

— Ja się tej żyłownicy nie dotykałem.

— Ale przyszedłeś z kozakiem, który nią machał.

- No, przyszedłem.
 - Nazwisko?
 - Jak Boga kocham, nie wiem.
 - Jasiu! Idziesz na mokrą robotę z facetem, którego nazwiska nie znasz? A dajże ty spokój.
 - Żebyś padł! — zaklął się tamten. — Poznałem go dwie godziny temu.
 - Gdzie?
 - Pod budką.
 - I tak od razu zgodziłeś się iść?
 - Przedstawił go kolega.
 - Jaki kolega?
 - No, mój.
 - Jak się nazywa?
 - Grzesio Furman.
 - To on nie mógł wziąć tego Grzesia? Musiał ciebie?
 - Grzesio ma przeciętą łapę.
 - Od noża?
 - Nie, od butelki.
 - No, dobrze. Poznaliście się i co dalej?
 - Grzesio odszedł, a ten pyta: „Chcesz zarobić?” To ja mówię: „Czemu nie?” „No, to chodź” on mówi, „trzeba jedną dziewczynę zapudłować do taksy”. „A ty sam nie możesz?” „Mogę” mówi, „ale mam nowy paltot i boję się, żeby mi nie zasikała”. Obiecał mi stówę i poszliśmy.
 - Wiesz co? — powiedział Rafał. — Może cię to zdziwi, ale ja powoli nabieram do ciebie zaufania.
 - Widzi pan? A pięć minut temu chciał mi pan złamać rękę.
 - Sytuacja była inna. Schowaj to.
- Popchnął ku niemu garść drobiazgów, rozrzuconych na stole, a sam wyjął z kieszeni chusteczkę, rozpostarł, schylił się i wziął przez nią żyłtkowy przyrządzik, leżący pod tapczanem.
- A papierków mi pan nie odda?
 - Jutro o dwunastej w katedrze.
 - Ja nie praktykuję — zastrzegł się Pasikonik.
 - Ja także — powiedział Rafał. — Ale katedra to jest takie miejsce, gdzie nawet niewierzący krępuje się wetknąć komuś

nóż pod żebro. A ja chciałbym, żebyś ty przyprowadził tego Grzesia Furmana.

— Nie przyjdzie — powiedział z powątpiewaniem tamten.

— A, to już twoja głowa. Nie chcesz siedzieć, to go przyprowadź. I uważaj, bo nie masz dużo czasu.

Schował trzonek w chusteczce, wyłączył magnetofon i wetknął go do kieszeni.

— Wychodzimy.

Otworzył drzwi z klucza i od progu rozkazał:

— Zgaś lampę.

— A tu jest jeszcze woda rozlana...

— No, trudne, nie mamy czasu na wycieranie.

Pasikonik pstryknął elegancko wyłącznikiem i wyszedł na ganek.

Rafał zamknął drzwi, przekreślił klucz i schował.

— No, to pamiętaj, jutro o dwunastej. A gdyby mnie nie było, to pojutrze w tym samym miejscu. I nie nawal.

— Spróbuję — mruknął tamten. Zrobił parę kroków ku schodom i obejrzał się: — A pan nie idzie?

— Zajmij się sobą — powiedział Rafał. — I nie czekaj na dole z półceglówką, bo ja wyjdę zupełnie inną drogą.

— No, coś pan! — obruszył się Pasikonik. — Pan naprawdę ma mnie za jakiegoś bandytę. A ja po prostu tak, dla draki...

— Spływaj — burknął Rafał. — Bo mnie zdenerwujesz i znowu ci dołożę.

— Cześć, już mnie nie ma! — zawołał tamten i zadudnił po schodach.

Rafał odczekał jeszcze chwilę, potem wcisnął się w tę samą szczelinę między murami, w której zniknęła przedtem Jolka, przeszedł po omacku ciemnym korytarzem, trafił na malutki balkonik z żelazną drabinką i po paru sekundach był już na ulicy za domem.

Akurat przejeżdżała tam stara „Warszawa” ze znakami Kolumny Transportu Sanitarnego. Zatrzymał ją, wskoczył, podał swój adres i w zamyśleniu sięgnął po papierosy.

III

Czekały na niego w milczeniu, nie wysilając się na prowadzenie towarzyskich rozmówek. Agata, wciśnięta w kątapczana i podparta kolorowymi poduszkami, kończyła wycinanie skórek, przerwane kilka godzin temu. Jolka, przycupnięta na dywaniku pod etażerką, przerzucała ostatnie numery „Brigitte”. Wcześniej musiały coś przekąsić, bo stół był nakryty do kolacji i na dwóch talerzykach wały się resztki jedzenia; trzeci, czysty, czekał na Rafała.

Kiedy wszedł, obie podniosły głowy i Jolka zapytała:

— Był ktoś?

— Był.

— I co?

Wyjął z kieszeni trzonek zawinięty w chustkę i odchylił jej brzeżek.

— Poznaje pani?

Podniosła się na kolana zmarszczyła brwi.

— Tak, tym mi groził — i po sekundzie zapytała: — Jak mu pan to zabrał?

— A tak jakoś.

Okręcił zawiniątko gumką, znaną na etażerze, i wrzucił do szuflady biurka.

Potem nie zdejmując płaszcza usiadł na oparciu fotela przy telefonie i sięgnął po słuchawkę.

— No, niech pan coś opowie — zniecierpliwiła się Jolka. — Czekamy tu jak głupie, a pan sobie zaczyna dzwonić.

— Za chwilę — powiedział Rafał i starannie wykręcił pięć cyfr.

Popatrzyła na Agatę, jakby szukała u niej ratunku.

— Nic nie zrobisz — mruknęła ze złością Agata. — On ma taki styl, rozumiesz?

— Ale ja się cała skręcam.

— Możesz mu tymczasem nalać herbaty; lubi przestudzoną. Szklanka stoi przy gazie.

Jolka wzruszyła ramionami, ale potem wstała i poszła do przedpokoju, gdzie w małej wnęce urządzonego był kącik kuchenny. Jej kroków nie było słychać; chodziła w samych rajstopach; z czajnikiem też obchodziła się cicho, jakby w obawie, że głośniejszym brzęknięciem może zirytować Rafała i opóźnić jego opowieść.

W słuchawce wciąż powtarzał się rzadki, monotony sygnał.

— Nie wyciągaj go z wanny — powiedziała Agata. — Bo zachłapie sobie całe mieszkanie. Zadzwonisz za kwadrans i też będzie dobrze.

Szczęknęło, sygnał się urwał i zaspany głos-powiedział:

— Halo?

— Fredziu? — mruknął Rafał. — To ja.

— Niech cię cholera. Miałeś dzwonić dwie godziny temu.

— Jakbym mógł, tobym zadzwonił. Masz coś?

— Poczekaj — zamruczał tamten. — Jest. Właściciel wozu: Hubert Stańczyk. Adres: Warneńczyka 10. Numeru mieszkania brak, pewnie willa. Miejsce stałego garażowania takie samo. Czy mogą już" wracać do łóżka?

— Przepraszam cię, stary — powiedział Rafał. — Ale jest dopiero dziesiąta. Nie przypuszczałem...

— Dla ludzi, którzy muszą obywać się bez kolacji, dziesiąta to już północ. Dobrej nocy, Rafałku.

— Cześć, stary. Masz u mnie pół litra śliwownicy.

— Przykro mi — powiedział Fredzio. — Ale ostatnio przeszedłem na pejsachówkę. Też ze śliwek, a jakaś fajniejsza... Co ty na to?

— Wytrzymam.

Odłożył słuchawkę i zaczął rozpinać płaszcz.

— Tu ma pan herbatę — powiedziała Jolka. — Chleba też panu nakroiłam. Jak pan chce, mogę nawet posmarować. Ale niech mnie pan dłużej nie przypieka na wolnym ogniu.

— Nie przypiekaj jej — odezwała się Agata z tapczanu. — Widzisz, że to jest dziecko niecierpliwe. Jeszcze chwila, a ofiaruje się wyszorować ci plecy.

— Spokój, dziewczyny — powiedział z udanym humorem, choć naprawdę widać było, że jest smutny. — Po- dokuczacie sobie, jak się to skończy.

— Rany Boskie! — rzuciła się Jolka. — Czy ja się wreszcie dowiem, co tam było?

— Właściwie nic — odpowiedział ze znużeniem słodząc sobie bezmyślnie herbatę. — Jeśli nie liczyć małej szamotaniny. Przyszło dwóch panów i chciało pani zaproponować wspólną przejażdżkę. Jeden przedstawił się jako Pasikonik; drugi, niestety, wyszedł bez podania nazwiska. T to już w gruncie rzeczy wszystko.

— Gdzie mnie chcieli zabrać? — zapytała zduszonym głosem Jolka.

— To mniej ważne, skoro im się nie udało. Ważniejsze, dlaczego chcieli to zrobić. Nic pani nie przychodzi na myśl?

Potrząsnęła głową.

— To musiało być coś, co ma związek z Elżbietą. Gdzie ją pani poznała?

— U nas, w „Lotosie”.

— Przychodziła tam?

— Była parę razy.

— W towarzystwie?

— Nie, zawsze sama.

— Może czekała na kogoś?

— Nie wiem, ale chyba nie. Jak dziewczyna czeka, to inaczej wygląda. Myślę, że po prostu wpadała na kawę.

— Rozmawialiście?

— Bardzo dużo.

— W czasie pracy?

— E, wie pan, to zawsze były godziny małego ruchu, dziesiąta, po dziesiątej rano. Wtedy jeszcze prawie nie ma klientów. Przysiadalam się i gadałyśmy bez końca.

— Nie pamięta pani, o czym?

— A, jak to między dziewczynami. Ona była zawsze dobrze ubrana i miała różne żurnale. No, najwięcej to gadałyśmy o fatalachach. Dużo się od niej nauczyłam. Widzi pan, ta bluzka to jej pomysł. Uszyłam ją u koleżanki, która ma maszynę.

- Bardzo ładna.
 - No — powiedziała z zadowoleniem. — A jej się nie podoba. I skinęła głową w stronę Agaty.
 - Kwestia gustu — odpowiedziała uprzejmie Agata. — Elżbieta odziedziczyła swój po mamusi, a ja mam własny. Mogę?
 - Możesz — powiedział Rafał i znowu obrócił się ku Jolce.
 - A nie denerwowało pani, że Elżbieta ma wszystkie szmatki zagraniczne?
 - Że ona ma, to nie. Najwyżej, że ja nie mam. Każdej dziewczynie chciałoby się mieć coś lepszego.
 - Poszukaj sobie mamusi, która będzie miała co miesiąc wykłady w Bazylei — doradziła jej słodko Agata. — Też się obwiesz jak choinka.
 - W Bazylei? — powtórzyła Jolka i uniosła ciemne brwi. — Nie wiedziałam.
 - Elżbieta ci nie mówiła?
 - Nic.
 - A ty myślałaś, że to ze stypendium?
 - Nie jestem dziecko.
 - A nigdy me miałaś ochoty zapytać?
 - Nie, bo myślałam, że jej to może być nie na rękę. Przecież różnie jest, prawda? A ja lubiłam, jak ona przychodziła.
 - Kiedy widziałyście się ostatni raz? — zapytał Rafał.
 - No, ze trzy dni temu. Ale to nie było w „Lotosie”.
 - A gdzie?
- Jolka jakby się zawahała.
- No, na mieście.
 - Umówiłyście się?
 - Tak — powiedziała niepewnie.
 - W jakimś innym lokalu?
 - Nie, no, to znaczy podjechała po mnie i pojechałyśmy w jedno miejsce.
 - W jakie miejsce?
 - No, to było mieszkanie prywatne. Ale czyjej to nie wiem. W każdym razie nie jej.
 - I co tam było?

- Nic.
- Woli pani nie mówić?
- Kiedy tu nie ma nic do mówienia. Po prostu nic nie było.
- Pani Jolu — powiedział cicho Rafał. — Wleźliśmy wszyscy w jakąś kabałę i ciągle nie wiemy, w jaką. Ale wiadomo, że tu chodzi o Elżbietę i trochę także o panią. Więc niech pani będzie szczerą do końca.

Jolka zakręciła się na miejscu, pośliniła palec i przez parę sekund pocierała oczko na prawej nodze. Potem wzruszyła ramionami i powiedziała:

– A bo ja sama nie wiem. Raz przyszła Elżbieta i mówi: „Jolka, jest okazja łatwo zarobić parę złotych; masz ochotę?” A ja na to: „Pewnie, że mam, ale bywają różne okazje”. Na to ona się zaśmiała i mówi: „Jolka, znasz mnie trochę, nie? Więc nie zadawaj głupich pytań. Jutro przyjadę po ciebie pod »Lotos« i resztę powiem ci na miejscu”. No to ja się jeszcze zapytałam, jak się mam ubrać, a ona powiedziała, że zwyczajnie, bo to nie chodzi o żaden jubel. I pojechałyśmy.

– Niech pani to opowie dokładnie.

– No, miała małą „Lancję”, której przedtem nie widziałam i była w dobrym humorze. Zajechałyśmy najpierw w jakąś obdrapaną ulicę i ja się zapytałam: „To tu?” „Tu” odpowiedziała, „ale zaczekaj”. Weszła do starego domu. była tam parę minut, potem wróciła i z powrotem wsiadła do samochodu. „A jednak nie tu” powiedziałam. A ona odpowiedziała: „A nie, nie tu” i już nie była w takim dobrym humorze.

– Nie pamięta pani, co to była za ulica?

– Nie, bo to było gdzieś koło parku za elektrownią, a ja tam nigdy nie chodzę.

– A poznałaby pani ten dom?

– No, może. Ale sama bym nie znalazła. Wie pan, ja tu jestem dopiero dwa lata.

– Gdzie pojechałyście potem?

j— Na Bolesławowo; tam są takie duże, przedwojenne wille. Przed jedną Elżbieta zaparkowała i powiedziała „Chodź”. Potem wyjęła z torebki klucze i otworzyła najpierw furtkę, a

potem drzwi do środka. Wie pan, nigdy nie widziałam takich mebli; myślałam, że są tylko w muzeum. Jadalnia cała czarna, a gabinet jak kościół. Mówię panu, bomba.

— A właściciel?

— Nie widziałam go. W ogóle nikogo tam nie było.

— Coście tam robiły?

— Nic. To znaczy ja łąziłam i oglądałam cały dom, a Elżbieta siedziała w fotelu i nie odzywała się. Potem nagle wstała i zaczęła dzwonić w kilka miejsc, ale dopiero w trzecim ktoś się odezwał.

— O czym rozmawiali?

— Nie wiem. Elżbieta mówiła tylko: „No, no, tak, me, idiotyzm”, a potem krzyknęła: „Mówię, że idiotyzm”, rzuciła słuchawkę i powiedziała: „Wracamy”. Odwiozła mnie na Stare Miasto, powiedziała: „Nie gniewaj się, wytłumaczę ci to innym razem” i odjechała.

— I nie dowiedziała się pani co to miała być za okazja?

— Nie. Ona była taka zła, że bałam się pytać

— I więcej się nie pokazała?

— Nie. Dopiero dzisiaj ten telefon; żeby gdzieś wyjechała...

Pan coś z tego rozumie?

Rafał nie odpowiedział. Przez chwilę było cicho. Potem Agata zapytała niewinnie:

— Czy ci się nie wydaje, że twoja córka- to chodzący worek tajemnic?

Rafał spojrział na nią ponuro, a potem znowu obrócił się ku Jolce.

— A ta willa? Jak wyglądała?

— No, jak wszystkie tam: w ogrodzie, z garażem...

— Adresu też pani nie pamięta?

— Nie.

— A może to była ulica Warneńczyka?

— Nie wiem; nie znam tych nazw na Bolesławowie.

— A jak panią zawiozę, to pani pozna?

— Chyba tak.

— No, to proszę się ubrać, pojedziemy.

— Teraz? — krzyknęła. — Po nocy? Pan zwariował, ja się

nigdzie nie ruszę.

— Kiedy tak trzeba — powiedział cicho, ale z naciskiem. — Wygląda na to, że w tej całej historii dzisiaj, no, z tą żyletką i z tymi nieproszonymi gośćmi, chodziło właśnie o te dwa adresy. Albo o jeden z nich. Pani tam była. a ktoś nie chce, żeby pani mogła o tym mówić. Ale ten ktoś już wie, że pani zniknęła. Dlatego trzeba się śpieszyć.

— No, wie pan! — zawołała i uderzyła małą pięścią w stół. — Mam nadstawiać głowę dla jakichś głupich adresów? Niech pan się wypcha. Nie jadę.

— No, prędko — powiedział.

Odszukał pod etażerką jej pantofle, położył przed nią i poszedł do przedpokoju po jej płaszcz.

— Pan jest potwór! — krzyknęła ze łzami w oczach.

-- Dziecino — powiedział. — Gdyby nie ja, siedziałyby pani teraz w jakiejś piwnicy i czekała, co oni wymyślą. No, proszę włożyć buty. Obiecuję, że nie wystawi pani nosa z samochodu.

Siąkając nosem schyliła się i zaczęła wkładać pantofle. — A ty?

— zwrócił się do Agaty.

— Co ja? — zapytała wrogo Agata.

— Przejedziesz się?

— Dziękuję. Jak na dzisiaj, mam dosyć spraw twojej córeczki.

— Ja jeszcze muszę do łazienki — szepnęła Jolka.

— Łazienka jest tam.

Wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Rafał podszedł do Agaty i spróbował wziąć ją za brodę.

Odrzuciła głowę na bok.

— Co cię ugryzło? — zapytał.

— Nic — mruknęła. — Powiedz mi tylko: czy ta mała ma tutaj spać?

— No, byłoby lepiej.

— Zwracam ci uwagę, że mamy tylko jeden tapczan. Co prawda bardzo szeroki, więc jak się dobrze upchać... Ona byłaby zachwycona.

— Agato! — powiedział uroczyście, kładąc jej obie dłonie na ramionach. — Czy mam ci dać słowo honoru, że nie spojrziałem

na nią jak mężczyzna?

— Jeszcze zdążysz — parsknęła. — W każdym razie ona patrzy na ciebie jak kobieta. Myślę, że do rana 7a- kochacie się w sobie na zabój. Zwłaszcza, jak sobie pojeździecie po ciemnych ulicach.

— Przecież ci proponowałem...

— A jeździecie sobie, jeździecie! — powiedziała ze złością i odsunęła się w drugi kąt tapczana. — Kowboj z Polskiego Radia i słodka kruszyna z kawiarni „Lotos”. Mam to w nosie, rozumiesz?

Skrzypnęły drzwi od łazienki i Jola wróciła do pokoju. Oczy miała poprawione, a policzki nieco bardziej smagłe niż przedtem.

— Nie pogniewasz się? — powiedziała do Agaty z niepewnym uśmiechem. — Ale wzięłam trochę twojego podkładu.

— Kochanie — odpowiedziała ze słodyczą Agata — jeżeli chcesz, możesz także wziąć moją perukę, parasol i rękawiczki. Bardzo cię proszę.

Jolka przyjrzała się jej uważnie, a potem z nagłą gotowością obróciła się w stronę Rafała.

— Możemy iść.

— Agato — powiedział — bądź dobrej myśli. Jestem dziś wyjątkowo niepodatny na podszepty szatana.

— Cieszę się — powiedziała zimno. — I mam nadzieję, że wrócisz, zanim zaczną roznosić mleko.

Kiedy zjechali na dół i wsiedli do wozu, Jolka potarła sobie nos i powiedziała:

— Trochę się boję. Chociaż z panem to się boję trochę mniej. Pan jest fajny.

Ruszył i nie patrząc na nią zapytał:

— Czy zdążyła już pani podzielić się tymi wrażeniami z Agatą?

— No, właściwie... No, powiedziałam coś takiego.

— Że jestem fajny?

— Acha.

— I co jeszcze?

— Nie wiem. No, że interesujący także. I że ja na pana miejscu tobym się bała. A pan nie.

— A co na to Agata?

- Nic.
- Całkiem nic?
- No, powiedziała coś takiego: „zapytaj mnie jeszcze, czy on jest moim mężem”.
- I zapytała pani?
- No, każda dziewczyna jest ciekawa. A właściwie to czemu pan się z nią nie żeni?
- Nie powiedziała pani?
- Nie.
- Po prostu nie mam rozwodu.
- Z mamą Elżbiety?

Kiwnął głową. Przez chwilę jechali, nie odzywając się do siebie.

Jolka coś sobie rozważała po cichu; potem zapytała:

- A kto się nie chce zgodzić, ona czy pan?
- Ona, oczywiście.
- Ale są szanse?
- Teraz już są.
- A z Agatą długo pan jest?
- Trzy lata.
- O, to się można znudzić.
- Ja się nie znudziłem.
- Tego człowiek nigdy nie wie. Ja na przykład mam chłopaka. Do dziś myślałam, że go kocham, a teraz diabli wiedzą.

Zerknął ku niej od kierownicy i mruknął:

- Pani Jolu, niech pani się skupi. Jesteśmy na Bolesławowie.

Zmarszczyła nos i nic nie odpowiedziała.

Jechali wśród solidnych, przedwojennych posesji, ogrodzonych kamiennymi murkami, z których zwisało bezlistne dzikie wino. Ggdzieniegdzie mur ustępował miejsca grubej siatce, rozpiętej w żelaznych ramach: wtedy przez łyse żywopłoty widać było przyciężkawe zarysy domków, budowanych w stylu wczesnych lat trzydziestych. Większość była ciemna; tylko w niektórych paliło się światło.

Rafał kilka razy przystawał, by w mroku, słabo rozjaśnianym ulicznymi lampami, odczytać nazwę ulicy i numer.

Za którymś razem dodał gazu i powiedział:

— Niech pani uważa, właśnie mineliśmy ten dom. Ja teraz zawrócę i stanę tak, żeby oświetlić bramę; a pani mi powie, czy to było tutaj. Ale pani rozumie, nie możemy tam sterczeć bez końca. Dlatego proszę się dobrze wziąć w garść.

— Chwileczkę — powiedziała zachrypłym głosem. — Niech pan jeszcze zaczeka.

— O co chodzi?

— No, o nic. Niech pan stanie, ja proszę.

Skręcił za róg małej uliczki i zatrzymał wóz. Jolka siedziała skurczona i raz po raz oblizywała wargi.

— Niedobrze pani?

— Dlaczego niedobrze? — powiedziała ze złością. — Bardzo dobrze.

— No to co?

Popatrzyła nań z ukosa, nie odwracając głowy.

— A jeżeli oni na nas czekają?

— Przecież nie wiedzą...

— Wiedzą, że ja wiem.

— Ale nie znają naszego wozu.

— No, dobrze — powiedziała bohatersko. — Ale niech pan porządnie wcisnie cypek w swoich drzwiach. Ja wcisnęłam.

— Już — powiedział. — Możemy?

Nabrała głęboko powietrza i szepnęła:

— No, trudno.

Cofnął się tyłem na małe skrzyżowanie, zawrócił, podjechał na wysokość posesji numer 10, wskoczył na chodnik z prawej strony i wziął gwałtowny skręt, ustawiając się w poprzek wąskiej jezdni.

W światłach reflektorów ukazała się ażurowa kratownica bramy z osobną furtką dla pieszych i dzwonkiem na kamiennym słupku. W głębi widać było dolną część sporej willi z tarasem; reszta tonęła w mroku. Między furtką a schodkami ułożony był rzymski chodnik z dużych płyt, przedzielonych pasmami wyschniętej trawy. Garaż musiał się mieścić na tyłach domu; prowadził do niego podwójny pas klinkierowych cegiełek, starannie rozmieszczonych w kolorowym żwirze. Dwa okna parteru były oświetlone, ale do wnętrza nie można było zajrzeć,

bo zasłaniały je zielone stopy.

— Poznaje pani? — zapytał.

— Tak — szepnęła, rozglądając się płochliwie na boki. — Ale jedźmy, ja się boje.

Cofnął się trochę, ściągnął kierownicę i ostrym łukiem wprowadził wóz ku miastu.

— Wszystko zaczyna pasować — szepnęła.

Nie odpowiedziała.

Popatrzył na nią: siedziała bezwładnie oparta o drzwi, a głowę miała odrzuconą na szybę.

— No, już — uśmiechnął się. — Niech pani sobie trochę uchyli okna.

Przyjrzała mu się spod opuszczonych rzęs.

— Pan ma nerwy z żelaza — szepnęła. — A ja nie. Bardzo przepraszam.

I położyła mu ciepłą dłoń na rękę.

Chwilę jechali tak w milczeniu; potem Rafał mruknął;

— Ale to jeszcze nie koniec.

— Nie koniec?

— Nie. Trzeba znaleźć ten drugi adres.

Z pośpiechem cofnęła dłoń i siadła wyprostowana.

— Guzik! — zawołała. — W każdym razie nie ze mną.

— No, ja sam nie znajduję — powiedział cicho. — Nie pomoże mi pani?

Chwilę czekał, a potem odwrócił ku niej głowę. Przyglądała mu się z namysłem, ale też jakby taksująco.

— To jak? — zapytał.

Przekrzywiła głowę na bok, nie odrywając oczu od jego twarzy.

— Niech pan ładnie poprosi — powiedziała.

— Dziecko! — zamruczał. — Przecież to jest nasz wspólny interes.

— Ja gwizdę na interes. Ale mogę to zrobić dla pana. Odwrócił głowę ze złością, a potem — po dłuższym namyśle — powiedział:

— No, dobra. Bardzo proszę, żeby mi pani pomogła.

— Nie tak — powiedziała cicho.

Znowu na nią spojrzął, ale teraz już prawie wściekły. Siedziała z

głową przytuloną do oparcia i przyglądała mu się jak uparte dziecko.

— Jolka! — warknął, ale zaraz się powściągnął i już łagodniej powiedział: — Zachowujmy się jak dorośli.

— No właśnie — szepnęła. — A jak ty masz na imię? Zmarszczył się, ale mruknął:

— Rafał.

— Fajnie.

— Niech pani już da spokój z tym fajny i fajnie.

— Znów pani?

Przetarł zapoconą szybę, wyciągnął papierosa, zapalił i powiedział:

— No to ty.

— Tak jest lepiej, prawda?

— Prawda, ale siedź cicho i uważaj.

— Dobrze, Rafał.

— I nie mów ciągle Rafał, bo to głupie.

— Powiedziałam pierwszy raz. Ale mogę więcej nie mówić.

— No, właśnie.

— To już nie mówię, Rafał.

— Jak to, nie mówisz?

— To był cudzysłów, nie rozumiesz? Powiedziałam, czego nie mówię i już. A ty się przestań czepiać.

— W porządku. Patrz za okno, to już elektrownia.

Minęli ceglane mury, na których szumiał ogień i dudniły nocne przetoki. Dalej rozciągała się dzielnica szarych czynszówek, podobnych do siebie jak dwie krople wody. Wybudowano je prawie sto lat temu dla ludzi, którzy musieli na szóstą rano biec do portu, i po stu latach budziki nadal dzwoniły tu o tej samej porze.

— Przejadę po kolei wszystkie ulice — powiedział Rafał. — A ty się rozglądaj. Ale porządnie, bo to nie są żarty, rozumiesz?

— Rozumiem, Rafał — powiedziała z ukrytą zaczepką; ale on tego nie podjął i w milczeniu zaczął przemierzać bliźniacze uliczki.

Po dziesięciu minutach mruknął:

— To już ostatnia. I co?

— Nie wiem — szepnęła. — Może w dzień? Tu wszystko takie podobne... Nie mogę się wyznać.

— Rany Boskie! — mruknął. — Przecież stałaś pod tą bramą parę minut.

— A tu każda brama taka sama.

— Nie możesz sobie przypomnieć żadnego szczegółu? Jakiegoś szyldu, sklepu, no, nie wiem.

— Nie — pokręciła głową. — Nie mogę.

Zatrzymał wóz u wylotu ulicy; dalej rozciągały się tereny portowe, na których migotały światła dźwigów.

— Przejechać jeszcze raz? — zapytał ze znużeniem.

— Nie. To nic nie da.

— A może spróbujemy?

— Nie warto. Zresztą ja zaraz zasnę. Masz papierosa?

Zapaliła i zaczęła się ksztuszyć.

— Rany boskie — szepnęła wreszcie. — Co to za gwóźdź?

— „Ekstra mocny”.

Wyrzuciła go przez okno i mruknęła:

— No tak, ja palę „Damskie”.

Siedział przez chwilę najeżony, a potem nie patrząc na nią zamruczał:

— To nie jest tylko sprawa Elżbiety i twoja. W to jest jeszcze zamieszana kobieta, która trzy miesiące temu popełniła samobójstwo. Wyprawiła męża na urlop, okleiła drzwi gazetami i puściła gaz...

— To straszne — szepnęła bezradnie. — Ale mnie się oczy same zamykają. Opowiesz mi to jutro rano, dobrze?

I łagodnie złożyła mu głowę na ramieniu.

— Jolka — powiedział. — No, to znaczy... Nie zrozum mnie źle. Ale czy ty me masz tu jakiegoś adresu... No, nie wiem, ciotki czy kogoś... Dziś nie możesz nocować w domu, a znowu u nas...

— Nie — odpowiedziała niewinnie. — Ja jestem dziewczynka z prowincji i znam tutaj tylko mojego chłopca, Elżbietę i ciebie.

— No, a ten chłopiec?

— Ma bardzo zacofanych rodziców.

Pomilczał, a potem zakręcił z powrotem ku elektrowni, która rozjaśniała niebo nad dachami różową luną swoich kotłów.

— Gdzie mnie wiesziesz? — zapytała potulnie Jolka. — Na Stare Miasto?

— Och, siedź wreszcie cicho — powiedział ze złością i nie odzywał się aż do momentu, gdy wylądowali w zatoczce pod wymarłym punktowcem, gdzie paliło się tylko jedno światło na dwunastym piętrze.

— Wsiadaj.

— Za żadne skarby — obruszyła się Jolka. — Tu może być ktoś zaczajony.

— Będę patrzył. W razie czego pobiegnę ci na pomoc.

— A gospodarz? Myślisz, że wpuści obcą dziewczynę? Już po jedenastej.

Wyjął kluczyk i wszystkie wskaźniki na desce rozdzielczej zgasyły jak zdmuchnięte.

— Dobra — powiedział. — Ale nie miej do mnie pretensji, jeżeli cię znienawidzę na śmierć.

— Kochany — powiedziała z pokornym westchnieniem. — Przecież ja cię nie prosiłam, żebyś mnie bronił przed panami, którzy noszą żyletki w kieszeniach. Sam chciałeś. No, to teraz nie narzekaj.

Odprowadził ją do wejścia na klatkę schodową i sprawdził, że nie jest zamknięta.

— Dwunaste piętro — powiedział. — Ostatnie drzwi na końcu korytarza. Ciao.

— Ale ja nie mam klucza od windy.

Bez słowa wszedł do środka, otworzył windę i szerokim gestem zaprosił ją, żeby wsiadła.

— Dziękuję — szepnęła. — Co powiedzieć Agacie?

— Że jadę na Warneńczyka.

— Po co?

— Opowiem ci jutro rano; teraz jesteś śpiąca.

— Ale Agata może nie być śpiąca.

— No, więc powiedz jej, że pojechałem sprawdzić, czy to ten sam.

— Nie rozumiem.

— Nie musisz. Agacie wystarczy.

— Dziękuję — powiedziała. — Jesteś bardzo miły. Powiedz mi

jeszcze jedno: co mam robić, jeżeli ta twoja Agata mnie nie wpuści.

— Wpuści cię, wpuści.

— Ale ja wiem, że jej się nie spodobałam. Nie mógłbyś mnie odwiedzić na górę?

— Jolka — powiedział. — Ja naprawdę mam mało czasu. Ten facet...

— No, trudno — westchnęła. — W razie czego będę siedzieć pod drzwiami. Ale czy ty na pewno wrócisz, zanim zaczną roznosić mleko?

Zobaczył w jej oczach szelmowski ogień i prawie niegrzecznie zatrzasnął drzwi.

Zielone okna na ulicy Warneńczyka wciąż jeszcze paliły się przygaszonym blaskiem.

Zaparkował wóz za rogiem najbliższej uliczki — tak, żeby nie można go było zobaczyć z tamtych okien — i powoli nacisnął dzwonek na kamiennym słupku.

Dokoła było cicho, nikt nie przechodził, rzadkie lampy prawie nie dawały światła, a w okolicznych willach wszyscy spali.

Poczuł niepokój i odruchowo rozejrzał się.

Potem drugi raz nacisnął guzik dzwonka.

Niemal zaraz potem z kratkowanego głośnika, którego wcześniej nie zauważył, rozległ się zniekształcony głos o nieco starczym brzmieniu:

— O co chodzi?

Odszukał wśród zeschniętych gałązek siateczkę domofonu i powiedział przyjaźnie:

— Ja w sprawie wozu.

— Jakiego wozu? — zapytał ten sam głos, ale już trochę agresywniej.

— „Fiata”, którego pan potrącił. Jeżeli pan pozwoli, chciałbym sprawę załatwić polubownie.

Przez chwilę głośnik milczał, potem warknął:

— Pan ma złe informacje. Nie potrąciłem żadnego „Fiata”.

Niech pan się zwróci do milicji.

— Zwrócę się — powiedział Rafał — jeżeli nie dojdę z panem do porozumienia. Ale myślę, że warto porozmawiać. Pański wóz

ma numer ŁD 5667, prawda?

— To jakiś idiotyzm — zachręściło w głośniku. — Ale niech pan czeka.

Rafał zapalił papierosa i znowu rozejrzał się. Uliczka była pusta, tylko na samym jej końcu, pod anemiczną latarnią, pojawił się jakiś cień, który przyłgął do muru. Mógł to być pijak, któremu zrobiło się słabo, ale mógł też być człowiek, który nie chciał ujawniać swojej obecności.

Nad drzwiami wejściowymi zapłonęła mleczna kula, potem drzwi uchyliły się i wyszedł z nich wysoki mężczyzna o wspaniałej głowie — ten sam, którego oboje z Agatą widzieli przed domem Szmida.

Przez chwilę patrzył w ciemność, następnie zdecydowanym krokiem podszedł do furtki i zatrzymał się tuż za nią.

Miał mocne oczy i wyraźnie zarysowana dolną szczękę. Nie robił wrażenia gangstera; raczej kogoś, kto przez całe życie kierował ludźmi: katechety, zawodowego harcmistra, kierownika PGR-u albo emerytowanego oficera.

— Gdzie jest pański wóz? — zapytał.

— W warsztacie.

— Szkoda. Gdybym go zobaczył, mógłbym powiedzieć coś więcej. Kto panu dał mój adres?

— Urzędniczka w Wydziale Komunikacji.

— A numer wozu?

— Spisał go sprzedawca z kiosku „Ruchu”, który widział, jak to się stało.

— Nic się nie stało — odpowiedział tamten za furtką. — Od piętnastu lat nie miałem żadnej kolizji. Kioskarz musiał się pomylić.

— Możliwe — powiedział Rafał. — Ale pan jeździ zielonym „Mustangiem”, prawda?

— I co z tego?

— Czy mógłbym go obejrzeć?

Tamten zastanówił się przez chwilę, a potem powiedział:

— Proszę.

Otworzył furtkę i cofnął się, robiąc Rafałowi miejsce.

— Wóz jest w garażu, niech pan sprawdzi. Nie ma na nim

najmniejszego draśnięcia.

Poszli w milczeniu ku domowi.

Przed schodkami Rafał odrzucił papierosa i -powiedział:

— Niech pan się nie gniewa. Ale dla mnie to poważna szkoda. Nie mogę machnąć na to ręką.

— Nikt panu nie każe. Proszę tędy, do garażu jest wejście od środka.

Weszli po sześciu schodkach do małego hallu, który był całkiem biały i zastawiony również białymi sprzętami.

Nawet chodnik na podłodze był utkany z białej wełny.

— Na lewo proszę — powiedział gospodarz, zatrzymując się za progiem i pokazując białe drzwiczki w kącie hallu.

Rafał udawał, że nie słyszy. Zrobił trzy szybkie kroki i otworzył drzwi do najbliższego pokoju. Zobaczył gdańską jadalnię z czarnego dębu — dokładnie taką samą, jaką opisywała mu Jolka — i cofnął się z zawstydzeniem.

— Przepraszam, źle pana zrozumiałem.

Tamten przyglądał mu się chwilę bez słowa, a potem znowu pokazał białe drzwi w kącie hallu.

Zeszli po kilkunastu ciemnych schodkach i stanęli przed okutymi drzwiami.

— Służę — powiedział gospodarz i nacisnął klamkę.

Za drzwiami otwierał się obszerny garaż z kanałem i bieżącą wodą, wyłożony włoskimi kafelkami z PKO. W półmroku majaczył zielony „Ford-Mustang” z opuszczoną szybą przy kierownicy.

Gospodarz włączył trzy niemigoczące świetlówki i oparł się dłonią o półkę, nad którą w nieskazitelnym porządku zawieszony był komplet kluczy sztorcowych.

— Jeżeli pan znajdzie jedną ryseć — powiedział — pokryję wszystkie pańskie wydatki.

— No, to pozwoli pan? — zapytał Rafał, robiąc krok w stronę wozu.

— Przecież powiedziałem.

Rafał obszedł wóz dookoła, przeciągając dłonią po błotnikach. Potem zatrzymał się i mruknął:

— No, nie wiem. Numer ten sam. Pan nazywa się Hubert

Stańczyk?

— A pan?

— W tej sytuacji to już nie ma znaczenia. Pański wóz jest rzeczywiście nie tknięty.

— Wobec tego nie zatrzymuję.

— Ma pan rację — powiedział Rafał i nacisnął w kieszeni włącznik magnetofonu. — Jeszcze tylko jedno pytanie: czemu pan dzisiaj kazał wprowadzić tę małą Czajkowską?

— Kogo?

— Jolę Czajkowską z kawiarni „Lotos”. To ona godzinę temu pokazała mi pański dom.

— Rozumiem — powiedział powoli Stańczyk.

Potem nagle cofnął się i zatrzasnął drzwi, prowadzące do wnętrza. Rozległo się zgrzytnięcie zamka, a potem szybkie kroki, oddalające się po schodach.

Rafał zmarszczył się i szybko podszedł do żaluzji, zamykającej garaż od strony ogrodu. Ale żaluzja była zamknięta na szwedzki zatrask z numerowym automatem.

Powoli wyprostował się, wyjął z kieszeni magnetofon, wyłączył go i ukrył pod przednim siedzeniem „Mustanga”. A potem zapalił papierosa, bo wiedział, że na razie nie zostało mu już nic innego do zrobienia.

W tym samym czasie Agata kończyła kąpiel. Siedząc w ciepłej wodzie wyciągnęła zatyczkę uwiązaną na niklowym łańcuszku, potem wstała, zdjęła ręcznik z nylonowego sznurka, wytarła się niezbyt dokładnie, wyszła z wanny, osuszyła stopy, wsunęła je w ranne pantofle, włożyła sprany płaszcz kąpielowy, przewiązała się paskiem, poprawiła włosy, przyglądając się sobie z uwagą w podwójnym lustrze, umieszczonym na drzwiach szafki aptecznej, z czarnego pudełeczka z napisem Yardley „Beauty Magic” nabrała trochę kremu, wtarła go w twarz, otworzyła drzwi i z miękką butelką węgierskiego balsamu do rąk „Kez” weszła do pokoju.

Ich jedyny tapczan był już pościelony, a na trzech zestawionych fotelach leżało poślanie dla Jolki. Sama Jolka siedziała na

dywanie obok telefonu i szczotką Agaty czesała sobie włosy. Była tylko w majteczkach i biustonoszu, jeśli nie liczyć małego krzyżyka zwisającego na łańcuszku między piersiami.

— Jeżeli chcesz się kąpać — powiedziała Agata — to spłucz sobie wannę i napaść wody. Powiesiłam ci tam czysty ręcznik. Ten w paski.

— Fajno — powiedziała Jolka. — Ale daj mi jakąś nocną koszulę. Nie mogę przy nim chodzić w samych majtkach.

— Myślę, że w ogóle nie będziesz chodzić, tylko leżeć. Jest dwunasta w nocy.

— Jasne. Ale on może przyjść późno i zażądać herbaty. A ty na przykład będziesz już spała.

— Ja mam bardzo lekki sen. Daję ci słowo, że się zbudzę. Możesz leżeć spokojnie.

— No, ale wolałabym mieć nocną koszulę. Chyba że nie masz.

— Ależ proszę cię, mam, oczywiście.

Otworzyła szafę w ścianie, chwilę w niej grzebała i wyjęła różową koszulę z tasiemkami przy szyi.

— Będzie dobra?

— A nie masz jakiegoś „Bacy-doll”?

Agata przyjrzała się jej uprzejmie, a potem zamknęła szafę.

— Ta będzie w sam raz, kochanie.

Jolka wzięła koszulę i podniosła ją w dwóch palcach.

— Habit — mruknęła. — Kto teraz takie nosi?

— Goście — odpowiedziała słodko Agata. — Goście, moja złota.

Jolka zwinęła koszulę i bez słowa ruszyła ku łazience. W tej chwili zadzwonił telefon.

Agata wzięła słuchawkę i usłyszała niemłody męski głos, przerywany lekką zadyszka:

— Czy to mieszkanie pana redaktora Kostronia?

— Tak, słucham.

— A czy pan Kostron jest w domu?

— Nie, a o co chodzi?

— Jeżeli można, chciałbym mówić z kimś z jego rodziny.

— Jestem jego żoną — powiedziała Agata i poczuła na sobie pobłażliwy wzrok Jolki. Odwróciła się: Jolka stała w drzwiach z koszulą, przerzuconą przez ramię i przyglądała się jej ze

skąpym uśmieszkiem.

— Nie chcę pani denerwować — powiedział tamten. — Ale sam jestem kierowcą i uważam, że powinienem zawiadomić. Wóz pana Kostronia stoi na placu Słonecznym. Jest otwarty i trochę rozbity. Nie wiem, co się stało, ale boję się, że do rana mogą coś rozkraść.

— A skąd pan wie, że to jego wóz? — zapytała Agata, czując, że blednie.

— Białe, włoski „Fiat”, prawda? Na siedzeniu leżą porozrzucane dokumenty. Zadzwoń do radia i podali mi ten numer. Czy pani może przyjechać?

— Zaraz tam będę — odpowiedziała Agata drżącym głosem. — I mam prośbę: niech pan chwilę zaczeka. Dobrze? Będę się śpieszyć.

— Ja też mam wóz, proszę pani. I wiem, co to znaczy. Będę czekał.

Agata odłożyła słuchawkę i przez sekundę nie mogła się ruszyć z miejsca.

— Co się stało? — zapytała szeptem Jolka.

— Nie wiem. Ale chyba jakiś wypadek... Wóz rozbity, Rafała nie ma...

— Jak to nie ma? — powtórzyła nerwowo.

— No, nie wiem. Dzwonił jakiś całkiem obcy człowiek.

— Skąd?

— Z placu Słonecznego.

— To po drodze na Bolesławowo — szepnęła Jolka. — Nie dojechał?

Agata nagle zrzuciła płaszcz kąpielowy, drżącymi rękami wciągnęła rajstopy, sweter, spódnice i wybiegła do korytarza po pantofle i płaszcz.

— Jadę z tobą — zawołała Jolka i przez głowę zaczęła wkładać bluzkę.

— Nigdzie nie jedziesz. Ktoś może dzwonić, przyjść...

— Ale...

— Tam masz książkę, dzwoń na Pogotowie i do Komendy Ruchu. Ja odezwę się z miasta.

Złapała torebkę i pobiegła do windy. W całym domu było

śmiertelnie cicho.

Liczyła, że może złapie pod domem jakiś przypadkowy samochód, chociażby polewaczkę czy śmieciarkę; ale wszystko było martwe i puste jak po ataku atomowym. Biegła środkiem asfaltowej jezdni w stronę dalekiego parku, gdzie był najbliższy postój taksówek, a kłapanie jej obcasów rozchodziło się dokoła dzwoniącym echem. Nagle usłyszała za sobą odległy szum.

Odwróciła się i zobaczyła nadjeżdżające światła, a nad nimi czerwony szyldzik z napisem „Taxi”.

Odetchnęła i podniosła do góry obie ręce.

Wóz zatrzymał się z łagodnym świstem i młody kierowca od środka otworzył jej drzwi.

— Coś niedobrze? — zapytał.

— Na plac... Słoneczny... — wydyszała. — Tylko... szybko... Proszę!

Była to nowa „Wołga” o dobrym zrywie. Polecieli od razu ostro i już po chwili przekroczyli setkę.

— Jakiś kłopot? — zapytał łagodnie kierowca.

Miał czuprynę jak piosenkarz bitowy i prowadził w rękawiczkach; ale jego sweter był na łokciach przetarty aż do samej koszuli.

— Mój mąż — szepnęła. — Zdaje się, że miał wypadek.

— Może to nic groźnego?

— No, może... Ale niech pan się śpieszy.

Przeleciał przez puste śródmieście prawie nie zwalniając na skrzyżowaniach. W parę minut potem byli już na miejscu. Chłopak zwolnił i płynnym łukiem objechał plac dokoła.

— Gdzie to miało być? — zapytał. — Nic nie widzę.

— No, nie wiem — szepnęła. — Ten człowiek powiedział, że tu...

— Może na którejś przecznicy?

— No, spróbujmy.

Dał nurka w aleję, odchodzącą z prawej, potem jeszcze raz zakręcił i starannie przetrząsnął wszystkie ulice, otaczające plac. Ale wozu Rafała nigdzie nie było.

— Niech pani zaczeka — powiedział. — Tam jest lodziarz, może się czegoś dowiemy.

Podjechał do oszklonego kiosku, nad którym jarzyły się błękitne litery MO. W środku siedział dyżurny milicjant i zapisywał coś w małym bloczku.

Wyskoczyli oboje i podeszli. Milicjant uchylił szklane drzwi.

— Ta pani — powiedział kierowca — dostała telefon, że jej mąż miał tutaj wypadek. Wie pan coś o tym?

Milicjant odłożył bloczek, wstał i wyszedł z kiosku. Był wysoki, barczysty, o twarzy wysuszonej przez wiatr.

— Kiedy miał miejsce ten wypadek?

— No, mniej niż godzinę temu — powiedziała szybko Agata. — Przed godziną mąż był jeszcze pod domem.

Milicjant odsunął rękaw płaszcza i spojrzał na zegarek.

— Jestem tu od dziesiątej. W tym czasie nic nie było.

— Ale pan by musiał o tym wiedzieć, prawda?

— No, myślę — powiedział. — Milicja, proszę pani, ma cezy i uszy otwarte. Tutaj nawet psa nikt nie przejechał.

— Nic nie rozumiem — szepnęła Agata. — A może pan zauważył białego „Fiata”, otwartego i częściowo uszkodzonego?

— Miał tędy przejeżdżać?

— No, nie; miał tu stać.

— Tu jest zakaz zatrzymywania.

— Ale jak był zepsuty?

— Nic tu nie stało, proszę pani.

— No, to już nie wiem — powiedziała Agata. — Przepraszam.

Tamten bez pośpiechu zsalutował i odprowadził ich wzrokiem, gdy wracali do wozu.

— Gdzie teraz? — zapytał chłopak.

Agata bezradnie odrzuciła głowę na oparcie.

— No, chyba z powrotem.

— Już się robi.

Zostawili milicjanta, który wciąż jeszcze stał przed kioskiem, obserwując ich ze spokojną uwagą, i skręcili z powrotem ku miastu.

— Ktoś pani zrobił głupi kawał — powiedział chłopak, nie odwracając się od kierownicy. — Często tak robią, jak im się nudzi.

— No, chyba tak... Gdzie tu może być najbliższy automat?

— Automat? — powtórzył. — Zaraz będzie apteka; może pani pozwoli.

Stanęli przed oświetloną witryną z granatowym wężem Eskulapa, wymalowanym na szybie. Agata wysiadła i nacisnęła guzik dzwonka. Z głębi sennie podeszła ruda dziewczyna w białym kitlu i otworzyła małe okienko w drzwiach.

— Słucham — powiedziała.

— Mam wielką prośbę. Zdaje się, że mojemu mężowi coś się stało. Muszę zaraz zadzwonić do domu.

Dziewczyna zerknęła ku taksówce.

— A co mu jest? Może ja coś poradzę?

— Nie, nie — zaprzeczyła szybko Agata. — Ja z tym panem tylko jadę. Szukamy go. Niech mi pani pozwoli.

Tamta zawahała się, potem jeszcze raz spojrzała Agacie w oczy, bez słowa otworzyła drzwi, wpuściła ją do środka i z powrotem przekreśliła klucz.

— Proszę się nie gniewać — szepnęła Agata. — Ale ja jestem taka zdenerwowana, że już sama nie wiem...

— Proszę. Telefon jest tutaj — odpowiedziała dziewczyna, prowadząc ją za oszkloną ladę, a potem na zaplecze, gdzie wśród słoików i butelek czerniał wysłużony aparat. — Może się pani mną nie krępować.

Wyszła i przytknęła za sobą drzwi z mleczną szybą.

Agata rzuciła torebkę na krzesło i ślizgając się palcem po otworkach tarczy nakreśliła swój numer domowy.

Zdażyła usłyszeć tylko jeden sygnał, gdy już słuchawka podniosła się z widełek i po drugiej stronie kabla odezwał się napięty głos Jolki: „Tak?”

— To ja.

— Znalazłaś go?

— Nie. I samochodu też nie ma.

— Co to znaczy, nie ma?

— No, zdaje się, że nie było żadnego wypadku. Przynajmniej nie tutaj.

— Nie rozumiem.

— Ja także. A ty? Dzwoniłaś?

— Nic nie wiedzą; ani w Pogotowiu, ani w Komendzie Ruchu.

Nie było żadnego meldunku.

— A w szpitalach?

— Obdzwoniłam te, które mają ostry dyżur. Nie przyjmowali go.

— Jolka — powiedziała cicho Agata. — Uważaj, zaczynam się bać...

— Zaraz — przerwała jej tamta. — Ktoś dzwoni. może to on?

— Nie! On ma klucze! — krzyknęła Agata, ale Jolka już zdążyła odłożyć słuchawkę. Jej szybkie kroki oddaliły się od telefonu, potem przez moment było cicho i zaraz, rozległ się stłumiony krzyk.

— Jolka! Jolka! Jolka! — zaczęła krzyczeć Agata.

Drzwi z mleczną szybą uchyliły się, w szparze zamajaczyła twarz rudej pani magister.

W słuchawce słychać było teraz niższe męskie głosy, coś stuknęło, potem rozległ się szcęk naciskanych widełek i zapadła cisza.

Agata jeszcze przez chwilę stała bez ruchu, potem nagle odłożyła telefon, złapała torebkę, szepnęła „przepraszam” i potrąciwszy dziewczynę pobięła ku wyjściu.

Taksówkarz znowu otworzył jej drzwi od środka.

— Szybko — krzyknęła. — Do mnie, pan wie, tam, gdzie mnie pan zabrał. Ale niech pan ciśnie do dechy.

Miasto już spało; przelecieli te kilka kilometrów w rajdowym tempie, podskakując na szynach i włazach studzienek, aż resory jęczały.

Wreszcie z wyciem zahamowali w zatoczce pod wieżowcem, który ciągle zezował ku nim jedynym oświetlonym oknem na dwunastym piętrze.

Wcisnęła chłopakowi w dłoń zmiętą stuzłotówkę i nagle poczuła strach.

— Proszę pana — szepnęła. — Mam prośbę. Niech mnie pan odprowadzi na górę.

Obejrzał się przez ramię i oburącz odrzucił długie włosy.

— Coś tam nie gra?

— Nie wiem. Ale boję się...

Chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem wzruszył ramionami,

wyjął kluczyk i wysiadł.

Dopiero teraz zauważyła, że jest niewysoki i drobny.

— Może pan coś weźmie? — zaproponowała szeptem, starając się bez hałasu zamknąć drzwi.

— Co?

— No, może korbę?

— E — mruknął. — To już pani przesadza. Chodźmy.

Ruszył pierwszy niedbałym krokiem tancerza z przedmieścia, a ona potulnie poszła za nim.

Drzwi wejściowe ciągle były otwarte, a na klatce paliło się światło.

Dwie windy były zablokowane gdzieś na piętrach. Ściągnęli trzecią i w milczeniu pojechali na górę.

Agata drżała. Chłopak nie patrzył na nią, robił wrażenie sennego i trzymał ręce w kieszeniach. Ale gdy stanęli, wyszedł pierwszy i pierwszy stanął pod drzwiami, które wskazała mu ruchem głowy.

potem odwrócił się ku niej i wyciągnął dłoń. Zrozumiała i podała mu klucze.

— Ten mały — szepnęła bezgłośnie.

Wsunął go ostrożnie w otwór zamka, przekręcił i silnie pchnął drzwi do przodu.

Zobaczyli pusty przedpokoik z kuchenką gazowa i lodówką „Igloo” w niszy, na wpół zasłoniętej kotarką.

Chłopak poszedł do przodu jak kot i z lekko ugiętymi rękami stanął w drzwiach pokoju. Potem opuścił ręce i obejrzał się na Agatę.

Domyśliła się, że może bezpiecznie wejść, i podbiegła. Zobaczyła przewrócone krzesło i bezładnie rozepchnięte fotele, na których godzinę ternu rozłożyła pościel dla Jolki. Moherowy pled w białej kopercie zwiślał jednym rogiem na podłogę i nosił na sobie ślad zabrudzonego buta.

Krzyknęła „Jolka” i skoczyła do łazienki. Ale tam także było pusto.

Wróciła do pokoju i bezwładnie opadła na tapczan.

Chłopak z taksówki obserwował ją przez chwilę w milczeniu, potem nachylił się, podniósł krzesło, ustawił je obok stołu i

oparł się łokciami na tylnej poręczy.

— Jakaś draka? — zapytał.

Powoli skinęła głową.

— Poważna?

— Chyba tak.

— Może pani chce, żebym zadzwonił po milicję?

Zagryzła wargi i przez chwilę milczała. Potem szepnęła:

— Nie. Bez męża nie mogę.

— Ale on zniknął.

— No, zniknął.

— To może jednak?

— Nie — pokręciła głową. — Muszę się z nim najpierw zobaczyć.

Wyprostował się, znowu oburącz odrzucił włosy i obciągnął przetarty sweter.

— No, to ja już chyba polecę.

Poderwała głowę i szybko zawołała:

— Bardzo pana proszę, jeszcze parę minut. Ja zapłacę.

Przyjrzał się jej uważnie i zapytał:

— Pani się czegoś boi?

— No, nie mogę być teraz sama.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się i niedbałym krokiem wyszedł do przedpokoju. Podniosła rękę, jakby go chciała zatrzymać, ale on tylko poszedł zamknąć drzwi i zaraz wrócił.

— Dziękuję — szepnęła.

— Głupstwo — powiedział. — Teraz jest taka pora, że trudno o klienta. Niech pani zdejmie płaszczyk.

Był młodszy od niej przynajmniej o jakieś osiem lat, ale bez trudu wchodził w rolę opiekuna. I chyba mu się to nawet podobało.

Pokornie oddała mu płaszcz, a on wyniósł go do przedpokoju i rozwiesił na ramiączku. Potem odszukał jej ranne pantofle i położył obok tapczanu.

— Proszę zdjąć buty — powiedział. — Po co nogi mają się męczyć. Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani.

Poczuła nagłą ulgę i zaczęła płakać.

Czekał przez chwilę, potem sam zsunął jej pantofle ze stóp i też wyniósł do przedpokoju.

Popatrzyła nie niego przez łyżki i szepnęła:

Jesteś wspaniały smarkacz, wiesz?

A on oparł się ramieniem o futrynę drzwi i mruknął: A tam. Mnie też w życiu szło rozmaicie.

W garażu było ciepło i cicho. Rafał siedział bez ruchu na przednim siedzeniu „Fordy-Mustanga” i czuł, że powoli zasypia. Był już prawie dwadzieścia godzin na nogach i bał się, że w krytycznym momencie zabraknie mu siły. Ale nie chciał teraz spać; nikt nie lubi, żeby wypadki zaskakiwały go we śnie. Leniwym gestem wyciągnął rękę i włączył radio. Miejscowa stacja już milczała; ale znalazł coś zachodniego i zaczął słuchać z przymkniętymi oczyma.

W chwilę później usłyszał na schodach kroki. Były niespieszne i ciężkie, ale dzięki temu wyraźne. Jeszcze zanim drgnęła klamka, policzył, że nadchodzą tu we trzech i powoli obrócił ku nim głowę. Potem drzwi otworzyły się i do środka wszedł gospodarz w towarzystwie dwóch rosłych milicjantów. Jeden miał chłopską twarz i wypukłe oczy bez żadnego wyrazu; drugi był młody i drobny.

Ten pierwszy obojętnie rozejrzał się po całym pomieszczeniu, nie zwracając najmniejszej uwagi na Rafała — zupełnie tak, jakby go tam w ogóle nie było — a potem bez pośpiechu obszedł cały garaż dokoła i oparł się łokciami o otwarte drzwiczki wozu.

— Dowód osobisty — powiedział, patrząc ciągle gdzieś w przestrzeń, jakby rozmawiał z duchami.

— Potem — odpowiedział leniwie Rafał.

Tamten uniósł brwi i bardzo powoli obrócił się ku Rafałowi.

— Potem? — powtórzył! i łagodnie przechylił głowę, jakby chciał podkreślić, że nie wierzy własnym uszom. — To znaczy kiedy?

— Jak wyjdziemy stąd. Albo jak zostaniemy sami. Nie chciałbym, żeby ten pan zaglądał panu przez ramię.

Milicjant jeszcze przez chwilę wodził oczyma po jego twarzy, a potem odwrócił głowę i beznamyślnym skinieniem dał gospodarzowi znak, żeby się odsunął gdzieś dalej.

Stańczyk przeszedł do półki, nad którą wisały klucze sztorcowe i znowu oparł się na niej dłonią. Był spokojny, wyniosły i lodowato grzeczny.

— No? — powiedział milicjant, obracając się z powrotem w stronę Rafała.

Ten bez słowa podał mu dowód.

Milicjant wziął go, przekartkował, złożył i trzepnął się nim po dłoni jak wachlarzem.

— Wyjdźcie z wozu — powiedział.

Rafał wysiadł. Drugi z milicjantów, ten, który był młody i drobny, obmacał go sprawnymi ruchami obu rąk.

Potem cofnął się i ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy zawiadomił kolegę, że Rafał jest czysty.

— No, to mówcie — powiedział ten pierwszy i przymknął powieki, jakby go to wszystko nudziło.

— O czym? — zapytał Rafał.

— O wszystkim. Po co tu przyszliście i tak dalej.

— Nie mam nic do powiedzenia.

Tamten powoli podniósł powieki i wbił w Rafała ciężkie spojrzenie.

— Powiedzieliście, że ten obywatel uszkodził wasz pojazd.

— Nie — zaprzeczył Rafał. — Nic Jakiego nie powie- I działałem.

— Powiedzieliście, że wasz wóz jest w warsztacie. Tymczasem stoi tu za rogiem.

— Oczywiście — potwierdził Rafał. — Przecież sam go tam zaparkowałem.

— Prawy błotnik jest rzeczywiście uszkodzony. Ale uszkodzenie jest stare i blacha zdążyła już zardzewieć.

— Zgadza się — powiedział Rafał. — Miałem drobny wypadek trzy tygodnie temu i nie zdążyłem oddać wozu do blacharza.

— Powiedzieliście — ciągnął dalej milicjant — że obywatel próbował dzisiaj uprowadzić jakąś dziewczynę. Na jakiej podstawie tak powiedzieliście?

— Na żadnej — odpowiedział Rafał. — Ponieważ o niczym takim z nim nie rozmawiałem.

— Wobec tego wyjaśnijcie nam, po co tu w ogóle przyszliście?

— Przyszedłem, bo chciałem osobiście poznać obywatela

Stańczyka.

— W jakim celu?

— W żadnym. Po prostu lubię poznawać różnych ludzi.

— Acha — powiedział sennie milicjant. — Lubicie.

O północy?

— Lubię.

— No, to się przejedziemy. Chodźcie.

— Jeszcze moment — zastrzegł się Rafał. — Pod przednim siedzeniem wozu coś jest. Może pan sprawdzi.

Tamten patrzył mu przez chwilę w oczy z namysłem, potem dał głową znak koledze.

Ten wsunął się do środka wozu, wsadził dłoń pod siedzenie i wyciągnął kieszonkowy magnetofon.

— Czyje to? — zapytał ten pierwszy i obejrzał się na gospodarza. — Wasze?

— Nie — zaprzeczy! stanowczo Stańczyk.

— Oczywiście — potwierdził Rafał. — Bo to jest moje.

— To dlaczego nie powiedzieliście tego od razu?

— Bo bałem się, że obywatel Stańczyk mógłby się do tego przyznać i powstałyby nowe komplikacje. A ja wolę, żeby on nie znał tego, co tam jest nagrane.

— A co tam jest nagrane?

— Porozmawiamy o tym w Komendzie.

— Jeżeli to jest prawda — wtrącił się powściągliwie

Stańczyk — to ja bym jednak chciał zapoznać się z treścią tych nagrań. Podejrzewam, że mogą dotyczyć mojej osoby. A w tej sytuacji...

— Odmawiam — oświadczył spokojnie milicjant. — Jeżeli będziecie chcieli, możecie jutro zgłosić wasze żądanie na piśmie. Idziemy.

— Moment — powiedział Stańczyk i gestem zaprosił milicjanta w głąb garażu. — Mam do pana dwa słowa.

— O co chodzi?

— Dwa słowa na osobności.

— Wszystko powiecie jutro w Komendzie — odpowiedział milicjant i pokazał Rafałowi drzwi. — Dobranoc.

Wyszli. Za furtką ten o chłopskiej twarzy nadstawił dłoń.

— Kluczyki.

Wziął je w dwa palce i rzucił koledze.

— Pojedziesz za nami.

Wsiedli we dwóch do radiowozu, nad którym obracała się błękitna lampa, i zaczęli, aż tamten wyprowadzi zza narożnika samochód Rafała. Wtedy ruszyli i milicjant o chłopskiej twarzy zapytał:

— Pan jest z radia?

— Z radia.

— To niech pan powie. Czy wy tam w fachu też tak dobrze zarabiacie?

I pokazał głową za siebie.

— Nie — odpowiedział Rafał. — Podejrzewam, że ten facet mógłby kupić wszystkich naszych pracowników, nie likwidując swojego konta w banku.

— No, widzi pan, jak to jest — mruknął milicjant. — Jeden orze, drugi może. A tak między nami, to po cholere pan tam laził? Nagrywa pan coś o nadużyciach?

— Jeszcze nie wiem.

— Pana sprawa — mruknął tamten z nutką urazy. — Niech się o to martwią w Komendzie.

W izbie zatrzymań było już trzech klientów: jeden mały plucio bez marynarki, który szybko chodził od ściany do ściany, obrzucając wszystkich wyobcowanym wzrokiem, jeden koleś z rozbitym czołem i jeden upiór o bladej twarzy i drżących dłoniach, którymi bez przerwy masował sobie jabłkowate kolana.

Rafał stanął pod drzwiami, w których widniało zakratowane okienko, zasłonięte drewnianym szybrem, i czekał z przymkniętymi oczyma. Po chwili szyber odsunął się i bezosobowy głos zawołał:

— Obywatel Kostróż.

— Jestem — mruknął Rafał.

— Wyjdźcie.

— Bez kolejki? — mruknął koleś z rozbitym czołem.

Ktoś otworzył drzwi i Rafał znalazł się w przeciągu, pachnącym stołówką.

— Tędy — powiedział ten sam głos.

Zrobili cztery kroki w prawo i zatrzymali się pod drzwiami oficera dyżurnego.

— Możecie wejść. Dyżurny czeka na was.

Rafał wszedł, spojrział na dyżurnego, zamknął za sobą drzwi i powiedział:

— Cześć, stary. I bardzo cię przepraszam.

Zza biurka podniósł się zniszczony kapitan o zapadniętych oczach i wyszedł Rafałowi naprzeciw.

— Cześć — powiedział. — Dawno cię nie widziałem. Siadaj. Napijesz się kawy?

— Tak — mruknął Rafał. — Zасыpiam na stojąco.

Usiadł przy biurku, na którym leżały jego kluczyki, dowód, magnetofon i notatka służbowa dowódcy patrolu.

Kapitan wziął telefon, wykręcił trzy cyfry i powiedział:

— Dwie kawy. Ale takie jak na inspekcję.

Potem odłożył słuchawkę, wyniósł krzesło zza biurka i usiadł obok Rafała.

— Jakby nie ta dzisiejsza historia, tobym cię pewno nie widział przez następne trzy lata. Co u ciebie? Masz już rozwód?

— Nie — szepnęła Rafał. — A ty?

— Dostałem. Mam już dwuletnie dziecko. Chcesz zobaczyć fotografię?

— Jeżeli mam być szczery — powiedział Rafał — to chyba po kawie. Na razie mam w głowie straszny mętlik

— Oczywiście — zgodził się z pośpiechem kapitan. — Widzę, że jesteś wykończony. To jakiś nowy reportaż?

— Całkiem nowy. I bardzo nieprzyjemny.

— Oboje z żoną słuchamy twoich reportaży. Ona nie może uwierzyć, że zdawaliśmy razem maturę. Zawsze mówi, że musisz być dużo młodszy.

— Ty wiesz, że nie jestem młodszy — szepnęła Rafał. —

A dzisiaj jestem dużo, dużo starszy. Taki stary, że chyba wykituję przed świtem.

— No, Rafał — zamruczał tamten. — Nie poddawaj się. Każdy

ma ciężkie chwile. Cztery lata temu ja także... No, drobiazg, przeszło. — Wziął w dwa palce meldunek, leżący na biurku, i wyciągnął go ku Rafałowi. — Chcesz to przejrzeć?

— A po co? — zapytał Rafał. — Wszystko się zgadza. Byłem u tego faceta i nagadałem kupę głupstw. Nie bój się, nie jestem na usługach mafii sycylijskiej i nie chciałem od niego wyludzić bonów na polskiego „Fiata”.

— No, daj spokój, daj spokój — powiedział szybko kapitan. — Ja wiem, że to nowa audycja. Możesz coś o niej powiedzieć? Czy wolisz nie? Pytam się z prostej ciekawości.

— Ja mogę — odpowiedział Rafał. — Ale tobie będzie niezręcznie. Musiałbyś odnieść się do tego służbowo. A to utrudniłoby mi sytuację. Więc jak chcesz.

— Mam dość własnych kłopotów — odpowiedział kapitan i odrzucił meldunek na biurko. — Zaczekam, aż to wejdzie na antenę. Palisz?

— Aż za dużo — odpowiedział Rafał.

Wziął od niego „Sporta”, zszedł na ogień i zaciągnął się przymykając oczy.

Wszedł młodziutki milicjant z bardzo surową twarzą i bez słowa rozstawił na biurku dwie kawy z łyżeczkami, zanurzonymi w szklankach. Potem również bez słowa wyszedł.

— Już słodzone — powiedział niepewnie kapitan. — Takie u nas głupie zwyczaje. Jak wolisz mniej słodką, to nie mieszaj.

— Wolę słodką — uśmiechnął się Rafał i energicznie po kręcił łyżeczką w szklance. — Czy chcesz temu nadać bieg?

— A po co? — zapytał kapitan. — Pan Stańczyk się przestraszył i wezwał radiowóz; to jego prawo. A ty mnie chyba nie wpakujesz w jakieś tarapaty.

— Wiesz coś o nim?

— Widzisz — szepnął kapitan. — Ja już dawno nie jestem w dochodzeniówce. Ale za moich czasów to był spokojny facet. Żadnych kombinacji, po prostu czysty pieniądz.

— Co robi?

— Saszetki — odpowiedział bez entuzjazmu kapitan. — I to na eksport. Ale w dobrą stronę: wyłącznie do Związku Radzieckiego. Pod względem finansowym czysty jak szkło:

jedną czwartą zarobków oddaje centrali eksportowej, reszta nie podlega żadnym podatkom. Jakby chciał, mógłby sobie wybudować własny Pałac Kultury. Bardzo spokojny obywatel.

— A nie mógłbyś się dowiedzieć czegoś więcej?

— Trudno będzie — uśmiechnął się tamten, ale nie był to specjalnie wesoły uśmiech. — Wszędzie pełno młodych ludzi po studiach: socjologów, psychologów, prawników... Patrzą na nas jak na eksponaty muzealne. Dobrze, że jeszcze pozwalają nam brać dyżury... Ale spróbuję.

— Spróbuj — powiedział Rafał. — Ja w tym czuję dużą aferę. Dużą i bardzo mądrze zorganizowaną. Ale naprawdę nie pytaj się o nic więcej.

— Rafał! — mruknął tamten z wyraźnym zgorzeniem. — Czy ja się pytam? Powiedz.

— No, to posłuchaj — powiedział Rafał i wyciągnął dłoń po magnetofon, ale w ostatnim momencie zatrzymał ją w powietrzu. — Mogę?

— Oczywiście.

Wziął magnetofon, cofnął kasetę, nastawił i podniósł uważne oczy.

— Kiedyś pracowałeś nad cinkciarzami — powiedział. Uważaj, czy poznasz ten głos.

Puścił mu kawałek rozmowy z Wieśkiem — ten o pani Gizeli i o jej pryśnięciu z miasta. Potem zatrzymał.

— I co?

— Ja mam dobry słuch — mruknął kapitan. — Ale tego głosu nie słyszałem.

— A słyszałeś o pani Gizeli?

— Nie — odpowiedział tamten. — Za moich czasów nie było takiej damy. Ale wiesz, to było parę lat temu. Kadry rosną. Nie tylko u nas.

— W porządku — powiedział Rafał. — Jutro przegram ci parę fragmentów na osobną taśmę. Dasz posłuchać swoim chłopakom?

— Jasne.

— No, to chciałbym wrócić do domu.

— Jedź, stary. Tu są twoje kluczyki.

Rafał wstał, dopił kawę i położył mu dłoń na ramieniu.

— Karol — powiedział cicho. — Przepraszam, że tak dawno nie byłem. Ale miałem kiepski okres.

— Nie szkodzi — powiedział szybko tamten. — Najważniejsze, że jak się wreszcie spotykamy... No, dobra jest, zjeżdżaj. Ja mam jeszcze paru interesantów. Cześć.

— Cześć — powiedział Rafał.

Zabrał magnetofon i dowód osobisty, a potem nie oglądając się wyszedł.

Kiedy podjechał pod wieżowiec za parkiem, zdziwił się, że w ich mieszkaniu jeszcze ciągle pali się światło. Zamknął wóz i szybko pobiegł do windy.

Na dwunastym piętrze panowała absolutna cisza. Poszedł pod swoje drzwi, ostrożnie otworzył je z klucza i przystanął.

Z pokoju słychać było senne głosy. Agata rozmawiała z jakimś młodym mężczyzną, którego nie znał.

Wszedł w płaszczu i zobaczył chłopaka o bardzo długich włosach, opadających na ciemny sweter.

Stał w progu. Wtedy Agata zerwała się z tapczanu i szepnęła:

— Rafał, Jolkę zabrali.

Przetarł zmęczone czoło.

— Co ty gadasz?

Przypadła do niego i złożyła mu głowę na obojczyku.

— Wywołali mnie z domu — jęknęła. — Powiedzieli, że miałeś wypadek. Kiedy wróciłam, już jej nie było. Myślałam, że ty też... Rozplakała się.

Długowłosy chłopak taktownie podniósł się zza stołu.

Przez chwilę wszyscy troje milczeli. Potem Agata otarła oczy -i powiedziała.

— Ten pan ma taksówkę. Woził mnie po całym mieście. Potem został tu... bo bałam się być sama.

— Dziękuję panu — powiedział Rafał cicho. — Ja wcześniej nie mogłem...

— Detal — mruknął chłopak i podniósłszy ręce odrzucił włosy na kark. — Ja się zmywam. Dobranoc państwu.

— Wspaniały smarkacz — siąknęła nosem Agata i oderwawszy

się od Rafała wyciągnęła dłoń do chłopca. — Wpadnij kiedyś na kawę.

— Nie wpadnę — odpowiedział z filozoficznym spokojem — ale życzę państwu, żeby wszystko skończyło się dobrze. Dobranoc. Zniknął równie cicho, jak przedtem podniósł się zza stołu.

— Jak to było? — zapytał Rafał, siadając w płaszczu na rozbabranych fotelach, gdzie bieleła poślanie dla Jolki. — przecież mówiłem...

— Rafał — szepnęła, kręcąc głową jak ktoś, kto już dłużej nie może unieść ciężaru. — To jest coś gorszego, niż myśleliśmy na początku. Jakaś duża afera, o której nie wiemy nic. Kompletnie, ale to kompletnie nic. Nie próbujemy tego załatwić sami.

— A jak? — szepnęła, czując, że traci siły. — Czy mam zadzwonić do porucznika Jasło?

— Nie wiem — powiedziała cicho. — Ale to nie jest żadne nieporozumienie. Elżbieta wdepnęła w coś naprawdę. Zadzwon na milicję.

Wstał, przeszedł się po pokoju i znowu usiadł.

— Nie mogę — powiedział. — Wiem, że ona jest w porządku. Muszę ją najpierw zobaczyć. Nikt nie załatwi tego lepiej ode mnie.

— A ta mała? Zabrali ją stąd i nie wiemy, gdzie jest. Jutro mogą poderżnąć jej gardło. Czy chcesz wziąć to na swoje sumienie?

— Głupstwa! — krzyknął. — Głupstwa, głupstwa, głupstwa! Jest jakaś historia, ale nie róbcie z tego Dzikiego Zachodu. To wszystko musi mieć jakiś realny wymiar.

— Realny wymiar — powtórzyła z grymasem nienawiści. — Żyłki i porwania. Dewizy i gaz. Jesteś najgłupszym ojcem, jakiego widziałam. Nakręć numer milicji albo ja go nakręcę. Rozumiesz?

Powoli wstał i otworzył szufladę biurka. Leżał tam dalej drewniany trzonek z połówką „Polsilvera”, owinięty w chustkę do nosa i ściągnięty gumką.

— Nie pokazała im tego — powiedział. — A na tym są ślady palców. Dam to jutro komuś, kto to utrwali i odczyta. Poza tym

będę szukał, nie jedząc i nie śpiąc. Ale nie zmuszaj mnie, żebym zrobił z tego sprawę urzędową, zanim nie dowiem się, o co chodzi.

Zaplotła dłonie z głośnym chrzęstem i krzyknęła:

— Rafał, ta cała Jolka to aż przysiada na widok chłopca. Ale nie mogę patrzeć, jak skazujesz ją na nie wiadomo co. byle tylko osłonić córeczkę. To straszne, Rafał, straszne! Tak nie można!

Usiadł na brzegu tapczana i papierowym głosem powiedział:

— Jeżeli zadzwonię, stracę wszelki wpływ na tę sprawę. Ani ten cinkciarz Wiesio, ani tamten gnojek Pasikonik nie puszczą pary przed milicją. Odetniemy się od wszystkich kontaktów, jakie mogą nas doprowadzić do Elżbiety. A ja muszę się z nią spotkać. Muszę.

— Otwórz oczy — krzyknęła. — Nie widzisz, że wyłazi z ciebie skurwysyn? Taki sam, jak ci, których przez dziesięć lat tępiłeś w swoich audycjach. Dzwon albo wyjdź i ja zrobię to sama. Słyszałeś?

— Nie wiem — szepnął. — Przecież Elżbieta...

W tej chwili odezwał się telefon.

Oboje drgnęli, ale żadne z nich nie zdecydowało się wyciągnąć ręki.

Dzwonek telefonu powtórzył się.

Rafał wstał i powoli podniósł słuchawkę.

— Słucham — powiedział bezbarwnym głosem.

— To ja, Jolka — zabrzączało w słuchawce. — Ale nie pytaj o nic, tylko słuchaj. Mam ci do przekazania coś ważnego.

IV

Przez chwilą milczał potem ochryple powiedział:

— Rozumiem.

— Kto? — zapytała bezgłośnie Agata.

— Jolka — szepnął, zasłaniając dłonią słuchawkę.

— Jolka? — powtórzyła i szybko przysunęła twarz do jego skroni.

W słuchawce znowu odezwał się brzęczący, zniekształcony głos:

— Nie jestem sama i przez jakiś czas nie będę się pokazywać.

-A le nic mi nie grozi, rozumiesz?

— Jesteś tego pewna?

— Jestem, Rafał. Naprawdę. Oni nikomu nie chcą zrobić nic złego. Kazali ci powiedzieć, że wszystko da się zatuszować pod jednym warunkiem: że nie zawiadomisz o tym milicji, Nie zrobiłeś tego?

— Nie.

— To dobrze Jakbyś zrobił, to już byłoby trudno odkręcić całą sprawę. Oni proszą, żebyś to dobrze zapamiętał. Nikomu się nic nie stanie, ani Elżbiecie, ani mnie, ale ty nie płacz w to gliniarzy. Jeżeli posłuchasz, to za parę dni wszystko wróci do normy.

— Nie rozumiem.

— Muszę już kończyć, Rafał.

— Chwileczkę! — zawołał. — Powiedz im, że chcę z nimi rozmawiać osobiście! Niech któryś podejdzie do telefonu!

— Nie podejda. Wiedzieli, że będziesz tego chciał. Z góry mi powiedzieli, że nie. No, naprawdę muszę kończyć. Do widzenia, Rafał.

— Martwię się — szepnął.

— Nie trzeba. Teraz odłóż słuchawkę i bądź mądry.

Zrobił, co mu poleciła, i ciężko przysiadł na poręczu fotela.

— I co dalej? — zapytał, nie podnosząc oczu na Agatę.

Rzuciła się na wznak na tapczan i przez chwilę wachlowała się gazetą, wciągając głośno powietrze. Potem przymknęła powieki i martwym głosem powiedziała:

— Nic.

— No, przecież nie możemy tak siedzieć! — krzyknął ze złością.

— Musimy coś zrobić, nie rozumiesz?

— Oczywiście — powiedziała, nie otwierając oczu. — Musimy nastawić budzik, zgasić światło i wziąć proszek nasenny. Jutro jest zwykły dzień, trzeba wstać, ubrać się i pojechać do pracy. O dziesiątej masz naradę w KW, potem będziesz musiał wrócić i złożyć sprawozdanie szefowi. A jak skończysz, zastanowimy się, z czego zrobić następne „S.O.S.” Bo z tego już nie zrobimy, prawda?

— Zwariowałaś? — krzyknął. — Teraz, kiedy to wszystko zaplątało się w taki dziki węzeł? Kiedy nie wiemy, gdzie jest Elżbieta, co się dzieje z Jolką, kto nas próbuje szantażować i jaki jest sens tej całej afery?

— Ostatni moment — powiedziała i rozpaczliwie przytuliła się policzkiem do poduszki. — Bo jeszcze trochę i stanie się coś strasznego. My o nich nie wiemy nic; a oni wiedzą o nas wszystko. Wiedzą, gdzie mieszkamy, jaki mamy samochód, znają nasz numer telefonu, dzwonią wtedy, kiedy są pewni, że nie będzie cię w domu, przychodzą tu po Jolkę, chociaż nikomu nie mówiliśmy, że ją zabieramy do siebie, a w końcu zamykają nam usta, bo wiedzą, że w tej sytuacji nie pójdziemy na milicję. Jesteśmy bezradni, Rafał, zupełnie bezradni i musimy zdać sobie z tego sprawę. Ja sobie zdałam i wysiadam. A ty zrobisz, jak zechcesz.

Milczał.

Powoli przekręciła ku niemu twarz i z wysiłkiem otworzyła oczy.

— Kładź się. Już naprawdę późno. A tamto kiedyś się wyjaśni, zobaczysz.

Siedział pochylony i tarł pięścią czoło.

— Kto to robi? — szepnął. — Kto to robi, do cholery? I po co?

- Pewnie się nigdy nie dowiemy — powiedziała ze smutkiem.
- Ale myślę, że niepotrzebnie jeździłeś na Bolesławowo.
- Dlaczego?
- Boję się, że on zobaczył cię tam razem z Jolką. Albo potem skojarzył jej zniknięcie z twoją wizytą. Sam mu się podstawiłeś, rozumiesz?
- To nie takie proste — mruknął, kręcąc głową. — Kiedy przyszedłem, pan Hubert Stańczyk zamknął mnie w garażu, a potem wezwał milicję. Facet, który przygotowuje porwanie dziewczyny, nie ściąga w tym czasie radiowozu.
- Ale przecież to on był dzisiaj u Szmidta?
- On.
- A więc musi być jakoś zamieszany w tę historię?
- Przypuszczam; ale zauważ, że Szmidt nic o nim nie wiedział.
- Nie wiedział także o Elżbiecie.
- Nie.
- A Elżbieta do niego dzwoniła.
- Nie wiem — mruknął Rafał. — Może on tak dobrze umie kłamać? Ale wydawało mi się, że mówił prawdę.
- Jolka także mówiła prawdę.
- Myślę, że tak.
- A ja jestem pewna. Tak samo, jak jestem pewna, że spotykała się z Elżbietą i była razem z nią u tego twojego Stańczyka.
- Była z całą pewnością. Zresztą pokazała mi ten dom.
- No, więc wszystko się zamyka.
- Nie. Gdyby się zamykało, pan Stańczyk nie miałby po co porywać Jolki. Albo musiałby ją zabrać razem z nami. Rozumiesz, jego dom już był spalony. Myślę, że tu chodzi o ten drugi adres; ten, którego Jolka nie mogła odnaleźć. Myślę, że on jest dla nich ważniejszy.
- Ale dla kogo? Dla cinkciarzy od pani Gizeli?
- Może.
- Ja w nich nie wierzę.
- Ale przecież Elżbiety nie ma! I naprawdę wysiadła przy dworcu! A przedtem naprawdę dzwoniła do Jolki i kazała jej zmyć się z miasta! A potem do Jolki naprawdę przyszli dwaj

faceci z żyłką, która jeszcze ciągle tu leży!

— W porządku — powiedziała ze znużeniem Agata. — Ale ty nie wiesz, kto wywołał mnie z domu, a później zabrał stąd Jolkę. To mogli być ci sami, których widziałas u niej w mieszkaniu. Ale mogli być zupełnie inni.

— Rany Boskie! — zawołał. — Nie każ mi wierzyć, że aż dwie szaje naraz polują na jedną biedną kelnerkę!

— Masz rację — westchnęła. — Ale z twojej racji nic nie wynika. Bądź mądry i powiedz sobie, że stanąłeś przed ścianą.

— Zaraz! — szepnął zduszonym głosem. — Ona także powiedziała „bądź mądry!” Ale powiedziała to całkiem inaczej! Tak jakoś dziwnie, z naciskiem!

— Po prostu: chciała, żebyś nie robił dalszych głupstw.

— Nie, nie! — zawołał gorączkowo. — Ja teraz widzę, w tym coś było, jakiś ślad, znak, ale jaki? Jaki?

— Nie znam się na waszych znakach — powiedziała apatycznie.

— I trochę się dziwię, że jesteście na ty. Ale to naprawdę nie ma znaczenia.

— Czekaj! — powiedział i szybko klęknął obok magnetofonu, podłączonego do słuchawki.

Cofnął go tylko o kilka odwróconych dźwięków, zatrzymał i puścił z powrotem. Znowu usłyszeli głos Jolki, która mówiła: „Nie trzeba. Teraz odłóż słuchawkę i bądź mądry”. Potem z taśmy szła już tylko cisza aż do chwili, gdy on sam odłożył telefon.

— No? — szepnął i z napięciem obejrzał się na Agatę.

— Co no? — zapytała, ale uniosła się na łokciach.

— Nie rozumiesz?

Błyskawicznie wyłączył magnetofon i podniósł słuchawkę.

Nie usłyszał w niej sygnału; usłyszał tylko niewyraźne męskie głosy roztopione w dalekiej muzycze.

— Agata! — szepnął. — Nie wiem, jak ona to zrobiła. Może coś podłożyła, skręcony sznur albo rękawiczkę?... Ale nie rozłączyła się z nami! Rozumiesz? Tamten numer jest ciągle na linii!

Usiadła prosto, a on już biegł do drzwi. Ślizgając się po korytarzu dopadł windy, wcisnął guzik i w najwyższym zdenerwowaniu czekał, aż oświetlona szafka zatrzyma się przed

jego twarzą.

W hallu na dole był automat. Wrzucił złotówkę, nakręcił numer biura napraw i zdławionym głosem zawołał:

— Proszę pani, jestem pracownikiem Polskiego Radia i czekam na rozmowę z Budapesztem. Ale mój aparat jest zablokowany. Ktoś przypadkowo połączył się ze mną i źle odłożył słuchawkę. Czy pani może sprawdzić, z jakim numerem jestem połączony?

— A pana numer?

— 83310.

— Zobaczmy — odpowiedział kobiecy głos. — Może się da ustalić. Niech pan zadzwoni za dziesięć minut.

Odwiesił słuchawkę i długimi krokami zaczął przechadzać się po wyziębionym hallu. W świetle ostrej lampy, płonącej za drzwiami widział bezpańskie koty, które ospale przesuwwały się pod domem. Jeden usiadł naprzeciw i przez chwilę przyglądał mu się zwięzonymi oczyma.

Po dziesięciu minutach wrzucił drugą monetę i powtórnie wywołał biuro napraw.

— No i co? — zawołał prawie bez tchu.

— Udało się. Jest pan połączony z abonentem podmiejskim, numer 58311.

— Do kogo należy aparat?

— To już nie moje królestwo — odpowiedział ten sam głos, ale teraz już z nutką rozbawienia. — Niech pan pomęczy koleżankę z biura numerów. I życzę przyjemnej rozmowy z Budapesztem.

Kiedy wbiegł z powrotem do mieszkania, zastał Agatę nad brezentowym workiem, do którego wkładała rozłożone na tapczanie kupki osobistej bielizny. Duża płócienna walizka była już spakowana i zamknięta; obok stały oba magnetofony w skórzanych pokrowcach, gotowe do drogi.

— Jesteś genialna — powiedział zadyszany i ostrożnie wziął ze stolika słuchawkę. Sygnału dalej nie było, ale głosy ucichły; odległa muzyczka także przestała już grać.

— Jeszcze się nie połapali — szepnął i odłożył słuchawkę na widełki. Ale prędzej czy później muszą zauważyć.

— Wtedy już będziemy daleko — mruknęła i związała tasiemki worka. — Ten instrument z żyłką masz tutaj, w bocznej

kieszoni. Taśmę z telefonami także. Wynieś to do windy, a ja włożę płaszcz i pozamykam budę.

Kiedy już zjeżdżali na dół, zapytała:

— Dowiedziałeś się, czyj to aparat?

— Tak. To ośrodek campingowy nad Strugą. O tej porze roku oczywiście nieczynny.

— Mam nadzieję, że nie będziemy go szturmować we dwoje?

— Nie. Ty mnie odwieziesz tylko do najbliższej taksówki, a sama...

— Oszalałeś? — krzyknęła. — Nawet teraz nie wezwiesz milicji?

— Wykluczone. Oni w każdej chwili mogą zobaczyć tę nie dociśniętą słuchawkę. Wystarczy, że któremuś zachce się zadzwonić do miasta. A to nie są debile; od razu wykopują, czym to pachnie! Dadzą nogę, zanim zdążymy policzyć do trzech. Przyjedziemy z milicją na pusty camping i będziemy sobie mogli powiedzieć amen. Pamiętaj, co Jolka przekazała nam przez telefon; a ja jestem pewien, że to nie były żarty!

— To co chcesz zrobić? — zapytała gasnącym głosem.

— Pogadać z nimi. Wysiadaj.

Otworzył drzwi windy, wyniósł graty i wrócił po Agatę, która ciągle jeszcze siała bez ruchu pod mleczną półkulą niskiej lampy.

— Chodź — powiedział. — Trzeba się spieszyć.

Zapakował bagaże do kufra, otworzył wóz, posadził Agatę za kierownicą, a sam usiadł obok.

— No, zapalaj, szkoda czasu.

Miała twarz białą jak z gipsu.

— Agata! — zawołał i trącił ją w ramię.

Obróciła na niego zrozpaczone oczy.

— Zabiją cię! — szepnęła.

— Daj spokój, nie jesteśmy w Chicago. No, ruszaj.

Apatycznie uruchomiła silnik, włączyła bieg i pojechała w kierunku najbliższego postoju. Tymczasem Rafał wyjął z kieszeni „Philipsa”, zmienił kasetę, a tę, która była nagrana, umieścił w skrytce.

— W razie czego — mruknął — wiesz, dokąd jadę. A te wszystkie dzisiejsze rozmówki masz tutaj.

— Gdzie mam czekać? — zapytała bezsilnie.

— Jedź do „Imperialu”. Jakby grymasili, weź na bok kierownika recepcji i przypomnij mu, że w zeszłym roku wygrzebaliśmy ich z brzydkiej sprawy o rzekome łapówki. Myślę, że znajdzie ci nawet pokój z łazienką

— Bądź ostrożny — szepnęła. — To naprawdę nie są żarty.

— Oczywiście.

Skręcili w ulicę, prowadzącą do parku, i pod ciemnymi drzewami zobaczyli senny szyldzik z napisem „Taxi”. Podjechali. Była to ta sama „Wołga”, którą Agata jeździła niedawno po mieście. Długowłosego kierowcę drzemał z głową nienaturalnie odrzuconą do tyłu.

— To mój smarkacz — powiedziała Agata. — No, fajnie. Będę trochę spokojniejsza.

— Możesz być zupełnie spokojna. Ostatecznie ja też nie jestem skończony baran. A wozu nie parkuj pod samym hotelem.

Pocałował ją w usta i otworzył drzwi.

— Zaczekaj — powiedziała. — Sama go obudzę.

Wysiadła, podeszła do „Wołgi” i zgiętym palcem zastukała w podciągniętą szybę.

Chłopak natychmiast usiadł, czujny i od razu całkiem przytomny; budził się jak żbik, przyzwyczajony do niezwłocznego działania.

— Smarkaczu — powiedziała, gdy odkręcił okno. — Widzę, że zmarnowałam ci całą noc. Bardzo mi przykro.

— Detal, proszę pani — uśmiechnął się, poprawiając czuprynę.

— O tej porze wszędzie trudno o klientów.

— Dam ci teraz dobry kurs, ale musisz mi coś obiecać. Obiecasz?

— Stoi.

— Pilnuj mojego męża: i nie daj mu zrobić więcej niż dwa gwałstwa naraz.

Obejrzał się na Rafała i zapytał ostrożnie:

— To ciągle ta sama draka?

— Niestety.

— Niech pan wsiada.

Rafał bez słowa obszedł wóz i usiadł obok niego.

— Jak nie chcesz wpaść na kawę — powiedziała ciepło Agata — to wpadnij kiedyś na pół litra. Zapraszamy.

— Nie potrzeba, proszę pani. Zresztą ja jestem dziwak, Piję tylko mleko.

— No, to zapraszam cię na litr mleka bez kożuchów.

— Niech pani śpi spokojnie — powiedział. — Wrócimy bez defektu.

Kiwnął jej głową, zapalił i ruszywszy od razu ostro zapytał:

— Gdzie?

— Camping nad Strugą.

Szybko wyciągnął wóz na setkę i w milczeniu jechał przez wyludnione miasto.

Potem, nie odwracając głowy, zamruczał jakby w formie wyjaśnienia:

— Jak miałem czternaście lat, piłem spirytus jak wodę. Potem mi się odechciało. I nie chcę wracać.

Zrobił małą przerwę i dodał:

— Mam za sobą trzy lata poprawczaka.

Znowu przez chwilę jechali w milczeniu. Potem Rafał zapytał:

— Za co pana wsadzili?

— Za ciężkie uszkodzenie ciała. Połamałem ojczymowi obie ręce.

— Pił?

— Pił i bił. Należało mu się.

Wyjechali na szosę międzynarodowy, która wyprowadziła ich z miasta. Byli na niej zupełnie sami; nic nie jechało z tyłu ani z przodu. Z prawej strony dochodził groźny pomruk morza.

Rafał wyciągnął „Ekstra mocne”.

— Zapali pan?

— Nie palę też.

— Jest pan wzorowym przykładem resocjalizacji.

Tamten spochmurniał, a potem zapytał cicho:

— Widział pan kiedyś poprawczak od podszewki?

— Widziałem.

— I co?

— Zrobiłem na ten temat kilka audycji.

— Pomogło?

— W paru domach zmienili się kierownicy.

— A stosunki?

— Stosunków nie można zmienić audycjami.

Lecieli w głębokiej ciemności, która otwierała się tylko przed światłami samochodu. Asfalt był wilgotny i błyszczał jak rzeka. Przez uchylone okno wpadał słony wiatr i szarpał chłopakowi włosy.

— Jak wychodziłem — powiedział wreszcie — to przysięgłem sobie: nigdy więcej nie wrócę za kratki. — Zawahał się i zapytał:

— Pan rozumie, o co chodzi?

— Mógł pan ze mną nie jechać.

— Mogłem. Ale było mi żal pana żony.

Minęli wóz, nadjeżdżający z przeciwka. Zwolnili. Po jakimś czasie w światłach zamajaczył drogowskaz. Skręcili w boczną drogę, wysadzaną łysymi topolami. Asfalt był tu gorszy, „Wołga” zaczęła kołysać.

— To nie jest moja żona — powiedział cicho Rafał. — Ale bardzo kława dziewczyna.

— Ja wiem, że nie żona. Ale możemy tak mówić, ona lubi.

— Pan wie?

— Wiem. Jak wychodziłem, zajrzałem do spisu lokatorów. Pani Agata Wołyniec, zgadza się?

— Zgadza.

— A pan jest Rafał Kostroń. Z Radia.

— Zgadza się po raz drugi.

— Bartek — przedstawił się tamten opryskliwie i z namysłem powiedział: — Myślę, że faceci z Radia nie maczają palców w brudnych aferach...

— Nie. Ale czasem muszą się bronić przed brudnymi aferzystami.

Droga zaczęła opadać, po obu stronach pojawiły się suche krzaki.

— To tu — mruknął Rafał. — Może pan zgasić światła i wyłączyć silnik? Jesteśmy z górki.

— Spróbuję.

Przekreślił kluczyk. Pomruk silnika ustał, reflektory oślepyły. Splywali teraz bezszelestnie krętą drogą, która niewyraźnie

pobłyskiwała w mroku. Za drugim zakrętem zobaczyli garść ciemnych pudełek, rozrzuconych nad jaśniejszym pasmem strumienia. Dalej rozciągało się wzburzone morze.

Bartek przyhamował, sprowadził wóz z drogi i zatrzymał wśród karłowatych sosenek.

— Niech pan cicho zamyka — szepnął. — Tu daleko słychać.

— Dobrze — powiedział Rafał.

Wyjął kilka zmiętych banknotów i nie licząc położył na siedzeniu.

— Jakbym nie wrócił za pół godziny, niech pan jedzie do miasta i zawiadomi milicję.

— Aż tak?

— Mówię na wszelki wypadek.

Wysiadł i ostrożnie docisnął boczne drzwi.

Było tu chłodniej niż w mieście, a po nogach ciągnęła wilgoć. Słaby księżyc przeświecał przez rzadkie chmury. Za kusymi sosnami widać było parkan z siatki i żelazną bramę, przegradzającą betonowy podjazd.

Oba jej skrzydła były spięte łańcuchem z automatyczną kłódką, ale mała furtka dla pieszych miała uszkodzony zamek i była tylko przyknięta. Pchnął ją i powoli wsunął się na teren ośrodka.

Było tu dużo małych domków z werandami i dwa większe budynki; w jednym mieściła się sezonowa restauracja, w drugim świetlica i zarząd. W żadnym oknie nie paliło się światło, wszystko było ciche i martwe.

Ruszył powoli ku budynkowi zarządu, nie kryjąc się specjalnie, ale starając się trzymać w cieniu kolejnych domków. Przed ostatnim przystanął. Widniała tu na betonie połyskująca nieduża plama. Nachylił się, dotknął jej palcem, i powąchał: to był świeży olej z silnika. Samochodu jednak nie było.

Obejrzał się w stronę domku. Drzwi na werandę były nie domknięte. Przez chwilę się namyślał, potem podszedł do drewnianych schodków, znowu przystanął, długo nasłuchiwał, -aż wreszcie zdecydował się i pokonawszy trzy skrzypiące stopnie znalazł się pod drzwiami.

Wewnątrz panowała absolutna cisza.

Palcami prawej ręki pchnął skrzydło drzwi i odczekał, aż klamka stuknęła w drewnianą ścianę.

Potem powoli przekroczył próg i zanurzył się w ciemnościach. W środku też było cicho, nikt się tam nie ruszał, nikt nie oddychał i tylko leciutki zapach dymu świadczył, że niedawno palono tu papierosy.

Pstryknął zapalniczką i w nikłym świetle gazowego płomyka zobaczył małego przedsiönek, oddzielony od pokoju na wpół zaciągniętą zasłonką z surowego lnu.

Odgarnął ją szarpnięciem lewej dłoni i odruchowo podniósł prawą, jakby gotował się do przyjęcia ciosu.

Ze środka nikt się na niego nie rzucił, nie padło też żadne słowo zapytania. Pokój był pusty, campingowe mebelki stały obojętnie na swoich miejscach i tylko bawełniany pled, przykrywający wąskie posłanie, wydawał się zarzucony z pośpiechem.

Rafał podszedł, odgarnął go i zobaczył pod spodem całkiem świeżą, choć trochę wygniecioną i bardzo niestarannie ułożoną pościel. Obok stała pusta popielniczka ze śladami popiołu.

Rozejrzał się, znalazł w kącie wiklinowy koszyk z drewnianym denkiem, zerknął do środka, pochylił się i wysypał jego zawartość na podłogę.

Było tam kilka niedopałków, dwa świeże ogryzki jabłka i zgniecione opakowanie po „Damskich”.

Wziął je, otrzepał z popiołu i wsadził do kieszeni. Potem zgasił zapalniczkę, podszedł do okna i uniósł lekką żaluzję z deseczek, nanizanych na nylonowe sznurki.

Pięćdziesiąt metrów dalej połyskiwała w mroku przeszklona świetlica. W jednym z okien na piętrze ktoś stał; widać go było na tle jaśniejszej firanki.

Rafał opuścił żaluzję i po omacku wyszedł na dwór. W oknie nad świetlicą nie było teraz nikogo.

Równym krokiem przeszedł te pięćdziesiąt metrów i stanął przed drzwiami, na których bielą tabliczka z napisem „Ośrodek Wypoczynkowy STRUGA. Zarząd i Administracja.” Na ścianie obok drzwi umieszczony był dzwonek.

Nacisnął go i czekał.

Po paru minutach jedno z okien na piętrze uchyliło się i niechętny głos zapytał:

— O co chodzi?

— Wóz mi się zepsuł — odpowiedział Rafał, cofając się o krok i unosząc głowę. Ale było za ciemno, aby mógł zobaczyć twarz człowieka, stojącego przy oknie. — Chciałbym skorzystać z telefonu.

— U nas nie ma telefonu — odpowiedział tamten i zrobił taki ruch, jakby chciał domknąć uchyloną połówkę okna.

— Owszem, jest — powiedział spokojnie Rafał. — Nawet znam jego numer: 58311.

— I co z tego? — burknął tamten. — Uszkodzony.

— Pan się myli — powiedział Rafał. — Pewna pani dzwoniła z niego do mnie półtorej godziny temu. Teraz ja chciałbym zadzwonić do niej.

— O tej porze? Panie, idź pan i nie zawracaj głowy! — krzyknął człowiek z okna. — Bo zawołam milicję!

— Ja sam ją zawołam — powiedział Rafał. — Jeżeli pan natychmiast nie zejdzie i nie otworzy mi drzwi.

— A wołaj pan! — parsknął tamten. — Najbliższy posterunek jest piętnaście kilosów stąd! Jak pan się dobrze napnie," to może usłyszają.

Brzęknęło zamykane okno i zapadła cisza, bełtana tylko pomrukiem bliskiego morza.

Rafał rozejrzał się, zobaczył metalowy kosz na śmieci, podszedł, zdjął go z żelaznego słupka, wrócił pod przeszkloną ścianę świetlicy i uderzył w najbliższą szybę na wysokości klamki.

Potem wsunął dłoń w wybity otwór, przekręcił klamkę, pchnął okno i wszedł przez parapet do środka.

W głębi domu rozległ się tupot kroków, zbiegających po schodach, potem szcęknięty drzwi i w jasnym prostokącie futryny ukazał się kontur zwalistego człowieka o łysej głowie.

— No, co jest? Co? — krzyknął ten człowiek i namacawszy dłonią wyłącznik na ścianie zapalił światło w świetlicy.

Był szeroki w ramionach, chociaż niski. Miał na sobie pasiastą kurtkę od pizamy i znoszone spodnie z elanobawełny na szelkach. W prawej dłoni trzymał klucz francuski dużego

rozmiaru.

— Niech pan to położy — powiedział Rafał. — I niech mnie pan zaprowadzi do telefonu. Pogadamy z tym posterunkiem, do którego jest piętnaście kilosów.

Tamten podszedł, obejrzał Rafała z uwagą, potem minął go i zaczął oglądać wybite okno.

— Coś takiego — powiedział. — O trzeciej nad ranem! Niech pan powie, przecież to się w głowie nie mieści!

Był już po pięćdziesiątce, przy czym ostatnie lata musiały mu upłynąć na nieustannym kacu.

Odgarnął okruchy szkła nogą i starannie domknął okno.

— Trzy stowy — powiedział. — Tu, na stół, albo pana przetrączę. I niech pan spiernicza w podskokach!

— A tamci?

— Jacy tamci?

— No ci, którzy tu byli z dziewczyną. Dawno wyjechali?

— Panie — powiedział ze smutkiem łysy — ja też nieraz popiję: ale ja się nigdy nie doprowadzam do takiego stanu! Niech pan grzecznie położy te trzy czerwonce, a ja położę lagę na reszcie. Już późno.

— Kochany — powiedział cicho Rafał i podszedł bardzo blisko.

— Ja wiem za dużo, żeby takie numery mogły się udać. Paru facetów przywiozło tutaj dziewczynę. Kazali jej do mnie dzwonić; zadzwoniła. Nie wiem, czy pan był przy tej rozmowie: w każdym razie powiedziała mi, co miała powiedzieć.

Biorze napraw i dlatego tu jestem. Dziewczynę zamknęliście w tamtym domku, obok świetlicy. Była zmęczona, więc się położyła; obejrzałem

pościel, są ślady, że leżała. W koszu na śmieci znalazłem to pudełko. „Damskie”; ona właśnie takie paliła. Teraz ważne są tylko dwie rzeczy: kto to był i dokąd ją zabrali?

— To nic nie da — rozległ się przytłumiony głos Bartka. — On się boi tamtych więcej niż pana.

Obejrzelik się: właśnie przekręcał klamkę. Potem pchnął okno, odgarnął firankę i wskoczył do środka.

— Otwórz pan ryja — powiedział słodko, podchodząc do łysego. — Albo ja ci otworzę tak szeroko, że pokażesz nam

obydwa migdałki.

Łysy zamachnął się kluczem, ale Bartek był szybszy. Odskoczył i „karatem” uderzył tamtego w przegub dłoni. Klucz z hukiem upadł na podłogę. Bartek kopnął go w drugi kąt świetlicy, oburącz złapał łysego za kurtkę na piersiach i z całej siły rzucił go do tyłu.

Łysy poleciał na wznak, przewracając po drodze stolik z pustym wazonikiem i dwa krzesła.

— Panie Bartku! — zawołał ostrzegawczo Rafał.

Ale tamten tylko wzruszył ramionami.

— Niech pan da spokój — powiedział. — Nie ma się nad kim litować.

Podszedł do łysego, który właśnie podnosił się z podłogi, znowu złapał go za kurtkę i po raz drugi pchnął przed siebie. Tym razem łysy wylądował plecami na ścianie.

— Ja tak mogę długo, panie Płoszczak — powiedział Bartek z uśmiechem. — Nawet do samego rana. Więc niech pan się szybko decyduje.

— Ty głupi gnoju! — krzyknął tamten spod ściany, pocierając sobie obu dłońmi rozbite plecy. — Co ci się wydaje? Że jakbym coś wiedział, to oni by mnie tu zostawili?

— A jakby pan nic nie wiedział, to co? Przyjechaliby tu do pana? Takich numerów nie robi się z obcymi!

— Ludzie mają do mnie zaufanie — powiedział z odcieniem dumy Płoszczak. — Po prostu tak, od pierwszego wejrzenia.

— Ja nie mam — oznajmił smutno Bartek. — Może dlatego, że wiem, kogo tu przywoziłem. — Odwrócił się do Rafała i powiedział: — W lecie to tu jest camping, plaża, siatkówka i narty wodne. A w zimie burdel na godziny dla lepszego towarzystwa.

Podszedł do Płoszczaka, bez pośpiechu wziął go za kurtkę od pizamy i znowu walnął nim o ścianę, aż zadrżały rozwieszona na niej reprodukcje postępowej grafiki meksykańskiej.

Płoszczak skrzywił się i pojednawczo zamachał ręką.

— Porozmawiamy? — zapytał Bartek.

Tamten splunął i pokiwał głową twierdząco.

— Niech pan pyta — skinął na Rafała Bartek, robiąc taki gest,

jakby mu ustępował miejsca na strzelnicy. Sam cofnął się i bez zainteresowania zaczął przyglądać się reprodukcjom.

— Usiądźmy — powiedział Rafał. Był speszony zachowaniem Bartka, ale starał się tego nie ujawniać. Wyjął magnetofon, położył na stole i wskazał Płoszczakowi krzesło. — Niech pan nie próbuje kłamać. Każde pańskie słowo zostanie zapisane i w razie potrzeby trafi tam, gdzie powinno.

— Rany Boga! — jęknął Płoszczak siadając. — Wy mnie chcecie zgubić!

— Tylko bez zgrywy! — powiedział złowieszczo Bartek, stając mu cicho za plecami.

Płoszczak obejrzał się na niego niespokojnie.

No, więc byli. Dwóch gości i dziewczyna. Dziewczyna była bardzo zdenerwowana. A om trochę.

Nazwiska? — zapytał Rafał.

— Żartuje pan! Jakbym każdego pytał o nazwisko, tobym miał camping pusty aż do lata!

— Jak wyglądali?

Jeden był kawał chłopca w białej koszuli i nowej jesionce. Łapy miał jak kat; mógłby wyciskać sok z surowych kartofli.

— Wiek?

— Koło trzydziestki. Kolega mówił na niego Luluś.

— Zdaje się, że go znam — kiwnął głową Rafał. —

Lubi nosić przy sobie ostre przedmioty. No, a teraz coś o koledze.

— Kiedy nie rzucał się w oczy. Młody, dosyć fajny, z takich, co się podobają kobietom. Do tej dziewczyny też mówił bardzo grzecznie.

— Jak był ubrany?

— W taki jakiś płaszczyk; trudno powiedzieć. I miał wielkie, czarne okulary. Nie zdjął ich ani razu; dlatego nie wiem, czybym go poznał.

— A co robiła dziewczyna?

— Nic. Dużo paliła.

— Nie płakała?

— Nie. Nalałem jej winiaczku, ale nie wypila. Potem ten młody zabrał ją do tego domku, co pan wie.

- A ten drugi?
- Został ze mną, żeby dopić winiaczek.
- Powiedzieli panu, o co chodzi?
- Tylko tyle, że ta mała pracuje w ciągłym dymie i musi sobie przeczyścić płuca.
- Ale pan czuł, że tu coś nie klapuje?
- A tam! — skrzywił się Płoszczak. — Niektóre tu przyjeżdżają wściekle jak diablice. A rano wstają jak aniołki! Pan nigdy nie rozgryziesz, co jest między babą a chłopem!
- Opera — powiedział cicho Bartek i położył mu dłoń na ramieniu. A potem spojrzął na Rafała i mruknął: Tutaj nikt nie przyjeżdża bez jakiegoś hasła. Pan Płoszczak jest ostrożny, nie wpuści na sam dzwonek. — Przycisnął mu twarz do stołu i zapytał: — Kto ich nadał, panie Płoszczak?
- Jak Boga kocham — zaczął Płoszczak, ale Bartek przycisnął go mocniej i szepnął:
- Widzi pan, taksówkarz to jest jak spowiednik. Wozi, gdzie każą, ale nic nie widzi i nic nie pamięta. Ale tutaj wisi w powietrzu ładne parę latek! Jak pan sobie wszystkiego nie przypomni, to ja tu zaraz nagram temu panu na taśmę wszystko, co wiem o pana budzie!
- I od jutra zmieni się pan w przymusowego abstynenta. Nie żał panu pańskiego winiaczku?
- Płoszczak jeszcze przez chwilę milczał, z policzkiem przyduszonym do stołu; potem zamrugał powiekami, gruby mi jak u żółwia, i powiedział
- Wóz poznałem, no i dlatego...
- Co to był za wóz? — zapytał Rafał.
- Stary „Morris”, ale znaczny. Z białą skórą na siedzeniach.
- Do kogo należy?
- Mówiłem, że nie znam nazwisk.
- Ale właściciela pan zna?
- Z widzenia.
- Niech pan powie coś więcej.
- No, taki kombinator-nieudacznik. Za co się wziął, na tym stracił. Mówili na niego pan Waclaw.
- Kto mówił?

No, ci, co z nim przyjeżdżali. Ja nie wiem.

Mało — mruknął Bartek i zaczął wkładać rękawiczki.

Płoszczak zerknął na niego i zawahał się.

Będzie coś jeszcze? — zapytał ociężale Bartek.

— Wiem, gdzie mieszka.

— No?

— W takim osiedlu, które się rozleciało. Zarząd wszystko rozkradł, a faceci zostali na lodzie. On także.

— Adres?

— Nie pamiętam.

— Ech, panie Płoszczak — westchnął ze znużeniem Bartek. Skończył wciągać rękawiczki, rozczapierzył lewą dłoń i uderzył w nią prawą, zaciśniętą w kułak.

Rafał skrzywił się ostrzegawczo.

— Na rany Chrystusa! — zawołał Płoszczak. — Nie pamiętam, nawet ulicy nie znam, ale wiem, gdzie to jest, i na oko chyba bym trafił.

— No, to jedziemy — powiedział ciepło Bartek.

— Możemy.

— Chwileczkę — wtrącił si j Rafał. — Obejrzyjmy najpierw tę budo; czy pan Płoszczak nie schował kogoś w jakimś kącie.

— Jestem całkiem sam!

— Zobaczymy.

Przeszli z nim wszystkie pomieszczenia na parterze i piętrze; były rzeczywiście puste.

— Z tego telefonu dzwoniła? — zapytał Rafał, gdy na końcu trafili do biura.

— Z tego.

— Kto zauważył, że słuchawka źle leży?

Płoszczak przymknął żółwie powieki i po sekundzie wahania mruknął:

— Ja. Nie lubię komplikacji, dlatego wolałem powiedzieć. Podłożyła pudełko zapalek między widełki.

— Zwinęli się od razu?

— W minucie.

— Sprawni chłopcy.

— Na was też nie można narzekać.

- Dzięki Bogu. No, to jedziemy.
- A co będzie z szybą na dole?
- Wstawi pan rano.
- A jak przez noc coś ukradną?
- To pan będzie płacił. Na pewno ma pan parę złotych na książeczce.
- Ot, tyle, żeby zabezpieczyć starość.
- Głowę dam, że wystarczy na jedno i drugie.

Wsiedli do „Wołgi” zaparkowanej w sosenkach i ruszyli.

— Jeżeli pan kołuje — powiedział ponuro Bartek — to niech pan sobie zaraz poszuka dobrego dentysty. Ja nie lubię tracić czasu na darmo.

— Ja także — kiwnął głową Płoszczak. — Pokażę wam ten dom, ale coś chcę za to mieć.

— Na przykład?

— Ten pan wykasuje przy mnie taśmę.

Bartek pytająco obejrzał się na Rafała.

— Stoi — powiedział Rafał.

— No, to w porządku. A jakby jakiejś czarnulce zachciało się być spikerką, to pan redaktor zna drogę. Wszystko będzie gratis, razem z winiaczkiem.

— Pan redaktor ma już dwie żony — zamruczał Bartek. — I wątpię, żeby miał ochotę na trzecią. Tak, że może pan być spokojny.

Wjechali do ciemnego miasta, które już zaczynało się budzić. Pierwsze ciężarówki rozwoziły tysiące pojemników z białymi butelkami, kapslowanymi na srebro i złoto; nocne autobusy stadami gnały do zajezdni; na przystankach gromadzili się zaspani konduktorzy, którzy mieli wyprowadzić na miasto pierwszą dzienną zmianę.

— Na Zarzecze — powiedział rzeczowo Płoszczak. — To będzie gdzieś tak w bok od Prądyńskiego.

Skręcili w bezpieczny teren, gdzie zamiast ulic krzyżowały się koleiny wyschniętego błota. Po bokach sterczały liczne ruiny czyichś zawiedzionych nadziei: zalane wodą fundamenty, ściany podciągnięte do parteru lub pierwszego piętra, pojedyncze domki, wykończone w stanie surowym, z oknami

zabitymi deskami i dachami, prowizorycznie pokrytymi porwaną papą. Tylko gdzieniegdzie, jak przysłowiowy rodzynek, majaczył w ciemnościach domek, doprowadzony do stanu używalności, ale też bez tynków, bez poręczy na balkonach i schodkach, nie ogrodzony i otoczony jałową parcelką, która kiedyś miała zmienić się w kwitnący ogródek.

— Masz pan prywatne spółdzielnie — zamruczał ze zgorzaniem Płoszczak. — Jedni kradną, a drudzy dają się okradać. A potem jest tak.

— Dobra, dobra — przerwał mu Bartek. — Nie jesteśmy z inspekcji budowlanej. Prowadź pan na miejsce.

— Kiedy trudno się zorientować.

— Niech pan nie żartuje!

— Słowo daję, że trudno. Niech pan podjedzie pod tamten.

Podjechali pod czerwony domek, który połowę okien miał zabitych na głucho.

— Nie — pokręcił głową Płoszczak. — Tam nie było aż tak źle. Cholera, nie mogę poznać.

— Tynkowany był?

— Nie. Ale oszklony. I z kratami.

Kręcili się jeszcze przez parę minut po tym spółdzielczym pobojuwisku, aż nagle Płoszczak uderzył Bartka w ramię:

— Tam. Ale niech pan nie staje pod samymi oknami.

Przyczaili się za górą gliny, wybraną kiedyś przez spychacz i pozostawioną jak kopiec, poświęcony naiwnym ciułaczom.

Trzydzieści metrów dalej, profilem do nich, stał domek, wyporzadzony trochę lepiej niż inne, ale też daleki od stanu pełnej gotowości. W każdym razie pokryty był dachówką i otoczony pierwszym zarysem przyszłego ogrodzenia; zamykał go czworokąt żelaznych słupków, zacementowanych w gołym gruncie; widocznie właścicielowi zabrakło już gotówki na siatkę. Schodki na parter także wyglądały jak trap, przerzucony w powietrzu, a zamiast balkonu sterczały nad nim cztery szyny nośne, nie pokryte betonem.

— To są jego interesy — powiedział ze współczuciem Płoszczak.

— Ciągle mu się zdaje, że zarobi jak Onassis. A potem nie ma na mieszankę trawnikową, żeby posiać przed domem.

Marzyciel, cholerny świat!

— Zawsze co chata, to chata — mruknął Bartek. — Kiedyś wykończy.

— Jak go nie wsadzicie.

— Może nie wiedział, na co pożyczą samochód?

— Może.

— No, to wcale nie musi siedzieć.

— Ja też myślę, że nie musi.

Przestańcie — powiedział Rafał. Był zdenerwowany. Czuł, że usta ma suche i gardło za wąskie. — Spróbuję tam wejść. Gdybym się nie pokazał przez kwadrans...

— Wiem — przerwał mu Bartek. — I niech pan się nie martwi. W szesnastej minucie wkraczam do środka z narkozą.

Rafał otworzył drzwiczki, niezgrabnie wyszedł z wozu i pomyślał, że jest zmęczony. Zbyt zmęczony na to wszystko, co go jeszcze czekało.

Minął żelazne słupki, wytyczające granice posesji nieznanego mu pana Wacława — człowieka, który, być może, nie był w nic zamieszany, ale który mógł być równocześnie mózgiem tej całej dziwnej sprawy — wszedł na betonowy trap, przerzucony nad śmietniskiem rozbitych cegieł, zastępujących kwietnik przed domem, i nie znalazłszy dzwonka zaczął głośno stukać do drzwi wejściowych.

Dom był ciemny i cichy, nikt nie odpowiadał na jego stukanie.

Zszedł ze schodków, zobaczył skośną pochylnię, prowadzącą do garażu pod tarasem, ześliznął się po niej aż do podwójnej bramki, zamkniętej na sztabę z grubą kłódką, i zrozumiał, że tędy też nie dostanie się do środka.

Wdrapał się z powrotem na górę i zaczął obchodzić dom dokoła.

Wszystkie jego okna, z wyjątkiem dwóch na parterze, były pozbawione firanek, ale za to wyposażone w tęgie kraty, wpuszczone w mur.

Kiedy obszedł węgiel tarasu i zanurzył się w jego płytki cień, poczuł niepokój i stanął. Teraz już nie widział „Wołgi”, przyczajonej za gliniastym kopcem; równocześnie doznał wrażenia, że nie jest tutaj sam; że w tym płytkim cieniu jest

jeszcze ktoś oprócz niego.

Wstrzymał oddech i czekał; ale nie usłyszał żadnego szelestu ani też niczyjego oddechu. Po chwili ruszył dalej.

Za tarasem, na tyłach garażu, otwierał się pochyły podkop, prowadzący do małych drzwi, które z pewnością były drzwiami do piwnicy.

Zobaczył, że nie są dokładnie zamknięte i zsunął się do nich.

Chwilę stał bez ruchu, potem pchnął te drzwi; otworzyły się z lekkim zgrzytem.

Wszedł do mrocznego wnętrza, gdzie pachniało stęchlizną, i sięgnął po zapalniczkę.

W tej chwili usłyszał delikatny szmer i prawie równocześnie poczuł silne uderzenie w tył głowy. Padając pomyślał, że powinien krzyknąć, ale nie potrafił. Zwalił się na surową podłogę bez dźwięku.

Kiedy się obudził, „Wołga” kołysała się na wybojach. Dotknął głowy oburącz, a potem z wysiłkiem usiadł.

Bartek siedział skupiony przy kierownicy. Poza nimi dwoma w samochodzie nie było nikogo.

— Co się stało? — zapytał z trudem.

Bartek obejrzał się i przyhamował, a potem zatrzymał wóz. Stali przy wjeździe na szeroką, dobrze oświetloną, całkiem pustą aleję. Jezdnia lśniła wilgocią; widocznie przed chwilą przejechały tędy pierwsze miejskie beczkowsy. Z tyłu otwierał się ciemny cmentarz spółdzielczych marzeń.

— Oberwał pan — powiedział cicho Bartek. — Wyciągnąłem pana z takiej głupiej klity na grabie i szpadle. Zdaje się, że jednym panu przyłożyli.

— Nie pamiętam — szepnął Rafał i poczuł ból w całej czaszce.

— Nic, cholera, nie pamiętam...

— Detal — powiedział Bartek. — Prześpi się pan, wypije kawkę i lanca do boju. Gorzej, że ten alfons nam prysnął.

— Jaki alfons?

— Pan Płoszczak z burdelu nad Strugą.

— Uciekł?

— Nie wiem. Może uciekł, a może go wyciągnęli. Jak pana przywlokłem, a trochę to trwało, już go nie było. Zapalić panu

fajkę?

— Nie, teraz nie... Kręci mi się w głowie.

— Niech pan głęboko oddycha.

Rafał posłuchał i poczuł ulgę, chociaż ból wcale nie był mniejszy.

— Nie wiem — szepnął — czy dobrze pan zrobił. Może trzeba było wejść do środka?

— A po co?

— No, sprawdzić, czy jej tam nie ma...

— Nie mogli jej tam przywieźć. Wiedzą, że Płoszczak zna samochód tego faceta i może to wyśpiewać. Musieli ją zamelinować w całkiem nie znanym miejscu.

— No, to kto mnie trzepnął? Właściciel?

— A co by mu z tego przyszło?

— Więc kto?

— Myślę, że jeden z tamtych. Czekał tu, żeby sprawdzić, czy Płoszczak nie sypie. Przy okazji pomyślał, że może pana trochę ostudzić. Albo uregulować stare rachunki. Zdaje się, że pan coś miał z tym o wielkich łapach...

— Miałem, dziś po południu.

— To znaczy: wczoraj po południu.

— No, wczoraj.

— Właśnie — powiedział z satysfakcją Bartek. — Niech pan się cieszy, że pan ze mną rozmawia. Mógł być mózdzek po polsku, a jest tylko mały karuzel. Gdzie pana zawieźć?

— Pod Filharmonię.

— Niech pan zwyczajnie mówi, że do „Imperialu”. Ja nie wydam.

— Dobrze — szepnął apatycznie Rafał. — Do „Imperialu”.

— No właśnie — mruknął Bartek i wrzuciwszy bieg dodał z miejsca gazu, aż zadzwoniły zawory. — Na dzisiaj panu wystarczy.

Chwilę jechali przez budzące się miasto. Potem Bartek powiedział ostrożnie:

— Jeżeli pan chce, to ja tam skoczę jutro z rana i po- węszę. Jakby się kto pytał, powiem, że podwoziłem pasażera, który nie zapłacił za kurs. Potem przedzwonię panu do Radia.

— Tak — szepnął Rafał. — Chyba tak... Nie mogę zebrać myśli.
— Znam to — powiedział Bartek. — Parę razy tak miałem. Nie trzeba się przejmować. Niech pani Agata zrobi panu zimny okład. Najlepiej z lodu.

Potem chwilę pogwizdywał przez zęby i nagle zamruczał:

— A tego alfonsa jeszcze przydybię.

Zatrzymali się przed hotelem. Na parkingu stało wiele zagranicznych wozów, ale wozu Rafała nie było. Odnotował to z nikłą satysfakcją i nie bez trudu otworzył drzwiczki.

— Pomóc panu? — zapytał Bartek.

— Nie, już dobrze. Policzmy się.

Jutro — powiedział Bartek. — Dziś nie powinien pan dotykać portfela. Zadzwoń po dziewiątej do Radia.

— Dziękuję — szepnął Rafał. — Fajny z pana facet.

— Tak mówią. Niech pan pozdrowi panią Agatę.

— Spróbuję — odpowiedział Rafał. — Chyba, że zapomnę po drodze. Mam głowę jak stary nocnik. Dobranoc.

Chwiejnie wszedł do zakurzonego hallu, który przed pół wiekiem zachwycał gości śmiałością rozwiązań. Połączone drzwi już były otwarte; nocny cerber uznał widocznie, że nie warto dłużej drzemać na stołeczku za progiem: kto miał przyjść, ten już przyszedł, a reszta zapila się na mieście.

Króciutki recepcjonista o wyglądzie profesora botaniki skłonił się przyjaźnie zza kontuaru. Przyzwyczajony był do gości, którzy wkraczają tu o świcie niepewnym krokiem.

— Pierwsze piętro — powiedział. — Pokój sto trzystaście.

Rafał zatrzymał się przy nim i przez chwilę próbował się skupić. Wreszcie mu się to udało.

— Gdyby ktoś się pytał — zamruczał — proszę nie podawać, że tu mieszkamy.

— Wiem — odpowiedział recepcjonista. — Pani już mówiła. Zapisalem.

— Dziękuję — mruknął Rafał. — Niech mi pan ściągnie windę. Jutro się panu odwdzięczę.

— Nie potrzeba — odpowiedział dwornie tamten. — Pan zrobił dla naszego hotelu więcej niż ktokolwiek inny.

Ściągnął mu staroświecką windę w ażurowym kanale,

pomógł mu wejść, wsiadł razem z nim, odwiózł go na pierwsze piętro i doprowadził pod rzeźbione drzwi z grubą, metalową klamką.

— Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę zadzwonić przez centralę. Jestem do szóstej. Potem będzie kolega, który też państwa dobrze zna. Dobrej nocy.

Zaczekał, aż Rafał otworzy, a potem odwrócił się i odszedł zmęczonym krokiem starego człowieka, który tylko pod cudzym wzrokiem może się zdobyć na światowe maniery.

Pokój był duży, wyłożony dywanem, ciepły i z łazienką, w której nawet teraz coś dzwoniło i cmokało. W głębokiej niszy, zaciąganej pluszową kotarą, stało podwójne małżeńskie łóżko z dwoma nocnym stolikami, na których stały identyczne lampy z przepalonymi abażurami i również identyczne, trójkątne popielniczki z niebieskim napisem „Orbis”. Jedna z lamp się paliła; w jej świetle widać było Agatę, śpiącą na boku, z jasnymi włosami rozrzuconymi na połowie poduszki.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się: bo ten jej sen na boku i te włosy, rozsypane wokół twarzy, były jedyną rzeczą, jaka ostała mu się w chaosie ostatnich godzin — niezmieniona, nienaruszona i przez to budząca nadzieję. Potem — przytrzymując się dłonią futryny — wszedł do łazienki, która była większa niż obowiązujący przydział na rodzinę z dwojgiem dzieci, odkręcił gwiazdzisty kran z czerwoną obwódką i czekając, aż woda wypełni wannę, zaczął się rozbierać.

Potem, gdy już siedział w ciepłej kąpieli i czuł, że powoli wraca do życia, w drzwiach stanęła Agata. Była zaspana, ale uważna. Nieporadnie ściągała na sobie płaszcz kąpielowy i z wysiłkiem mrugała oczami.

Podniósł rękę, dając jej znak, że wszystko w porządku, a ona zamruczała:

— Kazałam przynieść pół litra i „Kryniczankę”. Nalać ci?

— Dziękuję. I bez tego kręci mi się w głowie. Zdaje się, że półcegłówka jest skuteczniejsza od czystej.

— Dzwonimy po pogotowie? — zapytała od razu przytomnie i nie było w tym cienia kokieterii.

— Nie — powiedział. — Byłoby za dużo tłumaczenia.

Wystarczy, jak znajdziesz mi „Gardan”.

— Mam — powiedziała. Szybko wyszła i wróciła z zieloną paczką, z której wyłuskała dwie tabletki.

Zażył je, popijając wodą z kranu, a potem wstał. Agata bez słowa owinęła go wielkim, frotowym ręcznikiem z dwoma napisami „Orbis”, wytłoczonymi białymi literami na niebieskim tle, i poprowadziła do łóżka.

Padł na nie jak umrzyk, ale oczy miał szczęśliwe. Zrzuciła płaszcz kąpielowy i przysiadła obok niego, obejmując w zamyśleniu swoje" duże, smagłe piersi.

— Dobrze, że jesteś — powiedziała — Ale czy to wszystko?

— Prawie — powiedział.

Wyciągnął dłoń i rozgarniając jej rękę delikatnie wziął ją za sutkę.

— Nie postawiłaś wozu pod hotelem — powiedział. — To dobrze.

Machinalnie zdjęła jego dłoń ze swojej piersi i zapytała:

— Co ci dał ten wyjazd? Poza rozbitą głowę?

— Nie wiem — odpowiedział cicho. — Ale chyba dużo. Trafiłem na adres, który- może być kluczem do wszystkiego.

— A nie boisz się, że masz wstrząs mózgu?

— Nie, bo nie czuję mdłości. Zresztą już jest wszystko w porządku.

Przyjrzała mu się z uwagą i dotknęła jego czoła. Potem zapytała:

— Co to za adres?

— Faceta, którego samochód brał udział w porwaniu Jolki.

— Ale Jolki nie znalazłeś?

— Nie.

Pokiwała głową i szepnęła:

— Ja bym mimo wszystko zawiadomiła milicję.

Podniósł palec i potrząsnął nim w powietrzu przecząco.

— Nie — powiedział. — A przynajmniej nie teraz. Najpierw zgramy nasze własne atuty.

— A mamy?

— Mamy.

Czekała w nieufnym milczeniu.

— Po pierwsze — powiedział — żyłotka z odciskami palców. Po drugie: gówniarz, który przyszedł z tym drugim do Jolki. Po trzecie: facet, który dał tamtym swój wóz. Po czwarte: nagrania wszystkich rozmów, jakie przeprowadziliśmy dzisiaj po południu i w nocy. Po piąte: cinkciarz Wiesio i jego kontakt na panią Gizelę, która wyjechała z Elżbietą za miasto. I po szóste: pomysł na samą Elżbietę.

— To by mi się podobało najbardziej — powiedziała ostrożnie Agata. — Ale czy naprawdę masz taki pomysł?

— Mam — powiedział. — Ale nie każ mi dzisiaj opowiadać. Jestem trochę zmęczony.

— Spij — zdecydowała od razu i zgasiła światło.

Zapadł w półmrok i posłyszał, jak ona mości się pod swoimi dwoma pledami na bliźniaczej połowie łóżka.

Wyciągnął dłoń i odnalazł jej ciało w ciemności.

— Chodź — szepnął.

— Zwariowałeś? — zapytała. — Po takim dniu i po tych wszystkich nerwach?

— Obejmij mnie — powiedział pokornie.

Namyślała się przez chwilę, a potem bez przekonania przesunęła się pod jego koce.

Poczuła, że drży, i objęła go ciasno, jakby chciała go uchronić przed wszystkim, co jeszcze może wynurzyć się z szarej brei wstającego świtu.

— Nie gryź się — szepnęła. — Ostatecznie nie jesteś niczemu winien.

— Nie — odpowiedział szeptem. — Ale może byłem złym ojcem?

O wpół do dziewiątej pojechali do Radia. Dzień był ciemny i mglisty, chwilami siąpiło. W powietrzu wisiały spaliny.

Oboje byli senni i mieli podkrążone oczy. Nie chciało im się rozmawiać. Zresztą wszystko dokoła trzęsło się od huku masywnych wywrotek, wiozących materiały dla dziesiątka budów, rozsianych po mieście.

W milczeniu ustawili się w małej uliczce, która była czymś w

rodzaju parkingu dla radiowców i pracowników TV.

Dopiero teraz Rafał zapytał:

— Wzięłaś wszystkie ostatnie taśmy?

Kiwnęła głową.

— Przepisz mi to, co nie dotyczy wprost Elżbiety ani mojej żony. Wezmę to potem, jak będę jechał do miasta.

Oryginały zamknij w swojej szafce, a klucz noś przy sobie.

— Mogę je schować tak, że ich diabeł nie znajdzie.

— Nie — powiedział. — W razie czego toby wyglądało dwuznacznie. Wystarczy, że nie będą na wierzchu.

Pocałowali się w hallu i Rafał poszedł do starego. Zastał go nad stertą grubych arkuszy. Obok stała nie dopita szklanka służbowej kawy.

— Mam do ciebie dwie prośby — powiedział i ciężko usiadł w fotelu, pokrytym czarnym skajem. — Czy mam jechać od razu, czy poczekać, aż skończysz kawę?

Krasnoludek podniósł oczy znad bibulastych komunikatów i pokręcił głową.

— Nie kwitniesz dzisiaj — powiedział. — Takiej buzieńki nie widziałem u ciebie od dawna.

— Źle spałem — odpowiedział Rafał, nie patrząc mu w oczy. Potem podniósł wzrok i cicho poprosił: — Zastąp mnie na tym spotkaniu w KW.

Krasnoludek złożył „Biuletyn”, dopił kawę i ligninową chusteczką wytarł usta.

— Nie zastąpię cię — powiedział z łagodnym błyskiem w oczach. — „Polmechan” uznał twoje zarzuty i zgodził się jeszcze raz rozpatrzyć wszystkie premie. Tak, że żadnego spotkania nie będzie. Co dalej?

— Puść to w lokalnym — powiedział jeszcze ciszej Rafał i położył przed nim kartkę z kilku wierszami tekstu. — I załatw, żeby nadali w ogólnopolskim.

Tamten wziął kartkę, przewertował ją w milczeniu i popatrzył na Rafała z uwagą.

— A czy możesz mi wytłumaczyć, co to znaczy? — znowu spuścił oczy na tekst i odczytał go na głos: — „W związku z wypadkiem, jakiemu ostatniej nocy uległa jedna z członkiń

Niskogórskiego Klubu Fińczyków, Zarząd Klubu prosi wszystkich członków o natychmiastowe skontaktowanie się z Prezesem, celem wspólnego omówienia powstałej sytuacji”.

Odłożył kartkę i zapytał:

— Co to za klub?

— Powiem ci jutro.

— A kto jest jego prezesem?

— Tego też nie mogę powiedzieć dzisiaj.

— Czy to ma związek z twoją audycją o Ewie Szmidt?

Zawahał się i powiedział:

— Ma.

— Nie powiesz mi nic więcej?

— Naprawdę nie mogę — stuknął palcem w kartkę i szepnął: — Ale od tego bardzo wiele zależy.

Tamten zamyślił się i westchnął:

— Czuję, że przez ciebie mój fotel kurczy się z każdą - godziną. Kto wie, czy jeszcze jutro będę miał na czym siedzieć? Ale zaryzykuję: w lokalnym pójdzie zaraz, w ogólnopolskim jak się da najprędzej.

— Dziękuję — powiedział Rafał i wyszedł.

Agata była w montażu; kończyła przepisywać fragmenty nocnych rozmów. Kiedy wszedł, podniosła oczy i zapytała:

— Znasz kapitana Karola Rutkę?

— Znam. To mój kolega. Wypuścił mnie dzisiaj w nocy.

— Dzwonił, że jest z powrotem w Komendzie i że ma coś dla ciebie. Ale nie, nie na telefon; chce, żebyś wpadł chociaż na chwilę.

— Dobra, daj mi tylko te taśmy.

Przepisała ostatnie metry na standard i włożyła wszystko do pudełka. W tej chwili zadzwonił miejski. Rafał wziął słuchawkę; to był Bartek.

— Jak głowa? — zapytał.

— Lepiej — odpowiedział Rafał. — Tylko dobrze, że nie noszę czapki, bobym chyba nie włożył.

— Zawrotów nie ma?

— Nie.

— No, to chyba nie był szpadel, tylko coś bardziej ele-

ganckiego; może po prostu kawał sztachety. Pani Agata nie psioczy na mnie?

— A za co na pana?

— Za brak opieki.

— Nie; jest tylko trochę małomówna.

— Niech pan powie, że podrzucę jej kwiatki. Tamten nazywa się Hartman, Waclaw Hartman, lat około pięćdziesiąt, z zawodu technik budo wdany, do niedawna pracował w prywatnej firmie braci Glińskich, ostatnio bez stałego miejsca pracy. Ma rzeczywiście „Morrisa” z białymi siedzeniami, numer rejestracyjny ŁW 0189. Próbowałem się dostać do domu, ale nie odpowiada na pukanie. Sąsiedzi nie widzieli go od wczoraj rana; albo wyjechał, albo nie wychodzi. W każdym razie wozu nie ma w garażu; zaglądałem przez okienko, pusty. No, to na razie byłoby tyle.

— Dziękuję, panie Bartku — powiedział Rafał. — Mam nadzieję, że załatwił pan to wszystko na włączonym liczniku. Jak się spotkamy...

— Mamy czas, panie redaktorze — przerwał mu Bartek. — Na razie będę go szukał po mieście. Dowiedziałem się o paru lokalach, w których czasem się zjawia. Jakby co, będę dzwonił.

— Może mnie nie być — ostrzegł go Rafał. — Ale będzie Agata; niech pan jej wszystko przekaże, dobrze? A potem się jakoś umówimy.

— Na mleko — odpowiedziała mu Agata.

— Na mleko — powtórzył i uśmiechnął się do słuchawki. — Bez kożuchów. Stoi?

— Stoi — odpowiedział Bartek i odłożył słuchawkę

— Fenomenalny smarkacz — powiedziała Agata. — Prawdę mówiąc dużo przyjemniejszy od ciebie. Szkoda, że tyle młodszy. Czulałabym się przy nim jak mamusia.

— Nie przesadzaj — powiedział. — Najwyżej jak starsza siostra. W każdym razie masz u niego szanse, pamiętaj.

— Nic z tego — powiedziała. — Z góry wiadomo, że chroniłby mnie przed wszystkimi kłopotami. A ja już bez kłopotów nie wyobrażam sobie nawet jajek na miękko. Kiedy wrócisz?

— Nie wiem — odpowiedział, gładząc ją po włosach. — Będę

dzwonił, ale ty się nie ruszaj: Elżbieta może odezwać się w każdej chwili!

Był już w hallu, gdy siwa portierka przywołała go do telefonu. Podszedł i usłyszał w słuchawce głos Marka, chłopaka Elżbiety:

— Co się stało? Szukam pana od szóstej! Czy u pana w domu jest zepsuty telefon?

— Nie — odpowiedział Rafał, osłaniając dłonią usta i zerkając na portierkę. — Po prostu nocowałem dziś w „Imperialu”. Czy pan coś znalazł?

— W pewnym sensie — odpowiedział ostrożnie chłopak. — Tu znaczy wiem, gdzie jest ta pani. Ta, o której mówiliśmy wieczorem.

— Pani G.?

— Tak, proszę pana. Czy możemy do niej pojechać?

— Kiedy?

— Najlepiej zaraz.

— Daleko?

— Godzina drogi samochodem.

Rafał spojrział na zegarek i powiedział:

— Nie, zaraz nie mogę. Umówmy się o pierwszej.

— Późno.

— Wcześniej nie dam rady. Mam jeszcze parę ważnych spotkań.

— Na ten sam temat?

— Oczywiście.

— Nie może pan mówić wyraźniej?

— Nie; rozmawiam z portierni.

— A gdybym do pana przyjechał?

— Nie zdąży pan, już wychodzę.

— Jedzie pan do śródmieścia?

— Tak.

— To może zrobmy tak: będę czekał przy Domu Towarowym i pan mnie po drodze zabierze.

Rafał przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział:

— Dobrze, ale niech pan czeka za skrzyżowaniem. Przy samym Pedecie jest zakaz zatrzymywania.

— Rozumiem, będę czekał przy kiosku z kwiatami.

— Przyjadę za piętnaście minut.

Wsiadł do wozu, puścił wycieraczki, żeby przetrzeć szybę z nalotu drobnej mżawki, i pojechał do miasta.

Przy kiosku z kwiatami, za Pedetem, zobaczył skurczoną postać w połyskującej wiatrówce. Przyhamował i otworzył prawe drzwi. Marek wsiadł i chusteczką otarł sobie twarz i włosy.

Ruszyli.

— Nie spałem całą noc — powiedział chłopak. — Cholernie mnie to podcięło.

Mnie także — mruknął Rafał. — Jak pan znalazł panią Gizelę?

— Przez tego wczorajszego typka, pan pamięta.

— Odezwał się sam?

— Przyszedł o szóstej do akademika. Zdaje się, że on poważnie potraktował pańską ofertę.

— To znaczy?

— Spodziewa się grubszej gotówki. Niech pan będzie ostrożny z pieniędzmi.

— Mam dwa magnetofony — mruknął Rafał. — W razie czego sprzedam jeden. Albo nawet obydwa. Ostatecznie mogę korzystać ze sprzętu służbowego. Naprawdę nie chodzi mi o forszę. Czy Elżbieta jest z tą panią?

— Nie wiem — odpowiedział szczerze chłopak. — Wyjechały razem, to wszystko. Ale nie mamy innego kontaktu. Chyba, że pan coś chwycił?

— Nie — odpowiedział ponuro Rafał. — Miałem dużo głupich przygód, ale żadna nie doprowadziła mnie do Elżbiety.

— Niedobrze — szepnęła Elżbieta. — Boję się, że tu każda godzina może mieć znaczenie. Nie możemy odłożyć tych pańskich spotkań?

— Nie — powiedział twardo Rafał. — Bo tu już nie chodzi tylko o Elżbietę. Jest jeszcze druga dziewczyna, która znalazła się w głupiej sytuacji. Muszę szukać obu naraz.

Rozumiem — odpowiedział chłopak, ale nie było w tym głębokiego przekonania. — W każdym razie niech pan to skróci do minimum.

Zajechali przed tę samą Komendę, w której Rafał był po południu u porucznika Jasły i do której przywiózł go potem

radiowóz, wezwany przez pana Stańczyka.

— Niech pan tutaj zaczeka — powiedział Rafał. — Łatwiej mi będzie gadać samemu.

— Oczywiście — potwierdził chłopak. — Ja też o tym myślałem, ale nie chciałem decydować bez pana. Mama Elżbiety była bardzo przeciwna mieszaniu w to milicji.

— Ja także — powiedział Rafał, chowając odruchowo kluczyk do kieszeni. — Na razie załatwiam to wszystko prywatnie, przy pomocy moich osobistych kontaktów. Ale jest parę rzeczy, bez których nie ruszę z miejsca.

Wszedł do obszernego przedsionka, podszedł do okienka i zapytał o Karola.

Podstarzały milicjant o wyglądzie solidnego cieśli przerzucił plik zleceń leżących na zaplamionej atramentem bibule i skierował go na pierwsze piętro do pokoju numer 102.

Siedział tam ten sam podniszczony kapitan, który poprzedniej nocy rozmawiał na dole z Rafałem. Wyglądał na zmęczonego. Kiedy zobaczył Rafała, rozejrzał się niepewnie; czterech innych funkcjonariuszy uwijało się tutaj jak w ukropie: dzwonili, podpisywali jakieś raporty, dawali coś do podpisywania zakłopotanym cywilom, przyjmowali telefony i bez przerwy wołali „chwileczkę!”.

— Wyjdźmy na korytarz — powiedział. — Kiedyś miałem własny pokój, ale teraz?...

Rafał kiwnął głową bez słowa.

— Skończyłem dyżur o szóstej — powiedział Karol, kiedy wyszli z pokoju. — Ale już od ósmej jestem tutaj. Chciałbym, żeby twoja audycja wypadła jak najlepiej.

— Dziękuję ci — wymamrotał Rafał, ale tamten przerwał mu machnięciem ręki.

— Wypijemy, jak skończysz. Na razie są komplikacje.

Ten pan Stańczyk... wiesz, ten, od którego cię tutaj przywieźli...

— Wiem — skinął głową Rafał. — Pewnie zjawił się i zażądał wyjaśnień.

— Nie, nie to — powiedział szybko kapitan. — Jest całkiem inna historia... Tylko nie wiem, jak ci o niej powiedzieć. To jest coś, co pośrednio dotyczy ciebie. A ja nie chciałbym, żebyś mnie źle

zrozumiał...

— Najlepiej mów po prostu.

— No, więc tak. Pytałem paru ludzi i wychodzi, że ten Stańczyk, widzisz, spotykał się z twoją córką.

— Domyślałem się tego — powiedział cicho Rafał. — Wiem, że bywała u niego w domu... a przynajmniej raz była z jedną koleżanką.

— No, właśnie — szepnął z zażenowaniem kapitan. — Dzielnicowy na Bolesławowie jest moim dawnym kolegą... Jego zdaniem, to nie było raz ani dwa razy. Ona tam przychodziła, kiedy chciała. Miała nawet własne klucze. Może to nic nie znaczy, rozumiesz, ale wygląda jak wygląda. Czy to ci nie popsuje twojego programu?

— Nie wiem — odpowiedział z zamyśleniem Rafał.

— Bardzo by mi było szkoda. My oboje z żoną...

— Oczywiście — przerwał mu Rafał. — A nie wiesz, od kiedy się to zaczęło?

— Nie, ale mogę się dowiedzieć. Zdaje się, że to chodzi o ostatnie czasy: Jak chcesz, mogę zaraz zadzwonić.

— Nie — pokręcił głową Rafał. — Nie dzwoń, zapytasz się przy okazji. A o nim samym, co mówią?

— Nic — odpowiedział ze smutkiem kapitan. — Bezkolizyjny. Nie pije, jeździ ostrożnie, w ogóle nie miał zatargów z władzą. Zdaje się, że nawet nie słucha, czego nie trzeba. Trochę udziela się w „Yacht-Clubie” i czasem bierze udział w zawodach dla old-boyów. Nie było na niego żadnych zażaleń.

— Dobrze — powiedział Rafał. — Tu mam taśmy z rozmówkami, które przeprowadziłem z różnymi ludźmi. Gdybyś poznał jakiś głos...

— Jasne, Rafał — powiedział szybko tamten. — Ale nie spodziewaj się zbyt wiele. Ja jestem na takiej pół-emeryturze i moje możliwości są ograniczone. W każdym razie dam to posłuchać temu i owemu.

— Jeszcze jedno — powiedział cicho Rafał. — Potrzeba mi kogoś w daktyloskopii. Poradź mi, do kogo się zwrócić.

— Chodzi o czyjeś odciski palców?

— Właśnie.

Tamten przekręcił głowę na bok i chwilę medytował z zakłopotaniem. Wreszcie znowu popatrzył na Rafała.

— Stary — zamruczał — a może to po prostu trzeba pchnąć na drogę urzędową?

— Nie — odpowiedział Rafał. — A przynajmniej jeszcze nie dzisiaj. Możesz mi pomóc czy nie możesz?

Tamten znowu przyjrzał mu się z rosnącą Uwagą i powściągliwie odpowiedział:

— Nie gniewaj się, ale chyba nie. Na pewno znajdziesz w Zakładzie kogoś, kto słucha twoich „S.O.S.”. Pomogą ci, zobaczysz. Ale ja sobie tam nie przypominam nikogo znajomego.

— W porządku, Karol — skinął głową Rafał. — A jeśli chodzi o te taśmy, to chyba ci ich nie zostawię. Masz dosyć własnej roboty.

— Nie, dlaczego? — powiedział szybko tamten. — Daj, zaraz się tym zajmiemy!

— Może później — odpowiedział Rafał i wyszedł, czując na plecach jego uważne spojrzenie.

Marek siedział dalej w samochodzie przed gmachem Komendy. Twarz miał mroczną, a kąciaki ust opuszczone.

Rafał usiadł obok niego i po sekundzie wóz z głośnym piskiem opon wyskoczył z parkingu.

— Coś nie tak? — zapytał Marek.

— Zrobiłem błąd, który może nas drogo kosztować. Byłoby najlepiej, gdyby pan podał mi ten adres i wysiadł. W pewnym sensie jestem spalony.

— W jakim sensie? — zapytał chłopak i popatrzył na niego z niepokojem.

— Powiedziałem za dużo człowiekowi, który za chwilę przekaże to dalej.

— Jest pan pewien, że to zrobi?

— Tak, bo to jest człowiek nieposzlakowanej uczciwości.

Wjechał w małą uliczkę obok skwerku zarośniętego starymi kasztanami i zatrzymał wóz przy pierwszych gołych krzaczkach. Potem sięgnął do skrytki po notes i długopis.

— Gdzie to jest?

— Chwileczkę — szepnął Marek. — Co mu pan właściwie powiedział?

— To nieważne. Po prostu zwróciłem na siebie uwagę. I odciąłem się od jednej ważnej nitki, która mogła mnie doprowadzić do kłębka. Teraz żałuję.

— O jakiej nitce pan myśli?

Rafał sięgnął do otwartej przed chwilą skrytki, wyjął podłużne zawiniątko, spięte gumką od lekarstw, ściągnął ją, odsłonił brzeg chustki i pokazał chłopakowi drewniany trzonek z połówką „Polsilvera”.

— Na tym są ślady palców faceta, który wczoraj wieczorem uprowadził koleżankę Elżbiety. Jeżeli był notowany, za godzinę mielibyśmy jego nazwisko, a może i adres.

— A teraz już nie będziemy mieli?

— Nie — powiedział głucho Rafał. — A przynajmniej nie tą drogą.

— Nie rozumiem.

— Gdybyśmy po tej idiotycznej rozmowie oddali to do daktyloskopii, zaczęliby sami węszyć za tym facetem. A to mogłoby być niebezpieczne dla paru osób. Wysiada pan?

— Nie — odpowiedział cicho Marek. — Bo beze mnie nie trafi pan do pani Gizeli. Ten gnojek, który-tylko liczy, ile pan ma w portfelu, nie powiedział mi, gdzie ona przykucnęła. Powiedział tylko, że wie, gdzie to jest, i że sam nas doprowadzi na miejsce. Jeżeli teraz wysiądę, nigdy pan nie wpadnie na ślad Elżbiety. A ja bez pana także nie. Jedźmy, on czeka.

Rafał potarł czoło otwartą dłonią. Był spocony. Kiedy spojrzął na Marka, jego oczy były pełne rozpacz. Mimo to powiedział:

— Nie, jeszcze nie. Mam drugą nitkę, chociaż bardzo wątpliwą. O dwunastej ktoś ma czekać na mnie w katedrze. Dopiero potem możemy jechać za miasto.

— Panie Rafale! — szarpnął się chłopak. — To jest pana córka! Niech pan wszystko odłoży i jedzie!

— Nie mogę — szepnął Rafał. — Po prostu nie mogę.

Zagryzł wargi, wrzucił zawiniątko z żyłką do schowka, położył obok notes i długopis i ostro wyjechał ze skwerku. Marek siedział przy ni±n w milczeniu i nie próbował już nawiązać

rozmowy.

W parę minut potem zatrzymali się w zaułku przy katedrze. Było tam pusto i mokro, pojedyncze zakonnice przebiegały z pośpiechem, podciągając rękami klasztorne sukienki, jakaś nikła wycieczka z prowincji kulila się przy głównym wejściu, słuchając przewodnika, który opisywał kolejne fazy palenia i odbudowywania zabytkowego obiektu.

— Tracimy czas — zamruczał Marek. — Tamta szmata może nam prysnąć. Nie rozumie pan?

Wydawało się, że zaraz się rozplacze albo odwrotnie, że złapie Rafała za klapy i zacznie nim potrząsać. Ale nie zrobił nic; po prostu odwrócił głowę i przycisnął czoło do szyby.

Rafał przez chwilę przyglądał mu się bez słowa, a potem ciężko wysiadł i zmęczonym krokiem zniknął w frontowych drzwiach przybytku.

W środku było mroczno, chociaż paliło się trochę elektrycznych świec przy ołtarzu i w ciężkich kutych żyrandolach. Mimo to paru Amerykanów próbowało tam robić zdjęcia.

Pasikonik siedział w ławce zaraz przy wejściu. Głowę miał złożoną na rękach i wydawało się, że jest pogrążony w modlitwie. Ale kiedy Rafał go dotknął, okazało się, że po prostu śpi. Trzeba nim było parę razy potrząsnąć, zanim podniósł zapuchniętą twarz.

— A, to pan — zamruczał i pięściami przetarł oczodoły. — Przepraszam, zachlałem się wczoraj jak Świnia.

— Jesteś sam? — zapytał cicho Rafał.

Tamten przez chwilę przyglądał mu się na wpół przytomnie, a potem kiwnął głową.

— Nie znalazłeś tego kolegi?

— Piłem z nim całą noc.

— I co?

— Zgodził się.

Zgiął ręce w łokciach i parę razy poruszył nimi do tyłu i do przodu, aż mu zatrzeszczało w grubych stawkach.

— Ma pan wóz?

— Mam.

Wstał, krzywiąc się z niesmakiem.

— No, to jazda. Ale potem odda mi pan legitymacji listy?

— Jeżeli okaże się, że nie kręcisz.

— Nie — zaprzeczył poważnie Pasikonik. — Chcę si od tego odkleić. Zresztą pan sam zobaczy.

Minęli wycieczkę, która właśnie wchodziła do katedry i wyszli przed główne wejście. Wóz Rafała stał dalej w tym samym miejscu, a Marek tak samo siedział z głową przy ciśniętą do szyby.

— Chwileczkę — powiedział głucho Pasikonik. — T pana gabłota?

— Moja.

— A ten facet w środku?

— Znajomy.

— Nie — powiedział Pasikonik. — Żadnych no wyj znajomych. Niech pan mu powie, żeby spływał. A jak nie to nigdzie nie jadę.

Wyjął z kieszeni na piersiach zatłuszczone okulary przeciwsłoneczne i włożył je ostrożnym, starannym ruchem.

V

Rafał patrzył na Pasikonika w milczeniu i myślał: „Tysiące ludzi nosi przy sobie ciemne okulary; ale w taki dzień?” Potem skinął głową i poszedł do samochodu.

— Panie Marku — powiedział — musimy się umówić gdzieś na mieście. Ten facet nie zgadza się, żeby pan jechał z nami.

— Dokąd?

— No, w jedno miejsce.

— Czy to jest ta druga nitka?

— Możliwe.

— Niech pan to przełoży na wieczór.

— Nie, ten facet mógłby się rozmyślić.

Marek obejrzał się przez uchylone drzwi na Pasikonika, stojącego tyłem pod ścianą katedry.

— Pan jest pewien, że tam nie czekają na pana z pięknym dziesięciokilowym łodem?

— Będę uważał. Gdzie się spotkamy?

— U mnie, w akademiku. Pokój 315. Ten łachman od bonów już tam siedzi; chyba że także się rozmyślił.

— Niech mu pan powie, że jestem gotów dorzucić parę papierków.

— Och, on jest tego pewien. Jak długo mamy czekać?

— No, półtorej godziny, najwyżej.

— A potem?

— Jedźcie sami. Wszystkie rachunki ureguluje Jioj koleżanka z Radia, pani Agata Wołyniec.

— No, cóż, pan decyduje.

Wysiadł i obejrzawszy się jeszcze raz na stojącego pod ścianą Pasikonika odszedł w przeciwną stronę.

Rafał zrobił niewielki łuk i zatrzymał się przed frontonem

katedry.

— Wsiadaj.

Pasikonik wsiadł, podniósł kołnierz lichego płaszczyka i wcisnął się głęboko w siedzenie, jakby chciał możliwie dokładnie zatrzeć swoją obecność w tym wozie.

— Gdzie? — zapytał Rafał.

— Na Czarną.

— Tam już nikt nie mieszka.

— Mieszka, mieszka.

— Jak pamiętam, wszystkie domy zostały wykwaterowane do rozbiórki.

— No, to zobaczy pan, że nie wszystkie.

Rafał znowu zawahał się, ale potem pojechał.

Były tam dwa spore kwartały starych czynszówek, które częściowo zaczęto już rozbierać; miała tędy przejść wielka nowa trasa, łącząca wschód miasta z zachodem.

O trzysta metrów dalej wrzała robota, huczały koparki, dygotały spychacze. Tutaj było pusto i martwo; wybebeszone witryny sklepów, bramy bez wierzei, gołe okna, bezludne podwórza.

Zanurzyli się w jedno, brukowane polnym kamieniem, i od razu otoczyła ich cisza. Rafał zwolnił i podejrzliwie popatrzył na Pasikonika.

— Synku, czy ty nie masz jakiegoś niemądrego pomysłu?

Nie — odpowiedział półgłosem Pasikonik. — Niech pan idzie.

Weszli do drugiej ciemnej bramy, która prowadziła na następne podwórze. W mrocznym zakątku ktoś tam stał, przyklejony plecami do ściany.

Rafał przystanął. Pasikonik zrobił jeszcze dwa kroki i też się zatrzymał. W głębokiej ciszy słyhać było teraz tylko jego szybki, zapijaczony oddech.

Potem ten, który stał w ciemnościach, powoli oderwał się od ściany i wyszedł im naprzeciw.

Był trochę starszy od Pasikonika, ale też jeszcze główniarz, tyle że może bardziej zepsuty. Miał bandyckie oczy i uśmiech człowieka, który za dobrą kolację gotów sprzedać sutenerom własną siostrę. Prawą dłoń miał owiazaną przybrudzonym

bandażem.

Rafał wyjął ręce z kieszeni i czekał.

Tamten zbliżył się, obejrzał go z zawodową ciekawością i obrócił się do Pasikonika.

— Nie wychodził — mruknął, obracając w ustach wypaloną zapalkę.

— To znaczy, że jest?

— Nie wiem, czy jest, ale od rana się nie pokazał.

Potem przeniósł wzrok na Rafała i powiedział z niedbałym uśmiechem:

— Tamta oficyna, trzecie piętro na lewo. Pozna pan sam, inne mieszkania są już puste.

Klepnął Pasikonika po ramieniu i nie śpiesząc się odszedł w stronę ulicy.

— Skwitujemy się wieczorem — zawołał za nim Pasikonik.

Tamten nie odwracając się kiwnął głową i powolnym, choć lekkim krokiem maszerował dalej ku pierwszej bramie.

— No, to ja jestem w porządku — powiedział Pasikonik. — Odda mi pan teraz papierki?

— Przy wyjściu.

— O, kurczę — zamruczał Pasikonik. — Stracę przez pana wszystkie lekcje.

— Nie żartuj, Jasiu. I tak byś dzisiaj niczego nie zrozumiał. Zresztą mogę ci dać usprawiedliwienie z Polskiego Radia: że pomagałeś przygotowywać program o życiu młodzieży ze szkół zawodowych.

Wszedł do obrzydliwej oficyny, która nawet bez nowej trasy powinna już dawno ulec rozbiórce. Wszystkie mieszkania były tam otwarte i puste; tylko jedne drzwi na trzecim piętrze były zamknięte. Widniała na nich tekturowa tabliczka z ręcznie wypisanym tekstem „Zofia i Ludwik Waškowiakowie”.

Przez chwilę szukał, dzwonek, ale znalazł tylko ślepią dziurkę w ścianie z resztką sterczącego z niej kabla.

Wobec tego zapukał.

Przez chwilę w środku było cicho, potem odezwały się kroki i kobiecy głos zapytał:

— Kto tam?

— Z Radia, proszę pani.

Kobieta przez parę sekund milczała. Potem powtórzyła pytająco:

— Z Radia?

— Tak jest, proszę pani. Przeprowadzamy wywiady z ostatnimi mieszkańcami ulicy Czarnej.

Pewnie się jeszcze namyślała, bo stała za drzwiami bez ruchu. Potem jednak otworzyła.

Miała trzydzieści trzy, może cztery, lata, była niewysoka, szczupła, podniszczona. Nie mogła już budzić zainteresowania mężczyzn, mogła budzić tylko ich współczucie: miała smutne, trochę wystraszone oczy i za cienkie ręce, na których widać było ślady ciężkiej pracy.

Pokazał jej legitymację służbową i małego „Philipsa”, którego specjalnie w tym celu wyjął z kieszeni.

To ją uspokoiło. Uśmiechnęła się i zrobiła mu miejsce.

— No, proszę. Ale co ja mogą powiedzieć? Nic ciekawego, naprawdę.

Wszedł do małego mieszkania, gdzie wszystko już było gotowe do przeprowadzki: firanki z okien zdjęte i popakowane, karnisze ustawione pod ścianą, łóżka gołe, bez pościeli, materace związane sznurkiem.

Na pustym kredensie, z którego poznikały wszystkie drobiazgi, leżała sterta rodzinnych fotografii, oprawionych w ramki i ściągniętych na krzyż brudnym paskiem od szlafroka. Zerknął na tę, która leżała na samym wierzchu, i od razu poznał człowieka, który poprzedniego wieczora przyszedł do Jolki z żyletką. Był o parę lat młodszy i szczuplejszy, miał na sobie mundur i spoglądał w siną dal szklanym, pełnym godności wzrokiem.

— To mąż? — zapytał.

— Mąż, jeszcze z dawnych czasów. Wtedy się pobraliśmy. Jeżeli pan chce, mogę rozwiązać. Tam jest więcej jego zdjęć; niektóre bardzo udane.

— Nie, dziękuję, może potem. Kiedy się państwo przeprowadzacie?

Uśmiechnęła się niepewnie i potarła zniszczone dłonie.

— No, w zasadzie to dzisiaj. Dzisiaj po południu. Mają nam podstawić wóz meblowy na czwartą. I dlatego jestem taka niespokojna, bo męża ciągle nie ma.

— Może nie puścili go z pracy?

Zawahała się; jej oczy zrobiły się jakby smutniejsze.

— Kiedy, widzi pan... on ostatnio, no, miał przerwę... To znaczy chwilowo nie był zatrudniony.

— A kim jest mąż z zawodu?

— Mechanikiem samochodowym. Skończył kurs i dostał dyplom. Ale, widzi pan, on ma trochę rogatą naturę; nie znosi żadnych siucht ani szwindli. Dlatego trochę mu trudno utrzymać się na jednej posadzie.

— Często zmienia?

— No, dosyć.

— A pani?

— Ja pracuję w miejskiej pralni jako prasowaczka.

— Dzieci państwo nie macie?

— Mieliśmy jedno, ale zmarło. Trzy lata temu, na zapalenie opon.

W jej słowach była pokorna szczerłość człowieka, który nigdy w życiu nie musiał niczego ukrywać. Poczul coś jakby ukłucie w sercu i zapytał:

— A on często tak znika, nie uprzedzając pani?

Ściągnęła brwi i powiedziała szybko:

— Zawsze mnie uprzedza, proszę pana. Wczoraj także powiedział, że może późno wrócić.

— I do tej pory nie wrócił?

Odwrociła wzrok i niechętnie potwierdziła:

— No, nie wrócił.

— A czy pani wie, co on robi, kiedy go nie ma w domu?

Teraz już się zachnęła:

— To naprawdę tylko nasza sprawa.

— Przepraszam. Niech pani powie parę słów dla naszych słuchaczy. Gdzie państwo dostaliście nowe mieszkanie?

W blokach za stadionem.

— Ładne?

— No, po naszym każde jest ładne.

- Jaki metraż?
- Trzydzieści z kawalkiem. Jest ciepła woda i gaz...
- Jednym słowem, jest pani zadowolona?
- Oczywiście.

Wyłączył magnetofon i powiedział:

– Jak mąż wróci, proszę mu przekazać, że był redaktor Rafał Kostron. Niech się ze mną skontaktuje jeszcze dziś.

Koniecznie dziś, proszę pani. Tu piszę mój numer telefonu.

– Dlaczego powinien? — zapytała spłoszona.

– Chcę mu pomóc.

– Myśli pan, że moglibyśmy dostać większe mieszkanie?

– No, w każdym razie musi się ze mną skontaktować. Dziękuję za miły wywiad. Do widzenia.

Zostawił ją w mieszaninie nadziei i niepokoju i zszedł na podwórze.

W bramie rozdierająco ziewał Jasio Pasikonik.

– Masz tu swoje papiery — powiedział Rafał, podając mu legitymację i listy. — Ale powiedz mi: czy na pewno przez całą noc piłeś z tym twoim kolegą Furmanem?

– Prawie do rana — westchnął tamten. — W „Mandragorze”. A o co idzie?

– Pewien facet w twoim wieku zrobił dziś w nocy duże głupstwo. Jeszcze je można naprawić; ale już nie ma ani chwili do namysłu. Czy to nie ty byłeś ten facet?

– A czemu pan myśli, że ja?

– Bo tamten też miał ciemne okulary.

Pasikonik powoli zdjął zatłuszczone szkła i mrużąc powieki popatrzył Rafałowi prosto w twarz.

– Ja po wódzie zawsze noszę; oczy niemożliwie mnie bołą. Może pan sprawdzić.

– Pamiętaj, że jutro może być za późno.

– Jestem czysty jak łąza — odpowiedział uroczyście Pasikonik.

– A jedyne głupstwo, jakie zrobiłem, to było opylenie zegarka za pół ceny. Ale inaczej on by panu nie pokazał tej chałupy.

Rozstali się za bramą. Pasikonik poszedł w lewo, Rafał pojechał w prawo, do centrum. W dziesięć minut później był pod akademikiem przy placu Roosevelta. Był to jeden z tych

nowych akademików, przypominających raczej pensjonaty niż bursy dla studentów. Na dole była kawiarnia, na górze dwuosobowe pokoje z łazienkami, a wszystko umeblowane przez specjalną spółdzielnię plastyczno-rzemieślniczą, która wykonała każdy sprzęt na miarę.

— No, już nie wiedziałem, co robić! — zawołał z ulgą Marek, gdy Rafał wszedł do jego pokoju. — Dosłownie musiałem pana Wiesia trzymać za poły!

— A bo ile czasu można! — zamruczał niechętnie pan Wiesio.

— Gniję tutaj od świtu, chyba starczy!

Siedział na brzeżku tapczana, niby pokorny i mało ważny, a równocześnie zaczepny i natrętny w tej swojej pokorze i mało ważności. Na kolanach trzymał duży radziecki tranzystor „Riga” i bez przerwy obgłaskiwał go spoconymi rękami, jakby chciał się go nauczyć na pamięć. Z tranzystora szły swojskie melodie w wykonaniu kapeli ludowej pod kierunkiem Edwarda Ciukszy. Obok na porcelitowej popielniczce dogorywały niezliczone niedopałki.

— Przepraszam — powiedział powściągliwie Rafał. — Nie mogłem wcześniej.

— Nie szkodzi — odpowiedział zgryźliwie pan Wiesio — To pana będzie dodatkowo kosztować. Poproszę o papierosa. Ten gówniarz nie ma żadnych zapasów.

Rafał rzucił mu napoczętą paczkę „Ekstra mocnych” i ostrożnie rozejrzał się po pokoju. Był pewnie taki sam jak wszystkie inne, tyle że cała powierzchnia ścian była pokryta dużymi czarno-białymi fotografiami rozmaitego formatu. Były tam twarze starców i fragmenty architektury, jeziora w kontrze i migawki z meczów, a także kormorany, przedszkolaki, martwe natury i akty; wszystko starannie przypięte złoconymi pineskami z podkładką.

— To pana czy kolegi? — zapytał, odwracając się do Marka.

— Moje — odpowiedział nieuważnie Marek i pociągnął go za ramię. — Niech pan na moment pozwoli.

Wyprowadził go do łazienki, przytknął drzwi i zapytał szeptem:

— Załatwił pan coś?

- Do pewnego stopnia.
 - To znaczy?
 - No, coś wiem, czego nie wiedziałem.
 - Nie może pan mówić jaśniej?
 - Chwilowo nie — powiedział z zakłopotaniem Rafał. Nawet Agacie nie mówił wszystkiego do końca, więc czemu miałby teraz? Ale było mu przykro; jakby grał niezupełnie fair wobec tego chłopca.
 - Dobrze — powiedział Marek. — Niech mi pan powie tylko jedno: czy w tej sytuacji warto jechać? Bo może pańska nitka jest lepsza?
 - Nie — pokręcił głową Rafał. — Jest ciągle pod znakiem zapytania. Jedźmy.
- Wrócili do pokoju i Marek powiedział:
- No, panie Wiesiu, to w drogę!
- Tamten zgodliwie odstawił tranzystor, zdjął z wieszaka swój wygnieciony płaszcz i zaczął go wkładać z taką starannością, jakby to był smoking na festiwalową premierę. W tej samej chwili muzyka w odbiorniku umilkła i rzeczowy głos spikera oznajmił:
- Uwaga, podajemy komunikat. W związku z wypadkiem, jakiemu ostatniej nocy uległa jedna z członkiń Niskogórskiego Klubu Fińczyków...
 - Niech pan zgasi — powiedział Marek, zaciągając suwak wiatrówki. — Jedziemy.
- Pan Wiesio wcisnął ostatni klawisz i reszta komunikatu pozostała milczeniem.
- Wsiedli do samochodu i podjechali pod światła.
- Kierunek? — zapytał sucho Rafał.
 - Na wschód — odpowiedział radośnie pan Wiesio. — Czyi' tak, jak obecnie należy. Inaczej mówiąc E 50.
- Przeskoczyli dwa wiadukty i szeroką magistralą wydostali się z miasta. Z lewej strony mieli teraz morze.
- Gdzie to jest? — zapytał Rafał. — Teraz już pan może nie być taki tajemniczy.
 - He, he! — zarechotał pan Wiesio. — Tajemniczy! Pan, zdaje się, w ogóle nie zna się na interesach.

- Po prostu chcę wiedzieć, czy starczy mi benzyny.
- W razie czego dokupimy. Tutaj stacje są co krok. Niech pan smaruje.

Przejechali jeszcze z piętnaście kilometrów, gdy nagle pan Wiesio powiedział zdławionym głosem:

- Niech pan popatrzy w lusterko.

— Patrzę — odpowiedział Rafał.

- I co?

- A co ma być?

- Ten „Opel”, widzi go pan?

- Widzę.

- Ciągnie za nami cd samego miasta.

W panoramicznym owalu lusterka tkwił rzeczywiście szary „Opel-Record”, trzymający się ciągle w tej samej odległości.

- No, jest — powiedział Rafał. — Po prostu jedzie w tę samą stronę.

- Na pewno? — zapytał pan Wiesio. — To niech pan zwolni.

- Po co?

- Zobaczymy, co zrobi.

Rafał zdjął nogę z gazu. Strzałka szybkościomierza zaczęła wracać na lewo. Zerknął z ukosa w lusterko: „Opel” też zaczął zwalniać i dystans między nimi pozostał ten sam.

- Teraz w gaz! — krzyknął pan Wiesio.

Skoczyli do przodu z wyciem silnika. Na moment odległość między mir i a „Opel” zwiększyła się; potem „Opel” bez trudu odrobił różnicę i znowu płynął sto pięćdziesiąt metrów za nimi.

- Dzieci! — wrzasnął pan Wiesio. — Albo wy mnie kiwacie, albo jesteście niespełna rozumu! Memło siedzi nam na kółku! Nie rozumiecie?

- Jakie memło? — zapytał Rafał, ale sam poczuł, że jest niespokojny.

- Jakie, jakie! — zawołał pan Wiesio. — Niemundurowe, oczywiście! Powiedzcie prawdę: nic się dzisiaj nie stało?

- Nie, to znaczy... — szepnął Marek i niepewnie spojrzął przez tylną szybę. — W każdym razie nic takiego...

- Jezusie, Maryjo, ja wysiadam! — jęknął tamten. — Wkopalście niewinnego człowieka!

— Niech pan nie wyprawia — powiedział ze złością Rafał. — Może przekroczyłem szybkość w zabudowaniach. Zaraz sprawdzimy.

Przyhamował, zjechał na pobocze i stanął.

Szary „Opel” też zjechał na pobocze i zatrzymał się w tej samej odległości.

Siedziało w nim dwóch młodych mężczyzn w podobnych jesionkach. Z tej odległości nie można było rozpoznać ich twarzy; ale widać było, że nie odzywają się do siebie, tylko sennie popatrują przez przednią szybę.

— Panie Rafale — szepnął Marek. — Jak pan myśli?...

— Idiotyizm! — zachnął się Rafał.

— Ale jednak...

— No, mówię panu, niemożliwe!

— Chłopcy! — zajęczał pan Wiesio. — Przyznajcie się, wdepnęliście na jakimś głupstwie! A teraz nie chcecie powiedzieć! Bądźcie ze mną szczerzy, ja was błagam!

— Niech pan się zamknie! — warknął Rafał. — Nawet jeżeli...

— Ja wysiadam! — oświadczył pan Wiesio i złapał za klamkę.

Rafał wrzucił bieg i gwałtownie poleciał do przodu. Już po chwili miał osiemdziesiąt na liczniku.

— Proszę stanąć! — krzyczał pan Wiesio. — Ja mogę współpracować w określonych warunkach! Ale nie wtedy, kiedy dwóch kapusiów eskortuje mnie cd samego miasta!

— Co robimy? — zapytał z namysłem Marek.

— Nic — odpowiedział Rafał.

„Opel” w lusterku był znowu tych rozmiarów, co przedtem.

— Tak nie możemy jechać do końca.

— Jasne.

— No więc?

— Zaraz będzie Rogowo. Dużo krętych uliczek i cztery wyjazdy z miasta. Spróbujemy ich zgubić.

— Złapią nas przy wyjeździe.

— Skręcimy w prawo, nadrobimy trzydzieści kilometrów i wrócimy na E-50.

— Jak się uda.

— Jak się nie uda, to zawsze zdąży pan prysnąć.

— Co pan o tym myśli? — zapytał Marek i odwrócił się do pana Wiesia.

— A guzik! — zawołał pan Wiesio. — Myślałem, że rozmawiam z poważnymi ludźmi! A to jest zwykła krewa!

— No, moglibyśmy spróbować...

— Nie — zakomunikował twardo pan Wiesio. — Ten pan zatrzyma przy najbliższym lasku. Ja pryskam w prawo, a ty, gówniarz, w lewo. A on niech się sam martwi. Za tych pieprzonych pięć kafli...

— No, nie pięć, nie pięć — powiedział pojednawczo Marek. — Pan Rafał nie chce pańskiej krzywdy...

— Bracie, ja obracałem tysiącami i nigdy...

— No, dobra — przerwał mu Rafał. — Ile?

— Dziesięć.

— Zwariował pan?

— Bez dziesięciu możecie mnie wozić po całej Polsce. Pokażę wam Pieskową Skalę, Morskie Oko i kwaterę Hitlera w Kętrzynie. Ale nigdy wam nie pokażę, gdzie zamelinowała się madame Gizela. Już zapomniałem, drogie dzieci. Po prostu nie wiem.

— No, to jak? — szepnął do Rafała Marek.

— Nawet nie mam tyle przy sobie.

— A, to już inna sprawa — zawołał z tylnego siedzenia pan Wiesio, który miał uszy jak królik. — Jeżeli się tylko ugodzimy...

— Pięć — powiedział Rafał.

— Nie było rozmowy.

— Sześć!

— No, za osiem pojedę — oświadczył zboliałym głosem pan Wiesio. — Może być płatne w ratach. Niech pan da rączkę, gówniarz przetnie.

— Dobrze — powiedział z nienawiścią Rafał. — Ale pod jednym warunkiem. Jeżeli tam nie ma mojej córki...

— O, przepraszam! — zawołał z rezerwą pan Wiesio. — Ja nic nie wiem o pana córce! Mam was doprowadzić do pani Gizeli; no i ewentualnie rozwiązać jej język. Ale reszta to już nie moja sprawa! No, to jest interes czy nie ma?

— Ja bym się nie godził — szepnął Marek, nachylając się Rafałowi do ucha. — Osiem tysięcy to jest cholerny kawał grosza!

— Nie wtrącaj się! — powiedział Rafał i oderwał prawy dłoń od kierownicy. — Stoi!

— Zaraz! — zastrzegł się ostrożnie pan Wiesio, zatrzymując swoją dłoń, uniesioną w' powietrzu. — A ile ma pan przy sobie?

— No, jakieś dwa i pół. Ale trochę muszę sobie zostawić na benzyne.

— Diabelnie mało! — szepnął pan Wiesio. — Ale niech lam!

Wpadli w pokrętne zabudowania Rogowa. Był tu zakaz przekraczania trzydziestki, ale Rafał wpadł dwięćdziesiątką, przy pierwszym skrzyżowaniu wycisnął hamulec, wziął zakręt poślizgiem, skoczył w bok, potem jeszcze raz zrobił to samo, zobaczyli przed sobą narastający mur, Marek zasłonił się rękami, przeszli o włos, odwróciło ich prawie o sto osiemdziesiąt stopni, Rafał przyduślił gaz, wpadł w jakieś podwórze, zakręcił się na nim jak bąk, przewrócił puste wiadro i nagle zgasił silnik.

Usłyszeli przelatujące obok wycie motoru, potem pisk opon, zgrzyt tylnego biegu, potem znowu wycie.

W końcu wszystko ucichło.

Przez moment dyszeli jak po wyczerpującym biegu. Potem Rafał szepnął:

— No, to ryzyk-fizyk.

Wyskoczył z podwórka, wziął znowu w prawo i jeszcze raz w prawo, przeskoczył szosę, którą wjechali do miasta, i pełnym traktem poleciał obok sporej wędzarni ryb na południe.

— Jak nas teraz dopadną — szepnął pan Wiesio — to już skończy się dżentelmeńska obserwacja. Podjadą i wezmą za dupę!

— Nas jest trzech, a ich dwóch — powiedział schrypniętym głosem Rafał. — W razie ucieczki damy panu fory.

— Oczywiście — przyświadczył Marek.

Wjechali na południową szosę i obejrzelisi się ku miastu. „Opla” nigdzie nie było.

— Czeka przy wyjeździe na E-50 — powiedział Marek.

— No, to trochę poczeka. Zapalcie mi papierosa. Ile mam nadłożyć?

— Tak, jak pan mówił — powiedział zdartym głosem Wiesio. — Trzydziechę. Ona siedzi w Miastkowie.

Dojechali tam po trzech kwadransach. Miastkovo było powiatowe, ale małe i na razie bez perspektyw. Średnia wieku na ulicach wahała się około pięćdziesiątki.

Zajechali pod hotel „Słowiański” i wypuścili przodem pana Wiesia. Wrócił po chwili bardzo zadowolony.

— Jest — powiedział. — Ale odprowadźcie karetę gdzieś dalej. Najlepiej pod gospodę. Ja zaczekam.

Zrobili, co im radził, i po paru minutach byli z powrotem.

— Zajrzałem do niej — powiedział. — Ale jest bardzo roztrzęsiona. Musicie być bardzo delikatni.

— Będziemy — powiedział Marek. On także był bardzo roztrzęsiony; widocznie bał się, że nic z tego nie wyjdzie.

Weszli na górę kręconymi schodami, przykrytymi chodnikiem z czerwonego sznurka, i zatrzymali się przy drzwiach, oznaczonych numerem 5.

Pan Wiesio zapukał, zajrzał do środka i otworzył im drzwi na oścież.

Weszli.

W małym pokoju, który był tylko trochę lepszy od celi, siedziała niemłoda, bardzo brzydka kobieta z twarzą myszy i szklanymi oczyma alkoholiczki. Miała na głowie popielatą perukę z komisu, na szyi złoty krzyżyk, na rękach wątrobiane plamy. Obok niej na stoliku stała butelka wody mineralnej „Perła Bałtyku” i do połowy napełniona szklanka.

— Pani Gizelo — powiedział cicho pan Wiesio. — To są właśnie ci panowie.

Podniosła z trudem głowę. Nie była pijana, ale na pewno była chora. W jej oczach był smutek człowieka, który wie, że się kończy.

— Proszę — powiedziała. — Panowie spoczną.

I pokazała im krzesła obok stołu.

Usiedli.

— Nieładnie tu — powiedziała. — Ale co zrobić? Nie moja wina.

Napijcie się kawy?

— No, jeżeli można — szepnął pan Wiesio.

— Niech pan naciśnie ten dzwonek.

Rafał był bliżej; nacisnął, nie wierząc, że to da jakikolwiek efekt. Mimo to po chwili rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała tęga dziewczyna z dużymi piersiami.

— Cztery kawy — powiedziała pani Gizela.

— Zaraz przyniosę.

Rozejrzał się. Był to pokój hotelowy z czasów Balzaka: miska z dzbankiem, wiadro, kaflowy piec. Tylko tężnie w Ciechocinku, wiszące na ścianie, świadczyły, że coś się od tamtego czasu zmieniło. A także regulamin, rozpięty na drzwiach i głoszący, czego nie wolno gościom po godzinie dwudziestej drugiej!

Nagie drgnął. Na żelaznym łóżku, przykrytym bawełnianą narzutą z Bielska-Białej, leżał otwarty podręcznik psychologii, rozłożony grzbietem do góry.

Wstał i wziął go do ręki. Na stronie tytułowej widniał nonszalancki podpis „Elżbieta Kostroń”. Znał ten podpis zbyt dobrze, aby mieć jakiegokolwiek wątpliwości: to była książka jego córki.

Odłożył ją i w milczeniu zaczął rozglądać się dalej. Przez poręcz wyłysiałego fotela przerzucone były welwetowe dzinsy w kolorze bordo. Był pewien, że je pamięta; wziął je i rozciągnął w palcach. Były dwa razy za wąskie na panią Gizelę. Pod fotelem stały grube, szwajcarskie korki. Pani Gizela nie zmieściłaby w nich nawet pół stopy. I wreszcie srebrny medalion, zawieszony na lustrze. Znał go, ale otworzył. W środku były dwie główki, wycięte ze zdjęć i zlepione ze sobą; po jednej stronie uśmiechała się Elżbieta, po drugiej widniał zatroskany Marek. Odwiesił medalion i cicho zapytał:

— Gdzie ona jest?

— Zaczekajmy na kawę — powiedziała światowym tonem pani Gizela. — Panowie pewno zmęczeni. Zaraz będzie.

— Chciałbym się z nią zobaczyć jak najprędzej.

— Rozumiem — skinęła głową pani Gizela. — Ale chwilowo, pan rozumie...

Potem przyjrzała mu się z zatroskaniem i zapytała:

— Pan jest jej ojcem?

— Ja.

— Ucieszy się — powiedziała. — Chociaż z drugiej strony?...

Zacząła się bawić szklaneczką, a potem wychyliła ją szybciej, niż zazwyczaj pije się wodę mineralną.

— Nie poświęcał jej pan za dużo czasu. Gdybym miała dziecko w tym wieku... Na szczęście ona jest rozsądna. I dzielna, proszę pana. Bardzo dzielna. Byłabym dumna z takiej córki.

Znowu zapadło milczenie. Po krótkiej chwili Marek poruszył się niespokojnie i zapytał:

— Wyszła gdzieś?

— Wyszła — odpowiedziała pani Gizela.

— Może skoczę po nią?

Obrzuciła go chłodnym wzrokiem i powiedziała:

— Ludzie nie powinni skakać. Trzeba to zostawić konikom polnym. Ludzie muszą się poruszać z umiarem. Na razie niech pan siedzi.

— Ale kiedy...

— Elżbieta wróci, jak załatwi swoje sprawy. Nawet nie umiałabym powiedzieć, gdzie jest w tej chwili. Mnie, proszę panów, też wszystkiego nie mówi...

Cycata dziewczyna wniosła cztery kawy, parzone w szklankach, po polsku. Rozstawiła je na stoliku ze swoistym wdziękiem.

— Może po koniaczku? — zapytała pani Gizela.

Przez chwilę było cicho; potem Rafał mruknął:

— Cztery koniaki.

— Daj pół litra, dziecino — powiedziała pani Gizela. — Szkoda twoich nóg, żebyś dwa razy ganiała po schodach.

— Radzieckiego? — zapytała dziewczyna.

Pani Gizela pytająco spojrziała na Rafała.

— A jaki macie jeszcze? — zapytał.

— No, francuski — uśmiechnęła się. — „Martell”, „Martineau”.

— Nie, nie — wmieszał się pan Wiesio. — Niech pani przyniesie połówkę jarzębiaku.

— Dobrze, proszę pana.

Znikła, a Rafał powiedział:

— Pani Gizelo, wszyscy wiemy, że coś nie gra. I wszyscy

chcielibyśmy to uporządkować. Tylko nie wiemy jak. Niech pani powie, o co chodzi?

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

— Pan ojciec, a mnie pan pyta? No, ale dobrze. Zagwazdrałyśmy się, proszę pana.

— A tak coś bliżej?

Rozejrzała się i szepnęła:

— Czy mógłby pan przeprosić kolegów?...

— Chodźmy --- powiedział do Marka pan Wiesio. — Niech starsi państwo pogawędzą sobie tete à tete.

— Ale — zaczął Marek.

— Na chwilę — mruknął Rafał.

Wyszli.

— Widzi pan — szepnęła ze skrucą pani Gizela — ja przed wojną mieszkałam we Lwowie i byłam panią z najlepszego towarzystwa. Jeździłam do Klubu Oficerskiego w Augustowie i byłam emablowana przez najmodniejszych panów rotmistrzów. Potem zostałam bez środków do życia i musiałam sobie jakoś radzić.

— Rozumiem — mruknął Rafał. — A Elżbieta?

— Pomagamy sobie nawzajem.

— W jaki sposób?

Cycata dziewczyna wróciła z jarzębiakiem znacznie szybciej niż przedtem z kawą. Kiedy wyszła, pani Gizela z zawstyżeniem sięgnęła po kieliszek.

— Straszne ciśnienie dzisiaj. Gdyby sobie człowiek nie rozszerzył naczyń wieńcowych, chyba by umarł.

Wychyliła kieliszek i spojrzała mu prosto w oczy.

— Ale to musi zostać między nami.

— Oczywiście.

Podniosła palec i powiedziała poważnie:

— Niech pan pamięta, że tu chodzi o pańską córkę.

Kiwnął głową i zawahawszy się przez moment włączył w kieszeni magnetofon.

— Z grubsza mówiąc, to wygląda tak: są kraje, w których złoto jest tańsze niż u nas. I są takie, w których za dolary trzeba płacić więcej niż w Polsce. Przynajmniej proporcjonalnie.

Reszta to jest zasada naczyń połączonych. Trzeba wyrównywać poziom. My w pewnym sensie wyrównujemy.

— Niech pani nie gada głupstw!

— Ja? — uśmiechnęła się. — Z tego żyje parę tuzinów mądrych ludzi w tym kraju. Jeżeli tylko potrafią sobie zorganizować przerzut w obie strony.

— Pani się to udało?

— No, nie mnie samej — powiedziała skromnie.

Wypiła drugi jarzębiak i przyjrzała się Rafałowi przez rzęsy.

— Pan ma żonę, prawda?

— Prawdę mówiąc, to raczej miałem.

— Żona ma co miesiąc wykłady w Szwajcarii?

— Pani Gizelo! — zawołał.

Przyjrzała mu się jak embrionowi w spirytusie.

— Dobrze — powiedziała. — Dajmy temu spokój. W każdym razie muszę zaznaczyć, że Elżbieta i ja nie poruszamy się w próżni. Taki interes wymaga licznych kontaktów. No i ostatnio jeden z naszych kontaktów stał się trochę niepewny. Dlatego byliśmy zmuszone przenieść się chwilowo do tej drewni, która udaje hotel drugiej kategorii.

— Nie może mi pani powiedzieć, co za kontakt?

Przyglądała mu się długo i z namysłem, zanim odpowiedziała:

— Nie wiem, czy powinnam. Ale ostatecznie wątpię, żeby pan chciał własną córkę pakować w kłopoty. Ten człowiek nazywa się Stańczyk. Hubert Stańczyk, producent eksportowych saszetek. Może pan kiedyś zetknął się z tym nazwiskiem?

— Owszem — powiedział ponuro i pomyślał, że na dnie, pod tą całą warstwą absurdałnych opowieści, kołaczą się jednak jakieś fakty.

— Już parę razy miałyśmy z nim trudności, ale zawsze dochodziło do jakiegoś kompromisu. Niestety, jego zachłanność okazała się bezgraniczna. Musimy zaczekać, aż ochłonie. Ale powiem panu, że osobiście jestem dobrej myśli. Za parę dni Elżbieta powinna być w domu.

Usłyszeli szybkie kroki. Do pokoju wbiegł pan Wiesio, a po nim — znacznie powściągliwiej — Marek.

— Są! — powiedział szeptem pan Wiesio. — Zatrzymali się

dwadzieścia metrów od gospody. Co robimy?

— Ja zostaję — oznajmił głucho Rafał. — Muszę porozmawiać z Elżbietą.

— Pan i tak jest załatwiony — powiedział ze współczuciem pan Wiesio. — Nie wyprze się pan swojej rejestracji. Ale my? Niech pan pozwoli na korytarz.

Rafał wyszedł jak automat. Pan Wiesio przymknął drzwi i nadstawił rękę.

— Pierwsza rata. O reszcie pogadamy później.

Rafał w milczeniu dał mu dwa tysiące i przetarł ręką lekko czoło.

— Co chcecie zrobić?

— Nie wiem, co zrobi gówniarz — odpowiedział cicho pan Wiesio. — Ja się jakoś przemknę do PKS-u. Może nie zwrócę uwagi? Ostatecznie widzieli mnie tylko od tyłu. A jutro do pana zadzwonię. Jeżeli pan jeszcze będzie odbierał telefony.

Rafał uchylił drzwi i wywołał Marka.

— Jedź z nim — powiedział.

— Wykluczone! — szarpnął się Marek.

— Jedź — powtórzył bezbarwnie Rafał. — Nic tu już nie zrobicie. Ja zaczekam na Elżbietę.

— Gówniarzu — szepnął pan Wiesio. — On ma rację. Spieprzajmy!

— A pani Gizela?

— Rany Boskie, nie baw się teraz w sentymenty!

— Panie Rafale — zająknął się Marek. — W razie czego...

- Dobra — przerwał mu Rafał. — Spróbujcie wyjść jakoś tyłem, może nie zauważą. Będziemy się jutro szukać.

Sprowadził ich na dół i czekał, aż wyszli tylnymi drzwiami. Potem ciężko podszedł do chudej recepcjonistki, która była bardziej bliźnim niż kobietą.

- Mam prośbę — powiedział. — Niech pani mi za- mówi Polskie Radio. Tutaj ma pani numer. Tylko chciałbym to dostać możliwie szybko.

- Mogę zamówić błyskawiczną.

- Niech pani zamówi. Zaczekam na górze.

Wrócił do pani Gizeli i bezmyślnie wypił dwa wolne jarzębiaki

po kolei.

- Pan już nie będzie prowadzić? — zapytała podejrzliwie.

- Wszystko jedno — powiedział i ospale wyciągnął się w poprzek łóżka.

W parę minut później zapukała cycata.

- Jest błyskawiczna, niech pan biegnie!

Zszedł bez pośpiechu, zamknął się w drewnianej budce i wziął słuchawkę.

- Agata? — zapytał. — To ja. Posłuchaj...

- Chwileczkę — przerwała mu Agata. — Dziesięć minut temu odezwała się Elżbieta.

- Elżbieta?

- Usłyszała twój apel w radio.

- Nie rozumiem.

- Zgłosiła się i powiedziała, że chce z tobą rozmawiać.

- Skąd się zgłosiła?

- Nie wiem.

- Nie z Miastkowa?

- Nie mówiła. Powiedziała, że jest tam, gdzie ostatni raz byliście na grzybach.

- Ale to jest w zupełnie innej stronie!

- Mówię ci, nie wiem. Powiedziała, że tam jest i czeka.

- Agata — szepnął. — Ja zwariuję! To wszystko nie ma sensu! Czy rozmawiałaś z nią sama?

- Tak jak z tobą.

- I poznałaś jej głos?

- Oczywiście.

Przez chwilę nie mógł zebrać myśli; potem zawołał:

- Słuchaj, od jakiegoś czasu poruszam się w nieproszonym towarzystwie, rozumiesz?

- Chyba tak.

- Nie mogę z nim jechać do Elżbiety!

- Myślę, że masz rację.

- Uważaj, gdyby dzwonił Bartek...

- Jest u mnie — powiedziała. — Właśnie przyniósł mi bardzo ładne kwiaty...

- Powiedz mu, że ma godzinę czasu. Potem niech za-jedzie

pod Radio od tyłu, wiesz, tam gdzie przywożą kartofle do stołówki. Niech tam zaparkuje i czeka w wozie. W żadnym wypadku nie powinien siedzieć u ciebie!

- Naprawdę, Rafał — powiedziała, ale przerwał jej w pół słowa:

- Nie chodzi o to! Ty w każdej chwili możesz mieć gości! Niech siedzi w wozie i nie zagląda do środka!

- A co mam powiedzieć, gdyby przyszli goście?

- Wszystko — powiedział. — Ale najpierw postaw w oknie termos.

- Rozumiem — powiedziała. — Postawię termos, a co z taśmami?

- Nic — odpowiedział. — Nie możesz utrudniać im pracy. Nawet gdybym miał nie dojechać do Elżbiety. Ale ty nie wiesz, gdzie jeździliśmy na grzyby?

— Nawet się nie domyślałam.

— To dobrze. Trzymaj się, dziecko.

— Ty także. I nie wyprzedzaj na niewidocznych zakrętach.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z drewnianej budki.

Recepcjonistka popatrzyła na niego z przyganą.

— Pan zapomniał, że to była błyskawiczna?

— Nie — odpowiedział rozjaśniony. — Po prostu chciałem zapłacić jak najwięcej.

Pokiwała głową i mruknęła:

— Myślę, że się panu udało.

Wrócił do pani Gizeli, włożył płaszcz i spojrzał na nią ze smutkiem.

— Proszę mi powiedzieć: kto to wymyślił? Pani sama? Czy ten szmaciarz Wiesio? I skąd wzięliście jej rzeczy?

Kończyła już przyniesiony przez dziewczynę jarzębiak. Podniosła znad niego pokorne oczy i szepnęła:

- Nie życzę panu żyć tak jak ja. Jestem bezużytecznym sprzętem i każdy stawia mnie tam, gdzie zechce. Wystarczy, że obieca mi porcję alkoholu na wieczór. Dlatego nie będę się dziwić, jeżeli wyjdzie pan bez pożegnania. Ale na odchodnym dam panu jedną radę: niech pan jednak przejrzy te walizki swojej żony, z którymi ona jeździ za

granicę.

- Pani Gizelo! — powiedział z łagodną przyganą. — Na dzisiaj chyba wystarczy!

- Niech pan przejrzy — powtórzyła, — A zresztą to pańska rzecz. Czy zapłaci pan za jarzębiak?

- Zapłacę.

- To niech pan od razu zapłaci za drugi. Mam przed sobą ciężką noc. Pana to nie czeka, bo pan nigdy nie będzie samotną, starą kobietą.

Zawahał się, podszedł i pogładził ją po ręce. Wtedy rozplakała się bolesnym płaczem i szepnęła:

- Niech pan będzie ostrożny...

Poszedł na parking przed gospodą. Szary „Opel” stał w przyzwoitej odległości, ale dwaj młodzi ludzie w podobnych jesionkach rozglądali się czujnie przez szyby.

Włożył prawą rękę do kieszeni, gotów — gdyby podeszli — nacisnąć klawisz kasownika. Nie podeszli jednak; pozwolili mu spokojnie uruchomić wóz i odjechać sprzed gospody. A kiedy, już na szosie, spojrział w lusterko, zobaczył, że nie towarzyszą mu w powrotnej drodze do miasta. Widocznie mieli tylko sprawdzić, jaki był cel jego podróży.

Zajechał przed gmach Radia i stwierdził, że w oknie Agaty nie ma wystawionego termosu. Wziął ze sobą pudełko nagrań, przeznaczonych dla Karola, i trzonek z żyletką, który miał trafić do daktyloskopii, starannie zamknął wóz i wbiegł do budynku.

Agata siedziała nieruchomo przy stole. Była szara na twarzy i jakby starsza o dobre cztery lata.

Pocałował ją i powiedział:

- Weź z szafy kasetę z wczorajszymi rozmówkami, a potem szybko ubieraj się, jedziemy.

- Ja także?

- Także. Nie chcę, żebyś dzisiaj odpowiadała na niczyje pytania.

Otworzyła szafę i wyjęła kasetę z oryginałami ostatnich nagrań. Potem zawahała się.

- Chcesz to zniszczyć?

- Jeszcze nie wiem. Ale nie chcę, żeby to było tutaj.

Schowal kasetę do kieszeni i ponaglił Agatę:

- Pośpiesz się, nie wiadomo, ile mamy czasu.

- A Jolka?

- Nie ruszą jej. Znalazłem mieszkanie jednego z tych facetów, którzy ją porwali. Byłem tam, rozmawiałem z jego żoną, która oczywiście o niczym nie wie, i zostawiłem mu numer telefonu do Radia. Nie zadzwoni, to jasne, ale będzie wiedział, że w razie czego pierwszy pomaszeruje za kratki. Tak, że możemy jechać spokojnie.

Powoli zaczęła wkładać płaszcz i nagle zatrzymała się bez ruchu.

- A nie boisz się, że jesteś na śliskiej drodze?

- Boję się. Ale co mam robić? Zadzwoń do porucznika Jasły, zanim rozmówię się z Elżbietą?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zastanów się, ty przekłety reporterze! Czy nie widzisz, że pod tym wszystkim jest tylko twoja wściekła ambicja? Wszystko chcesz zrobić sam, aż do końca! I jeszcze nagrać z tego niepowtarzalną audycję! Nie zauważyłeś że to, co robisz, to już nie są wykroczenia zawodowe; to są przestępstwa! To włamanie na camping, to wymuszanie zeznań... Rafał, ty się pchasz w ślepią uliczkę!

Bez słowa otworzył przed nią drzwi.

Na zapleczu Radia stała czarna „Wołga”. Bartek przekomarzał się z dziewczynami z radiowej kuchni.

Wsiadli i Rafał delikatnie dotknął klaksonu.

Bartek obejrzał się, szybko podbiegł i usiadł za kierownicą.

- Gdzie? — zapytał.

- Najpierw szybko stąd.

Wypadli na aleję, prowadzącą ku pojezierzu.

- A dalej? — zapytał Bartek.

- Złota Polana.

- Fajna trasa, lubię ją. Złotą Polanę też bardzo lubię.

Przez chwilę jechali w milczeniu; Agata zgryziona. Rafał pogrążony w zadumie.

Potem Bartek powiedział:

- Obszedłem wszystkie lokale, do których zaglądał. Gówno.

- Kto zaglądał? — zapytał półprzytomnie Rafał.

- No, nasz pan Hartman. Od wczoraj nikt go nie widział. Możliwe, że prysnął z miasta.

- Możliwe — powtórzył za nim Rafał, ale widać było że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

Po godzinie skręcili z głównej szosy w bok. Droga zrobiła się gorsza, musieli trochę zwolnić. Z obu stron otoczyły ich jeziora, rozlane wśród morenowych wzgórków. Nachylenie zaczęło wzrastać. Pokonali z wyciem jeszcze trzy ostre serpentyny i wpłynęli na małą pętlę, zakończoną przystankiem PKS.

- Niech pan na chwilę zatrzyma — powiedział Rafał.

Zatrzymali się pod wielkimi dębami, które nie zrzuciły wszystkich suchych liści; ciągle jeszcze było na nich trochę poszarzałego złota, od którego Polana wzięła swoją nazwę. Między drzewami stało kilka samotnych domków, dwa kioski zabite deskami na głucho i drewniany szałas, w którym mieściła się miniaturowa kawiarenka. Była otwarta, w środku grało radio.

- Zaczekaj tam — powiedział do Agaty. — Na pierwszy ogień wolałbym pójść do niej sam.

Skinęła głową i bez słowa wysiadła.

Obrócił się do Bartka i zapytał:

- Pan wie, gdzie jest schronisko?

- Pytanie!

- No, to drapmy się.

Skręcili w górską dróżkę, która była tak wąska, że krzaki z obu stron szeleściły po burtach samochodu, i tak stroma, że mogli piąć się po niej tylko na jedyne.

Sto metrów wyżej, prawie u podnóża starych, od pół wieku nie używanych fortów, stało kamienne schronisko z obszernym podwórzem, podmurowanym od strony stoku.

Wjechali w nie i stanęli. Stary człowiek, który rąbał tam drzewo, obrócił ku nim głowę i starał się przez szybę rozpoznać, kto przyjechał.

- Niech pan nawróci — powiedział Rafał. — A ja pójdę do córki.

W tej chwili w drzwiach schroniska stanęła Elżbieta. Była blada

i miała cienie pod oczami.

Wysiadł i podbiegł do niej po sześciu schodkach, ułożonych z płaskich kamieni. Czekala tam, nie ruszając się z miejsca.

Objął ją i poczuł, że jej szczupłe plecy drżą.

- No, nic — szepnął. — Nic.

Pogładził ją po czarnych włosach i przez chwilę nie mógł powiedzieć nic więcej.

Podniosła głowę i nerwowo zapytała:

- Kto miał wypadek? Mama?

- Nie, to chodzi o co innego.

- O co?

- No, poczekaj. Nie tu.

- Ale ja muszę wiedzieć!

- Zaraz ci powiem.

Odwrócił się w stronę człowieka z siekierą, który dyskretnie czekał w połowie podwórza.

- Dzień dobry, panie Sebastianie. Pamięta mnie pan jeszcze?

- Ja znajomych nie zapominam. Ale dawno pana nie było. Jadł pan obiad?

- No, prawdę mówiąc...

- Pani Elżbieta zaraz powiedziała, że pan nie zdąży. Bardzo proszę do jadalni.

Obejrzał się na Elżbietę, która stała spięta i prawie wroga, i powiedział:

- Może troszkę później. Chciałbym zamienić parę słów z córką.

- Bardzo proszę, jak panu wygodniej. W każdym razie obiad czeka. — Odwrócił się do Bartka i powiedział: — A pan nie głodny?

- Ja jestem zawsze głodny — uśmiechnął się Bartek,

- No, to zapraszam.

- Dziękuję — odpowiedział grzecznie Bartek. — To ja już chyba razem z panem redaktorem. Nie chciałbym robić kłopotu.

- A cóż to za kłopot? Niech pan się nie certuje, bardzo proszę.

- Chodź na forty — powiedziała szybko Elżbieta i nie czekając na ojca zbiegła po schodkach.

- Niech pan je, panie Bartku — powiedział Rafał i poszedł za córką.

Czekała na niego za kamienną bramką.

- No, więc co znaczył ten komunikat? — zapytała ze złością.

- Musiałem się z tobą zobaczyć.

- Po co?

- Żeby pogadać.

- I to wszystko?

- Odejdźmy stąd — powiedział i wziął ją pod rękę.

Szarpnęła się i szybko poszła przodem.

Ruszył za nią, nie próbując jej dogonić, i tak doszli do fortów. Były masywne, pokryte grubymi czapami ziemi i otoczone głęboką fosą, w której rosły suche krzaki. Ostatni ślad drogi ginął tutaj pod warstwą gnijących liści, Dookoła rosły dęby, większe i jeszcze bardziej złote niż przy pętli.

Elżbieta stanęła pod jednym z nich i czekała w gniewnym milczeniu. Podszedł, wyciągnął „Ekstra mocne” i podsunął jej otwartą paczuszkę. Wzruszyła ramionami. Zapalił sam i zapytał:

- Pamiętasz Jolkę?

— Jaką Jolkę?

- Kelnerkę z kawiarni „Lotos”.

Przez chwilę się nie odzywała; potem mruknęła:

- No i co?

- Porwali ją ostatniej nocy.

- Kto ją porwał?

- Dwaj faceci, z których jednego znam.

- Jak się nazywa?

- Ludwik Waškowiak. Inaczej Luluś. Znasz takiego? Znowu wzruszyła ramionami ze złością. Mogło to znaczyć tak i nie.

Potem zapytała, ciągle nie patrząc mu w oczy:

- Skąd wiesz o Jolce?

- Dzwoniłaś do niej z budki w parku.

- Powiedzmy. Ale ty wtedy siedziałeś w samochodzie.

- Znalazłem kartkę z numerem jej telefonu. Zmarszczyła się, jakby z wysiłkiem próbowała sobie odtworzyć bieg wydarzeń z tamtego popołudnia. Potem potrząsnęła głową.

- Kłamiesz. Zwinęłam to w kulkę i rzeczywiście włożyłam do twojej popielniczki. Ale potem wyjęłam i wyrzuciłam za okno.

- Pojechaliśmy tam w nocy z Agatą i tak długo szukaliśmy, aż udało nam się znaleźć.

- A dlaczego w ogóle szukaliście?

- Bo zaniepokoił nas twój telefon do Szmida.

Dopiero teraz bardzo powoli obróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie znam żadnego Szmida. I nigdy z nim nie rozmawiałam.

- Ale próbowałaś.

- Nie.

- Owszem, próbowałaś. Z aparatu u nas, w domu.

Przyjrzała mu się jakby z odrobiną lęku.

- Jeżeli nawet — powiedziała — to zrobiłam to wtedy, kiedy wyszedłeś po papierosy.

- Tak. Ale nie wiedziałaś, że mamy aparat podłączony do magnetofonu.

Zesztywniała, a oczy zrobiły się jej niedobre.

- Dlaczego — zapytała — zastawiłeś na mnie taką; pułapkę?

Czy ja ci kiedyś zrobiłam coś złego?

Speszył się i szybko powiedział:

- Nie gadaj głupstw. Po prostu zawsze nagrywam wszystkie rozmowy. Moje audycje są przyjmowane bardzo rozmaicie; często dostaję pogróżki, różni ludzie próbują mnie szantażować... Wolę to wszystko mieć na taśmie.

- Nie mogłeś zrobić dla mnie wyjątku?

- Po prostu nie przyszło mi to do głowy.

- No, ładnie — powiedziała i bezmyślnie poszła przed siebie. Weszli w gąszcz suchych zarośli, które szarpały ich za płaszcze i drapały po rękach. Nagle Elżbieta stanęła. Nie

widział jej twarzy, ale czuł, że zbliżają się do decydującego momentu.

- Ile wiesz? — zapytała.

— Dużo.

— Mów konkretnie.

- Jeżeli pozwolisz, to wolałbym zacząć od pytań.

— Nie będę odpowiadać.

— Dlaczego?

- Bo nie chcę.

— Dlaczego nie chcesz?

Znowu szybko ruszyła przed siebie. Weszli w gąszcz tak zwarty, że prawie uniemożliwiał im przejście. Pchała się jednak do przodu z furią, której nie rozumiał, aż nagle zmiękła, osłabła i przysiadła na mokrych liściach.

- Tato — szepnęła. — Ja tego nie chciałam.

- Czego?

- Nieważne. Daj mi teraz papierosa.

Zapaliła, zaciągnęła się głęboko i zaraz zgasła go w mokrej ściółce.

- Tak się nigdy nie dogadamy — powiedział. — A musimy.

— Nie — szepnęła. — Ty nic nie musisz. To jest tylko moja sprawa. I pozwól mi ją załatwić bez niczyjej pomocy.

- Nie mogę — powiedział cicho. — Bo to już zaszło za daleko.

- Jak daleko?

- No, bardzo. Milicja już wie, że ja za tym chodzę.

- Jak mogłeś! — krzyknęła. — Rany Boskie, bez porozumienia się ze mną! Czy ty wiesz, czego narobiłeś?

- Ja?

- A kto? — zawołała prawie ze łzami. — Gdybyś się nie uparł grzebać w sprawie tej Szmidt...

- Nie mogłem się nie uprzeć — odpowiedział bardzo cicho. — Bo ja nie wierzę, że ona popełniła samobójstwo bez powodu.

Umilkli oboje. Po chwili Elżbieta położyła mu dłoń na rękę i szepnęła:

- Zawsze byłeś taki... Ale nie mogłam przypuścić, że ja...

Że przez ciebie...

Twarz jej się skurczyła, w oczach pokazały się łzy. Otarła je ostrożnie, żeby nie rozmazać sobie tuszu na rzęsach, i znowu poprosiła:

- Daj mi papierosa.

Teraz wypaliła go łąpczywie aż do samego końca. Rafał czekał w milczeniu. Dokoła było cicho, czasem tylko coś zaszeleściło wśród zleżających liści. Powoli zaczęło się ściemniać, ale wciąż jeszcze dobrze widzieli swoje twarze. — No, więc jak? — zapytał wreszcie Rafał. — Może zaczniesz?

Wstała i znowu poszła dalej. Ruszył za nią, czując, że nie może zrobić nic więcej, tylko iść tam, gdzie ona zajdzie, i czekać, co ona postanowi. Zmierzch zapadał szybko, pod dębami było już teraz prawie ciemno.

Wreszcie przystanąła.

Zatrzymał się za jej plecami i milczał. Wiedział, że tym razem nie powinien zaczynać pierwszy.

- Rozmawiałeś z mamą? — zapytała, bawiąc się suchą gałązką, która zagradała jej dalszą drogę.

- Oczywiście — powiedział. — W pierwszej kolejności.

- Bardzo się martwi?

— No, możesz sobie wyobrazić.

- Powiedziałeś jej o swoich odkryciach?

- Nie miałem okazji. Odkrycia nastąpiły później.

- A z kim jeszcze rozmawiałeś?

— Z wieloma ludźmi. Przede wszystkim z twoim chłopakiem.

— Czy on także bardzo się martwi?

— Bardzo.

- To ładnie — powiedziała. — Powinien się martwić. Myślę, że nie spotka dziewczyny, która by go kochała bardziej niż ja.

- On też cię kocha — powiedział. — I robi, co może, żeby cię znaleźć. Ale zdaje się, że źle szuka. Czy znasz panią Gizelę?

- Kogo? — zapytała i zabrzmiało to szczerze.

- Starszą panią, która dużo pije i z którą rzekomo miałaś wyjechać do Miastkowa.

- Nie znam żadnej pani Gizeli — mruknęła obojętnie. — I

nigdy nie byłam w żadnym Miastkowie. Jeżeli wszystkie twoje informacje są równie ściśle...

- A kto to jest pan Stańczyk?

Powoli odwróciła się ku niemu; ale teraz nie była spięta, była tylko trochę speszona.

- Nie wiesz? — zapytała.

- Nie.

- To kochanek mamy.

- Kochanek mamy?

- Od roku — powiedziała. — Myślałam, że ci powiedzieli. Ona się z tym kryje, ale byłam pewna, że ćwierkają o tym wszystkie wróble na dachu.

- Elźbieto! — szepnął. — Ty chyba żartujesz!

- Dlaczego? — zapytała. — Od trzech lat nie miała mężczyzny.

- Oczywiście — powiedział. — Nie, no, oczywiście...

A mimo to czuł się upokorzony.

- Jesteś zabawny — szepnęła i znowu położyła mu dłoń na rękę. — Przecież ją zostawiłeś, no nie?

- Nie ma o czym mówić.

- No, właśnie.

Wstała i mruknęła:

- Ciemno już. Wracajmy, bo jeszcze powpadamy do fosy.

- Wracajmy, oczywiście.

Szli teraz wolniej, bo w gęstniejącym mroku nie widzieli przeszkód, które wyrastały im na drodze.

- O Jolkę się nie martw — powiedziała nagle Elżbieta. — To idiotka, ale nikt nie zrobi jej krzywdy. Myślę, że chodziło o to, żeby jej zamknąć gębę na parę dni. Dostanie dwa tysiące i będzie cicho.

- Rozumiem — powiedział, chociaż nic nie rozumiał. — Ale dlaczego trzeba było zamknąć jej gębę na parę dni? Dlatego, że знаła ten dom koło portu?

Zatrzymała się i znowu jakby lekko zeszytniała.

- A ty znasz ten dom? — zapytała.

- Nie.

- Nie pokazała ci go?

- Byliśmy tam, ale nie mogła go znaleźć.

- Ach, tak — szepnęła i znowu poszła przodem.

Tym razem ją dogonił i złapał za ramię.

- Elżbieta — zawołał. — Przestań grać i powiedz, o co tu chodzi!

Obejrzała się na niego; w ciemnościach zobaczył tylko błysk jej białek.

- Tato — szepnęła. — Gdyby chodziło tylko o mnie, powiedziałabym ci wszystko wczoraj po południu. Ale tu jest zaplątanych tylu innych ludzi, a ty ze wszystkiego zrobisz aferę. Daj mi trochę pomyśleć!

— Po to przyjechałem! — zawołał gorączkowo. — Żeby z tobą pogadać i żebyś mogła pomyśleć! Nie traktuj mnie jak kogoś obcego!

- Ani przez chwilę tak cię nie traktowałam — powiedziała cicho. — Ale ty za mało wiesz, żeby za mnie decydować. Musisz mi dać trochę czasu.

Potykając się i ślizgając zeszli do schroniska. Nad kamienną bramką paliła się teraz mała lampka, połowa okien była oświetlona.

- Nie jedz jeszcze obiadu — szepnęła Elżbieta. — Weź tego swojego taksówkarza i przywieźcie trochę wódki. Muszę mieć godzinkę dla siebie.

- Oczywiście — powiedział szybko; może nawet za szybko jak na ojca, który przyjechał rozmówić się z córką w gardłowej sprawie. — Tylko powiedz mi, czy dostaniemy w tej kawiarni na dole?

- Tak — powiedziała. — Dostaniecie. Ale nie śpieszcie się. Wypijcie kawę i posłuchajcie trochę radia; ostatecznie to jest twój własny środek przekazu. Naprawdę chciałabym być teraz sama.

- Dobrze — powiedział. — Jest tylko jeszcze taki drobiazg. Tam, na dole, zostawiłem Agatę; czy nie będzie ci przeszkadzać, jak na obiad przyjedziemy oboje?

- Tato — westchnęła. — Czy ty nie rozumiesz, że ja mam teraz swoje własne kłopoty? I że wasze sprawy — twoje, mamy i pani Agaty — stały się dla mnie mało ważne?

- Rozumiem — powiedział. — Jeszcze coś — sięgnął do kieszeni, wyjął małego „Philipsa” i kasetę, którą zabrał z szafy Agaty, podał to wszystko Elżbiecie i powiedział: — Nie wiem, czy ci się to przyda. Ale przesłuchaj wszystko, co nagrałem od twojego wyjazdu. Może się zorientujesz, że wiem więcej, niż ci się wydaje.

- Przesłucham — powiedziała. — Ale teraz już jedźcie. W drzwiach schroniska ukazał się pan Sebastian, zaraz za nim Bartek. Widocznie usłyszeli ich głosy przez okno.

- Panie Bartku — powiedział nadmiernie rażnym głosem Rafał. — Skoczmy teraz na dół po coś mocniejszego. A do pana mam prośbę: niech pan nam ten obiad podgrzeje trochę później.

- Bardzo proszę — powiedział gospodarz.

- No, to cześć — mruknęła Elżbieta. — Ale naprawdę nie śpieszcie się z powrotem.

- Dobrze, córeczko — powiedział i wsiadł do samochodu. — Masz półtorej godziny wyłącznie dla siebie.

- Właśnie o to chciałam cię prosić.

Bartek wsiadł i zatrzasnął drzwi ze swojej strony. Potem włączył światła i na zewnątrz od razu zrobiła się noc.

— Cześć, mała — zawołał Rafał.

- Cześć.

Wyjechali z kamiennego podwórka i polecieli na łeb na szyję wąskim holwegiem, który teraz już zupełnie nie przypominał drogi.

Siedzieli potem długo w szalasiu, który urządzony był w stylu szlachecko-chłopskim, czyli tak, jak prywatni agenci wyobrażają sobie tradycję: z szablami i siwakami, z dużą ilością drewnianych antałów, służących jako stołki, i jeszcze większą ilością wystrzyganek z kolorowej bibuły. Rafał i Agata wypili po dwa grzane krupniki po staropolsku, a Bartek dwa napoje firmowe z kompotu, rozcieńczonego przegotowaną wodą. Wysłuchali przy tym sprawozdania z meczu Górnik—Legia i przekonali się, że Górnik ciągle jest lepszy.

Wreszcie Rafał popatrzył na zegarek i zdecydował, że można

wracać.

Pojechali stromą dróżką, która w świetle reflektorów wydawała się prawie pionowa, i zawinęli na podwórko, wyglądające na tle czarnych chaszczy jak miniaturowy pokład lotniskowca.

- Obiadek gorący — powiedział pan Sebastian, który zobaczył światła przez okno, i zaraz wyszedł na schodki. — A pani Elżbieta ciągle siedzi u siebie. Ściągnijcie ją, państwo, do jadalni, może przekąsi coś razem z wami.

Rafał podał mu trzyćwiertciową butelkę „Budafoku” i dyskretnie szepnął:

- Niech pan skombinuje jakieś kieliszki.

Pan Sebastian odwinął papier i gwizdnąwszy mruknął:

- Mam nawet specjalne do koniaku. Nie wiem, czy jest sześć, ale parę jeszcze zostało. Dla pań w każdym razie wystarczy.

- Idźcie do jadalni — powiedział Rafał, obejrząwszy się na Agatę i Bartka. — A ja ściągnę Elżbietę. Dał jej pan ten pokój, co zawsze?

- Oczywiście, panie redaktorze. Ja pamiętam, co kto lubi. Państwo zawsze lubili widok na jeziora.

Wszedł po skrzypiących schodach na piętro, a pan Sebastian zabrał tymczasem Agatę i Bartka do jadalni.

Na górcie było ciemno, ale przez szpary w drzwiach po lewej stronie przeciekało światło.

Zawahał się, a potem nacisnął klamkę i ze słowami „No, stara, chodź na wódek” zajrzał do małego pokoju

o skośnym suficie i dwóch małych okienkach, za którymi stała ciemność.

Ale pokój był pusty.

Przez chwilę stał w progu, nie wiedząc, co robić, potem wszedł do środka.

Na stole stał jego „Philips”, ozdobiony paru złotymi listkami dębu.

W pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi i zaczął się rozglądać. Nie zobaczył jednak żadnych śladów pobytu Elżbiety: rozłożonych na umywalce kosmetyków, suszących się rajstop, książek.

Pokój był tak dokładnie bezpański, jakby czekał na nowego lokatora. Łóżko starannie zaścielone, popielniczka pusta, okno lekko uchylone, ramiączka na wieszaku za drzwiami gołe.

Najpierw cofnął się na korytarz, jakby chciał ją przywołać — mogła być przecież w łazience — ale potem przypomniał sobie, że nie ma tu żadnej łazienki, i bez słowa zawrócił.

Dopiero wtedy zaczął powoli rozumieć.

Zdjął z „Philipsa” ozdobne liście i uruchomił kasetę.

Z małego głośniczka odezwał się zgaszony, pełen troski głos jego córki: „Tato, zanim ci coś powiem, muszę najpierw porozmawiać z paroma ludźmi. Nie szukajcie mnie, poszłam na skrót do przystanku, z którego mam autobus do miasta. W chwili, kiedy będziesz tego słuchał, ja już będę daleko. Zanocujcie u pana Sebastiana, na pewno otoczy was najlepszą opieką. Spotkamy się jutro o dziewiątej w parku, pod tą samą budką, z której, jak twierdzisz, dzwoniłam do Jolki. Będę wyjątkowo punktualna, możesz na to liczyć. Kasetę z nocnymi nagraniami zabrałam, resztę, która była w aparacie, niestety musiałam

wykasować. Wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli nikt nigdy nie usłyszy banialuków pani Gizeli. Całuję cię bardzo mocno, bądź spokojny i wypij za moje zdrowie — Elżbieta”.

Zszedł powoli do małej jadalni, która wydała mu się oazą spokoju: trzy proste stoły nakryte ceratą, pęki czerwonych gałązek w glinianych wazonach, dymiąca waza, wiejski chleb, gruba sól w płaskiej solniczce.

Tamci już rozlali pierwszą kolejkę koniaku, ale żona gospodarza, rozłożysta pani Marianna, nie dała im polizać nawet kropelki. Siedziała na poczesnym miejscu, u szczytu stołu, gdzie królowała zawsze podczas wszystkich poczęstunków, w. jakich brał udział, i witała go rozumianymi oczyma.

- No, kochany panie redaktorze! — zawołała, gdy wszedł.
— Tu węgierski bimber stygnie, a pan...

Nagle urwała i zupełnie innym głosem zapytała:

- A pani Elżbieta nie skosztuje?

Staął w progu, chwilę milczał, a potem powiedział:

- Elżbiety nie ma.

- Jak to nie ma?

- Wyjechała.

Zrobiło się cicho i dopiero po paru sekundach pani Marianna zapytała:

- A skąd pan wie, że wyjechała? Może po prostu poszła się przejść?

Pokazał jej magnetofon i szepnął:

- Nie. Tu nagrała coś w rodzaju pożegnania. Mówi, że idzie na skrót do jakiegoś autobusu, który o tej porze będzie daleko.

Gospodarz sięgnął po przedwojenną „Cymę” na łańcuszku i sprawdzivszy godzinę powiedział uczciwie:

- To prawda. Jeżeli odjechał punktualnie, to od trzech kwadransów jest w drodze.

Bartek natychmiast wstał od stołu i oburącz odrzucił włosy.

- Ja po ciemku latam jak nietoperz. Bardzo proszę. Na szczęście nie tknąłem tej węgierskiej chary.

Przez chwilę było cicho i Rafał czuł, że wszyscy spodziewają się po nim decyzji.

- Nie — powiedział i sięgnął po kieliszek. — Umówiła się ze mną o dziewiątej rano. Zostawmy jej te trochę czasu.

- Jesteś pewien? — zapytała bardzo dobitnie Agata.

- Tak — potwierdził. — Ona ma jeszcze coś do załatwienia.

I myślę, że powinna to załatwić sama.

- A jeżeli niczego nie załatwi?

- Powiedziała, że spotka się ze mną punktualnie o dziewiątej.

- No, to drodzy państwo — zawołała pani Marianna. — Nic nam nie pozostaje, jak tylko wypić. Zdrowie pana redaktora i jego nowej żony! Wiwat!

I wypila koniak jednym haustem.

Bartek spojrzał na nią z ukosa, a potem ostrożnie obrócił się w stronę Rafała.

- Nie jedziemy?

- Nie — szepnął Rafał. — Niech pan spokojnie wypije zdrowie mojej żony i moje.

- Tak?

- Przecież mówię.

- No, to tego...

Wychylił swój kieliszek małymi haustami, zerkając ku: Rafałowi sponad szkła.

Pan Sebastian nachylił się ku swojej połowicy i mruk- nął:

- Nalej zupki, państwo do tej pory są bez obiadu — a potem uśmiechnął się łagodnie i dodał: — Jak by nie było, prosimy czuć się jak u siebie w domu. My naprawdę z całego serca!

- A może jednak pojedziemy? — zapytała napiętym głosem Agata. — Autobus się wlecze; jakbyśmy dobrze przycisnęli gaz...

- Nie — powiedział ze smutkiem Rafał. — Nie można niczego robić na siłę. Niech załatwia to sama.

I sięgnął po swój kieliszek.

Późno w noc położyli się z Agatą w małym pokoju o dwóch oknach, gdzie do niedawna mieszkała Elżbieta. Przez uchyloną szybę ciągnął chłód, ale pod grubą kołdrą było ciepło. Za ścianą szumiały złote dęby, padał drobny deszcz, na parapecie rozbijały się rzadkie krople.

- Chciałabym tu zostać na zawsze — szepnęła Agata. — Bez naszych audycji, bez konferencji, bez ciągłego oglądania się na redaktorów. I bez twojej Elżbiety, która nie wydaje mi się najlepszą dziewczyną na świecie.

- Ja też bym chciał — powiedział cicho Rafał. — Przynajmniej dziś wieczorem. Rąbać drzewo, owijać krzaki na zimę i zbierać żołądźcie dla świń. Ale przypuszczam, że nie wytrzymałbym. Wkrótce bym się dowiedział, że w gromadzkiej radzie ktoś komuś robi świństwo i zacząłbym zbierać podpisy. Potem już wszystko byłoby tak jak u nas w mieście...

- Tak — potwierdziła. — Tak byłoby. Ty jesteś chory na ludzką krzywdę i już nic cię z tego nie wyleczy. Nawet mnie zaraziłeś tą swoją chorobą. Ale mogę pomarzyć, prawda?

- Możesz — powiedział. — Ja przecież nic innego nie robię, tylko marzę o takiej chwili, kiedy każdy każdemu będzie

chciał zrobić dobrze. I wierzę, że taka chwila nadejdzie. I że ją jeszcze zobaczą...

- A na razie — powiedziała z westchnieniem Agata — spotykasz się z córką, która świni się na naszych oczach, i traktujesz jak małą madonnę. Czy to się zgadza z całym twoim programem?

- Zgadza się — powiedział. — Ponieważ zostawiłem ją w momencie, kiedy najbardziej potrzebowała ojca. I za wszystkie jej grzechy ponoszę odpowiedzialność.

- Nie ponosisz — powiedziała z westchnieniem. — Dziewczyny, które kończą dwadzieścia lat, same biorą w ręce swój los. Może to być los brzydki albo ładny, ale już nikt nie może im pomóc. A teraz przestań myśleć i przytul się do mnie; ostatecznie jesteśmy w bardzo miłym schronisku i na moment możemy przestać myśleć o czymś innym.

- Masz rację — szepnął. — Naprawdę bardzo cię kocham. Kiedy zasypiali, miała oczy pełne łez. Na dworze podniósł się wiatr i zaczął szarpać koronami złotych dębów. Było niespokojnie, mokro i bardzo smutno. Oboje o tym wiedzieli, ale woleli milczeć. Zasnęli nie wiadomo kiedy, a ich sen był ciężki i przykry.

VI

Następny dzień był również ciemny i wietrzny, ale przynajmniej nie padało. Rafał nerwowym krokiem przechadzał się przed budką telefoniczną, kołnierz płaszcza miał postawiony, ręce głęboko upchnięte w kieszeniach.

Park o tej porze był pusty, nawet dozorczy gdzieś się pochowali i tylko czasem samotna ciężarówka przemknęła asfaltową aleją, podrzucając kołami gnijące liście. Od strony morza ciągnął przenikliwy chłód.

O dziesiątej wrzucił złotówkę do automatu i zadzwonił do Agaty.

— Nie ma jej — powiedział, rozglądając się cały czas przez zabrudzone szyby. — Co robić, cholerny świat, co robić?

— Dzwoniłeś do żony?

— Nie.

— Zadzwoń. Może tam spała?

— Nie wierzę.

— Ale spróbuj.

— No, dobrze.

Przycisnął widelki, wrzucił następną monetę i nakręcił numer swego dawnego domu.

Nikt się nie zgłaszał. Czekał przez parę sekund, potem znowu nacisnął widelki, moneta wypadła, wrzucił ją z powrotem i zadzwonił do szpitala.

— Z ortopedią — powiedział. Znowu czekał przez chwilę, potem zapytał: — Ortopedia? Chciałbym mówić z doktor Kostroniową.

— Pani doktor jest w domu — odpowiedział mu bardzo miły głos, pewnie jakiejś stażystki. — Zna pan numer?

— Znam, ale tam nikt nie odpowiada.

— Myślę, że pani doktor wyłączyła telefon. Miała dziś ostry dyżur. Ale jest doktor Walicka. Poprosić?

— Nie — powiedział. — Dziękuję.

Wyszedł z budki i po raz ostatni rozejrzał się po parku. Elżbiety nie było.

Wskoczył do swego wozu, który od wczoraj pokrył się nowymi zaciekami sadzy i błota i gwałtownie poleciał przez miasto. Była to godzina małego ruchu; w dwadzieścia minut zajechał pod dom żony.

Małej „Lancii” nie było na chodniku przed wejściem, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło, mogła być zamknięta w garażu. Pchnął furtkę, w dwóch skokach pokonał betonowe schodki i zaczął nerwowo dzwonić. Potem pięściami zaczął walić w drzwi.

Wreszcie otworzyły się i na progu stanęła Barbara. Miała zaspane oczy i zmęczoną, nie umalowaną twarz.

— Przepraszam cię — powiedział szybko. — Ale jest taka sprawa...

— Wejdz — szepnęła — Tu wieje.

Cofnęła się, robiąc mu miejsce, i małymi rękami ściągnęła szlafrok pod brodą.

Wszedł, z pośpiechem zamknął drzwi i od razu zapytał:

— Elżbiety tu nie ma?

— A miała być? — zapytała z nutką nadziei.

— Nie, to znaczy... Sam nie wiem.

— Ale znalazłeś ją?

— No, znalazłem.

— Gdzie?

— W schronisku na Złotej Polanie.

— Że ja się nie domyśliłam! — zawołała. — Oczywiście, że na Złotej Polonie! Trzeba było od razu tam jechać. Nic jej nie jest?

— Nic.

— Na pewno?

— Och, Boże — szepnęła. — Jest zdrowsza i silniejsza niż my oboje razem wzięci.

— Więc co to było?

Odwrócił oczy i powiedział:

— Nie wiem.

— To niemożliwe — krzyknęła. — Znalazłeś ją, rozmawiałeś z nią i dalej nic nie wiesz?

Minął ją, wszedł do pokoju i nie zdejmując płaszcza ciężko usiadł w fotelu.

— Barbara — szepnął, patrząc tępo na igłowy dywan, pokrywający całą podłogę. — Boję się, że ona nie jest taka, jak myśleliśmy.

Podbiegła i stanęła tuż przed nim.

— Co to ma znaczyć?

— Ciągłe nie znam szczegółów — powiedział bardzo cicho.

— Ale jednego jestem pewien: ona związała się z bardzo nieciekawymi ludźmi. I nie chce na ich temat powiedzieć ani słowa.

— Zaraz — szepnęła, jakby te jego podejrzenia wydały się jej sprawą mniejszej wagi. — Ale czemu ty jej szukasz? Nie przyjechaliście razem?

— Nie.

— Więc gdzie ona jest?

Dopiero teraz podniósł na nią oczy i odpowiedział drżącym głosem:

— Myślę, że właśnie z nimi.

Zamrugła powiekami niepewnie i zapytała:

— Czy jej coś grozi?

— Możliwe.

— No, więc na co czekasz? Rób coś, szukaj jej, przecież tak nie można!

Rozłożył ręce.

— Kiedy widzisz — powiedział ze znużeniem — ja już właściwie wyczerpałem wszystkie możliwości.

Nagle coś mu w oczach błysnęło, jakby jakaś nowa myśl, na którą nie wpadł do tej pory.

— Chwileczkę — powiedział. — Barbara, pokaż mi swoje walizki... Te, z którymi zawsze jeździsz za granicę..

— Oszalałeś? — krzyknęła. — W takiej chwili!

— Pokaż mi — powtórzył uparcie. — Bo inaczej sam ich poszukam.

— Ale po co? — krzyknęła jeszcze głośniejsze. — Po co? Jeżeli straciłeś rozum, to ja cię zawiozę do psychiatry. Ale nie każ mi się teraz zajmować głupstwami!

Wstał i twardo powiedział:

— Muszę je zobaczyć. Rozumiesz?

Otworzyła wściekle schowek pod schodami i wyrzuciła z niego lotniczą walizkę z kraciatym płótnem i skórzany sakwojaż z grubą rączką.

— Masz! — krzyknęła. — Rób z tym, co chcesz, ale zacznij wreszcie mówić jak człowiek!

Kłękając i w milczeniu otworzył walizkę. Jej ścianki były cienkie, pojedyncze i nie mogły kryć w sobie żadnych tajemnic. Również plastikowe narożniki i lamówki.

Odłożył ją i sięgnął po sakwojaż. Ten miał grube dno, wyklejone sztywną futrówką.

Wyjął z kieszeni scyzoryk i nie zwracając uwagi na wściekły oddech Barbary zaczął pruć futrówkę, a potem wyrwał ją i starannie obmacał twarde dno. Ale tam także nic nie było.

Wybebeszył jeszcze boczne kieszenie i stwierdził, że nie zawierają żadnych sekretnych schowków. Zatrzymał się i przez chwilę kłęczał w milczeniu.

— Idiota! — syknęła mu za plecami Barbara. — Może mi przynajmniej powiesz, co chciałeś tam znaleźć.

Milczał jeszcze przez chwilę, a potem w nagłym skupieniu zaczął manipulować przy rączce. Była metalowa, gruba, obciążona skórzanym ochraniaczem. Z wierzchem torby łączyły ją dwa metalowe ucha, osadzone w niklowych tulejach. Przez parę sekund medytował nad tymi tulejami, a potem ostrożnie dotknął ich palcami.

W pierwszym momencie wydawały się zamocowane na głucho: ale kiedy je mocniej nacisnął, poczuł, że obracają się wokół własnej osi.

Pokręcił je mocniej i nagle usłyszał cichy trzask: rączka torby otworzyła się jak puderniczka. Wewnątrz była pusta przestrzeń, wyłożona aksamitem.

Podniósł wzrok na Barbarę, a ona przyklęła obok niego i niedowierzająco dotknęła palcem brzegów schowka.

— Co to jest? — zapytał.

— Nie wiem.

— Więc ja ci powiem: to jest skrytka, w której można przewozić przez granicę wszystko, co się zechce; pod warunkiem, że to będą bardzo małe przedmioty.

— Jakie przedmioty? — szepnęła niepewnie.

— No, zwitki dolarów, pierścionki, łańcuszki.

— Zwariowałeś? — zapytała żałośnie. — A po co miałabym przewozić przez granicę dolary i łańcuszki? Przecież mnie tam płacą. I to dobrze....

— Ale to twoja torba, prawda? — ciągnął dalej surowym, jakby cudzym głosem.

Skinęła głowią.

— Oczywiście, że moja.

— A tu jest to, co widzisz. Jest czy nie jest?

— No, jest — potwierdziła prawie bez głosu; widać było, że sama jest zaszokowana tym odkryciem.

— Więc jak to wytłumaczyć?

Potrząsnęła głową i nie mogła się zdobyć na żadną odpowiedź.

Położył jej dłoń na ramieniu i powiedział:

— Barbara, w tej całej sprawie, której nie rozumiem, wszyscy bez przerwy kłamią. Nie kłam chociaż ty, proszę cię!

— Przysięgam ci — szepnęła z napięciem. — Pierwszy raz to widzę. I nigdy się nie domyślałam, że coś takiego... w moim własnym bagażu! Dziesiątki razy przechodziłam z tym przez cło. Zastanów się, gdybym coś wiedziała, musiałabym mieć nerwy z żelaza. A ja nie mam, ty wiesz najlepiej, że nie mam.

Wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju i stanął przy drzwiach balkonowych. Za szybą widać było krzaki róż, obwiązane szmatami i słomą. Dalej kołysały się male, gołe drzewka, które sadzili tu razem osiem lat temu.

— Powiedz mi — szepnął nie odwracając się. — A może pożyczylaś to komu?

— Nie — odpowiedziała pokornie. — Bardzo lubię tę torbę. Nie pożyczam jej nawet Elżbiecie. Jak raz chciała, to kupiłam jej inną, nawet dużo lepszą. Bo ta jest trochę ciężka, zauważyłeś.

— A nigdy nie brał jej pan Hubert Stańczyk?

Przez chwilę nie odpowiedziała, a potem szepnęła z zakłopotaniem:

— Nie: zresztą on mi ją sam kupił

Rafał bardzo powoli odwrócił się od okna.

Stała na środku pokoju i oglądała sobie czubki palców. A potem, nie podnosząc oczu, zapytała cicho:

— Skąd wiesz o Hubercie?

— Od Elżbiety.

— To bardzo nieładnie z jej strony. Nie musiała ci tego mówić.

— No, ale powiedziała.

— No cóż — westchnęła i nareszcie podniosła oczy. — Chyba byłoby śmieszne, gdybyś miał do mnie pretensje. Ostatecznie ty od trzech lat nie jesteś sam.

— Ale ja niczego nie ukrywałem.

— Och, ze mną to zupełnie co innego. Gdyby się to rozeszło, sąd udzieliłby ci rozwodu. A ty ożeniłbyś się z tą twoją małpą.

— I co z tego?

— Nic — odpowiedziała pogodnie. — Ale ja nie chciałam jej zrobić tego prezentu.

— Zadzwoń po niego — powiedział. — Niech tu zaraz przyjeżdża.

— Nie wiem, czy go złapię.

— Dzwoń, słyszysz?

Niechętnie podeszła do telefonu, chwilę tam stała, potem nakręciła jakiś numer.

— Nie ma go w domu.

— Ale gdzieś pracuje.

— No, ma taki zakład.

— Zadzwoń do zakładu.

— A właściwie po co?

– Chcę, żeby nam wyjaśnił, kiedy i po co zmajstrował tę skrytkę.

– Nie bądź naiwny, Hubert za dobrze zarabia na swoich saszetkach, żeby miał nadstawiać karku za przemyt.

– Ale jego apetyty mogły wzrosnąć.

– Nie – potrząsnęła głową. – Nie do tego stopnia. On jest naprawdę chorobliwie ostrożny.

– Mimo to chcę się z nim widzieć.

Nakręciła inny numer i przez parę sekund czekała. Potem powiedziała półgłosem:

– Czy mogę prosić inżyniera Stańczyka?... A o której?...
Dziękuję, nie trzeba.

Odłożyła słuchawkę.

– Wyjechał po jakieś materiały i będzie dopiero koło pierwszej. Jeżeli chcesz, możesz sam sprawdzić, dam ci numer.

Poruszył ręką przecząco i zapytał:

– A ty znasz jakichś jego znajomych?

– Rafał, to nonsens.

– Znasz?

Wymieniła mu parę nazwisk, które brzmiały obojętnie i obco.

– A nie widziałaś u niego starej kobiety, która przedstawia się jako pani Gizela?

– Nie widziałam u niego żadnej kobiety.

– A takiego plugawego waluciarza, którego nazywają pan Wiesio?

– Jesteś śmieszny.

– A człowieka po pięćdziesiątce, który jeździ czarnym „Morrisem” i nazywa się Hartman?

– Nie.

– Daj mi książkę telefoniczną.

– Leży tam, pod gazetami.

Otworzył ją, przeleciał kilkanaście nazwisk na literę H i zatrzymał się przy Waławie Hartmanie, Zarzecze 72.

Ale telefon Hartmana nie odpowiadał.

Odłożył książkę i powiedział:

– Jego samochód brał udział w dziwnej imprezie, która

odbyła się zeszłej nocy.

— W jakiej imprezie?

— Powiem ci później.

— Rafał — szepnęła. — Ja już naprawdę nie mam siły...

— Nie moja wina — powiedział. — Będę tu o wpół do drugiej. Zrób wszystko, żeby pan Stańczyk także się tutaj zjawił. Jeżeli nie, zawiadomię milicję.

— Nie możesz.

— Muszę. Dłużej czekać nie można. — Wziął popruty sakwożaż i potrząsnął nim. — A to zabieram ze sobą. Tak, na wszelki wypadek; żeby wam coś nie strzeliło do głowy. Gdyby przypadkiem dzwoniła Elżbieta, powiedz, że będę próbował dostać się do tego Hartmana. Niech przyjedzie do niego albo niech czeka u ciebie. Choć nic wierzę, żeby się odezwała.

Wyszedł bez pożegnania, a ona nie ruszyła się z miejsca i tylko twarz nerwowo jej drżała.

Osiedle na Zarzeczu było w dzień mniej straszne niż w nocy, ale także wyglądało żałośnie. Odnalazł nie tynkowany domek za hałdą mokrej gliny, postawił wóz przed wejściem, otworzył bagażnik, wziął łyżkę do zdejmowania opon, ukrył ją pod płaszczem i długo pukał do frontowych drzwi.

Tak jak się spodziewał, nic się w środku nie poruszyło.

Zszedł z powrotem na dół, okrążył domek i znalazł pochyły podkop, zakończony małymi drzwiami. Były dalej otwarte.

Pamiętał, co go tutaj spotkało ubiegłej nocy, i bardzo ostrożnie wsunął się do środka.

Zobaczył coś w rodzaju gospodarczej piwniczki o nie zacementowanej podłodze i wilgotnych ceglanych ścianach, pod którymi stały łopaty i grabie. Obok, na arkuszu przegniłej sklejki, leżały dwa jutowe worki z ogrodowym torfem. W głębi były drzwi, prowadzące do wnętrza domu.

Podszedł i obejrzał je starannie. Były zamknięte na skobel z grubą kłódką.

Przełożył łyżkę do opon przez ucho kłódki i napiąwszy się, zaczął kręcić. Po paru sekundach usłyszał tępo szczęknięcie i kłódka upadła na ziemię.

Odczekał chwilę, a potem bardzo powoli otworzył drzwi. Dalej była spora piwnica, do połowy przegrodzona niskim murkiem. Po jednej stronie stał niewielki piec do centralnego ogrzewania marki „Camino”, po drugiej leżała czarna góra koksu.

Podszedł do pieca i dotknął go dłonią: był zimny od bardzo dawna; nawet najmniejszy ślad ciepła nie utaił się w wygasłym palenisku.

Odnalazł wewnętrzne schodki i starając się nie szurać po betonie zaczął wchodzić na górę.

U szczytu schodków były jeszcze jedne drzwi, ale zamknięte tylko na zwykły klucz. Nogą przycisnął ich

dolną krawędź, wsadził koniec łyżki w szparę i pociągnął.

Trzasnęło, część framugi oderwała się razem z zamkiem, Mógł już bez przeszkód wejść do mieszkania.

Po lewej miał niedużą kuchnię, w której nie czuło się śladów kobiecej ręki, po prawej mały korytarzyk, zakończony oszklonymi drzwiami.

Uchylił je i wszedł do mrocznego hallu, w którym stały drewniane szaragi o staromodnym kształcie. Na szaragach wisiało kilka męskich okryć, powieszonych jedno na drugim, tak że niektóre z nich zakrywały się wzajemnie. Obok stała czarna komódka, a na niej telefon. Po prawej stronie zaczynały się lastrykowane schody na piętro, zakręcające w połowie wysokości. Po lewej było wyjście na dwór, a naprzeciw wejście do pokoju, zasłoniętego ciężką zasłoną z egipskiego adamaszku.

Odsunął ją i zatrzymał się bez ruchu.

Za ciężkim, dębowym stołem i rzeźbionymi krzesłami, które go otaczały, leżał nieruchomo mężczyzna z dziwnie rozrzuconymi nogami. Głowy nie było widać, zasłaniał ja blat stołu; ale tułów, który zza niego wystawał, był cały we krwi. Wielkie kałuże czerniały też dokoła na podłodze.

Rafał podszedł, położył łyżkę na stole i bardzo powoli pochylił się nad zabitym.

Leżał na twarzy, jedną dłoń miał nienaturalnie wygiętą do tyłu, jakby ktoś mu ją wyłamał w stawie łokciowym; druga,

zaciśnięta w pięść, spoczywała przy ustach. Krew na podłodze była już skrzepnięta i sucha.

Rafał wyprostował się, przez wiele sekund stał bez ruchu i tylko czuł, jak cała twarz robi mu się lepka od potu. Potem wytarł ją otwartą dłonią, odwrócił się, wyszedł do hallu, wyjął z kieszeni chustkę do nosa, wziął przez nią słuchawkę telefonu i powoli, myśląc się, nakręcił numer Agaty.

— Dobrze, że jesteś — powiedziała dziwnym głosem. — Przed chwilą dzwonił porucznik Jasio.

— Co mówił?

— Że chce się z tobą jak najszybciej zobaczyć.

— Zobaczy się — powiedział głucho Rafał. — Nawet szybciej, niż myśli. Moja gra się skończyła. Za chwilę zadzwonię do niego i będę czekał, aż po mnie przyjedzie.

— Co się stało?

— Włamałem się do domu, w którym leżą zwłoki mężczyzny, zabitego wczoraj albo przedwczoraj. Myślę, że jest to niejaki Hartman; ten, o którego dowiadywał się Bartek.

— Czy ktoś cię widział?

— To już nie ma znaczenia. W takiej sytuacji jest tylko jedno wyjście, rozumiesz.

Milczała przez chwilę, a potem szepnęła:

— Rozumiem. Ale czy musisz dzwonić właśnie do niego?

— Tak — powiedział. — Myślę, że muszę. W każdym razie nie czekaj na mnie z obiadem.

— Och, Rafał! — zajęczała. — A mówiłam ci, pamiętasz...

— Miałaś rację. Właśnie dlatego chcę zadzwonić do Jasły.

Znowu się przez chwilę nie odzywała; może nie wiedziała, co powiedzieć, a może po prostu zbierała siły. Wreszcie zapytała szeptem:

— Jak mam się zachować, jeżeli po mnie także przyjadą?

— Zwyczajnie — odpowiedział. — Tak jak każdy człowiek, po którego przyjeżdża milicja. Mów prawdę i niczego nie ukrywaj.

— Nawet, gdyby pytali o Elżbietę?

— Oczywiście — powiedział i poczuł, że już dłużej nie może rozmawiać. — Nie wolno ci inaczej. Bądź zdrowa, Agata.

Muszę kończyć.

— Trudno. Całuję cię, Rafał. Bardzo mocno cię całuję. Odłożył słuchawkę i na moment przysiadł na schodkach, prowadzących na górę. Był wypalony w środku i nie panował nad rękami, które trzęsły mu się jak w najcięższym kacu. Potem zapalił papierosa i znowu przez chustkę sięgnął po telefon.

Po drugiej stronie kabła odezwał się spokojny, młody głos:

— Słucham?

— Czy mógłbym mówić z porucznikiem Jasło?

— A kto mówi? Przy telefonie sierżant Adamiec.

— Kostróż z Radia.

— Szukaliśmy pana, panie redaktorze. Czy mógłby pan do nas przyjechać?

— Nie — odpowiedział z wysiłkiem Rafał. — Jestem w domu Waława Hartmana, Zarzecze 72. Na podłodze leży człowiek, którego nie znam, ale myślę, że jest to właściciel. Nie żyje od wielu godzin. Przypuszczam, że został zakłuty; wokół niego jest dużo rozlanej krwi. Ale krew już dawno wyschła. Prosiłbym, żeby porucznik przyjechał jak najprędzej.

— Z jakiego numeru pan dzwoni?

Rafał odczytał pięć cyfr, wypisanych kopiowym ołówkiem na małej karteczce, która była zatknięta w okienku telefonu, i podał je sierżantowi.

— Niech pan odłoży słuchawkę — powiedział tamten. — I niech pan czeka, zaraz do pana przedzwonię.

Odezwał się po pięciu sekundach.

— W porządku — powiedział. — Proszę zostać na miejscu i niczego nie ruszać. Za chwilę będzie u pana radiowóz Pogotowia. Porucznik także zostanie natychmiast zawiadomiony.

Rafał rzucił słuchawkę, schował chustkę i podszedł do drzwi wyjściowych. Nie były zamknięte na zasuwę, tylko na automatyczny zatrzask marki „Łucznik”. Chciał go odciągnąć i wyjść na świeże powietrze. Ale potem pomyślał, że właśnie zatrzasku nie powinien dotykać i z powrotem wrócił do haliu.

Znowu usiadł na kamiennych schodkach i siedział tam tak długo, aż za oknem usłyszał nadciągającą syrenę radiowozu.

W chwilę potem szybkie kroki zastukały na betonie i czyjaś dłoń nacisnęła klamkę.

Nie ruszył się z miejsca.

Kroki oddaliły się, przez moment było cicho, potem z dołu, z piwnicy, rozległo się ostrożne szuranie butów.

Czekał, paląc apatycznie trzeciego papierosa; poprzednie niedopałki miał starannie ułożone przy nodze.

W chwilę później skrzypnęły oszklone drzwi i do haliu, jeden po drugim, weszło dwóch milicjantów. Obaj byli skupieni i powściągliwi, tylko oczy chodziły im po otoczeniu czujnie jak kamery filmowe.

— To pan zawiadamiał? — zapytał pierwszy: wysoki, zimny chłopak o pociągłej twarzy i płynnych ruchach sportowca. Daszek jego czapki był nisko opuszczony na twarz; patrzył spod niego jak spod nie domkniętej przyłbicy.

— Ja — odpowiedział Rafał nie wstając.

— Dowód poproszę.

Drugi łagodnie odchylił zasłonę i na chwilę zniknął

w pokoju. Potem wrócił. Był niższy, bardziej rozrośnięty i chodził szeroko jak zapaśnik.

— Zgadza się — mruknął. — Leży na podłodze.

— Przekaż — powiedział pierwszy, kartkując dowód Rafała. — Ja zostanę.

Tamten bez słowa wyszedł tą samą drogą, którą się tu dostał. Widocznie oni także woleli nie ruszać zamków.

— Jak długo pan tu jest? — zapytał ten wyższy, nie oddając Rafałowi dowodu.

— Kwadrans, może więcej.

— Czego pan dotykał?

— W mieszkaniu niczego, poza telefonem. Ale słuchawkę brałem przez chustkę. Te trzy niedopałki też są moje.

— Wszedł pan przez piwnicę?

— Tak jest.

— Była otwarta?

– Nie. Miałem ze sobą łyżkę do opon. Ukręciłem nią kłódkę, a potem wyważyłem drzwi na parter. Łyżka leży na stole.

Tamten niczemu się nie dziwił; obojętnie pokazał głową w stronę ulicy.

– A ten wóz na dworze to pana?

– Mój.

– Poproszę kluczyki.

Wziął je w dwa palce, ale nie schował do kieszeni, tylko kołysał nimi w powietrzu razem z dowodem osobistym. Ale już o nic więcej nie pytał. Po prostu stał i patrzył na Rafała, widocznie jego rola ograniczała się tylko do tego.

W kilka minut później przed domem zaszurały opony dwóch samochodów, a zaraz potem trzeciego.

Z piwnicy wynurzył się krępy major o szpakowatych, skręconych jak runo włosach. Towarzyszyło mu kilku ludzi, wśród których był także porucznik Jasło. Ten ostatni powiedział półgłosem:

– Panie majorze, to jest właśnie redaktor Kostróż.

Rafał w milczeniu wstał, a tamten wyciągnął rękę i powiedział:

– Major Szeliga.

Potem zwrócił się do milicjanta, który wciąż jeszcze bawił się kluczykami i dowodem Rafała.

– Gdzie jest denat?

– Tutaj.

Major stanął na progu, rozejrzał się, potem wrócił do hallu, popatrzył na zamki w drzwiach wejściowych i mruknął:

– Opracujcie to i otwórzcie; ciasno tutaj.

Dyżurny fotograf zawiesił na klamce tabliczkę z numerem, cofnął się, nastawił duży aparat z lampą błyskową i wykonał dwa zdjęcia. Następnie zdjął numerek i ustąpił miejsca technikowi, który zaczął opylać klamkę białym proszkiem.

Tymczasem major rozglądał się po ścianach i podłodze. Nie przerywając tego zajęcia i nie patrząc na Rafała zapytał:

– Pan znał denata?

– Nie.

– To znaczy, że pan nie może go zidentyfikować.

— Nie, panie majorze.

— A co pana tu sprowadziło?

— Mam prośbę — powiedział cicho Rafał. — Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin pracowałem nad reportażem, który miał być wymierzony przeciw kilku rozmaitym osobom. Wszystkie te materiały zginęły i nie wiem, czy się kiedyś odnajdą. Mimo to chciałbym skończyć ten reportaż, nawet gdyby się okazało, że będzie to reportaż przeciw mnie. Niech mi pan pozwoli nagrywać wszystkie przesłuchania, jakim będę poddany.

— A dlaczego miałyby się okazać, że to będzie reportaż przeciw panu?

— Dlatego, że na własną rękę próbowałem rozwikłać sprawę, która przerastała moje siły. Powinienem znacznie wcześniej zrozumieć, że w ten sposób narażam różnych ludzi na niebezpieczeństwo.

Major chwilę przyglądał mu się przenikliwie, a potem powiedział:

— Zgadzam się, pod warunkiem, że pański magnetofon będzie pod opieką kogoś z naszych pracowników.

— Chciałbym, żeby tym pracownikiem był porucznik Jasło.

— Dlaczego?

— Bo ten reportaż miał być wymierzony także przeciw niemu.

— Proszę.

Rafał w milczeniu wyjął z kieszeni „Philipsa” i podał go porucznikowi.

W tej chwili drzwi wejściowe stanęły otworem i do hallu napłynęło trochę dziennego światła.

— A wracając do pańskiej wizyty — podjął swoje pytanie major — to czemu należy ją zawdzięczać?

— Czarnemu „Morrisowi” z białymi siedzeniami — odpowiedział znużonym głosem Rafał. — Numeru nie pamiętam. W każdym razie należał do Wacława Hartmana, który prawdopodobnie leży tu, w sąsiednim pokoju. Myślę, że mordercy posługują się właśnie tym wozem.

— Kogo pan uważa za morderców?

— Dwóch młodych ludzi, z których jednego nie znam. Drugi nazywa się Ludwik Waškowiak.

W hallu na moment zapadła cisza. Potem major i porucznik porozumieli się wzrokiem i ten pierwszy powiedział:

— Pogadajcie sobie gdzieś obok, a my tu trochę popracujemy. Co do „Morrisa” to niech Edek sprawdzi; czy nie ma go w garażu i natychmiast przekaże do Wydziału.

Oficer, którego major nazwał Edkiem, wybiegł natychmiast z domu. Rafał i Jasło powoli wyszli za nim.

Stały tam już trzy szarobłękitne radiowozy i ambulans z Zakładu Kryminalistyki. W chwilę później zajechał „Żuk” z Medycyny Sądowej i „Warszawa” bez specjalnych znaków! którą przybył cywilny mężczyzna po czterdziestce, prawdopodobnie prokurator.

Teren był już obstawiony przez mundurowych, którzy białymi linkami wygradzili te miejsca, gdzie w wilgotnym gruncie widać było odcisnięte ślady stóp.

Po drugiej stronie ulicy, która naprawdę była tylko polną drogą, stała już grupka mieszkańców z okolicznych domów. Jeden z milicjantów zadawał im pytania i zapisywał odpowiedzi w dużym notesie.

— Pozwoli pan, że zajrzę do pańskiego wozu? — zapytał Jasło.

— Nie mam kluczyków.

— Ja wziąłem.

Był grzeczny, ale lodowaty; można było przy nim chłodzić butelki z piwem dla całej okolicy.

Otworzył drzwi i powiedział:

— Może pan sam powie, co tam znajdziemy ciekawego.

— W skrytce jest trzonek z żyłką, na którym zostały odciski palców Waškowiaka. A w ręczce tej torby, którą pan widzi na tylnym siedzeniu, jest schowek na dewizy, które w ten sposób przrzucano do Szwajcarii.

— Można wiedzieć, kto je przrzucał?

Rafał zawahał się, ale zaraz odpowiedział:

— Moja żona.

— Jest pan tego pewien? — zapytał .Jasło. Po raz pierwszy

wydawał się zaskoczony.

— Tak — odpowiedział Rafał. — Myślę, że robiła to nieświadomie. Ale jednak robiła.

Wydawało się, że tamten powie „niemożliwe” albo „trudno w to uwierzyć”, ale nie powiedział. W milczeniu obejrzał schowek w torbie, a potem powoli przeniósł wyrok na Rafała.

— Jeżeli robiła to nieświadomie, to znaczy, że ktoś inny je tam wkładał. Czy ma pan kogoś na myśli?

— Przesłuchajcie pana Huberta Stańczyka. Bolesławowo, Warneńczyka 10.

Jasło zapisał to na kartce, wyrwanej z notesu, a potem skinął na jednego z milicjantów.

— Przekaż, niech zatrzymają, ale delikatnie.

Potem wsiadł do wozu, otworzył skrytkę, wyjął pakiecik z zyletnicą, odwinął chusteczkę, zajrzał i podrzucił na ręce.

— Sprawdzimy — powiedział. — A może ma pan jeszcze jakieś inne podejrzenia?

— Owszem. Myślę, że trzeba odszukać Płoszczaka, ajenta z campingu nad Strugą. A także popytać w środowisku waluciarzy: może znają taką parę, która występuje jako pan Wiesio i pani Gizela.

— A nie zna pan adresu tego młodego człowieka, o którym pan wspominał? No, tego, który ma teraz jeździć czarnym „Morrisem”.

— Znam — powiedział Rafał. — Do wczoraj mieszkał w jednym z domów przy Czarnej.

— Do wczoraj? — powtórzył zachęcająco porucznik.

— O czwartej miał się wyprowadzić.

— Skąd pan to wie?

— Byłem u jego żony.

— Był pan tam?

— Byłem.

— No, to się przejedziemy.

Wziął przez rękawiczkę torbę Barbary, wręczył ją jednemu z cywilnych funkcjonariuszy razem z kluczami od „Fiata” i szepnąwszy mu coś na ucho, ruszył w stronę najbliższego radiowożu.

— Proszę.

Rafał wsiadł pierwszy, Jasło za nim.

— Gdzie? — zapytał kierowca.

— Tam, gdzie byliśmy ostatnio. Może jeszcze nie zaczęli.

Z trudem wycofali się spomiędzy innych wozów i pojechali ku miastu.

— Dziwni jesteście — powiedział Rafał. — Mogliście mnie zatrzymać już wczoraj, jak wyjeżdżałem z Miastkowa. A pozwoliliście mi jeszcze działać całą dobę.

— Po pierwsze — odparł grzecznie Jasło — nie mieliśmy żadnych podstaw. Po drugie nie wiedzieliśmy, że pan w ogóle gdzieś wyjeżdżał.

— Jak to? — zapytał Rafał. — Przecież wasz wóz ciągnął za mną aż na miejsce.

— Jaki wóz?

— Szary „Opel-Rekord”.

— Nie mamy na stanie szarego „Opla-Rekorda”.

— Więc kto za mną jechał?

— Nie wiem — powiedział Jasło. — My zaczęliśmy się panem interesować dopiero przed godziną.

Zatrzymali się przed dużym kompleksem budynków z czerwonej cegły. Na bramie widniał napis „Zakład Medycyny Sądowej”. Rafał przeczytał go i zbladł.

— Kto tu leży?

— Zobacz pan. Proszę za mną.

Przeszli kilka kamiennych, starannie wymytych korytarzy i zatrzymali się przed oszklonymi drzwiami.

— Proszę zaczekać — powiedział Jasło i uchyliwszy drzwi, zadał komuś półgłosem jakieś pytanie. Potem czekał na odpowiedź i odsunął się, robiąc Rafałowi miejsce.

Weszli do sporej salki, której ściany były wykafelkowane na biało, a posadzka błyszczała od świeżej wody. W głębi widniały trzy stoły sekcyjne; na jednym leżał podłużny kształt, przykryty prześcieradłem. Obok stało dwóch ludzi, którzy właśnie kończyli wkładać gumowe rękawice.

— Niech pan podejdzie bliżej — powiedział Jasło i dał znak jednemu z tamtych.

Dłoń w żółtej, sięgającej aż po łokieć rękawicy, ujęła za brzeg prześcieradła i Rafał zobaczył szarą twarz bez żadnego wyrazu. Była to twarz Lulusia Waškowiaka.

— Czy pan go poznaje? — zapytał Jasło.

Rafał kiwnął głową.

— Jeżeli tak, proszę powiedzieć, kto to jest.

— Ten chłopak z Czarnej.

— Zgadza się — powiedział Jasło i dał znak ludziom w rękawicach, że mogą opuścić prześcieradło. — Sekcja jeszcze się nie odbyła, ale i bez tego można stwierdzić, że został zabity uderzeniem noża.

— Kiedy?

— Tego też nie da się ustalić bez sekcji. Ale przypuszczamy, że wczoraj, we wczesnych godzinach rannych.

— Gdzie?

— Zaraz tam pojedziemy. Dziękuję panom i proszę o możliwie szybkie wyniki.

Kiedy wrócili do radiowozu, kierowca podał Jaśle kartkę. Ten przeczytał i mruknął:

— Jedziemy.

Po chwili Rafał powiedział cicho:

— Nie rozumiem. Dałbym głowę, że to on zabił Hartmana i zabrał jego samochód.

— Tego też nie można wykluczyć — odpowiedział rzeczowo porucznik. — Ale niech pan się nie martwi, tam już pracuje ekipa daktyloskopijna. Niedługo będziemy wiedzieć, kto oprócz pana był u niego w domu.

— Ja byłem dopiero dziś.

— A co to, to nie — uśmiechnął się Jasło. — Był pan tam wcześniej, prawdopodobnie ubiegłej nocy. Jeżeli nie w samym domu, to w każdym razie koło niego. Nasi ludzie już znaleźli odciski pańskich butów na terenie ogródka i przy zejściu do piwnicy. Wczoraj śąpiło; dlatego są mniej wyraźne od dzisiejszych. Przed chwilą przekazano mi meldunek w tej sprawie.

— Zgadza się — potwierdził Rafał. — Kręciłem się tam, ale nie wchodziłem do mieszkania. Przy wejściu do piwniczki

ktoś ogłuszył mnie silnym uderzeniem w głowę.

— Takie rzeczy lepiej od razu meldować.

Rafał umilkł i przez jakiś czas jechali przez miasto bez słowa. Potem gardłowo odezwał się głośnik radiotelefonu:

— K-96, K-96, zgłoś się.

Kierowca sięgnął po mikrofon, zawieszony na elastycznej spirali, i podał go Jaśło. Ten powiedział:

— Jestem K-96. O co chodzi?

— Stary kazał ci przekazać, że osobnik nazwiskiem Hartman został zamordowany podobnie jak ten, którego macie w prosektorium. Uderzenie nożem, prawie w samo serce. Skończyłem.

— Dziękuję — powiedział Jaśło. — Zrozumiałem.

Oddał mikrofon kierowcy, a ten z powrotem zawiesił go na widełkach przy głośniku.

— Ciekawe, co? — zapytał przeciągle Jaśło i kątem oka spojrzął na Rafała.

Ten tylko wzruszył ramionami.

Po paru minutach zatrzymali się na ulicy Czarnej, na wprost tej samej bramy, do której Pasikonik wprowadził wczoraj Rafała. Przed bramą stało dwóch milicjantów w gumowych płaszczach.

— Poznaje pan to miejsce? — zapytał Jaśło.

— Oczywiście. Byłem tu wczoraj między dwunastą a pierwszą.

— No, to wejdźmy.

Znaleźli się na bepańskim podwórzu, otoczonym martwymi oknami. Kręciło się tu kilku mężczyzn w mundurach i po cywilnemu.

— Przyzna pan — powiedział Jaśło — że lepszego miejsca na popełnienie zbrodni nie znajdzie się w całym mieście.

— To prawda.

— A widzi pan.

Podszedł do jednego z cywilów, zapytał go o coś szeptem i skinął na Rafała.

— Pan będzie łaskaw.

Poprowadził go do tej drugiej bramy, w której poprzedniego dnia czekał kolega Pasikonika.

— Tu został zabity. Widzi pan, są jeszcze ślady krwi, zresztą dość starannie przysypane piaskiem z piaskownicy. Tak starannie, że żona, która go zaczęła szukać wczoraj po południu, nie zwróciła na nie uwagi. Znalazła go dopiero dzisiaj rano. W tej klatce schodowej. Oczywiście, został tu zaciągnięty już po śmierci. Co pan o tym myśli?

— Nie wiem — odpowiedział Rafał. — Ale jeżeli chodzi o mnie, to nie byłem tu sam.

— Chwileczkę — uśmiechnął się tamten. — Jeżeli pan pozwoli, to zgodnie z pańskim życzeniem chciałbym następną część rozmowy utrwalić na taśmie. Można?

— Proszę.

Jasło wyjął „Philipsa”, odnalazł właściwy guzik, uruchomił kasetę na próbę i dał znak jednemu z cywilów. Tamten zniknął na moment w ciemnej klatce schodowej i wyprowadził z niej zakłopotanego Jasia Pasikonika.

— Byłeś tu z panem redaktorem? — zapytał Jasło.

— Ano byłem.

— Kto był jeszcze?

— Mój kolega, Grzegorz Furman. Zresztą pan wie, bo jego też już macie.

— Nie zaprzeczę — uśmiechnął się Jasło. — Robotnicy, którzy pracują przy trasie, określili was bardzo dokładnie. To są ludzie obdarzeni naprawdę fenomenalną pamięcią. Powiedz mi, o której rozstałeś się z panem?

— Gdzieś tak przed pierwszą.

— Ty poszedłeś w jedną stronę, a pan pojechał w drugą?

— Tak było.

— A kolega Furman odszedł jeszcze wcześniej?

— No, chyba z pół godziny.

— W każdym razie wszyscy trzej byliście tu koło południa?

— Tak wychodzi.

— Dziękuję ci — powiedział Jasło i gestem kazał go odprowadzić. Potem zwrócił się do Rafała: — Jeśli chodzi o pana, to nie musieliśmy korzystać z pomocy robotników. Żona zamordowanego sama zgłosiła nam pańską wizytę.

— Niech pan nie będzie śmieszny — zachnął się Rafał. — Ja

go nie zabiłem.

— Nikt tego nie twierdzi — odpowiedział grzecznie Jasło. — My tylko próbujemy ustalić fakty. A fakty są takie, że było tu wczoraj trzech ludzi, z których każdy miał jakieś wcześniejsze kontakty z denatem. Pan także.

— To już też wiecie?

— Pan żartuje. Mając Jasia w ręku?

— No, więc zgadza się — powiedział głucho Rafał. — Dwa dni temu miałem z nim zatarg w mieszkaniu Joli Czajkowskiej, kelnerki z kawiarni „Lotos”. Właśnie wtedy odebrałem mu ten trzonek z żyłką.

— To nie ma znaczenia — wtrącił Jasło. — Przed chwilą miałem wiadomość, że na tym trzonku nie ma żadnych odcisków.

— Jakim cudem?

— A, tego już nie wiem. Widocznie zostały wytarte.

— Ale przez kogo?

— Czy to takie ważne? Niech mi pan raczej powie, co się stało z tą dziewczyną.

— Została wywieziona czarnym „Morrisem”. Brało w tym udział dwóch ludzi; jednym był właśnie Waškowiak, czyli, jak pan mówi, denat.

— Tego nam pan dotąd nie powiedział.

— Nie było kiedy.

— Acha — mruknął Jasło. — Acha... A jak pan w ogóle na nią trafił?

— Była znajomą mojej córki.

— O córce pan także nie wspomniał.

Rafał spuścił oczy i przez chwilę milczał. A potem powiedział cicho:

— Jest to dla mnie najprzykrzejszy punkt w tej całej historii.

— Mimo to nie da się go ominąć.

— Ja wiem — szepnął Rafał. — Ale wolałbym nie tutaj, przy wszystkich.

— Oczywiście.

W tej chwili jeden z cywilów zbliżył się do Jasły, odciągnął go na bok i powiedział mu coś do ucha. Jasło pokiwał głową i

wrócił do Rafała.

— Pogadamy sobie po drodze. Ale najpierw, wie pan, dla przyspieszenia całej sprawy, niech pan powie, gdzie pan się udał po rozstaniu z tym młodym człowiekiem. Nasi pracownicy mogliby to tymczasem sprawdzić.

— Pojechałem do akademika na placu. Roosevelta. Czekał tam na mnie chłopak mojej córki.

— Pamięta pan nazwisko?

— Chlebowski. Marek Chlebowski. Z czwartego roku architektury.

Jasło mrugnął na cywila, z którym przed chwilą rozmawiał, a ten natychmiast odszedł w kierunku ulicy.

— Czy to właśnie z nim pojechał pan do Miastkowa?

— Z nim i z człowiekiem, o którym już panu mówiłem: małym kanciarzem, który każe się tytułować pan Wiesio.

— A jaki był cel tej wycieczki?

— Rozmowa z kobietą, o której już także wspominałem.

— To znaczy z panią Gizelą?

— Tak jest.

— Pan nas ciągle naprowadza na tę parę — westchnął Jasło. — A właściwie dlaczego? Czy oni są tacy ważni?

— Nie — pokręcił głową Rafał. — Myślę, że jest to para oszustów, która po prostu chciała zarobić na mnie kilka złotych. Ale jedną informację dzięki nim uzyskałem: tę o schowku w torbie mojej żony. To znaczy, że oni coś jednak wiedzą. A przynajmniej jedno z nich.

— No, ciekawe — mruknął Jasło, bez większego zainteresowania, i spojrzął na zegarek. — A teraz skoczmy sobie w inne miejsce.

Znowu wsiedli do radiowozu i pojechali przez miasto. Po drodze Jasło był zamyślony i przez jakiś czas się nie odzywał. Dopiero po paru minutach obrócił na Rafała swe jasne, spokojne oczy i zapytał:

— A tak na marginesie, to gdzie jest teraz pana córka?

— Myślę, że z tymi, których szukamy.

— Naprawdę pan tak myśli?

— Naprawdę.

W tej chwili odezwał się radiotelefon:

— K-96, K-96, zgłoś się.

— Jestem K-96 — zawołał do mikrofonu Jasło. — Słucham.

— Wydział podaje, że student Marek Chlebowski nie nocował w akademiku. Portier nie może sobie przypomnieć, kiedy widział go po raz ostatni. Na wykładach nie był wczoraj ani dzisiaj.

— Zrozumiałem.

— Jeszcze jedno. Wokół domu zabitego wykryto ślady stóp, odcisnięte w tym samym czasie, kiedy redaktor po raz pierwszy próbował dostać się do wnętrza. Ślady zidentyfikowano jako pochodzące z obuwia Ludwika Waškowiaka. Znalaziono również mosiężną rurkę z odciskami palców Waškowiaka. Na drugim końcu rurki odkryto włos, który prawdopodobnie przykleił się do niej w momencie uderzenia. Zapytajcie redaktora Kostronia, czy chciałby złożyć dodatkowe wyjaśnienie w tej sprawie.

— Zapytam — powiedział Jasło.

Odłożył mikrofon i w milczeniu spojrzął na Rafała.

— Co pan na to?

Tamten wzruszył ramionami.

Jasło zmrużył oczy i powiedział:

— Wygląda, że to Waškowiak ogłuszył pana tamtej nocy.

— I co z tego?

— Nie wiem. W każdym razie wasze drogi krzyżowały się... i to dziwnie często.

Rafał nie odpowiedział.

Jasło poprawił się na siedzeniu i łagodnie popatrzył mu w oczy.

— Nie chce pan mówić?

— Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Jak pan woli. Teraz muszę pana uprzedzić: oczekuje pana niespodzianka. W kieszeni tego Waškowiaka znaleźliśmy kartkę z adresem pewnej dziewczyny. Nasi ludzie odnaleźli ją. Zaprowadziła ich w dziwne miejsce.

— To znaczy?

— Zobaczysz pan sam za chwilę.

Minęli elektrownię i skierowali się w stronę portu. Rafał zmarszczył brwi.

– Pan wie, dokąd jedziemy? – zapytał Jasło.

– Domyślam się – mruknął Rafał. – Zdaje się, że sam szukałem tego domu.

– Ale pan nie znalazł?

– Nie.

– No, widzi pan, my jesteśmy szybsi.

Zajechali pod odrapaną czynszówkę, zaledwie dziesięć metrów od miejsca, w którym Rafał stał kiedyś z Jolką.

– Znowu coś nagramy – powiedział Jasło. – Chyba że pan wycofa swoją propozycję.

– Nie wycofam – odpowiedział posępnie Rafał. – Chcę mieć to wszystko aż do końca.

– Niezależnie od tego, jaki będzie?

– Niezależnie. Jestem reporterem i nagrywam prawdę.

– No, to chodźmy.

Wspięli się po drewnianych schodach aż na sam szczyt domu. Po prawej stronie było tam wejście na zwyczajny strych, gdzie suszyła się bielizna; po lewej małe drzwi, które wyglądały tak, jakby były drzwiami do ubogiej garsoniery. Stał przed nimi człowiek w bawełnianej jesionce o twarzy trudnej do zapamiętania i rozmawiał z podstarzałą kobietą, zapewne dozorczynią.

– Jest już? – zapytał Jasło.

– Jest.

Weszli do niskiego lokalu, który był jednak znacznie obszerniejszy, niż można było przypuszczać. Był tam mały przedpokój z lustrem i wieszakiem, a dalej dwa spore pomieszczenia: jedno mniejsze, jak gdyby mieszkalne, a drugie duże, które bez wątplenia było pracownią fotografa.

Stało tam parę lamp na ruchomych statywach, duży kliszak z archaicznym miechem i białe tło, rozpięte na drewnianej ramie. Wszystkie ściany były pokryte powiększeniami bardzo pięknych i bardzo dyskretnych kobiecych aktów: cudowne ciała wiły się tam w półmroku jak węże albo liany, pozbawione twarzy, oczu, brwi, wyselekcjonowane ze wszystkich w ogóle

szczegółów; była to jedna wielka gra światła i cieni, balet form, zamarych w bezruchu gestów.

Wokół kliszaka przechadzała się zdenerwowana dziewczyna o bardzo długich nogach i wspaniałym biuście, który przebijał przez trykotową bluzeczkę w jamniki za dwadzieścia siedem złotych, widoczną spod rozpiętego płaszcza. Pod jedną ze ścian, pogrążony bez reszty w aktach, stał drugi cywil w jesionce. Usłyszawszy kroki odwrócił się i bez pośpiechu wyszedł naprzeciw Jaśle.

— Nie zaczynałem — powiedział. — Tak jak chciałeś. Zebrałem tylko dane.

I podał mu arkusz, wypełniony niebieskim długopisem.

Jaśło rzucił na to okiem i powiedział:

— Pani Grażyna Stec, absolwentka technikum ekonomicznego. Lat dwadzieścia jeden. To pani?

— Po co pan pyta? — parsknęła. — Przecież to wszystko tam jest.

— W naszej pracy — powiedział — musimy unikać pomyłek. Pani już była w tym lokalu?

— Rany boskie! — zawołała ze złością. — Czy nie możemy zacząć od razu od środka?

— Już zaczęliśmy — powiedział. — Przecież nie pytamy pani o miejsce urodzenia.

— Dobrze — powiedziała. — Byłam tu, nawet dwa razy. Drugi był przyjemniejszy, ale rzygam, jak go sobie przypomnę. Niech pan zrobi wszystko, żebym nie rzygała, jak sobie przypomnę trzeci.

— Postaram się. Kto panią tutaj sprowadził?

— Znajoma.

— Znajoma czy przyjaciółka?

— Wtedy myślałam, że przyjaciółka. Dzisiaj mówię znajoma.

— Jak się nazywała?

— Nie wiem. Na imię miała Elżbieta. Powiedziała, że pracuje w Liniach Oceanicznych.

— Jak wyglądała?

— Czarna, szczupła, dobrze ubrana. Dosyć skłonna do

awantur. Ale w sumie raczej sympatyczna.

Jasło obejrzał się na Rafała i zapytał:

— Zgadza się?

— Tak — odpowiedział zachryple Rafał.

Tamten znowu obrócił się do dziewczyny i zapytał:

— Gdzie ją pani poznała?

— W „Koloratce”. Przysiadła się kiedyś i postawiła mi wino. Podobała mi się. Trochę zazdrościłam jej ciuchów.

— Jak doszło do tej wizyty?

— Powiedziała, że mogę mieć takie same, jeżeli zrobię pewien drobiazg.

— Co to miał być za drobiazg?

— No, zdjęcie. Na „Wenus 73”. Jej chłopak to fotograf i właśnie przygotowywał kolekcję. Powiedziała, że jak to chwyci, to będę mogła zostać modelką.

— A chciała pani?

— Niech pan skończy ekonomię, to nie będzie się pan pytać.

— To znaczy, że pani się zgodziła?

— Nie od razu. Zapytałam się, jak mają wyglądać te zdjęcia. Wtedy ona wyciągnęła własne i pokazała mi. Były naprawdę przyzwoite, tak, jak te tutaj, na ścianach. Pomyślałam, że mogę spróbować.

— Kiedy doszło do leej próby?

— No, chyba dwa tygodnie temu.

— Może pani powiedzieć coś więcej?

Zakręciła się wokół kliszaka i wydeła wargi.

— No, wie pan, trochę mi głupio.

— Proszę mnie traktować jak lekarza.

— Pan jest przecież z milicji, nie?

— Lekarz i milicjant to pokrewne zawody; w obu wypadkach chodzi o leczenie społeczeństwa.

— No, ja nie jestem chora, ale niech panu będzie. Przywiozła mnie tutaj małym samochodem, którego marki nie pamiętam. Na górze już czekał jej chłopak.

— Niech go pani opisze.

— No, ładny — powiedziała z namysłem. — Dobrze

zbudowany. I bardzo inteligentny. Od razu zaczął ze mną rozmawiać jak ze starą znajomą.

– To znaczy?

– Nie mądrzył się, tylko rozumiał wszystkie moje kłopoty. Jak coś powiedziałam, to od razu mówił, że mam rację.

– Widzę, że naprawdę był inteligentny. A potem?

– Wyszedł do drugiego pokoju, a Elżbieta powiedziała, że mam się rozebrać.

– I rozebrała się pani?

– No, z początku miałam opory. Wtedy ona rozebrała się pierwsza i powiedziała: nie wyprawiaj, przecież widzisz, że sama jestem gola jak święty turecki. Wtedy ja powiedziałam: tak, ale to twój chłopak. A ona zaśmiała się i powiedziała: mój chłopak, mój kłopot, a ty ściągaj spódnicę.

– No i?

Grażyna zawahała się i po chwili powiedziała rzeczowo:

– Wszystko ściągnęłam, proszę pana. Bardzo chciałam zostać modelką.

– A ten jej chłopak?

– No, wrócił po chwili i bardzo długo ustawiał światła, potem skończył. Ale muszę powiedzieć, że przez cały czas był bardzo delikatny. Żadnych, wie pan, gestów ani nic takiego...

– Rozumiem.

– Potem Elżbieta ubrała się pierwsza i poszła robić herbatę.

– A pani?

– No, ja ubierałam się wolniej, bo byłam zdenerwowana. Wtedy on podszedł i bardzo cicho, tak, żeby Elżbieta nie słyszała, powiedział: przyjdź w następną środę, to zrobimy sobie zdjęcia bez niej, bo ona tylko przeszkadza.

– Jak pani zareagowała?

– No, najpierw powiedziałam, że w żadnym wypadku. Ale prawdę mówiąc było mi przyjemnie, że on umawia się ze mną za jej plecami.

– Tak że pani się z nim umówiła?

– Nie powiedziałam na pewno, ale zrobiłam mu nadzieję.

– I potem pani przyszła?

— No, przyszedłam.

— Czy za drugim razem było tak samo, jak za pierwszym?

Ściągnęła brwi i w milczeniu odwróciła głowę.

— Niech pani mówi — powiedział cicho. — Przecież nie spotkaliśmy się tutaj, żeby obejrzeć pani akty; bo domyślałam się, że te dwa, to są właśnie pani.

— Poznał pan? — zapytała z mieszaniną zakłopotania i dumy.

— Poznałem pani długie nogi.

— Wyszły świetnie — szepnęła. — Ale co z tego? Za drugim razem nie było Elżbiety i on No, doszło między nami do zbliżenia. Tu, na tej kanapce. Był bardzo miły, to muszę mu przyznać. I w gruncie rzeczy wyszłam zadowolona.

— Czy to się potem zmieniło?

— Proszę pana! — krzyknęła. — Pan nawet nie ma wyobrażenia! Minał jakiś tydzień i nagle przed moim domem zjawia się taki podstarzały facet po pięćdziesiątce. Z wyglądu całkiem niczego, majster albo badylarz, nawet budził zaufanie. No i ten facet mówi: „Dziecko, widziałem twoje fotki, bardzo mi się podobały. Chciałbym ci zrobić dużo innych i za prawdziwe pieniądze. Tylko będziesz musiała trochę bardziej pohasać. Ale nie bój się, bo tych fotek nikt nigdy nie zobaczy u nas w kraju. Ja, mówi, pracuję tylko na eksport, tak że możesz być zupełnie spokojna”. Na to ja mówię: „Paszoł won!” A on tylko się śmieje i mówi: „Nie podskakuj, bo jak będziesz niemądra, to ja to prześlę całej twojej rodzinie i wszystkim kolegom w miejscu pracy”. I wyjmuje, proszę pana, niesamowite zdjęcia, na których wszystko mi widać, jak u ginekologa. Na jednych byłam sama, jeszcze z tej pierwszej wizyty z Elżbietą, a na reszcie już z jej chłopakiem w trakcie... pan rozumie, ale naprawdę ze wszystkimi detalami. Do tej chwili nie wiem, jak on to robił, bo przez cały czas był ze mną. A na dodatek, wie pan, jego własna twarz była zamazana czy wyretuszowana, ja się nie znam, w każdym razie tylko mnie każdy mógł rozpoznać.

Rafał poczuł, że jest mokry od potu. Jasło rzucił mu uważne

spojrzenie i znowu obrócił się ku dziewczynie.

— I co pani zrobiła, jak on pani pokazał te zdjęcia?

— No, wpadłam w zupełną rozpacz, bo ud razu wiedziałam, że jestem zupełnie bezbronna. Poprosiłam go o tydzień czasu i od razu przyleciałam tutaj. Ale nikogo nie było, a dozorczyńni mi powiedziała, że ten chłopak wcale nie mieszka, tylko czasem wpada na parę godzin i też z góry nie wiadomo, kiedy. Wtedy jak wariatka zaczęłam szukać Elżbiety; no bo pan sam przyzna, że naprawdę to ona była wszystkim winna.

— I znalazła ją pani?

— Tak, jakieś cztery czy pięć dni temu.

— Co powiedziała?

— Wydawało mi się, że była bardzo zdenerwowana, powiedziała: siedź w domu i nie wychodź, a ja wszystko załatwię. No i jeszcze dodała, że swoją drogą jestem świnia, że spalam z jej chłopakiem, ale niezależnie od tego ona robi wszystko tak, żebym miała spokój i jeszcze nie była stratna. A potem znikła i już jej więcej nie widziałam.

— A ten stary także już nie przychodził?

— Nie; od tego czasu rzeczywiście miałam spokój aż do dzisiaj, kiedy przyszedł ten pan.

Tu wskazała na cywila w jesionce, który w dalszym ciągu systematycznie zgłębiał rozwieszony na ścianach akty.

— Dziękuję — powiedział Jasło i kiwnął na cywila: — Sprawdziłeś, skąd on robił te dodatkowe zdjęcia?

— Zadanie dla dziecka — skrzywił się cywil. — Tu masz sześć wizjerów, przez które mógł cykać, ile chciał i pod każdym kątem.

— Kamery stały za ścianą?

— Jasne — powiedział cywil. — Tu z dwóch stron idzie taki mały stryżek, z wejściem z tamtego pokoju. Możecie go zaraz obejrzeć, tyle że kamer już nie ma.

Poprowadził ich do mniejszego pomieszczenia i za odsuniętą szafą pokazał im niską furteczkę, prowadzącą na kusy strych o pochyłych ścianach. Stało tam kilka drewnianych statywów, połączonych kolorowymi kablami.

— Uruchamiał ten cały interes przy pomocy paru guziczków,

które miał rozmieszczone w pracowni. Prosty numer, naprawdę dla dzieci. Musiał tylko mieć bardzo czułą taśmę i długie obiektywy.

— Lokal był oczywiście wynajęty na fikcyjne nazwisko?

— Jasne. Oficjalnie toto nie podlega kwaterunkowi, a właścicielka nigdy nie zażądała dowodu.

— Kiedy widziała go ostatni raz?

— Dziś w nocy. Wrócił niezbyt późno, ale już po zamknięciu bramy. Zdawało jej się, że przyjechał samochodem, ale kiedy otworzyła, nie zobaczyła żadnego samochodu. Albo przyjechał z kimś, albo postawił wóz gdzieś dalej. Poprzedniej nocy był tu z kolegą, którego rysopis przypomina Waškowiaka. Przyprawdzili ze sobą dziewczynę, ciemną blondynkę, która wyglądała na bardzo wystraszoną. Właścicielka nie zauważyła, żeby ta dziewczyna potem wyszła z domu. Ostatnim człowiekiem, który tu przychodził, była ta jego przyjaciółka, Elżbieta. Zjawiała się dziś po północy. Ale na razie nie znalazłem nikogo, kto by widział, jak opuszczali dom. Musieli to zrobić

o świcie, kiedy wszyscy jeszcze śpią; w każdym razie już po otwarciu bramy. Właścicielka twierdzi, że znowu słyszała samochód, ale nie chciało jej się wstawać z łóżka i podchodzić do okna.

— A odciski?

— Już w Zakładzie.

— No, to co? — westchnął Jasło i musnąwszy ostrożnym spojrzeniem Rafała obrócił się ku dziewczynie. — Niech pani wraca spokojnie do domu, już nic więcej pani nie grozi. I proszę zapomnieć o tych fotografiach. A ty odprowadź panią do samochodu.

Cywil zabrał dziewczynę bez słowa.

Jasło przez chwilę kręcił się w milczeniu po pracowni, a potem, nie patrząc na Rafała, zapytał:

— Ciągłe jest pan pewien, że chodziło o przemyt dewiz?

— Nie wiem — szepnął Rafał. Był przybity i z trudem zmuszał się do mówienia. — Za to wiem, kto to wszystko robił — tu ciężkim gestem pokazał dziesiątki nagich

dziewczyn na ścianach. — Widziałem wczoraj inne jego prace. Też udane.

— Zna pan nazwisko?

— Znam. To ten chłopak, który jeździł ze mną do Miastkowa, Chlebowski — potarł czoło ręką i wyszeptał: — Trudno mi w to wszystko uwierzyć...

Jasło przez parę sekund nie odzywał się, potem cicho powiedział:

— Zejdźmy, trzeba to przekazać centrali.

Przed domem kręciło się już i tu paru ciekawskich, którzy przewąchali, że wynikła jakaś afera.

— Proszę — mruknął Jasło, otwierając Rafałowi tylne drzwi.

— Ja teraz pojedę z przodu.

Było to coś w rodzaju częściowej rehabilitacji; skromny dowód milicyjnego zaufania.

Sam wziął mikrofon i wywołał centralę.

— Przekazuję domniemane nazwisko fotografa: Chlebowski Marek, ten, którego sprawdzaliście przed godziną. Weźcie jego odciski z akademika i porównajcie. Ja wracam do komendy. Odbiór.

— Nie — odpowiedział głos z radiotelefonu. — W tej chwili przyszło dla ciebie nowe polecenie. Jedź do Smoczej Góry. Jeden z funkcjonariuszy widział tam dziś o świcie czarnego „Morrisa” z białymi fotelami. W środku drzemały dwie dziewczyny, jasna i ciemna. Kierowca kupował coś w aptece, która miała nocny dyżur. W tej chwili szukają pracowniczki, która go obsługiwała. Ponieważ z innych komend nie ma żadnego meldunku, należy przypuszczać, że wóz może jeszcze być w mieście. Tamtejszy posterunek zablokował już ważniejsze wyloty i rozpoczął poszukiwania. Jedź i włącz się do akcji. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — odpowiedział Jasło i trącił kierowcę: — Puść syrenę.

Polecili z wyciem ku magistrali, która miała ich wyprowadzić na zachód.

Rafał siedział wychylony do przodu i wsparty pierśią o oparcie przedniego siedzenia. Twarz miał kredowobiałą, a na brwiach

grube krople potu.

— Po co on je tam wywiózł? — zapytał wreszcie szeptem.

— Wywiózł? — powtórzył Jasło. — To oni, proszę pana, oni dwoje wywieźli tam tę pańską kelnerkę. Nie chcieli zostawiać niepotrzebnego świadka. Ciekaw jestem, czy ona w ogóle jeszcze żyje.

— Niech pan da spokój.

— A co? — zapytał Jasło. — Nie widział pan dzisiaj dwóch trupów?

W tej chwili znowu zagadał radiotelefon.

— K-96, K-96, zgłoś się, odbiór.

— Ja K-96, słyszę — zawołał Jasło, przekrzykując wycie syreny. — Co nowego?

— Daj mikrofon redaktorowi. Szef chce z nim mówić osobiście.

Jasło obrócił się na przednim siedzeniu i podał Rafałowi mikrofon.

— Jak będzie pan kończył kwestię, to niech mi pan daje znak; muszę tutaj przełączać na odbiór.

— Rozumiem — powiedział Rafał i przytknął usta do metalowej siateczki. — Tu Kostroń, o co chodzi?

— Mówi major Szeliga. Przed chwilą otrzymałem raport z naszej daktyloskopii. Wynika z niego, że linie papilarne, znalezione w dużej ilości w mieszkaniu Hartmana, są tożsame z liniami, wykrytymi w pańskim dawnym domu. Po przeprowadzeniu wstępnych badań porównawczych stwierdzono, że ostatnim człowiekiem, który widział Hartmana żywego, była pańska córka Elżbieta. Czy pan mnie zrozumiał?

— To nonsens! — krzyknął Rafał. — Ona nie mogła go zabić! Czy pan tego nie rozumie?

— Nie wiemy jeszcze, kto go zabił. Ale ona ostatnia zamknęła drzwi od jego domu. Dalej już nie ma żadnych śladów. Chciałbym, żeby pan to przemyślał. Starannie przemyślał, panie redaktorze.

— Ależ ja...

— Może coś się panu przypomni. No, to na razie wszystko.

Skończyłem.

Rafał automatycznym gestem oddał porucznikowi mikrofon i opadł na oparcie. Wargi mu drżały, nie był w stanie wymówić ani jednego słowa.

Jasło też się więcej nie odzywał. Tak dojechali do Smoczej Góry.

Było to małe, zabytkowe miasteczko, jedna z tych pereł, w których na co dzień trudno żyć, ale które figurują we wszystkich podręcznikach historii sztuki i zapierają dech przyjezdnym malarzom.

Miejscowy posterunek MO też mieścił się w zabytkowym pałacyku, reprodukowanym co roku na licznych widokówkach.

— Niech pan wejdzie ze mną — powiedział Jasło.

Nie wiadomo, czy miało to być aktem grzeczności, czy przeczności. W każdym razie weszli do środka we dwóch.

Młodziutki kapitan, który był komendantem posterunku, oczekiwał ich w jasnym gabinecie z nieczynnym kominkiem, którego ogrzewcze funkcje przejęło elektryczne słoneczko.

— Mam niedobór etatów — powiedział, kiedy już dokonali wstępnej prezentacji. — Dlatego to tak trwa. W mieście jest sto dwadzieścia garaży, stałych i prowizorycznych. A kilku ludzi muszę trzymać przy trasach wylotowych. Ale myślę, że do wieczora skończymy.

— Do wieczora? — rzucił się Rafał.

Jasło spojrzał na niego spod oka, a potem odwrócił się do kapitana:

— Macie tu radiowęzeł?

— Mamy.

— Nadajcie apel do mieszkańców. Jeżeli ten „Morris” jest w mieście, to ktoś musiał go widzieć.

— No, musiał — powtórzył bez entuzjazmu kapitan. — Ale robi się szum.

— A niech się robi.

— No, jak pan uważa.

Nabazgrał coś na kartce i wyszedł. Kiedy wrócił, Jasło zapytał go nieufnie:

— Co z apteką?

— Rozpracowana.

To znaczy?

— Przesłuchaliśmy panią magister, która miała dyżur, przypomina sobie tego chłopaka. Młody, dwadzieścia trzy, może cztery lata, sympatyczny. Kupił strzykawkę z kompletem igieł.

— Strzykawkę? — szepnął Rafał. — Po co?

— Nie wiem — powiedział kapitan. — I dlatego jestem niespokojny.

Jasło popatrzył na Rafała z pierwszym cieniem współczucia. Potem obejrzał się na kapitana.

— Jak szybko odezwie się radiowóz?

— Myślę, że za moment.

Rzeczywiście, po paru sekundach usłyszeli przez okno zbełtany komunikat, który wzywał wszystkich mieszkańców, mogących udzielić informacji o czarnym „Morrisie” numer rejestracyjny ŁW 0189 do niezwłocznego porozumienia się z miejscową komendą MO.

Czekali w napięciu jeszcze kilka minut. Potem zadzwonił pierwszy telefon. Kapitan nerwowo chwycił słuchawkę.

— Tak, tak — powtórzył. — Rozumiem.

Rzucił ją i powiedział:

— Jest pierwszy rezultat. Ale inny, niż myśleliśmy. Przed chwilą wyjechał z miasta. Na wezwanie naszego funkcjonariusza nie zareagował. Jest sam i jedzie w kierunku zachodnim.

— Jadę za nim — poderwał się Jasło. — Niech pan zorganizuje blokadę szosy na pierwszym możliwym odcinku. Łączność przez centralę wojewódzką. A wy szukajcie tych dziewczyn. Myślę, że trzeba natychmiast ściągać karetkę reanimacyjną.

Obciągnął pas na płaszczu i popatrzył Rafałowi w oczy.

— Jedzie pan ze mną, czy zostaje pan szukać córki?

— Nie jestem lekarzem — powiedział schrypniętym głosem Rafał. — Jadę z panem.

Zbiegli do radiowozu, ślizgając się po drodze na zabytkowych schodach z marmuru.

— Zachód! — krzyknął Jasło i chwycił za mikrofon. — Ja K-96, ja K-96, odezwij się.

— Słyszę cię — zachrypiał głośnik. — Czy wyszedłeś na ślad?

— Tak jest! — wołał Jasło, prawie przytykając usta do siatkowej koszulki mikrofonu. — Przed chwilą wyjechał z miasta, jedzie na zachód, prawdopodobnie w kierunku granicy NRD. Zarządźcie alarm na całej trasie i pomóżcie zorganizować blokadę. Ja ciągnę za nim.

— Zrozumiałem — odpowiedział głośnik. — Jak go zobaczysz, odezwij się. Nie podejmuj żadnej akcji na własną rękę.

— W porządku! — krzyknął Jasło i obejrzał się na Rafała.

— Informujcie nas o wynikach akcji w Smoczej Górze. Chcemy znać wszystkie szczegóły na bieżąco.

— Będziemy was informować. Wyłącz się i uważaj na zakrętach.

Ciągnęli teraz międzynarodową szosą, która prowadziła ich prosto pod słońce. Strzałka na liczniku chwiała się przez cały czas koło stu czterdziestu. Co parę minut przeskakiwały nad nimi betonowe wiadukty. Dokoła było pusto, żadnych osiedli, żadnych zabudowań, tylko płaska łąka i las.

Po czterech minutach odezwała się centrala.

— Podaję wam wyniki akcji w Smoczej Górze. Przed chwilą funkcjonariusze tamtego posterunku dostali się do samotnej willi na przedmieściu, gdzie przez parę godzin garażował „Morris”. W pokoju na piętrze znaleziono dwie kobiety, które według posiadanych dokumentów zidentyfikowano jako Jolantę Czajkowską i Elżbietę Kostroń. Obie są nieprzytomne i noszą ślady nieudolnie wykonanych iniekcji domięśniowych. Prawdopodobnie znajdują się pod działaniem silnej narkozy w dużych dawkach. Pacjentki dają oznaki życia, ale ich stan jest ciężki. Czekamy teraz na przybycie karetki reanimacyjnej z tlenem. Dalsze wiadomości będziemy wam przekazywać w miarę napływania.

Jasło odwiesił mikrofon i powoli obejrzał się na Rafała.

— W tym punkcie — powiedział cicho — miał pan rację. Ten szczeniak działa już teraz na własną rękę.

Rafał tylko kiwnął głową; nie podniósł jednak napuchniętych powiek. W tej chwili był już niezdolny do niczego; nawet nie potrafił rozpaczać.

W trzydzieści pięć minut później zobaczyli przed sobą „Morrisa”. Przechodził właśnie wybrzuszone siodło i po sekundzie zniknął im za horyzontem.

— Doszliśmy go — wydyszał z pośpiechem Jasło, przyciskając mikrofon do ust. — Ma słabszy silnik, za dziesięć minut wejdziemy mu na kółko. Pozwólcie, żebyśmy sami zaczęli akcję.

— Nie — odpowiedział dyżurny. — Zresztą oddaję prowadzenie staremu.

Był tak podniecony, że nawet nie zauważył, iż mówi o majorze „stary”.

W głośniku coś zachrząsało i odezwał się głos Szeligi:

— Synku, nie szalej. Nie chcę mieć dwóch spalonych wraków w rowie. Tym bardziej że wieziecie faceta z zewnątrz.

Jasio obejrzał się na Rafała i powiedział:

— Zaraz się go zapytam, czy jest gotów ryzykować. Możemy wyjść przed „Morrisa” i zepchnąć go z autostrady.

— Zgadza się — powiedział szybko Rafał.

— Szefie, nasz gość się zgadza. Jesteśmy szybsi i za dziesięć minut będziemy go mieli w krzakach. Chcę tylko wiedzieć, czy w razie potrzeby będę mógł użyć broni.

— Jedź za nim i nie wariuj — odpowiedział szybko major.

— Piętnaście kilometrów dalej jest blokada. Dostaniecie go bez żadnych trudności. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— Wykonaj.

Jasło odwiesił mikrofon i ze złością zamruczał: — Dodaj gazu.

Strzałka szybkościomierza podskoczyła na sto pięćdziesiąt, silnik rzeźił.

W chwilę później znowu zobaczyli „Morrisa”. Ciągnął ostro wyprzedzając w ułamku sekundy rzadkie ciężarówki z

budulcem.

— Zaraz będzie blokada — mruknął Jasło.

Wyjechali zza łagodnego zakrętu i zobaczyli rząd ciężarówek, przegradzających szosę w poprzek. Za ciężarówkami stały dwa radiowozy z błękitnymi lampami i jedna karetka Pogotowia; kilka szaroniebieskich postaci oczekiwało nieruchomo na poboczach.

„Morris” zaczął zwalniać. Potem, na pięćdziesiąt metrów od zapory, nagle dodał gazu i spróbował przeskoczyć na łąkę.

W ułamku sekundy zobaczyli jego podwozie, unoszące się nad płytkim rowem, a potem już tylko płomień.

Zaczęli hamować z piskiem gum, a tymczasem szaroniebieskie sylwetki już biegly ku szalejącemu ognisku.

Zanim podeszli, tamten już siedział na trawie, dygocąc i otrząsając z twarzy gaśniczą pianę. Dwóch ludzi w białych fartuchach pochylało się nad nim z zawodową troskliwością; trzeci w mundurze czekał obok w milczeniu.

— Kozak z ciebie — powiedział Jasło, zatrzymując się przed osmalonym kierowcą. — Powinieneś brać udział w motocrossach.

A potem zwrócił się do ludzi w fartuchach i zapytał:

— Cały?

— Cały, tylko zszokowany.

— No, to dawać obrączki.

Rafał podszedł o te kilka zdań później. Zobaczył ładną, na wpół dziecinną twarz Marka, na której kopeć mieszał się z mydlinami, i powiedział cicho:

— Obetrzyjcie go, bo wygląda jak idiota.

Któryś z pielęgniarzy czy może lekarz wytarł go połą fartucha.

Marek z trudem podniósł się na nogi i szepnął:

— Wywrotny, cholera. Myślałem, że przeskoczę.

— Ty, bracie, dużo myślałeś — powiedział z niechęcią Jasło.

— Chodź, pakuj się do gabloty, czeka na ciebie parę pięknych lat kryminału. Szkoda czasu.

Sam wziął od milicjanta kajdanki i bez pośpiechu zapiął je Markowi na przegubach dłoni.

— Panie Rafale — szepnął Marek. — Bardzo mi przykro,

słowo dają. Nie wiedziałem, że to się tak skończy...

— Nikt ci nie kazał — powiedział bardzo cicho Rafał. — Sam wybrałeś.

— No, trudno — szepnął Marek. — Jeżeli o mnie chodzi, to możemy jechać.

Z bagażnika rozbitego „Morrisa” wyjęli kilka kamer fotograficznych z kompletem wymiennych obiektywów przenieśli to wszystko do radiowozu i popchnęli Marka na siedzenie. Usiadł bez słowa.

Wracali do miasta w głuchym milczeniu, przerywanym tylko pochrząkiwaniem Marka. Wreszcie odezwał się radiotelefon:

— Stary wam gratuluje. Jeżeli chodzi o tamte dziewczyny, to są już w Klinice Akademii Medycznej. Dyżurny lekarz twierdzi, że je z tego wyciągnie, obie mają serca jak dzwony. Możecie jechać spokojnie.

— A widzi pan? — zawołał z ożywieniem Marek. — Nie przedawkowałem.

— Ty zawsze byłeś w porządku — powiedział ze smutkiem Rafał. — I zawsze będziesz, przynajmniej we własnym przekonaniu. Ale powiedz nam, jak je namówiłeś na wyjazd do Smoczej Góry?

— Nie próbowałem — zawołał uczynnie Marek. — Dałem im o świcie kawę z rozpuszczonym środkiem nasennym. Pospały się jak dzieci. Kłopot miałem tylko ze zniesieniem ich do samochodu. No, ale jakoś je zniosłem. I zdaje się, że nikt nie zauważył. Nie zauważyli, prawda? — zapytał, odwracając się do Jasły.

Ten tylko skrzywił się i podstawił mu bliżej „Philipsa”.

— Mów wyraźnie, bo to magnetofon pana redaktora. Dlaczego potem wstrzyknąłeś im taką cholerną dawkę narkozy domięśniowej?

— Nie taką znowu cholerną — powiedział. — Chciałem, żeby za wcześnie nie zaczęły gadać.

— A gdyby je szlag trafił?

— Naprawdę nie miałem takiego zamiaru.

— A skąd wziąłeś tę narkozę?

— Ze szpitala wojewódzkiego, z reanimacji. Byłem kiedyś u

pani Barbary w czasie dyżuru i udało mi się to załatwić bardzo dyskretnie. Hartman twierdził, że coś takiego zawsze może się przydać.

— A co chciałeś robić dalej?

— Na razie prysnąć do NRD. Zawsze obcy kraj, łatwiej się przytaić. Myślałem, że coś potem wymyślę.

— A ta chałupa w Smoczej Górze?

— No, to było takie nasze rezerwowe atelier — odpowiedział rzeczowo Marek. — Hartman wydzierżawił je na trzy lata. Nie chcieliśmy wszystkiego machać u mnie. Zresztą dziewczyny czuły się tam lepiej. Ogródek, wie pan, nastrój... Było łatwiej.

— Nie buntowały się?

— No, te, które już przyjeżdżały, były przekonane.

— Pan ich sam nie przekonywał?

— Nie — odpowiedział poważnie Marek. — Od tego byli Hartman i Luluś. Już ich macie, co? Od razu się domyśliłem, jak tylko znikli. Nie przypuszczałem jednak, że tak wcześniej zaczną sypać.

— Długo pracowaliście razem?

— No, kawał czasu. Lulusia, wie pan, znam jeszcze z Domu Dziecka. Zawsze miał głowę do szybkich interesów. A z Hartmanem zgadał się on sam. Pracował u niego przez jakiś rok, może więcej. Ale zaczynaliśmy bardzo przyzwoicie.

— To znaczy?

— Od takich prostych, gołych dziewczynek. Parę lat temu to jeszcze szło. Potem przyszła rewolucja seksualna i musieliśmy się przestawić. Ciężki chleb w takim pruderyjnym kraju. Cholera, jednak mnie coś boli, tu, w kolanie.

— Nie martw się — powiedział łagodnie Jasło. — Będziesz pod dobrą opieką. A teraz powiedz coś więcej o tym ciężkim chlebie.

— Gehenna — zawołał Marek. — Dzisiaj trudniej zrobić dobrą pornografię niż „Pana Tadeusza”, Te wszystkie figury, wie pan. Trzeba mieć głowę jak Einstein.

I najlepszy towar. A skąd go brać? Musieliśmy trochę przyciskać kolanem. Ale też bez niczyjej krzywdy. Jak która się zgodziła, to Hartman płacił. A jak nie, to machał ręką. Naprawdę nie warto robić z tego historii.

— Możliwe — mruknął Jasło. — No, to powiedz nam jeszcze, jaką drogą to szło na zachód.

Marek obejrzał się na Rafała i przez chwilę był trochę skonfundowany. Ale zaraz potem poweselał.

— No, co ja tu będę ukrywał — powiedział. — Przez mamę Elżbiety. Wypożyczyłem sobie jej torbę i dałem do małej przeróbki. Potem już wszystko grało. Pańska żona zawsze zatrzymywała się w Bazylei w tym samym hoteliku; nasz kontrahent nawiązał kontakt z pokojową i już.

— A kto wykonał tę przeróbkę? — zapytał cicho Rafał. — Pan Wiesio?

— Skąd pan wie?

— Domyśliłem się z tego, co powiedziała pani Gizela.

— To jego matka — powiedział ze smutkiem Marek. — Bardzo nieszczęśliwa osoba. Prawdę mówiąc, należałoby ją oddać na kurację odwykową. Ale pan Wiesio jakoś nie ma serca.

— A kto wymyślił numer z Miastkowem? Pan Wiesio czy ty?

— Ja — powiedział z niezmaconym spokojem Marek. — Musiałem przez jakiś czas trzymać pana z daleka od Elżbiety; sam nie wiedziałem, gdzie ona się skryła, pan mógł wszystko zepsuć; no i zepsuł pan, panie Rafale, Bez pana wszystko wróciłoby do normy.

— Fajna norma — powiedział z przekąsem Jasło. — Ciekaw jestem, ile na niej trafialiście co miesiąc.

— W Polsce nic — odpowiedział z dumą Marek. — Oprócz pokwitowań. Wszystko szło na nasze konto w Hamburgu. Planowaliśmy za rok wykupić wycieczkę „Orbisu” i zostać. Nie wiem, czy utrzymalibyśmy się w tym samym fachu. Ale mielibyśmy coś na początek.

— Boję się, że już tego nie podejmiecie.

— No, to pan nie zna prawdziwych banków. Będą trzymać

do naszej śmierci.

— Dwa konta mają już zablokowane — powiedział ospale Jasło. — Ale mniejsza z tym. Opowiadaj, to ciekawe.

— Nie rozumiem — zmieszał się Marek. — Co znaczy, że dwa konta...

— Nic — ziewnął Jasło. — Potem się dowiesz. Opowiadaj.

— Kiedy to już wszystko.

— A szary „Opel”, który jechał za nami do Miastkowa?

— A, to już partyzancka inicjatywa pana Wiesia, myślał, że w ten sposób wycisnie z pana redaktora parę groszy extra. I wycisnął. Ale ja nie byłem uprzedzony.

— No, to kropka.

W milczeniu wjechali do miasta i zatrzymali się na parkingu przed Komendą. Stał tam już major Szeliga w rozpiętym płaszczu. Towarzyszyło mu kilku oficerów.

Wszyscy palili papierosy, trzymając je tak jak major, to znaczy ogieńkiem do wnętrza dłoni.

— Weźcie go do ambulatorium — powiedział major, przyglądając się Markowi z niesmakiem. — Niech go jeszcze raz obmacają, nie chcę potem jakichś niespodzianek. A ja będę za godzinę.

Przesadził Jasłę na tylne siedzenie i usiadł obok kierowcy.

— Do Akademii Medycznej — powiedział. A potem odwrócił się w stronę Rafała i burknął: — Pańska córka odzyskała przytomność.

Rafał w milczeniu obejrzał się przez tylną szybę i tylko skinął głową.

Byli na miejscu w dziesięć minut. Dyżurny lekarz zaprowadził ich do separarek na internie.

— Proszę zachować ostrożność — powiedział. — Ordynator zgodził się tylko na krótką rozmowę.

— Będzie krótka — fuknął major.

Zatrzymał się przed białymi drzwiami i wyciągnął dłoń do Jasły.

— Daj mi tego „Philipsa”.

Wziął od niego magnetofon, obejrzał go i wręczył Rafałowi.

— Wejdzie pan sam — powiedział. — I nagra pan wszystko,

co dotyczy Hartmana. Resztę może pan sobie darować. Chcę wiedzieć, kto go zabił. Proszę pamiętać, że mamy do pana zaufanie.

We dwóch z lekarzem dyżurnym weszli do pierwszej separatki. Leżała tam Jolka. Była już przytomna, lecz zupełnie apatyczna. Odprowadziła Rafała tępym wzrokiem i nie zareagowała na jego skinienie.

W drugiej leżała Elżbieta. Była biała jak prześcieradło i jakaś taka cienka. Aż się przestraszył, kiedy ją zobaczył.

Lekarz zmierzył jej puls i cicho powiedział:

— Daję panu trzy minuty. Potem wejdę i będę musiał pana wyprosić. Proszę pamiętać.

Wyszedł i zostawił ich samych.

Rafał przysiadł na brzegu łóżka i nie wiedział, jak zacząć. Elżbieta patrzyła na niego bolesnym, napiętym wzrokiem, ale sama też się nie odzywała.

— Córeńko — powiedział i położył jej dłoń na rękę. — Sam nie wiem, co powiedzieć.

— Nie wiedziałam o tym wszystkim — zawołała zduszonym, pełnym wysiłku głosem. — Rozumiesz? Naprawdę nie wiedziałam. Kochałam go, a on chciał mieć trochę aktów na „Venus 73”. Ściągałam mu dziewczyny i ściągałam z nich sukienki. Ale nic więcej. O reszcie dowiedziałam się parę dni temu od Grażyny. Nie miałam pojęcia o tych wszystkich szantażach.

Usta jej zadrgały, a oczy wypełniły się łzami. Ścisnął mocniej jej rękę i szepnął:

— Wierzę ci, ale czemu mi o tym nie powiedziałaś? Przecież byłaś u mnie przedwczoraj. Mogliśmy to załatwić razem.

— Nie mogliśmy — powiedziała, odwracając głowę. — Bo ty znasz tylko jeden sposób załatwiania: przez radio. A ja chciałam, żeby to wszystko zakończyło się po cichu. Bez mieszania w to mamy, ciebie i innych. Dlatego w niedzielę poszłam nie do ciebie, tylko do Huberta; w ostatnich miesiącach on był bardziej moim ojcem niż ty.

— Co ci poradził?

— Prostą rzecz — szepnęła. — Likwidację całej sprawy za

pieniądze. Trochę to po prywaciarsku, ale z sensem. Duże odszkodowanie dla każdej z dziewczyn i koniec interesu raz na zawsze. Gdybyś nie wypłynął na horyzoncie, załatwiłabym to w ciągu trzech dni. Dopiero ty doprowadziłeś do katastrofy. Ty, rozumiesz? Tylko ty.

— Nie — powiedział ze znużeniem. — Nie ja. Ale wytłumaczę ci to za chwilę. Teraz powiedz mi tylko jedno; parę dni temu przywiozłaś Jolkę do Marka. Ale nie wprowadziłaś jej na górę, tylko kazałaś jej czekać w wozie. A potem zawiozłaś ją do pana Stańczyka. Jak to rozumieć?

— Całkiem zwyczajnie — odpowiedziała, przymykając zmęczone powieki. — Przyjechałyśmy za wcześnie i u Marka ktoś był. Wydawało mi się, że kobieta. Zresztą to naprawdę była kobieta; jedna z tych, które załatwiali bez mojego udziału. Wścieklałam się, ale nie chciałam odwozić Joli do domu; dlatego zabrałam ją do Huberta. Już wtedy czułam, że coś nie jest tak. Ale chciałam wiedzieć wszystko do końca.

— Miałaś klucze — powiedział bardzo cicho, starając się patrzeć w inną stronę.

— Miałam — odpowiedziała po dłuższej pauzie. — No, miałam. Głupio mi o tym mówić. Ale on kochał się we mnie bardziej niż w mamie. Mimo że z mamą, żył. I mimo że ja z nim nie żyłam. Nie wiem, od czego zaczął, ale naprawdę skończył na mnie.

— Byłaś gotowa z nim zostać?

— Nie — szepnęła. — Jest taki stary... Ale równocześnie jest mądry, a mnie bardzo brakowało kogoś mądrego. Ostatniej nocy przed wyjazdem powiedziałam mu, że pójdę do Hartmana i zrobię tak, jak mi radził. Zdaje się, że część tej rozmowy słyszała mama; ale mam nadzieję, że nie wie, z kim rozmawiałam.

— Nie wie — szepnął. — I nigdy nie powinna wiedzieć. Myślę też, że nie powinna wiedzieć o tych kluczach.

— Ja jej nie powiem. Jeżeli ty...

— Ja także.

— No, to nie mówmy już o tym. Naprawdę bardzo mi

głupio, mój ty kochany staruchu... Wolałabym, żeby tego nie było.

— Ale jest — powiedział cicho. — I nigdy nie zrozumieć, jak do tego doszło.

— No, mówiłam ci — mruknęła z niechęcią. — Kochałam Marka. Ty tego nigdy nie zrozumiesz... Po każdej takiej rozbierance kochaliśmy się jak wariaci. Może on był nienormalny, może ja... Ale oboje byliśmy bardzo podnieceni. To były naprawdę szalone wieczory.

Pominał to milczeniem i po chwili zapytał:

— Byłaś przedwczoraj u Hartmana?

— No, byłam.

— Po co?

— Nigdy przedtem nie wiedziałam, że istnieje. Tak samo, jak nie wiedziałam o tym drugim, z łapami dusiciela. Marek mi o nich powiedział... po Grażynie. Chciałam omówić warunki. Nie dla siebie, dla tych dziewczyn, rozumiesz.

— Jak się skończyła rozmowa?

— Awanturą.

— Dużą awanturą?

— No, dosyć. Dałam mu dwa razy po twarzy.

— A potem?

— Wyszłam. Przed wyjściem powiedziałam mu, że ma czterdzieści osiem godzin czasu do namysłu.

— Elżbieta — szepnęła — po tej rozmowie już nikt go więcej nie widział, rozumiesz?

— Nie — powiedziała. — Nie rozumiem.

— Został zabity nożem. I po tobie nie ma już tam żadnych innych śladów.

Podniosła się w pościeli i spojrzała mu prosto w oczy.

— Tato — powiedziała prawie bez tchu. — Ty naprawdę wierzysz, że mogłabym kogoś zabić?

— Nie — odpowiedział. — Ale on zginął właśnie wtedy. A ty byłaś u niego ostatnia.

Przez chwilę było cicho; tylko Elżbieta mąciła tę ciszę swoim zgorączkowanym oddechem. Potem znowu uniosła się na

poduszkach.

— No, to sądzicie mnie — powiedziała. — Ty, mój tatusiu-apostole, i kto tam jeszcze powinien zasiadać w trybunale. Byłam idiotką, byłam zakochana, ale nie mam na sumieniu nic więcej.

W tej chwili uchyliły się drzwi i stanął w nich lekarz dyżurny.

— Jeszcze moment — zawołał Rafał i znowu chwycił córkę za rękę. — A Ewa Szmidt? Czy to także jedna z twoich dziewczyn?

— Nie — powiedziała tępo Elżbieta. — Marek prosił mnie nawet, żebym ją sprowadziła; ale ona nawet nie chciała rozmawiać.

— A dlaczego dzwoniłaś do jej męża? I dlaczego posłałaś tam pana Stańczyka? I czego on szukał u nich w domu? Może jednak takich samych zdjęć, jakie zrobiliście Grażynie?

— Nie — odpowiedziała obojętnie. — Ewa Szmidt nigdy nie była u Marka. A przynajmniej nie była tam ze mną. Nic nie wiem o jej śmierci, ale kiedy to wszystko wyszło na jaw, zrobiłam się niespokojna. Dlatego prosiłam Huberta, żeby tam poszedł. Z tego, co wiem, nie dowiedział się nic nowego.

— Panie redaktorze — powiedział nieśmiało lekarz. — Pański czas dawno minął. Naprawdę powinien pan zostać chorą w spokoju. Ja pana bardzo proszę.

— Już idę — powiedział Rafał i ostrożnie pogłodził Elżbietę po głowie. — Wpadnę tu jutro i powiem ci, co z tego wszystkiego wynikło. A ty odpoczywaj spokojnie.

— Spokojnie — powtórzyła i wyglądało na to, że zaraz zacznie się śmiać albo płakać.

Wyszli obaj do sąsiedniego pokoju. Jolka już siedziała, oparta o poduszki. Kiedy zobaczyła Rafała, podniosła rękę.

— Halo! — szepnęła. — Podejdz do mnie, chociaż muszę być wyjątkowo brzydka. Nawet mi lusterka nie dali. Ale ty powinienesz być ze mnie zadowolony. Nie rozkleiłam się aż do końca. Przez cały czas wierzyłam, że się zjawisz.

— No i zjawiłem się — szepnął Rafał. — Zdaje się, że trochę za późno.

— Nie — powiedziała. — Dla mnie w sam raz. Powiedz, że mnie lubisz i że będziesz przychodził codziennie, aż wyjdę ze szpitala. A potem wpadniesz do mnie na Stare Miasto, a ja ci zrobię herbatę. Przyjdiesz?

— Przyjdziemy oboje z Agatą.

— Nie, nie z Agatą — powiedziała poważnie. — Powiedz, że przyjdiesz sam i wyjdiesz dopiero wtedy, jak zaczną rozwozić mleko.

— Zobaczę — powiedział i pokiwał jej, wyszedł na korytarz.

Stał tam major Szeliga w towarzystwie porucznika Jasły. Obaj byli zachmurzeni i milczący.

— Mam jedno pytanie — powiedział Rafał. — Czy wśród rzeczy zabitego Wacława Hartmana był skórzany, zamszowy płaszcz?

— Był — odpowiedział powoli major.

— No, to chodźcie — powiedział Rafał jasnym głosem. — Myślę, że już wiem, kto jest mordercą.

Tamci w milczeniu porozumieli się wzrokiem i major skinął głową.

Lastrykowy korytarz na siódmym piętrze samotnego wieżowca był tak samo mroczny jak dwa dni temu; żadna z dwóch uszkodzonych świetlówek nie została w tym czasie wymieniona.

— Nie wchodźcie razem ze mną — powiedział Rafał. — Wejdziecie za chwilę; ale zacząć powinienem ja sam.

Nacisnął klamkę ostatnich drzwi po lewej stronie przed zapasową klatką schodową i tak, jak się spodziewał, wszedł bez przeszkód do małego mieszkania, w którym był razem z Agatą dwa dni temu. Na wieszaku tak samo wisiał przepocony sweter, zaczepiony o haczyk wewnętrzną stroną golfa. Z siatki nad wieszakiem zwisał dalej brudny szalik w purpurowo-czarną kratę.

Z pokoju po lewej stronie korytarza płynęło światło. Zajrzał tam i zobaczył Szmidta, opartego podbródkiem na dłoni. Przed nim stała półlitrowka „niebieskiej” i szklanka. Obok, w popielnicze, kłębiły się tuziny długich niedopałów

zaduszonych tuż po zapaleniu.

Wszedł powoli i mruknął:

— Dobry wieczór.

Szmidt z dużym opóźnieniem podniósł głowę. Nie był pijany, ale prawie nieobecny. Miał puste oczy i twarz tak szarą, jak twarz Waškowiaka w prosektorium.

— A, to pan — wymamrotał. — Niech pan sobie poszuka szklanki. Bardzo proszę.

Rafał usiadł naprzeciw niego i bardzo cicho powiedział:

— Panie Szmidt, trzy dni temu chciałem nagrać z panem rozmowę. Pan się nie zgodził, pańska sprawa. Teraz wszystko posunęło się dalej. Widzi pan, kładę magnetofon na stół i chcę, żeby wszystko, co powiemy, zostało tu utrwalone. Zgadza się pan czy nie?

— A co mnie! — burknął Szmidt. — Pana zdrowie.

Wypił łyk i stuknął szklanką o stół. Jego oczy zrobiły się trzeźwiejsze.

— Pan znowu w sprawie mojej żony?

— Pośrednio — powiedział Rafał. — Bo pan w tym czasie popełnił zbrodnię. Dlaczego pan to zrobił?

— Ja?

— Pan.

Tamten nalał sobie pół szklanki, wypił z niesmakiem i mruknął:

— Pan nie jest sam, prawda? To niech pan ich poprosi. Mam jeszcze pół litra w zapasie, wystarczy.

Rafał otworzył drzwi na korytarz, spotkał pytające spojrzenia majora i Jasły i bez słowa skinął im głową.

Weszli w milczeniu, zostawiając na korytarzu młodego plutonowego, który wjechał z nimi na górę, i zajęli miejsca wokół stołu. Szmidt nie wydawał się zdziwiony; zamruczał tylko, że szklanki są w kuchni, i na tym poprzestał.

— Panie Szmidt — powiedział łagodnie Rafał. — Nikt panu źle nie życzy. Ale wszyscy musimy znać prawdę. Niech pan opowie, jak to było.

— Jak, jak — powtórzył apatycznie Szmidt. — Po prostu. Osiem lat temu, jako gówniarz, wsiałem pijany do

pociągu. Nie miałem biletu, ale to się zdarza, prawda?

— Zdarza się — potwierdził Rafał. — I co dalej?

— Przyłapał mnie konduktor, zaczął mnie tarosić, no i jakoś tak wyrzuciłem go z pociągu. Bardzo potem żalowałem, bo z gazet dowiedziałem się, że połamano obie nogi i rękę. No, ale ja byłem wtedy na gazie.

— Rozumiem — powiedział Rafał tonem spowiednika. — I co dalej?

— Widział to taki szczeniak. Jak zobaczył, że patrzę, uciekł korytarzem. Przestraszyłem się i przed najbliższą stacją wyskoczyłem w biegu. Nikt mnie nigdy nie znalazł, wam to pierwszym mówię, chociaż wiem, że mnie przymkniecie. Ale teraz już mi wszystko jedno.

Przerwał, napił się i znowu zaczął:

— No, więc kupę lat żyłem w strachu, a potem zacząłem powoli zapominać. Aż raz przychodzi moja żona, ta, która już nie żyje, i pyta: „Kochanie, to pewno idiotyzm, ale czy ty kiedyś nie okaleczyłeś jakiegoś konduktora?” Bardzo jest przy tym zdenerwowana i nieswoja. A ja się pytam: „Dziecko, co ci wpadło do głowy?” A ona mówi: „Widzisz, zjawił się u mnie bardzo sympatyczny pan i powiedział, żebym cię o to zapytała. Więc ty mi po prostu odpowiedz”. Powiedziałem, że nie, i na jakiś czas był spokój. No, to napijmy się, panowie.

Nalał sobie na dno szklanki i obejrzawszy się na nich bezradnie, wypił to duszkiem.

— A co było potem? — zapytał łagodnie Rafał.

— Nic — odpowiedział Szmidt i wytarł usta wierzchem dłoni. — Ale ona była coraz bardziej zdenerwowana. Jednego razu przyszła i mówi: „Kochanie, jeżeli masz coś na sumieniu, to powiedz, bo oni mi nie dają spokoju”. A ja się tylko zapytałem: „A czego oni od ciebie chcą, moje złotko?” A ona powiedziała: „Niby niczego. Ale chcą, żebym im pozowała do nieprzyzwoitych zdjęć. I mówią, że jak tego nie zrobię, to powiedzą wszystko o tym konduktorze”. Bo podobno znaleźli gówniarza, który to wszystko widział. No to ja powiedziałem: „Kochanie, powiedz

im, żeby zwrócili się z tym prosto do mnie”.

I na tym stanęło.

– I zwrócili się? – zapytał Rafał.

Szmidt pokiwał głową.

– Owszem. Ale ja im powiedziałem „gówno”.

– Na pewno pan tak powiedział?

– Jasne – mruknął Szmidt. – Przecież to chodziło o moją żonę. Powiedziałem: „Chcecie, to mnie wydajcie, ale moja żona nie będzie się dla was nadstawiać”. Nie wiem, dlaczego mnie nie wydali. I nie rozumiem, dlaczego ona w parę dni później popełniła samobójstwo.

– Dlaczego? – powtórzył Rafał. – Dlatego, że naprawdę wszystko było inaczej. Myślę, że tamtego dnia przyszedł pan do domu i powiedział: „Kochanie, zaszczuli mnie i już całkiem nie wiem, co robić. Wyjeżdżam dzisiaj w góry, a ty załatw to, jak uważasz.” Wtedy ona zapytała: „Czy mam iść i zrobić wszystko, czego zechcą?” A pan powiedział: „Nie wiem, ale ja już tego nie wytrzymuję”. Potem pan wyjechał, a ona obkleiła drzwi papierem i wykonała pożegnalny telefon do siostry. Mam rację?

Szmidt zawahał się, a potem spuścił oczy.

– Pan jest mądry – powiedział ze smutkiem. – Było tak, jak pan mówi. Powiedziałem: „Ja znikam, a ty jakoś to załatw”. A ona zapytała: „Jak?” I do dzisiaj pamiętam te jej oczy: takie straszne, takie okropnie uważne... A ja powiedziałem: „Nie wiem, ale to chodzi o całe moje życie”. A jak wróciłem, to już leżała w kostnicy.

– Wtedy postanowił pan zabić Hartmana?

– Wtedy. Powiedziałem sobie „Trudno, tacy ludzie nie będą więcej chodzić po świecie”. To nie jest, proszę panów, takie łatwe, znaleźć w półmilionowym mieście faceta, z którym człowiek spotkał się tylko raz. Ale trzy dni temu trafiłem na niego. Resztę wiecie.

– Nie – odezwał się po raz pierwszy major Szeliga. – Wiemy tylko tyle, że Waław Hartman został zabity we własnym domu. A musimy wiedzieć, jak się to odbyło.

– Bardzo prosto – powiedział apatycznie Szmidt. –

Zobaczyłem go na mieście, jak oddawał samochód i kluczyki takiemu gówniarzowi w niebieskiej kurtce. Jeszcze nie wiedziałem, że właśnie ten gówniarz był wtedy w pociągu i że to on mnie poznał. Hartman poszedł do domu spacerkiem, a ja ostrożnie szedłem za nim. Tam, przed tą jego budą, czekała już jakaś dziewczyna: czarna, wysoka, bardzo piękna. Weszli razem, a dziewczyna nie domknęła za sobą drzwi. Włożyłem rękawice i po cichu wsunąłem się za nimi. Długo się kłócili, a ja stałem w kuchni i czekałem. Potem dziewczyna dwa razy dała mu po twarzy i uciekła, a ja wszedłem do pokoju. Z początku się stawał, ale jak zobaczył nóż, zrobił się całkiem mały. Podał mi adresy tamtych dwóch: tego gówniarza w niebieskiej kurtce i tamtego z Czarnej i opowiedział mi, skąd wypłynęła ta historia z pociągiem. Uderzyłem go prosto w serce i chciałem zaraz wyjść, ale nogi zrobiły mi się takie słabe, myślałem, że sam upadnę i w ogóle nie mogłem się ruszyć z miejsca, a on jeszcze rzucał się na dywan; to wyglądało okropnie, cały byłem mokry od potu i bałem się, że zwymiotuję. A potem, jak wychodziłem, to byłem prawie nieprzytomny z tego wszystkiego; nawet drzwi za sobą nie zamknąłem, po prostu o niczym nie myślałem, tylko zaraz poszedłem do jakiegoś baru i upiłem się na śmierć...

Spuścił głowę, pokiwał nią i szepnął:

— Moja żona była wspaniałą dziewczyną, a zginęła przez takie weszki...

— Przez nie także — powiedział ze smutkiem Rafał. — Ale głównie przez pana. Przez pański charakter, panie Szmidt. Niech pan się jeszcze napije i niech pan opowiada do końca.

— Do jakiego końca? — zapytał Szmidt, podnosząc oczy; były teraz mokre od łez.

— No, przecież następnej nocy poszedł pan na Czarną i o świcie zabił pan drugiego z tych ludzi.

Szmidt powoli zaczął się prostować na krześle, aż usiadł całkiem sztywno.

— Nie — powiedział i pokręcił głową. — Ja się przyznaję, że chciałem zabić wszystkich trzech. Ale już nie mogłem. Taką rzecz można zrobić tylko raz; potem człowiek już nie ma siły.

Jasło przechylił się przez stół i jego twarz znalazła się prawie naprzeciw twarzy Szmida.

— Panie Szmidt! — powiedział ostrym, napiętym szeptem.

— My i tak ustalimy każdy szczegół i przedstawimy panu niezbite dowody! Niczego — się panu nie uda ukryć! Więc po co pan znowu kłamie? Dziś rano w gruzach przy ulicy Czarnej znaleźliśmy zwłoki niejakiego Ludwika Waškowiaka. Był współnikiem Hartmana i został zamordowany tak samo jak on: uderzeniem noża w serce. Dlaczego pan się tego wypiera?

— Panowie! — zawołał Szmidt, a mięśnie twarzy mu zadrżały. — Zrozumcie, co mi tam!... Jeden trup czy dwa... Gdybym to zrobił, słowo daję... Ale ja już nie mogłem! Ciągle miałem przed oczyma tego Hartmana, jak on strasznie podrygiwał na tym dywanie!... I to takie „aaa”, które wychodziło mu z gardła.... Nie zabiłem drugiego, panowie! Nie zabiłem!

Zapadła cisza i w tej ciszy nagle zadzwonił telefon.

Przez chwilę nikt się nie ruszał od stołu. Potem major Szeliga wstał i podszedł do aparatu.

Podniósł słuchawkę, ale nie odezwał się pierwszy, jakby chciał najpierw usłyszeć głos człowieka po drugiej stronie kabla.

Potem mruknął:

— Tak, to ja.

Tamten mówił coś przez dłuższą chwilę; major tylko potakiwał albo mruczał „rozumiem”. Nagle drgnął i szybko zawołał:

— Co? Powtórzcie jeszcze raz!

Marszcząc się i bezmyślnie przyglądając swoje kędzierzawe włosy wysłuchał czyjś raportu do końca, a potem powiedział:

— No tak. Na razie przyślijcie mi wóz i paru ludzi z nakazem na nazwisko Andrzej Szmidt, Długopolska...

Tu przerwał i obejrzał się na Szmida, ale ten nie zareagował.

— Sześćdziesiąt dziewięć — powiedział Rafał. Major powtórzył i bardzo powoli odłożył słuchawkę. Jasło i Rafał patrzyli na niego z uwagą, jakby czuli, że ten telefon jest punktem zwrotnym w całej sprawie; jeden tylko Szmidt siedział z głową opuszczoną na piersi i coś bezgłośnie szeptał pod nosem.

— Niech pan wstanie — powiedział cicho major. Szmidt podniósł oczy, jakby nie rozumiał, a potem powoli wstał i niepewnie oparł dłoń na oparciu krzesła.

— Obu zabójstw — powiedział major patrząc mu prosto w oczy — dokonano tym samym narzędziem. Był to duży nóż o ostrzu długości co najmniej osiemnastu centymetrów i szerokości do sześciu w najszerszym miejscu. Czy pan miał taki nóż?

— Miałem — szepnął Szmidt.

— Skąd pan go wziął?

— Kupiłem w sklepie łowieckim na Emilii.

— Gdzie ten nóż znajduje się teraz?

— Nie wiem — wyszeptał Szmidt. — Nie pamiętam. Wróciłem od Hartmana zupełnie pijany. Zdawało mi się, że schowałem go tu, pod kredensem. Rękawiczki także. Ale jak wytrzeźwiałem, to ich nie było. Może zgubiłem po drodze?

— Chwileczkę — przerwał mu major. — Niech pan pokaże, jak pan uderzył Hartmana. Tu ma pan długopis. Niech pan sobie wyobrazi, że to jest właśnie ten nóż. Niech pan na mnie pokaże, jak pan to zrobił.

Szmidt przez chwilę przyglądał się majorowi, jakby znowu przestał go rozumieć, potem powoli wyciągnął lewą rękę, ujął w nią długopis i zamachnąwszy się do tyłu upozorował cios w pierś majora.

— Dziękuję — powiedział. — Teraz proszę wziąć długopis do prawej ręki i zrobić to samo.

— Będzie mi trudno — szepnął Szmidt. — Od dziecka jestem leworęczny.

— W porządku — powiedział major. — Wystarczy.

Sam wyszedł do przedpokoju, otworzył drzwi na korytarz i

przywołał czekającego tam milicjanta.

— Weźcie obywatela, do kuchni — powiedział. — I opiekujcie się nim, póki nie przyjadą chłopcy z Wydziału. Byłbym bardzo niezadowolony, gdyby na przykład wyskoczył przez okno. Albo gdyby się zaczął bawić ostrymi narzędziami. Zrozumieliście?

— Tak jest — odpowiedział służbiście plutonowy.

Potem podszedł do Szmida, wziął go za ramię, wyprowadził z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Po chwili stuknęły też drzwi między przedpokojem i kuchnią.

Dopiero teraz major przeniósł wzrok najpierw na Rafała, a potem na Jasłę i powiedział bardzo cicho:

— Mam wynik obu sekcji zwłok. Hartman został zabity przez mańkuta. Waškowiak przez człowieka, który posługuje się prawą ręką. Nóż był ten sam, ale zmienił właściciela.

— No, tak — powiedział Jasło niezadowolony. — Dajecie mi delikatnie do zrozumienia, że znowu za wcześnie uznałem tę sprawę za skończoną.

— Mimo wszystko jest bliska końca — powiedział z namysłem Rafał. — Bo ja, zdaje się, znam człowieka, w którego ręce trafił ten nóż.

Tamci dwaj wbili weń uważne spojrzenia. Rafał chwilę odczekał, jakby jeszcze liczył coś w myślach i sprawdzał, a potem bardzo cicho powiedział:

— Ten człowiek nazywa się Hubert Stańczyk i ma willę na Bolesławowie. Dokładny adres Warneńczyka 10.

VII

Tamci dwaj przez chwilę milczeli. Potem major półgłosem powtórzył:

— Stańczyk... — i podnosząc głowę powiedział: — Pan już raz wymieniał to nazwisko, prawda?

— Tak jest. W momencie, kiedy wręczałem porucznikowi torbę mojej żony. Tę, w której odnalazłem ukryty schowek. To był prezent właśnie od pana Stańczyka.

— Szukamy go — rzucił niedbale Jasło. — Chociaż prawdę mówiąc?... Torba została przerobiona później, pan pamięta.

— Pamiętam.

— No, więc obu tych faktów nie należy wiązać.

— Nie wiem — powiedział uparcie Rafał.

— Mniejsza o to — przerwał im major. Jego smoliste oczy były czujne i ostrożne. — Wróćmy do noża. Skąd Stańczyk go wziął?

— Spod tego kredensu — odpowiedział cicho Rafał. — Był tutaj w kilka godzin po zamordowaniu Hartmana. Szmidt leżał spity w tamtym pokoju, a on skrupulatnie przetrząsał całe mieszkanie. Widziała to moja współpracownica, którą tu wysłałem na rozmówkę ze Szmidtem.

— Wcześniej nic pan o tym nie mówił.

— Bo przestałem przywiązywać do tego znaczenie. Po prostu nie łączyłem osoby Szmidta ze sprawą jakiegokolwiek morderstwa.

— A czy Szmidt i Stańczyk znali się?

— Raczej nie.

— No, więc skąd ta wizyta?

— Moja córka miała spore zaufanie do Stańczyka. Powiedziała mi o tym przed chwilą w szpitalu. Kiedy do-

wiedziała się o tej całej aferze z pornografią, przypomniała sobie sprawę samobójstwa Ewy Szmidt. Przestraszyła się, że Ewa też mogła być jedną z ofiar szantażu i sama próbowała skontaktować się ze Szmidtem. Kiedy jej się to nie udało, poprosiła Stańczyka, żeby tu zajrzał i spróbował wyjaśnić, czy jej podejrzenia mają jakąś podstawę.

— Oj, wy, intelektualiści — skrzywił się Jasło. — No, niech pan tylko pomyśli: przychodzi taki Stańczyk do zupełnie obcego człowieka, którego przedtem nie widział na oczy, i od razu doznaje olśnienia: gdzieś tu musi być zakrwawiony nóż, którym dokonano zbrodni. Mało tego, on od razu wie, że zbrodni dokonano uderzeniem w serce. Bo gdyby tego nie wiedział, mógłby przez pomyłkę pokroić Waškowiaka na kawałki i nie byłoby żadnego pomostu między tymi dwoma morderstwami. Pan robi z niego jasnowidza, panie redaktorze.

— To byłoby możliwe tylko w jednym wypadku — powiedział łagodnie i jakby niedowierzająco major. — Gdyby Stańczyk był wcześniej u Hartmana i mógł naocznie stwierdzić, w jaki sposób go zabito.

— No, Szmidt twierdzi, że wychodząc zostawił drzwi otwarte. A kiedy ja tam trafiłem, były już zamknięte na zatrask.

— Mogły zamknąć się same, na przykład od przeciągu.

— Ale mogły także zostać zamknięte przez Stańczyka.

— Nie znaleźliśmy żadnych śladów.

— A ślady Szmidta znaleźliście?

— Szmidt specjalnie włożył rękawiczki, żeby ich nie zostawić.

— A skąd wiecie, że Stańczyk nie zrobił tego samego?

— No, niech pan nie przesadza. Musielibyśmy najpierw przyjąć, że Stańczyk także zamierzał popełnić morderstwo.

— Niekoniecznie — pokręcił głową Rafał. — Wielu kierowców stale prowadzi w rękawiczkach. Mógł ich po prostu nie zdjąć. Chociaż z drugiej strony...

Urwał i w zamyśleniu zaczął przechadzać się po pokoju. Potem nagle stanął i powiedział:

— Jeżeli on potem zabił Waškowiaka, to mógł mieć także wcześniejsze porachunki z Hartmanem. Ostatecznie obaj należeli do tego samego gangu.

Podniósł płonące oczy i wbił je w twarz majora.

— Myślę, że pan trafił, panie majorze. Stańczyk poszedł do Hartmana, żeby go zabić. Kiedy zobaczył, że ten leży zakłuty nożem, przypomniał sobie o niepokojach mojej córki, związanych z samobójstwem Ewy Szmidt. Skojarzył oba te fakty i dopiero wtedy przyjechał tutaj, żeby sprawdzić, czy ma rację. Zastał Szmidta w płaszczu, nieprzytomnego, jęczącego na łóżku, i pomyślał, że tak właśnie wygląda morderca-amator. Zaczął szukać noża i znalazł. Wtedy wpadło mu do głowy, że jeżeli sprzątnie Waškowiaka w ten sam sposób, wszystkie podejrzenia spadną wyłącznie na Szmidta. Nie wiedział tylko o jednym: że Szmidt jest leworęczny i że sekcja to może wykazać.

— A motywy? — zapytał z lodowatą uprzejmością Jasło. — Motywy, panie redaktorze? Czy pan jest chociaż przekonany, że oni się znali? Że spotkali się kiedykolwiek wcześniej? To już nie jest wersja, panie redaktorze, to jest bajka.

— Zobaczymy — powiedział przeciągle major.

Podszedł do telefonu, nakręcił kilka cyfr i zamruczał:

— To jeszcze ja. Co z tym Stańczykiem? Bez rezultatu?... No, nie najlepiej. Bierzcie nakaz i walcie na Bolesławowo, ja tam będę za chwilę.

Odłożył słuchawkę i nie patrząc na Rafała powiedział:

— Od rana nikt go nie widział. O dziesiątej zostawił wóz na parkingu przy Muzeum Ziemi. Dotychczas się po niego nie zgłosił. Dom jest pod obserwacją, ale wygląda, że w środku nikogo nie ma.

— To nie dom, to forteca — powiedział Rafał. — Kraty, zasuw, szwedzkie zamki z numerowymi automatami... Nie będzie łatwo dostać się tam bez zgody gospodarza.

— Pan tam był?

— Dwie doby temu.

— Za zgodą czy bez?

— Dla mnie drugi wariant odpada: nie mam odpowiednich narzędzi.

— Co pana tam ściągnęło?

— Chciałem zobaczyć, jak pan Stańczyk zareaguje na wiadomość o porwaniu Jolki Czajkowskiej.

— No i jak zareagował?

— Zadzwoił po radiowóz.

— To znaczy, że nie miał z tym nic wspólnego.

— Oczywiście. Gdyby miał, byłby następnym kandydatem do sekcji.

— Myślę, że pan przesadza — uśmiechnął się major. — Ale mimo to chciałbym, żeby pan tam z nami pojechał. Może pan sobie jeszcze coś przypomni?

— Wątpię — powiedział Rafał. — Ale jeśli panu zależy...

— Zależy mi — powiedział major, tym razem już bez uśmiechu.

— To znaczy, że i tak pojedę, prawda?

— Owszem — potwierdził major. — To właśnie to znaczy, ale będzie nam przyjemniej, jeżeli pan pojedzie z własnej woli.

— Dobrze. Najpierw muszę jednak zadzwonić do domu.

— Niech pan dzwoni. Ale pod warunkiem, że pan wszystkie szczegóły zatrzyma dla siebie. W przeciwnym wypadku musiałbym przerwać pańskie połączenie.

— Rozumiem.

— No, to proszę.

Skinął w stronę aparatu, a sam stanął z drugiej strony, mimo wszystko tyłem do Rafała, i w milczeniu zaczął się przyglądać ciemnemu parkingowi u stóp sąsiedniego wieżowca.

— Agata? — szepnął Rafał, gdy usłyszał w słuchawce znajome „halo”. — Nie mogłem odezwać się wcześniej. Ale ze mną wszystko w porządku.

— Wypuścili cię? — zapytała rozdygotanym głosem; widocznie przez cały dzień umierała z niepokojem.

— Do pewnego stopnia.

— Czy to znaczy, że jeszcze nie wracasz?

— Jeszcze trochę.

- Nie możesz mówić jaśniej?
 - Nie.
 - Nie jesteś sam?
 - Zgadłaś.
 - Co z Elżbietą?
 - Mniej więcej w porządku.
 - Raczej mniej, czy raczej więcej?
 - No, będzie zdrowa.
 - A Jolka?
 - W absolutnym porządku.
 - Dzięki Bogu. Kilka razy dzwoniła twoja żona; jest bardzo niespokojna. I zdaje" się, że nie wie o niczym.
 - A ty jej nic nie mówiłaś?
 - Na wszelki wypadek nie.
 - To dobrze. Jak zadzwoni jeszcze raz, to nie mów, że ze mną rozmawiałaś.
 - Dlaczego?
 - Zrobię to sam, ale trochę później.
 - Jak chcesz — powiedziała drżącym głosem. — Będę czekać przy telefonie. Jak będziesz gotów, to daj znać. Przysmażę ci kartofelki ze słoniną. Czekają na patelni od południa...
 - Jesteś cudowna — szepnęła. — I nic się nie martw, wszystko będzie dobrze. Ale nie otwieraj nikomu, ja mam klucz.
 - Rany boskie! — jęknęła. — Więc to jeszcze nie koniec?
 - Ostatnie okrążenie — powiedział ze sztuczną otuchą. — W każdym razie bądź dobrze zamknięta. Całuję cię i pa. Kiedy odłożył słuchawkę, spotkał uważny wzrok majora.
 - Dlaczego pan ją postraszył, panie redaktorze?
 - Musiałem — odpowiedział cicho Rafał. — Wszyscy trzej wiemy, że po mieście krąży człowiek z myśliwskim nożem, długim co najmniej na osiemnaście centymetrów. Nie wiemy, czy to na pewno jest pan Stańczyk. Ale nie możemy tego wykluczyć. A on może znać mój adres. W tej sytuacji chyba lepiej, że dziewczyna będzie dzisiaj ostrożna.
- Major wydał policzki, które już mu się zaczynały pokrywać

wieczornym zarostem, i nie odpowiedział.

W chwilę później na korytarzu zastukały zbliżające się kroki, potem łagodnie szcęknęła klamka i w drzwiach od przedpokoju stanęło dwóch funkcjonariuszy.

— Sprowadzić dozorcę — polecił im major — i przeczesać mieszkanie do ostatniej nitki. Chodzi przede wszystkim o ślady krwi; na ręcznikach, na sprzętach, a przede wszystkim na odzieży. Właściciel kibluje w kuchni. Jak skończycie, niech podpisze protokół w obecności dozorca. Potem przewieziecie go na komendę. A my jedziemy.

Zajechali na Bolesławowo od tyłu i zatrzymali się w bocznej uliczce. Stały już tam dwa radiowozy z wygaszonymi światłami. W głębokim cieniu warowała nieduża grupka milczących ludzi. Wysiedli.

Od milczącej grupki odłączył się wysoki mężczyzna w milicyjnym płaszczu z naszywkami kapitana.

— Wszystko gotowe, obywatelu majorze — szepnął zatrzymując się cicho jak kot.

— Tył posesji obstawiony?

— Janusz przeszedł tam ogródkami; siedzi teraz ukryty za garażem.

— A świadek?

— Niech pan pozwoli — zawołał półgłosem kapitan, obracając się ku ludziom, ukrytym w cieniu.

Rozległo się szuranie domowych kapci i z mroku wynurzył się podstarzały człowiek w jesionce z futrzanym kołnierzem, narzuconej na flanelową piżamę. Miał mały, przyżelony wąsik i mądre, trochę tylko zaniepokojone oczy.

— Tu nie ma dozorców ani administratorów — wyjaśnił cicho kapitan. — Przeważnie każdy sam u siebie prowadzi meldunki. Pan jest sąsiadem; poprosiłem, żeby nam towarzyszył przy wykonywaniu czynności.

— Pan się zgadza? — zapytał major.

— Tak jest — odpowiedział z rezerwą tamten. — Pod warunkiem, że skończycie do dwunastej. Wstaję o szóstej i nie mogę być niewyspany; mam odpowiedzialną pracę, pan rozumie.

— Gdzie pan pracuje?

— W miejskiej stacji krwiodawstwa. Tam człowiekowi nie mogą drżeć ręce.

Major spojrział na zegarek z fosforyzującą tarczą i powiedział:

— Myślę, że skończymy dużo wcześniej. No, to proszę.

Minęli narożnik, obrośnięty suchym winem, i szybko podeszli do znanej już Rafałowi ażurowej bramy z osobną furtką dla pieszych.

Major dla porządku zadzwonił kilka razy, ale domofon się nie odezwał.

— Furtka jest otwierana elektrycznie? — zapytał.

— Tak, z wnętrza domu — odpowiedział cicho Rafał.

Major obejrzał się i dał znak cywilnemu pracownikowi z wielką torbą, przerzuconą przez ramię.

— Drap się — powiedział. — I forsuj od razu drzwi frontowe. Zepsujemy o jeden zamek mniej.

Cywil oddał komuś torbę i lekko jak kaskader przedostał się na drugą stronę bramy. Potem wyciągnął ręce, ktoś górami przerzucił mu torbę, rozległy się szybkie kroki i w parę sekund później usłyszeli łagodny chrobotanie narzędzi.

Czekali cierpliwie "jeszcze chwilę, aż wreszcie coś trzasnęło i na moment zaległa cisza. Potem przy furtce zaterkotał brzęczyk.

Poszli rzymskim chodniczkiem w stronę zamarłego domu. Kiedy byli w połowie, nad tarasem zapaliło się światło i zaraz potem najbliższe okna zapłonęły na zielono; widocznie człowiek z torbą odnalazł już właściwe kontakty.

Weszli do białego hallu, pokrytego śnieżnobiałym chodnikiem. Człowiek z torbą stał na środku gdańskiej jadalni, widocznej przez szeroko uchylone drzwi i oglądał coś na blacie dębowego stołu.

— Tu jest liścik — powiedział.

Major wszedł tam pierwszy i włożywszy rękawiczkę wziął ze stołu prostokąt sztywnego brystolu, opartego o miedzianą popielniczkę z orłem.

Potem kiwnął na Rafała.

— To chyba do pańskiej córki.

I pokazał mu krótki tekst, wykonany czarnym flamastrem:

ELŻBIETA, NIE MOGĘ DŁUŻEJ CZEKAĆ. JEŻELI WSZYSTKO W PORZĄDKU, BĄDŹ O CZWARTEJ TAM, GDZIE OSTATNI RAZ PILIŚMY „MARTINI” Z LODEM. TERAZ JEST GODZ. 9¹⁵, WYCHODZĘ — HUBERT.

Rafał skinął głową, że przeczytał. Major rzucił tekturkę na stół, obejrzał się na swych współpracowników i mruknął:

— Róbcie swoje — a potem znowu spojrzął na Rafała i powiedział: — Ona wróciła do miasta dopiero wczoraj późnym wieczorem, prawda?

— Właściwie to już w nocy, panie majorze.

— To znaczy, że ta godzina oznacza dziewiątą piętnaście rano. Pan był z nią umówiony na dziewiątą?

— Tak jest.

— Czyli, że pan Stańczyk chciał się z nią zobaczyć przed waszym spotkaniem.

— Ja . też tak myślę.

— Kiedy zrozumiał, że to się nie udało, zniknął z domu, zostawił wóz w śródmieściu i więcej się nie pokazał. Co pan o tym myśli?

— Tylko tyle, że Elżbieta musiała do niego zadzwonić zaraz po przyjeździe do miasta. Potem już nie miała okazji. Jak pan wie, noc spędziła w pracowni swego chłopca, a o świcie została uśpiona proszkiem nasennym i wywieziona do Smoczej Góry.

Major na chwilę przykrył oczy powiekami. Może był zmęczony, a może nie chciał spojrzeć Rafałowi w twarz.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział — ale czy pan nie sądzi, że ona żyła z tym Stańczykiem?

— Nie — odpowiedział Rafał. — Żyła z nim moja żona.

— Dla żony nie zostawił żadnego listu.

— Może do niej dzwonił.

— Nie — pokręcił głową major. — Jej telefon od południa jest na podsłuchu. To ona obdzwaniała całe miasto, żeby go znaleźć. Nie odezwał się aż do chwili,

kiedy wyszła do szpitala. Chciał się widzieć tylko z pańską córką.

— Czy telefon szpitalny też jest na podsłuchu?

— To niewykonalne — powiedział ze znużeniem major. — Pan rozumie, centrala o dziesięciu kanałach, łącząca bez przerwy sześćset dwadzieścia numerów wewnętrznych. Nie starczyłoby papieru, żeby to wszystko zapisać, nie mówiąc już o taśmach, na które trzeba by to nagrać. Zresztą większość rozmów jest trudna do zidentyfikowania.

— To znaczy — zapytał Rafał — że od chwili, kiedy przekroczyła próg szpitala, praktycznie wyszła spod waszej kontroli?

— Tylko w pewnym stopniu — odpowiedział major. — Wyjścia są obserwowane. Gdyby chciała opuścić gmach... Albo gdyby chciał ją odwiedzić ktoś, kto się znajduje na naszej aktualnej liście, zostalibyśmy natychmiast poinformowani.

— Czy pan nie uważa — zapytał oględnie Rafał — że powinienem z nią teraz porozmawiać? Potem chętnie wróciłbym do domu. Pan rozumie, miałem za sobą ciężki dzień. I nie chciałbym, żeby Agata była zbyt długo sama.

— Jeszcze moment — mruknął z niezadowoleniem major. Rozejrzał się za Jasłą i przywołał go skinieniem ręki:

— Poszukaj, gdzie tu jest telefon, i połącz mnie z kliniką Akademii Medycznej.

Telefon był w sąsiednim pokoju, stanowiącym coś pośredniego między gabinetem i biblioteką: skórzane kluby z epoki wielkiego kryzysu, dwa tysiące tomów w połączanych oprawach, trochę płócien.

Czekając, aż dyżurny lekarz na internie podejdzie do telefonu, major krzywym okiem rozglądał się po otoczeniu. Potem mruknął:

— Kiedy tak patrzę i liczę, przestaję wierzyć w pańską hipotezę o nożu. Co za interesu potrzeba, żeby zaryzykować taką budę, wypełnioną cackami. Koniec końców ten Stańczyk też nie był idiotą.

— Nie — potwierdził ze smutkiem Rafał. — Był bardzo

solidnym człowiekiem. Nie miał nałogów i ani razu nie zapłacił mandatu. Takim ludziom trzeba ze szczególną uwagą patrzeć na ręce.

— Z pana jest anarchista — powiedział major. — Albo przynajmniej kontestator. Pan ufa tylko tym, którzy bez przerwy borykają się z własnymi grzechami i dochodzą do wszystkiego zygzakiem. Pan nie wierzy tym, którzy nigdy nie splamili się najmniejszym przekroczeniem przepisów.

— Pan ma rację — szepnął Rafał. — Zawsze podejrzewam, że ci ludzie się czają. I że kiedyś pokażą nam swoją prawdziwą twarz. Wolę twarze, na których wszystko wypisane jest od razu.

— Nawet łajdactwo?

— Nawet — potwierdził Rafał. — Bo łajdactwo jest także czymś ludzkim. Boję się tylko tych, którzy przez całe życie składają na książeczke swoje złe instynkty. Kiedy zdecydują się je uruchomić, stają się potworami.

— Jest dyżurny — powiedział oschłym głosem Jasło i podał majorowi słuchawkę.

Major jeszcze przez chwilę patrzył na Rafała z zadumą, potem wziął słuchawkę i zupełnie innym głosem niż przed chwilą powiedział:

— Tu Szeliga. Chciałem się dowiedzieć, jaki jest stan tej małej Kostroniówny.

— Zadowolający — odpowiedział lekarz po drugiej stronie kabla. — Tętno się poprawiło, nie ma obawy zapaści. Natomiast psychiczne skutki szoku trwają nadal: chora jest zdenerwowana, unika kontaktu z otoczeniem, a przy każdej próbie przełamania bariery wybuchu płaczem. Niestety, nie możemy temu przeciwdziałać farmakologicznie, ponieważ wszelkie środki uspokajające są w tej sytuacji przeciwwskazane. Próbujemy je zastąpić troskliwą opieką. Mamy nadzieję, że do rana powinna wrócić do normy.

— Niech mi pan powie szczerze — mruknął major. — Mamy duże kłopoty i powinniśmy ją jak najprędzej przesłuchać. Czy pan to uważa za możliwe?

- W żadnym wypadku.
- Nawet gdyby chodziło o sprawę dużej wagi?
- Przykro mi — odpowiedział lekarz. — Ale możecie to zrobić tylko na własną odpowiedzialność.
- Pan nie wyrazi zgody?
- Wykluczone.
- No, to dobranoc.
- Dobranoc.

Major z niesmakiem odłożył słuchawkę i przez chwilę bębnił po niej palcami.

Z gdańskiej jadalni nadszedł wysoki kapitan w milicyjnym płaszczu i ostrożnie zatrzymał się przy najbliższym fotelu.

- No? — mruknął major.
- Wszystkie pomieszczenia są puste. Na oko nie widać nic podejrzanego. Zaczęliśmy przeglądać papiery i notatki.
- Kontynuujcie — sapnął major i ze złością zaplótł ręce na piersiach. Potem podniósł wzrok na Jasłę i powiedział:
- Zwijamy się; Wacek i bez nas da sobie radę. Zresztą guzik z tego wyjdzie. Jeżeli redaktor Kostron ma rację, to nie znajdziemy tu nawet jednego fałszywego dolara. Być może pan Stańczyk wszedł w kolizję z prawem, ale z pewnością nie na terenie swojej posesji.

Poprawił sobie kołnierz przy szyi i dorzucił tonem, nie znoszącym sprzeciwu:

— Pojedziesz z redaktorem do Szpitala Wojewódzkiego i będziesz obecny przy jego rozmowie z żoną. Mogą mówić o sprawach prywatnych, dopuszczam także elementarne informacje na temat córki: że przebywa w klinice i dlaczego. Gdyby redaktor stał się zbyt wylewny, przerwiesz rozmowę. Potem obaj przyjdziecie do komendy.

— A po co ja? — zapytał ostrożnie Rafał.

— Po co, po co! — skrzywił się major. — Pański wóz stoi u nas na podwórzu. A pańskie papiery leżą na moim biurku. Chyba nie chce pan jechać nocną taksówką?

— Mogę — odpowiedział Rafał.

— W porządku — powiedział ze złością major i obrócił się do Jasły: — Stać nas na to, żeby podrzucić redaktora do

domu. Zrobisz to i zameldujesz się w Wydziale. A pan jutro zgłosi się po wóz. Jedziemy.

Ortopedia mieściła się na trzecim piętrze. Wjechali tam wielką windą, przeznaczoną do przewożenia wózków z chorymi, i znaleźli się w długim korytarzu, którego ściany powleczone były olejną farbą.

O tej porze było już tam cicho i pusto. Czasem tylko jakaś postać w szpitalnym płaszczu przemykała się pod mlecznymi lampami.

Drzwi do większości sal były otwarte; może dlatego, że w salach panowała duchota. Idąc widzieli łóżka, majaczące w półmroku, i poszarzałe twarze chorych. Większość z nich nie spała i szklanym wzrokiem odprowadzała przechodzących. Tam, gdzie leżały dzieci, widok był jeszcze smutniejszy: część z nich była w gipsowych pancierzach, obejmujących całą dolną połowę ciała, z tym że każde z nich miało nóżki szeroko rozkrzyżowane na boki. Niektórzy z małych męczenników także nie spali i w milczeniu wpatrywali się w drzwi błyszczącymi, udręczonymi oczami.

— Co im jest? — szepnął głucho porucznik.

— Wrodzone zwicnięcia stawu biodrowego — odpowiedział cicho Rafał. — Moja żona specjalizuje się w leczeniu najtrudniejszych wypadków.

— Długo tak leżą?

— Czasem rok, czasem więcej. Ale potem wychodzą zdrowe.

— Rok — szepnął Jasło. — To straszne.

— Bez tego zostałyby na całe życie kalekami.

W milczeniu podeszli pod dyżurkę, mieszczącą się na końcu korytarza. Drzwi były uchylone; zobaczyli fragment białego biurka, a przy nim pielęgniarkę, która z elektrycznego czajnika nalewała wrzącą wodę do dwóch szklanek bez spodeczków. W każdej szklance czerniało na dnie trochę mielonej kawy.

Rafał delikatnie pchnął drzwi; nie skrzypnęły. Barbara stała przy oknie tyłem do pokoju i nerwowo stuknęła paznokciem w szybę.

— Dobry wieczór — powiedział i wszedł do środka.

Drgnęła i błyskawicznie obróciła się ku niemu.

— No, co ty wyprawiasz! — krzyknęła. — Nie mogłeś się odezwać? Gdzie Elżbieta?

— Zaraz ci wszystko powiem — zaczął łagodnie, ale przerwała mu w pół słowa:

— Ładne zaraz! Trzymasz mnie cały dzień jak na rozpalonych węglach i nic! Wiesz, to jest po prostu zwykłe chamstwo!

Dopiero w tej chwili zauważyła porucznika, który dyskretnie przystanął . za progiem, i zmarszczyła brwi.

— Co to znaczy? — zapytała zmienionym głosem.

— Pozwól — powiedział Rafał. — To jest porucznik Jasło z Miejskiej Komendy MO.

Porucznik zasalutował i trochę sztywno wszedł do dyżurki. Pielęgniarka obserwowała ich znad parujących szklanek, nie odstawiając czajnika i nie przerywając mieszania kawy łyżeczką. Czuli, że ją zaraz wyproszą, i chciała jak najwięcej usłyszeć, zanim się to stanie.

— Z Elżbietą coś złego? — zapytała Barbara zduszonym głosem.

— Nic jej nie będzie — powiedział z pośpiechem Rafał.

— Co znaczy: nie będzie? A co jest teraz?

Porucznik obrócił się ku pielęgniarce i grzecznie skłonił głowę.

— Jeżeli pani pozwoli...

— Już uciekam — zawołała uczynn timer. — Już, tylko doleję do pełna. A może panowie też by się napili? Zaraz poszukam szklaneczek...

— Nie, dziękuję — mruknął Rafał. — Mamy mało czasu.

— Rozumiem — zawołała. — Oczywiście. Ale najważniejsze, że panowie są. Pani doktor tak się denerwowała, po prostu odchodziła od zmysłów!

Jasło popatrzył na nią swoim lodowatym wzrokiem. Zrozumiała i momentalnie odstawiała czajnik. W pół sekundy już jej nie było.

— No więc? — zapytała Barbara, zaciskając drobne dłonie, aż jej kości chrupnęły w stawach.

— Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego — zaczął Rafał, czując, że mówienie przychodzi mu z dziwnym trudem. — Ela jest zamieszana w sprawę, co do której toczy się dochodzenie. Panowie z Komendy prosili mnie...

— Zaraz! — przerwała mu ostrym głosem. — Jeżeli ty coś wiesz, to ja także powinnam to wiedzieć! W ostatnich latach byłam bardziej jej matką niż ty ojcem! Co to za sprawa?

Obejrzał się na Jasłę, a ten wspomógł go bardzo grzecznym „niestety”.

Uderzyła dłonią o biurko i krzyknęła:

— No wie pan! To już przechodzi wszelkie granice. Muszę wiedzieć wszystko; i dowiem się, pan rozumie?

— Nie od nas — odpowiedział tamten jeszcze grzeczniej.

— Bo my nie mamy takich uprawnień. Proszę się zwrócić do kierownika Wydziału Trzeciego.

— Nazwisko?

— Szeliga. Major Szeliga, proszę pani.

Gwałtownie wyciągnęła dłoń do telefonu.

— Proszę się nie fatygować — powiedział. — Majora teraz nie ma w Komendzie. Proszę zadzwonić jutro rano.

Zagryzła wargi i obrzuciła go spojrzeniem pełnym nienawiści. Potem przeniosła wzrok na Rafała.

— No więc?

— Elżbieta jest teraz w mieście — powiedział. — I nic jej nie grozi; jest naprawdę pod dobrą opieką. Ale ma za sobą bardzo przykrą przygodę.

— To znaczy?

— Dziś rano została wywieziona na prowincję i uśpiona dużą porcją narkozy domięśniowej.

— Jaką dużą? — zapytała rzeczowo.

— No, grubo za dużą, żeby to przetrzymać bez pomocy lekarza. Ale wszystko skończyło się dobrze. Rozmawiałem z nią o szóstej; była już przytomna. Jutro powinna być całkiem zdrowa.

— Czy to był gwałt? — zapytała mrużąc oczy.

— Nie.

- A co?
 - Próba pozbycia się jej jako świadka. Albo przynajmniej opóźnienia jej zeznań.
 - Wiecie już, kto to zrobił?
 - Wiedzieliśmy od pierwszej chwili.
 - I co?
 - Został zatrzymany.
 - Czy jej też grozi proces?
- Rafał zawahał się i spuściwszy oczy powiedział:

- Jeszcze nie wiem.
- To coś poważnego?
- Jeżeli chodzi o Elżbietę, to myślę, że nie. Nie bardzo wiedziała, w co się miesza.
- Nie możesz powiedzieć więcej?
- Nie.
- A pan?
- Ja także, proszę pani — odpowiedział z szacunkiem Jasło.

Przeszła się kilka razy po pokoju, wylamując sobie palce nerwowo. Potem stanęła tyłem do nich i zapytała:

- Gdzie leży?
 - W klinice Akademii Medycznej.
- Bez słowa sięgnęła po lekkie futro, rozwieszone na plastikowym ramiączku.
- Przykro mi, proszę pani — uprzedził ją łagodnie porucznik. — Teraz jej nie można odwiedzać.
 - No, ja się chyba znam lepiej.
 - Chodzi nie tylko o jej zdrowie — powiedział Jasło jeszcze łagodniej niż przedtem. — Chodzi także o dobro śledztwa.
 - Pan wybaczy — rzuciła pogardliwie — ale tym razem nie zastosuję się do pańskich wskazówek. Jestem nie tylko jej matką, także lekarzem. I mam prawo wiedzieć, w jaki sposób jest leczona.
 - W tej sprawie radziłbym się porozumieć z kierownictwem kliniki. Natomiast wizyta nie może dojść do skutku. Przed drzwiami separatki, w której leży pani córka, czuwa nasz funkcjonariusz, który ma polecenie nie

wpuszczać do środka nikogo poza personelem. Tak że pani wyjazd byłby daremną stratą czasu.

Opuściła ręce i bezradnie zatrzepotała rękami, jakby miała się zaraz rozplakać. Rafał poczuł ból w sercu i z pośpiechem odwrócił oczy. Przez chwilę trwała nieprzyjemna cisza, potem zadzwonił telefon.

Barbara nie ruszyła się, by go odebrać. Stała dalej w miejscu, na próżno walcząc ze łzami, i dopiero kiedy Jasło szepnął: „Pani doktor, telefon”, ocknęła się i szorstkim ruchem sięgnęła po słuchawkę.

— Ortopedia — powiedziała nienaturalnym głosem.

Przez moment słuchała w milczeniu, potem jej wzrok obrócił się ku Jasłu, mruknęła oschle: „Tak, już proszę” i wyciągnęła słuchawkę ku niemu.

— Do pana.

Potem, nie zdejmując futra, podeszła do lustra nad umywalką i żałośnie zaczęła sobie wycierać oczy.

Rafał nie wiedział, co zrobić, wyjął z kieszeni „Ekstra mocne”, wypukał sobie jednego i włożył do ust, ale go nie zapalił, tylko bez końca obracał w suchych wargach. Wreszcie schował go do paczuski z powrotem.

Tymczasem Jasło skończył rozmowę, mruknął „tak jest, zrozumiałem” i szybko rzucił słuchawkę.

— Panie redaktorze — powiedział. — Na moment.

Wyprowadził go na korytarz, przytknął drzwi i podnieconym szeptem powiedział:

— Przed chwilą przysłała wiadomość z Urzędu Celnego na Okęciu. Tamtejsi pracownicy dobrze znają panią doktor i jej skórzany sakwojaż. Już przed rokiem zwrócili uwagę na schowek, ukryty w jego rączce. Otworzyli go dyskretnie, tak żeby pańska żona niczego nie zauważyła. Schowek był pusty. Od tej pory sprawdzali go za każdym razem, kiedy przekraczała granicę. Ani razu, rozumie pan, w żadną stronę nie przemycono w nim nawet świstka papieru. Ten schowek był po prostu nieużywany.

— Jak to? — zachnął się Rafał. — Przecież Hartman i jego wspólnicy... Cała ich kombinacja wiązała się z tym

schowkiem! Tą drogą szła na Zachód pornografia i tą samą drogą wracały do kraju pokwitowania! To był ich jedyny kanał! Jeżeli naprawdę nie istniał, to ja już niczego nie rozumiem!

— Ja także — przyznał się niechętnie Jasio — Ale to jest rzecz absolutnie sprawdzona. Pańska żona nigdy niczego nie wywozła i nie przywozła w tym schowku...

Przez dłuższy czas obaj milczeli i tylko pochlipywanie uwięzionych w gipsie dzieci mąciło olejną ciszę korytarza. Potem Jasło odezwał się pokornie:

— W tej sytuacji major prosi, żeby pan odłożył swój powrót do domu. Chce, żebyśmy obaj niezwłocznie zjawili się w Komendzie.

— A co ja? — warknął Rafał. — Dlaczego ja? Ja już mam tego potąd! Ciągnijcie to dalej sami, ostatecznie płacą wam za to, no nie? Ja już sobie zasłużyłem na spokojną noc we własnym łóżku!

— Ma pan rację — potwierdzi z zakłopotaniem Jasło. — Ale wadzi pan, taką mam dyspozycję. Bardzo proszę, niech mi pan nie utrudnia sytuacji... — i zawahawszy się dodał przymilnie: — Jestem pewien, że będzie z tego bardzo dobra audycja!

Wrócił do dyżurki. Barbara ciągle jeszcze stała przed lustrem, choć nie poprawiała już niczego na swojej twarzy. Była apatyczna i jakby dużo starsza niż przed chwilą. Rafał podszedł do niej i z trudem powstrzymał się, żeby jej nie pogłodzić po rękę.

— Musimy już jechać — powiedział. — Dam ci znać, jak tylko będę mógł powiedzieć coś więcej. - A ty nie martw się i nie rób głupstw. Dobranoc.

Kiwnęła głową i obojętnie zrzuciła futerko z ramion, jakby chciała im dać do zrozumienia, że niczego nie przedsięwzięmie bez ich zgody. Kiedy wyszli, usiadła niezgrabnie na białym taborecie przy biurku i machinalnie zaczęła mieszać w szklance wystygłą kawę.

Pielęgniarka, którą Jasło wyprosił przedtem z pokoju, zajrzała teraz ciekawie przez szparę, ale widząc zamyślenie

Barbary wycofała się i zamknęła drzwi.

W pół minuty później zadzwonił telefon.

Barbara wzięła słuchawkę wyuczonym gestem i martwo powiedziała:

— Ortopedia.

Przez chwilę nikt się nie odzywał: potem usłyszała ostrożny, trochę jakby sztuczny głos, który powiedział:

— To ja.

Poprawiła się na taborecie i poczuła, że znowu jest o kilka lat młodsza.

— No, nareszcie — szepnęła. — Co się z tobą działo przez cały dzień?

— Miałem kłopoty, ale to nieważne. Co z Elżbietą!

— Znalazła się, dzięki Bogu! Jest teraz w klinice Akademii Medycznej.

— Co się stało? Wypadek?

— Ach, nie, to cała historia! Nie mógłbyś po prostu wpaść na oddział?

— Nigdy tego nie robiliśmy.

— To już nie ma znaczenia. Wpadnij, proszę cię! Bardzo mi potrzeba rozmowy z tobą!

— Porozmawiamy — odpowiedział głos w słuchawce. — Ale nie u ciebie. Mogłabyś mieć niepotrzebne przykrości.

— Nie rozumiem.

— Wytlumaczę ci potem. Na razie powiedz coś więcej o Elżbiecie.

— Ktoś zaaplikował jej niebezpieczną dawkę narkozy domięśniowej.

— Kto?

— Nie chcą mi powiedzieć.

— Ale jest przytomna?

— Tak, Rafał widział się z nią wieczorem,

— A ty nie?

— Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— Ostrzegli mnie, że przed drzwiami jej pokoju siedzi milicjant, który nikogo nie wpuszcza.

— No, musi wpuszczać lekarzy.

— Oczywiście.

Przez moment było cicho; potem w słuchawce znowu odezwał się ten sam głos, ale jakby bardziej skupiony:

— Uważaj, Elżbiecie grozi duże niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo?

— Nie mogę mówić przez telefon. I tak boję się, że powiedziałem za wiele. Ale mam nadzieję, że nie siedzą wam na linii.

— Kochany! — jęknęła. — Ja już nie mogę! Co tu właściwie się dzieje! Jestem już na ostatnich nogach, nie rozumiesz?

— Uspokój się — powiedział głos w słuchawce. — Jeżeli mi pomożesz, wszystko będzie o'key. Ale naprawdę musisz mi pomóc.

— Oczywiście — szepnęła. — Co mam zrobić?

— Znajdź dwie duże klisze roentgenowskie i ukryj je pod fartuchem na plecach.

— Czy to mają być jakieś skomplikowane wypadki?

— Nie. Weź pierwsze lepsze, jakie znajdziesz. Treść jest zupełnie obojętna. Zrozumiałaś?

— Tak.

— Włóż futro na fartuch i zejdź na podwórze.

— Mój wóz stoi przed szpitalem.

— Nie pojedziesz swoim wozem. Zaczekasz na jakąś karetkę, która przyjedzie z wypadku. Karetki wjeżdżają do środka, prawda?

— Tak. Pod Izbę Przyjęć, od tyłu.

— Zaczekasz na pierwszą, jaka podjedzie. Jak wyładują chorego, poprosisz, żeby cię zabrali do miasta.

— A nie boisz się, że im się to wyda dziwne?

— Wszystko jedno. Nie możesz zrobić inaczej.

— Dlaczego?

— Bo przypuszczalnie jesteś pod obserwacją.

— Czy to ma związek z kłopotami Elżbiety?

— W pewnym sensie. Jeżeli wyjedziesz karetką, mogą cię nie zauważyć.

— Dobrze — powiedziała. — Wyjadę tak, jak mi kazałeś. Co potem?

— Przypomnij sobie miejsce, w którym pierwszy raz opowiadałaś mi o dzieciach, ukrzyżowanych za niczyje winy. Pamiętasz?

— A jak myślisz? — zapytała z odrobiną nieśmiałej kokieterii. — Naprawdę wydaje ci się, że mogłabym zapomnieć?

— No, więc zjawisz się tam tak szybko, jak potrafisz. Cześć.

Usłyszała szcęk odkładanej słuchawki i poczuła się zawiedziona: tyle jeszcze chciała mu powiedzieć! Ale potem pomyślała, że zobaczy go za parę minut i znowu podeszła do lustra, teraz już nie po to, żeby zetrzeć ślady łez, tylko żeby skontrolować twarz przed spotkaniem z mężczyzną.

Stali milcząc przy biurku majora i raz jeszcze przeglądali dalekopis, nadesłany z Okęcia. Potem Rafał wybuchnął:

— Ale przecież ten cały biznes istniał naprawdę! Mamy zeznanie tej dziewczyny, która była rano w pracowni Marka, wreszcie mamy zeznanie Szmidta! Nie wierzę, żeby to wszystko było sfigowane!

— Nie — powiedział major, pocierając szorstki od zarostu policzek. — Ten biznes istniał i funkcjonował. A nawet funkcjonował wyjątkowo bezwzględnie. Tylko że jego produkty znikają gdzieś po drodze. Ani jedno zdjęcie nie wyszło z Polski na Zachód. A przynajmniej nie wyszło tym kanałem. A innego na razie nie znamy.

— Więc co się z tym dzieło? — krzyknął Rafał.

— Nie wiem — odpowiedział spokojnie major. — Ale niech pan pamięta, że to dopiero pierwszy dzień śledztwa. Wcisnął guzik na desce rozdzielczej obok biurka i nachyliwszy się do mikrofonu zawołał:

— Gdzie ten fotograf? Czekamy!

Gabinet był duży, przestronny, prawie pusty. Rafał przemierzył go kilku nerwowymi krokami i zatrzymał się przed szafką biblioteczną, gdzie za szkłem stało kilkadziesiąt tomów literatury fachowej. Odruchowo pomyślał, że kiedyś, wiele lat

temu, gdy jako młody dziennikarz przekraczał te progi, widniały tam wyłącznie dzieła zbiorowe klasyków w brązowych, granatowych i czerwonych oprawkach ze złożonymi napisami na grzbiecie. Może to nie miało większego znaczenia, ale przyjemniej było pomyśleć, że major w wolnych chwilach studiuje kryminologię, a nie językoznawstwo w urzędowej wersji.

— Chciałbym, żeby pan bardzo uważnie słuchał tej rozmowy — mówił tymczasem major, przechadzając się za jego plecami. — Ten gówniarz może w zeznaniach robić luki, których my nie zauważymy. Ale pan może je wyłapać. Ostatecznie sprawa ciągle kręci się wokół pańskiej rodziny.

— Dobrze — powiedział znużonym głosem Rafał. Będę uważał.

Uchyliły się drzwi i dyżurny wprowadził do gabinetu Marka. Ten miał na twarzy kilka plastrów, ale mimo to wyglądał raźnie i świeżo.

— Byłeś w ambulatorium? — zapytał major.

— Byłem.

— Zażaleń nie zgłaszasz?

— Nie.

— No, to siadaj.

Marek usiadł na brzegu krzesła, a major w dalszym ciągu przechadzał się po gabinecie.

— Interesuje nas — powiedział wreszcie — historia twojej, że tak powiem, kariery zawodowej. Od jak dawna fotografujesz?

— Skończyłem taki kurs jeszcze w Domu Dziecka — odpowiedział szybko Marek. — I chyba się wyróżniałem, bo jak mnie wypisywali, to dostałem w nagrodę polski aparat marki „Start”.

— Od kiedy zacząłeś wykonywać zdjęcia pornograficzne?

— No, to zależy, co pan major przez to rozumie — uśmiechnął się Marek. Był tak samo grzeczny i układny jak w „Borówce”, podczas pierwszej rozmowy z Rafałem. Nie wyglądał na człowieka, który może mieć jakieś zatargi z prawem. — Żeby studiować, musiałem z czegoś żyć.

Stypendium, jak pan major wie, jest bardzo skromne. Kopiowałem duńskie pisma ilustrowane, a mój kolega Luluś, to znaczy Ludwik Waškowiak rozprawdzał je po restauracjach. Czasem też robiłem zdjęcia paniom, które za kolację zgadzały się rozebrać. Ale to nie były duże zarobki.

— Domyślam się — skinął głową major. — A teraz powiedz nam, jak doszło do twojej współpracy z Hartmanem.

— Przez Lulusia — odpowiedział promiennie Marek. — Nie wiem, gdzie się poznali. ale jednego dnia Luluś przyszedł i oświadczył, że jest facet, który ma kontakty z zagranicą i chce na dużą skalę uruchomić produkcję porno. Potrzebował tylko zaufanego fotografa. Zgodziłem się, a on wynajął mi ten strych za elektrownią i kupił trochę sprzętu.

— Kiedy to było?

— No, jakieś półtora roku temu.

— Na pewno?

— Słowo daję, parne majorze.

— Coś tu nie gra — powiedział sucho major. — Półtora roku temu nie znałeś rodziny pani doktor.

— A, bo to był pierwszy etap! — odpowiedział pobłaźliwie Marek. — Dostyc nieudany, panie majorze. Hartman kombinował coś przez marynarzy, ale mu nie szło. Raz po raz przerywaliśmy produkcję. Dopiero przed rokiem zaczęło się na fest.

— Jak się zaczęło?

— Hartman wezwał nas i powiedział: „Chłopcy, jest wielka szansa. Mam hurtowego nabywcę, który każde świństwo kupi za dolary; i jest kanał, którym to wszystko będzie można regularnie przesyłać na Zachód. Ale ten kanał trzeba dopiero otworzyć. I ty — powiedział do mnie — musisz się tym zająć”.

— Chodziło o Elżbietę Kostroń?

Marek obejrzał się melancholijnie na Rafała i kiwnął głową:

— Tak jest, panie majorze.

— Odpowiedz, jak to wyglądało w praktyce.

— No, Ela była jeszcze przed maturą, a ja zachowywałem się bardzo kulturalnie...

— Nie o to chodzi — mruknął major. — Tą część możemy sobie darować. Chodzi mi o to, jak odbywały się przerzuty.

— No, cóż — westchnął Marek. — Ja zawsze wiedziałem, kiedy pani doktor ma wyjechać. Przychodziłem dzień wcześniej i dyskretnie ładowałem negatywy do schowka. Potem, kiedy wracała, wyjmowałem ze schowka pokwitowania i ewentualne instrukcje.

— Jak wyglądały te pokwitowania?

— No, takie kolorowe druczki z przelewami do banku „NORD” w Hamburgu.

— Czy przelewy szły na wasze nazwisko?

— A nie, nie, panie majorze. To byłoby ryzykowne. Szły na hasło „Klara” i tylko dyrektor banku wiedział, że to właśnie my kryjemy się pod tym hasłem.

— Jak uzgodniliście z nim to hasło?

— A, to już załatwił nasz kontrahent zagraniczny.

— I jak was o tym powiadomił?

— No, tak jak o wszystkim.

— To znaczy przez schowek w torbie pani doktor?

— Oczywiście.

— A skąd mieliście pewność, że hasło „Klara” dotyczy właśnie was?

Marek zmarszczył się i nie odpowiedział.

Major przez parę sekund przyglądał mu się przez zmrużone rzęsy, a potem wzduszył ramionami.

— No, drobiazg. Jak wielkie były te przelewy?

— Rozmaicie.

— To znaczy, że nie było żadnej stałej stawki?

— Nie. Jak mu się podobało, to płacił więcej.

— Nie płacił, tylko przelewał — poprawił go major.

— Oczywiście — bąknął niepewnie Marek. Już nie był taki promienny i układny jak na początku; coś mu się w tej rozmowie zaczynało nie podobać.

— A może pamiętasz, jaki był ostatni stan konta?

— Jasne. Wynosił siedem tysięcy dolarów z groszami.

— Kiedy chcieliście to podjąć?

— Jak dojdziemy do dwudziestu.

— Nie mów „dojdziemy” — poprawił go znowu major. — Mów lepiej „jak stan konta wyniesie”. Albo „jak »Klara« dojdzie do dwudziestu”. To będzie bliższe prawdy.

— Nie rozumiem.

— Nie szkodzi. Podaj mi jeszcze, jak wyglądały te instrukcje.

— No, dotyczyły dziewczyn.

— Na przykład?

— Że mają być młodsze. I raczej brunetki niż blondynki. Były też wymówki: że bierzemy dziewczyny zbyt wulgarne albo takie, które mają rozpustę wypisaną na twarzy.

— A kontrahent wołał jakie?

— Bardziej niewinne. Takie, które by się wstydziły tego, co robią.

— No ładnie — powiedział major. — Wróćmy jeszcze do tego konta w Hamburgu. Jeżeli pamiętam, figurowało tam coś koło siedmiu tysięcy. Na trzech to dosyć skromnie. Ale na jednego?

— Co to znaczy? — zapytał czujnie Marek.

Major jeszcze przez chwilę patrzył nań w milczeniu, a potem otworzył biurko i wyjął z niego najpierw dwie gumowe rękawiczki, pokryte ciemnymi plamami, a potem duży myśliwski nóż w skórzanej pochwie z karabińczykiem. Zarówno do rękawiczek, jak i do noża przymocowane były tekturowe szyldziki z krótkim tekstem, wypisanym na maszynie.

— Znasz te przedmioty? — zapytał.

Marek wychylił się z krzesła, chwilę patrzył, a potem pokręcił głową.

— Nie, panie majorze.

— I nigdy ich nie widziałeś?

— Nigdy w życiu.

— Jesteś pewien?

Marek przechylił głowę na bok i uśmiechnął się.

— Gdyby to należało do mnie — powiedział — to musiałyby na nożu być moje odciski palców. A ja się założę, że nie ma.

— Możesz się .nie zakładać — odpowiedział spokojnie major. — Bo nie ma tam niczych odcisków. Zostały bardzo starannie wymazane.

Marek ściągnął brwi i nie odezwał się; widać było, że intensywnie myśli. Potem zapytał:

— A dlaczego pan major mi to pokazuje?

— Dlatego, że tym nożem zamordowani zostali dwaj twoi współnicy.

— Luluś i Hartman? — krzyknął Marek.

— Tak jest — potwierdził major. — I ty jeden miałeś interes w tym, żeby się ich pozbyć.

Marek potarł blade czoło i szepnął: — Nie wiedziałem, że nie żyją.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział major, nie spuszczając oczu z jego twarzy. — Ten nóż i te rękawiczki zostały znalezione przed godziną w rezerwuarze nieczynnego szaletu na płacu Roosevelta. Dokładnie naprzeciw domu akademickiego, w którym do dzisiaj rana zajmowałeś pokój na trzecim piętrze.

Marek ścisnął pięściami skronie i powiedział przejmującym szeptem:

— Ja ich nie zabiłem, panie majorze.

Potem wyciągnął ręce przed siebie i zawołał:

— Niech mi się pan przyjrzy! Czy ja wyglądam na człowieka, który mógłby podejść do kogoś z nożem i uderzyć?

Przez sekundę trwał tak z wyciągniętymi rękami, a potem opuścił je i powiedział cicho:

— Ktoś mi to musiał podrzucić, panie majorze.

— Na przykład kto? — zapytał major.

— Nie wiem — szepnął Marek. — Nie wiem. Nic mi nie przychodzi do głowy...

— No, to na razie byłoby wszystko.

Wyciągnął dłoń do dzwonka, ale Rafał go uprzedził.

— Jeśli pan major pozwoli — powiedział — to ja bym chciał zadać mu jeszcze dwa pytania.

— Proszę.

Rafał podszedł i przysiadł na biurku obok Marka.

— Powiedziałeś przed chwilą, że w schowku przychodziły dla was instrukcje.

— Tak — kiwnął głową Marek.

Był zupełnie wytracony z równowagi i jakby ogłuszony.

— A czy w tych instrukcjach nigdy was nie nie dziwiło?

— Owszem — szepnął tępo Marek. — Czasem nas coś dziwiło. Ale pan wie: kto płaci, ten wymaga...

— Przypomnij sobie jakieś szczegóły.

— Zmęczony jestem — pokręcił głową Marek. — Naprawdę nie umiem nic powiedzieć...

— Myślę, że mógłbyś poprosić pana majora o kawę.

— No, jakby było można?...

— Dla pana też? — zapytał major, obracając się w stronę Rafała.

— Nie, dziękuję.

— Zajmij się tym — mruknął major do Jasły i powoli przysiadł za biurkiem. — No, proszę, proszę, mówcie.

— Jeżeli nie pamiętasz — powiedział Rafał — to może ja ci spróbuję pomóc. Czy nigdy nie było takiego wypadku, żeby wasz kontrahent zażądał od was zdjęcia jakiejś konkretnej osoby?

Marek spojrział nań spode łba, a potem odwrócił oczy.

— Odpowiadaj — powiedział bardzo cicho major, cedząc to słowo przez zęby.

— No, więc był taki wypadek — zamruczał Marek. — Bardzo nas zdziwił, muszę przyznać, bo świadczył o świetnym rozeznaniu kontrahenta w naszym mieście. Nigdy nie doszliśmy do tego, jak on wpadł na tę dziewczynę. Może mu opowiedział któryś z naszych gości zagranicznych? W każdym razie zażądał od nas zdjęć pewnej ekspedientki z „Delikatesów”. Podał nawet, że, jak mu wiadomo, obsługuje stoisko z kawą. I podał jej bardzo szczegółowy rysopis.

— Czy to była Ewa Szmidt? — zapytał głucho Rafał.

Marek tylko kiwnął głową.

— Ale ona się nie zgodziła, prawda?

- Nie, proszę pana. Była twarda jak mur.
- Wtedy ty sobie przypomniałeś, że znasz jej męża i masz na niego haczyk. Tak było?
- Tak, ale resztą zajęli się tamci. Ja do niczego nie przyłożyłem reki i bardzo się zdenerwowałem, kiedy przeczytałem w gazetach, że popełniła samobójstwo. Przez chwilę było cicho, potem major głośno otworzył szufladę biurka, wyjął z niej papierosy i nie patrząc na nikogo zapalił.
- Jeszcze jedno — powiedział półgłosem Rafał nie spuszczać oczu z twarzy Marka. — Powiedz mi, czy do negatywów, które były przekazywane w tamtym schowku, nie dołączaliście żadnych dodatkowych informacji?
- Jakich informacji? — zapytał pochmurnie Marek.
- No, na przykład nazwisk i adresów tych dziewczyn. Tamten długo teraz milczał, aż wreszcie kiwnął głową.
- Dołączaliśmy.
- A po co?
- Nie wiem. Tamten facet zażądał tego od razu w pierwszej korespondencji.
- A nie baliście się, że w razie wpadki takie informacje mogą być dla was niebezpieczne?
- W razie wpadki nie było dla nas ratunku. Wszyscy wiedzieli, że bywam w domu pani doktor. A po mnie bardzo szybko doszliby do reszty. Tak, że nam to było raczej obojętne.
- A nie zastanawialiście się, po co człowiekowi w Hamburgu adresy dziewczyn w naszym mieście?
- Cholera wie. Może on im także chciał coś płacić? Albo przysłać zaproszenie, jak któraś się specjalnie spodoba? Nas w gruncie rzeczy interesowało tylko nasze konto. Urwał i dodał głucho:
- A Hartman i Luluś już go nigdy nie zobaczą...
- Dziękuję — powiedział Rafał. Ześliznął się z biurka i ze smutkiem rozłożył ręce.
- Ja, panie majorze, wiem już wszystko.
- Ja także — powiedział major.
- Czy pan mu to powie?

— Jeszcze nie wiem.

Przeszedł się parę razy po gabinecie, gładząc w zamyśleniu swoją karakułową czuprynę.

— Przepraszam — szepnął Marek i do połowy uniósł się z krzesła. — Ja przez cały czas mówiłem prawdę. Jeżeli coś jest niejasno...

— Wszystko jest jasne — mruknął major. — Z wyjątkiem motywów.

Otworzyły się drzwi, wszedł Jasło z filiżanką kawy i postawił ją na biurku przed Markiem.

— Jeśli chodzi o Elżbietę — zaterkotał nerwowo Marek — to może na początku działałem z wyrachowania. Ale potem ją pokochałem! I ona też mnie kochała! Zawsze myślałem, że zabiorę ją ze sobą na Zachód. Chciałem tylko, żeby najpierw skończyła studia. Ale nigdy nikogo nie zabiłem!

— Pij i siedź cicho — sapnął major. — Ja się jeszcze nie namyśliłem.

— Czy mam przejąć dalsze przesłuchanie? — zapytał słuźbiście Jasło.

— Ty też siedź cicho — powiedział major. — W ogóle wszyscy siedźcie cicho, póki ja się pierwszy nie odezwę.

Zapadło milczenie, skrzypiała tylko podłoga pod butami majora i cichutko dzwoniła łyżeczka do kawy.

Potem na biurku zabrzączał telefon.

Major wziął słuchawkę, burknął swoje nazwisko i stopień, ściągnął brwi, odwrócił się tyłem do pozostałych, parę razy mruknął „tak, rozumiem”, wreszcie powiedział „zaraz będę” i powoli odłożył słuchawkę na widelki.

Potem obejrzał się na porucznika i powiedział:

— Bierz redaktora i walcie na salę projekcyjną. Gówniarza też weźcie ze sobą, będzie potrzebny. Ja idę do pułkownika i przyjdę razem z nim. To może trochę potrwać, ale na to nie ma rady. Chciałbym, żeby redaktor cierpliwie wytrzymał do końca.

— Czy pan się spodziewa, że koniec nastąpi jeszcze tej nocy? — zapytał ze znużeniem Rafał.

Tamten popatrzył nań ze smutkiem i mruknął:

— Nie wiem. Ale są nowe rewelacje. Idźcie.

W tym samym momencie Barbara wchodziła do czerwonego gmachu kliniki Akademii Medycznej. Portier znał ją z częstych konsultacji, więc zawołał z szacunkiem: „Dobry wieczór, pani doktor!” i sam ściągnął jej windę.

Pojechała na internę i spokojnym krokiem weszła do pokoju lekarza dyżurnego.

— Nie mogę, Baśka — powiedział, gdy wyluszczyła mu, o co chodzi. — Wierz, że nie mogę. Gdyby to wylazło, musiałbym się pożegnać z kliniką. A mnie wcale nie marzy się kurna chata.

Miał trzydzieści sześć lat, krępą figurę i duże worki pod oczyma; poza tym brzydką żonę w przychodni rejonowej, dwóch synów w ogólniaku i podstarzałego „Trabanta”, któremu już dawno trzeba było wymienić wał korbowy, tylko ciągle nie było za co.

— Oświadczyli mi wyraźnie, że nikogo poza personelem, więc rozumiesz.

— Rozumiem.

Zrzuciła futro i została w szpitalnym fartuchu

— Dasz mi swój stetoskop i zaprowadzisz pod jej drzwi. Nie wierzę, żeby ten milicjant znał na pamięć cały personel kliniki.

Dalej patrzył na nią w opornym milczeniu.

Wtedy powiedziała:

— Może już nie pamiętasz, ale twój młodszy leżał u mnie półtora roku. A teraz skacze po drzewach jak małpa.

Korytarz był słabo oświetlony. Milicjant, którego posadzono naprzeciw separarek, przeglądał ze znudzeniem wymiętego „Sportowca”. Kiedy podeszli, obrzucił ich obojętnym spojrzeniem i bez pośpiechu powrócił do przerwanej lektury.

— Od ósmej — powiedział lekarz dyżurny — zaprzestaliśmy podawania jej środków pobudzających akcie serca. Ma silny organizm i w tej chwili potrzeba jej tylko spokoju. Natomiast dobrze byłoby wyrwać ją z izolacji psychicznej. Jeżeli coś wskórasz, to wpadnij do dyżurki.

Odszedł nienaturalnie swobodnym krokiem, a ona niedbale

otworzyła drzwi i nie oglądając się na milicjanta weszła do środka.

W pierwszym pokoju panował półmrok. Nocna lampka przykryta była arkuszem gazy. W przyćmionym świetle majaczyła twarz uspionej dziewczyny o pięknych, połyskujących włosach, rozrzuconych na poduszce.

W drugim było jaśniej, widocznie Elżbieta nie chciała leżeć w półmroku. Zrzucona z lampki gaza bielą na dywaniku przed łóżkiem. Za oknem słychać było dalekie tramwaje; czasem też odzywała się niewyraźna syrena jakiegoś statku, manewrującego w porcie.

— Córeńko — szepnęła, zamykając starannie drzwi.

Trwało chwilę, zanim Elżbieta przeniosła na nią wzrok.

Oczy miała podkrążone i bardzo smutne. Dopiero po paru sekundach zdobyła się na błądy uśmiech.

Barbara szybko klękła przy niej i ze łzami w oczach zaczęła ją całować.

— Moja mała — szeptała drżącymi wargami. — Moja biedna malutka...

— Mamusiu — odezwała się cicho Elżbieta.

— Nic, nic! — przerwała jej Barbara. — Potem... Powiedz mi tylko, jak się czujesz.

— Lepiej. Właściwie całkiem dobrze... Tylko potwornie mi głupio. Także wobec ciebie...

— To wszystko potem — zaszeptała z pośpiechem Barbara.

Ściągnęła jej kocyk z piersi i starannie osłuchiwała serce. Pracowało miarowo, bez szmerów i zakłóceń.

— Zawrotów głowy nie masz?

— Nie.

— A czy miałabyś siłę wstać?

— Wstać?

— Wstać i przejść niewielki kawałek.

— Ale po co?

— Spróbuj.

Podłożyła jej dłoń pod plecy i pomogła usiąść. Elżbieta spochmurniała, ale bez sprzeciwu podniosła się z łóżka.

— No, zrób parę kroków — nalegała Barbara. — Tam i z powrotem. Bardzo cię proszę! No, chodzisz prawie normalnie. Właściwie zupełnie normalnie. Jak myślisz, dałabyś radę przejść do rogu najbliższej ulicy?

— Mamusiu — szepnęła głucho. — Co to za nowy pomysł?

— Musisz wyjść na dziesięć minut — powiedziała Barbara, ściągając gorączkowo fartuch. Wypadły spod niego dwie wielkie klisze rentgenowskie. Elżbieta podniosła jedną i odruchowo obróciła pod światło.

— To moje? — zapytała nieufnie.

— Nie, nie, nieważne!... Musisz wyjść i zamienić z nim dosłownie kilka zdań. Ja nawet dobrze nie wiem, o co chodzi; było tak mało czasu! Coś musicie uzgodnić, rozumiesz? Żeby uniknąć niepotrzebnych kłopotów! On ci zresztą sam powie. Jesteśmy tego samego wzrostu, mamy podobne włosy, powinno się udać: tylko przeczesz się trochę inaczej.

Zrzuciła resztę garderoby i nerwowo owinęła się szpitalnym płaszczem.

— No, na co czekasz? Ubieraj się!

Elżbieta jeszcze chwilę stała bez ruchu, potem schyliła się i wzięła z krzesła sweter matki.

— Błagam cię, szybciej! — jęknęła Barbara. — Przecież tu chodzi o ciebie!

— Nie wiem — szepnęła niepewnie Elżbieta. — Ale masz rację, on mi zawsze dobrze radził — i już zupełnie innym, rzeczowym głosem zapytała: — Jak jest na dworze? Nie zmarzną bez płaszcza?

— Nie — powiedziała Barbara. — Zresztą to tylko kawałek.

Milicjant dalej uczył się swojego „Sportowca” na pamięć. Usłyszał szelest otwieranych drzwi, podniósł oczy, zobaczył biały fartuch, stetoskop i dwie czarne klisze, uniesione zawodowym ruchem pod światło; spoza tych klisz nie było widać twarzy. Ale nie zwrócił na to uwagi. Sennie wrócił do lektury i nawet nie obejrzał się za odchodzącą sylwetką.

Na ulicy było wilgotno, ciągnął lekki wiatr, szeleściły zwiędłe

liście. Szła szybko przed siebie, zaciągając fartuch pod szyją i rozglądając się uważnie dokoła.

Parę metrów za rogiem zobaczyła czarny samochód bez świateł, zaparkowany dwoma kołami na chodniku. Zawałała się; wtedy niewidoczny kierowca włączył na moment reflektory i mrugnął ku niej oślepiającym blaskiem.

Na sali projekcyjnej było kilkunastu oficerów równego stopnia, w tym także kilka kobiet. Rafał siedział obok Marka i Jasły, tuż za plecami majora Szeligi i szczupłego pułkownika o młodzieńczej sylwetce i zupełnie siwych włosach.

Z projektora szły teraz kolejne akty jednej i tej samej kobiety w rozmaitych pozach.

— To ty robiłeś te zdjęcia? — zapytał major, nie odwracając się do Marka.

— Ja — odpowiedział cicho Marek.

— Kiedy to było?

— No, gdzieś tak we wrześniu ubiegłego roku.

— Pamiętasz, jak się nazywała?

— Chyba Zuza.

— A nazwisko?

— Nazwiska nie pamiętam.

— Poznałbyś ją na innych zdjęciach?

— Myślę, że tak.

— No, to uważaj.

Na ekranie zaczęły się teraz pojawiać duże powiększenia niezdarnych, amatorskich fotografii. Ziarno było grube, ekspozycja na ogół wadliwa; mimo to na każdej można było z łatwością rozpoznać tę samą młodą kobietę o ciemnych włosach i ładnym, dużym biuście. Na pracach Marka wyglądała tajemniczo i posągowo; w rzeczywistości musiała być wesołą figlarką, która lubiła się fotografować z psami i kotami; prawie na każdym zdjęciu miała inną minę i inne uczesanie; tylko sukienek nie zmieniała tak często — widocznie jej możliwości były pod tym względem bardziej ograniczone.

— To ta sama? — zapytał major.

— Ta sama — przytaknął Marek.

— Jesteś pewien?

— Bez dwóch zdań.

— Kapitanie, proszę nam podać personalia tej osoby
Suchy kapitan w okularach, który siedział przy pulpicie obok
małej, kierunkowo ustawionej lampki, odczytał z rozłożonych
akt:

— Zuzanna Osadczyk, urodzona 14.10.1953, niezamężna, z
zawodu introligator, ostatnie miejsce zatrudnienia
Drukarnia Dziełowa przy Anczyca 5.

— Dajcie następną — powiedział głośniej major.

Przez ekran przewinęło się teraz kilka aktów i garść
zdjęć prywatnych czarnej, bardzo szczupłej i niezwykle
długonogiej dziewczyny, która nie mogła mieć więcej niż
siedemnaście lat. Jej życie domowe musiało być dosyć smutne,
bo najczęściej fotografowała się albo z małym chłopcem po
Heine-Medina, pewnie jej bratem, albo z bardzo wiekową
starsuszką, którą trzeba było podtrzymywać przed kamerą, żeby
nie upadła.

Major, wciąż nie odwracając się, zadał Markowi kolejną
porcję stereotypowych pytań, na które ten znowu
odpowiedział twierdząco.

Potem na moment zapadła cisza i w tej ciszy major bardzo
obojętnym głosem zapytał:

— Była dziewczicą?

Marek zawahał się i dopiero po paru sekundach odpowiedział:

— No, kiedy przyszła pierwszy raz...

— Personalia! — przerwał mu szorstko major.

Kapitan w okularach pochylił się nad aktami i bezbarwnym
głosem przeczytał:

— Marianna Łysogórska, urodzona 31.12.1957. uczennica
III klasy Liceum Ogólnokształcącego imienia Narcyzy
Żmichowskiej, dwukrotna laureatka Olimpiady
Matematycznej, przewodnicząca szkolnego koła PCK.

— Następną! — krzyknął zduszonym głosem major.

Po wyświetleniu piątej serii materiałów porównawczych
na sali zapłonęła mleczna lampa. Major wstał i
odwróciwszy się twarzą do zebranych powiedział z wi-
docznym wysiłkiem:

— Jak koledzy słyszeli, zatrzymany Marek Chlebowski potwierdził, że każda z pokazanych tu osób była jego bardziej czy mniej dobrowolną klientką. Wobec tego chciałbym go zapytać: czy wszystkim tym osobom wykonano następnie zdjęcia pornograficzne?

— No, cóż... — zakręcił się na krześle Marek. — W gruncie rzeczy...

— Tak czy nie?

— Tak.

— I jeszcze jedno pytanie: czy zatrzymany Chlebowski wie, dlaczego pokazano mu akurat te, a nie inne spośród jego klientek; bo przecież było ich znacznie więcej.

— No, więcej — przyświadczył zgodliwie Marek.

— Ile?

— Słowo daję, że nie wiem.

— Odpowiedzcie na pytanie: dlaczego wybraliśmy właśnie tę piątkę?

— Nie mam pojęcia.

— To ja wam powiem — wyrzęził wściekle major. — Bo każda z tych dziewczyn mniej więcej w półtora do dwóch miesięcy po zmuszeniu jej do udziału w waszych zdjęciach została u nas zgłoszona jako osoba, która zaginęła bez wieści. Każda z nich, rozumiesz? Każda pewnego dnia oświadczała, że musi na krótko wyjechać; czasem była to fikcyjna wycieczka 'szkolna, czasem wyjazd do nie istniejącej koleżanki, ale żadna nie wróciła potem do domu. I więcej już nikt ich nie widział. W dwóch wypadkach udało nam się ustalić, że wykupiły bilety do którejś z małych stacyjek na Pojezierzu; ale na tym ślad się urywał. Do dziś nie wiemy, co się z nimi stało.

— Ale ja... — zachłysnął się Marek. — Panie majorze, co ja z tym?... Ja nie miałem zielonego pojęcia!

Dopiero teraz młody pułkownik o włosach starca odwrócił się powoli ku niemu i łagodnie powiedział:

— Proszę was, żebyście odpowiadali tylko na pytania — i wyczekawszy chwilę, dodał: — Dobrze?

— Oczywiście, panie pułkowniku — szepnęła Marek.

— No więc właśnie — kiwnął głową pułkownik i z powrotem odwrócił się w stronę majora.

Ten jeszcze przez parę sekund stał w milczeniu, czerwony, jakby zaraz miała go porazić apopleksja, a potem zmitygowawszy się, powiedział bardziej naturalnym głosem:

— Nie wiemy, czemu wybór padł właśnie na nie. Inne klientki albo może inne ofiary firmy Hartman-Waśkowiak-Chlebowski żyją do dzisiaj w naszym mieście. Żyją, uczą się, pracują i pewnie próbują zapomnieć o tym, co je spotkało. Myślę, że prędzej czy później zapomną. Ale jedna z nich także wykupiła bilet na Pojezierze.

Obejrzał się na trzech cywilnych mężczyzn, siedzących trochę z boku i kiwnął im głową.

Podeszli i stanęli w szeregu przed ekranem.

— Stań między nimi — powiedział major do Marka.

Marek posłusznie wstał i ustawił się w luce między drugim i trzecim.

Wtedy major skinął ku drzwiom.

— Wprowadzić.

Na salę weszła teraz zmieszana brunetka w białym golfie. Przez chwilę wahała się, potem podeszła do majora i zagryzając wargi stanęła obok niego.

— Proszę spojrzeć — powiedział. — Czy widziała pani kiedyś kogoś z tych ludzi?

Pokazał jej nieruchomą czwórkę pod ekranem.

— Tak — odpowiedziała. — Tego.

I wyciągnęła dłoń w stronę Marka.

— W jakich okolicznościach go pani poznała?

— Robił mi zdjęcia u siebie, na stryszku.

— A potem?

Milczała. Była najładniejszą z dziewczyn, które tu dzisiaj pokazano i chyba najmłodszą. Miała cienkie chrapki, długą szyję i śliczne, bardzo nerwowe usta. Tylko jej oczu nie można było obejrzyć, bo prawie przez cały czas przykrywała je powiekami.

— Poznajesz ją? — zapytał major, obracając się do Marka.

— Poznają.

- Była u ciebie w pracowni?
- Była.
- A potem zaciągnęliście ją do Smoczej Góry?
- To Waškowiak... — szepnął Marek.
- Ale była tam?
- No, owszem.

Major wciągnął powietrze ze świstem, potem znowu opanował się i przeniósł wzrok na dziewczynę.

— Pominiemy tę przykrą historię — powiedział. — Niech pani powie, co zaszło potem.

Dziewczyna nie podniosła oczu i przez długą chwilę milczała, tylko piersi falowały jej pod białą wełną. Wreszcie szepnęła:

— W jakiś miesiąc później zatrzymał mnie na ulicy bardzo elegancki starszy pan. Poprosił mnie do bramy i wyciągnął te zdjęcia ze Smoczej Góry. To były bardzo straszne zdjęcia, naprawdę... Zwłaszcza te... — poruszyła niemo ustami i urwała.

Major przez moment czekał, a potem sam zapytał:

— A ten pan? Czy to był jeden z ludzi, którzy zawieźli panią do Smoczej Góry?

Pokręciła głową przecząco.

— Nie widziała go pani nigdy przedtem?

— Nie.

— Więc to nie był ani Hartman, ani Waškowiak, ani...

— Nie — powiedziała stanowczo. — Widziałam go wtedy pierwszy raz.

— Czy ten człowiek żądał czegoś od pani?

— Tak jest.

— A mianowicie?

— Zapytał mnie, w który z najbliższych dni będę wolna. Powiedziałam, że w żaden: Wtedy uśmiechnął się i powiedział: „Wobec tego daję pani do wyboru sobotę albo niedzielę, co pani woli?” Zapytałam, co będzie, jeżeli nie wybiorę. Wtedy on znowu uśmiechnął się i powiedział: „Prześlę to pani ojcu do Instytutu”. Ja już to znałam, proszę pana, bo w ten sam sposób rozmawiał ze mną pan Waškowiak. Powiedziałam: „Przecież

obiecaliście, że tego więcej nie będzie”. Na to on uśmiechnął się trzeci raz i powiedział: „To nie ja obiecywałem, proszę pani. I niech mnie pani z nimi nigdy nie łączy. To są małe pluskwy, których trzeba się brzydzić”. Wtedy ja zapytałam: „Jeżeli tak, to czego pan chce ode mnie?” „Niczego specjalnego” odpowiedział. „Spotkamy się daleko za miastem i pogadamy; w każdym razie obiecuję, że obejdzie się bez zdjęć”. Bardzo bałam się ojca, więc powiedziałam, że jeżeli to nie zajmie wiele czasu, to mogę wyskoczyć w niedzielę po południu. Na to on powiedział: „Bardzo proszę. Wykupi pani bilet na pociąg o szesnastej trzydzieści, dojedzie pani do Kościerzanki i wysiądzie. A ja już tam będę czekał”.

— No i co? — zapytał major.

— Nic — wzruszyła ramionami dziewczyna. — Przesiedziałam na tej stacji kilka godzin i ostatnim pociągiem wróciłam do miasta.

— A on się nie zjawił?

— Nie.

— Nie domyśla się pani, dlaczego?

— W żaden sposób.

— A kiedy ten fakt miał miejsce?

— Trzy dni temu.

Major obrócił się w stronę siwego pułkownika i mruknął:

— Była to ta niedziela, kiedy córka naszego redaktora zdecydowała się wkroczyć do akcji.

Pułkownik tylko w milczeniu skinął głową.

— Jeszcze jedno — powiedział major, obracając się z powrotem w stronę dziewczyny. — Pokażemy pani teraz kilka zdjęć. Jeżeli pani rozpozna tego pana, proszę zawołać „ten”. A jeżeli nie, proszę siedzieć cicho do końca. Czy pani mnie zrozumiała?

Wzdęła wargi i szepnęła:

— A co tu jest do rozumienia?

— No, to proszę odwrócić się twarzą do ekranu.

Światło znowu zgasło i na płótnie zaczęły się pojawiać twarze starszych mężczyzn, na ogół dobrze ubranych i raczej nobliwych. Jedni byli w kapeluszach, inni bez; przy czwartym

dziewczyna szepnęła:

— To ten.

Obraz zatrzymał się.

— Jest pani pewna?

— Całkowicie.

Major podszedł w półmroku do Marka i uderzył go w ramię.

— Wstań.

Marek posłusznie podniósł się z krzesła.

— Przyjrzyj się; czy znasz tego człowieka?

— Nie — odpowiedział Marek z głębokim przekonaniem.

— I nie widziałeś go nigdy w życiu?

— Nie.

Major pchnął go z powrotem na krzesło i wychyliwszy się dziobnął palcem Rafała.

— A pan?

— Oczywiście — powiedział Rafał. — To jest Hubert Stańczyk z Bolesławowa.

Cisza była teraz dłuższa niż przedtem. W końcu major przerwał ją, mruknąwszy w kierunku dziewczyny:

— Dziękuję, jest pani wolna.

— Czy można? — zapytał cicho Rafał.

Major obejrzał się najpierw na niego, a potem na siwego pułkownika. Ten tylko skinął głową.

— Proszę — powiedział major.

Rafał wstał i cichym głosem zwrócił się do dziewczyny:

— Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie.

Zgodziła się bez słowa, samym tylko ruchem głowy.

— Pani wróciła do domu w niedzielę późnym wieczorem, prawda?

Przytaknęła w milczeniu.

— Proszę nam opowiedzieć, co pani robiła w ciągu następnych trzech dni. To znaczy aż do dzisiaj, do chwili, kiedy zaproszono panią na tę projekcję.

— Nic — odpowiedziała, ciągle nie podnosząc oczu. — Byłam bardzo rozstrojona i w nocy dostałam gorączki. Przez następne dni czułam się fatalnie i mama nie wypuszczała mnie z domu.

— Rozumiem — powiedział Rafał. — Myślę, że powinna pani mamie serdecznie podziękować.

— Za co? — zapytała i po raz pierwszy podniosła powieki. Zobaczyli wielkie, czarne, opalizujące oczy, których nie można zapomnieć, jeśli zobaczyło się je chociaż raz w życiu.

— Myślę, że dzięki niej — powiedział łagodnie Rafał — uniknęła pani bardzo dużej przykrości.

— Nie rozumiem.

— Może kiedyś pan major to pani wytłumaczy.

Wzruszyła ramionami i szybko poszła ku drzwiom.

Kiedy zniknęła, major stanął na tle ekranu i powiedział;

— Może idziemy za daleko, ale nasz Wydział postanowił przedstawić tutaj serwis zdjęciowy, zgromadzony dziewięć lat temu. Nie mamy dowodów, że ta sprawa ma rzeczywiście związek z aferą Hartman-Waškowiak-Chlebowski-Stańczyk. bo tak ją teraz trzeba nazywać. Ale pewne cechy wydają nam się wspólne. Proszę się przyjrzeć dziewczynie, o którą tam chodziło: wydaje się nam, że reprezentuje identyczny typ urody z tymi pięcioma, które oglądaliśmy przed chwilą. A właściwie z sześcioma, jeżeli liczyć tę młodą osobę, która przed chwilą odpowiadała na pytania i która — jedyna! — nie znalazła się na liście zaginionych. Niektórzy ze starszych pracowników pamiętają tę sprawę; młodszym wyjaśnię, że chodzi o Anitę Berg, uczennicę czwartej klasy technikum sztuk plastycznych, córkę głośnego krawca Berga, kierownika pracowni przy Teatrze Opery i Baletu. Resztę szczegółów podam w trakcie projekcji.

Z ekranu znikła teraz surowa twarz Huberta Stańczyka; zastąpiły ją fragmenty amatorskich filmików, kręconych na kamerze ośmiomilimetrowej, prowadzonej zresztą dość sprawną ręką. Zobaczyli na nich pochmurną zwinę o przepastnych oczach, nerwową, piękną i nieufną. Wychodziła z Morza Czarnego, zakładała kask motocyklowy, grała z przystojnymi młodzieńcami w badbingtona, układała róże w wazonie, tuliła się do małego mężczyzny, który był ojcem, czekała z nartami przed kolejką na Kasprowy Wierch, czytała,

śmiała się, upinała włosy. Była samym życiem, kapryśnym i fascynującym.

— Miała wtedy siedemnaście lat — objaśnił major sztucznym, z pozoru jakby beznamietnym głosem. — I była dziewczyną dość trudną do prowadzenia. Pewnego dnia zwierzyła się swojej przyjaciółce, że poznała starszego pana, z którym jest umówiona na weekend. Rodzicom powiedziała, że jedzie z chłopcem na kajaki. Trzy tygodnie później znaleźliśmy ją w opuszczonej szopie rybackiej nad jeziorem Trusło. Wyglądała wtedy tak.

Teraz poszły materiały z archiwum. Szopa nad małą zatoczką, ludzie w gumowych rękawicach wynoszący na plandecy leżące się ciało, zbliżenie wyszczerzonych zębów, ciemne plamy na szyi i rękach.

— Sekcja wykazała — ciągnął major — że została zgwałcona. Była też torturowana. Głębokie otarcia na przegubach jej rąk dowodzą, że przez cały czas była skrępowana drutem lub cienką żyłką nylonową, której zresztą nie znaleziono. W żołądku nie ujawniono żadnych treści pokarmowych, co świadczyło, że była głodzona. Zmarła na skutek uduszenia kneblem, który przez cały ten okres albo przynajmniej przez jego część umieszczony był w jej ustach. Tym tłumaczyłby się fakt, iż żaden z turystów, przepływających w pobliżu, nie słyszał wołania o pomoc. Mimo wytężonej pracy Milicji i Prokuratury sprawcy dotychczas nie wykryto.

Ekran zgasł, zapłonęła porcelanowa lampa. Wszyscy milczeli. Marek siedział ze zwieszoną głową.

— Wstań — powiedział chrapliwym głosem major. — Jeżeli masz nam coś jeszcze do powiedzenia, to powiedz teraz; jutro liczba waszych ofiar może być jeszcze większa!

W tej chwili młody funkcjonariusz w stopniu kaprała przepchnął się przez salę i gorączkowo wyszeptał coś majorowi do ucha. Ten nachylił się ku pułkownikowi, przekazał mu cicho parę słów i obaj za moment wbili ciężkie spojrzenia w twarz Rafała.

Potem pułkownik jakby ocknął się i skinął ręką w stronę Marka.

— Wyprowadzić.

Kiedy za Markiem zamknęły się drzwi, pułkownik powiedział ściszym głosem:

— Panie redaktorze, mam dla pana nieprzyjemną wiadomość. Pańska córka zniknęła ze swojego pokoju w klinice Akademii Medycznej.

Jechali ciemną szosą, która kołysała się w świetle reflektorów i powoli wznosiła wśród zalesionych moren.

Hubert prowadził beznamietnie, Elżbieta drzemiała z głową opartą o szybę.

Przy którymś podskoku otworzyła oczy i szepnęła:

— Urządziłeś mamę.

— Wygrzebie się.

— Ale będzie miała przykrości.

Chwilę milczał, potem powiedział, nie odwracając głowy:

— No, trudno. Nie mogłem inaczej.

Wziął z piskiem ostrą serpentynę. Szybki obrót światła wyciągnął z ciemności karłowate pieńki sosen.

Ciągle jeszcze nie mogła zebrać myśli. Wreszcie zapytała:

— A tak naprawdę o co chodzi?

— Chciałem być z tobą.

— Daj spokój.

Kiwnął wspaniałą głową, która mogłaby przyozdabiać rzymskie posągi, i nie odpowiedział. Mogło to znaczyć

„żartowałem” albo „masz rację, dziecino”. A może po prostu nie znaczyło nic.

— Co to za wóz? — zapytała.

— Wynajęty.

Skąd?

— Z „Orbisu”.

— Nie chciałeś jechać swoim?

— Nie.

— Dlaczego?

— Potem ci powiem.

— Za dużo chcesz mi powiedzieć potem.

— Nie szkodzi — uśmiechnął się znad kierownicy. — Będziemy mieli o czym rozmawiać w długie zimowe wieczory.

— W jakie znowu zimowe wieczory?

— Zobaczysz.

Minęli kolejne wzniesienie i zobaczyli niedalekie światła. Była to mała stacja kolejowa, zagubiona wśród wzgórz i jezior. Hubert skręcił z szosy i podjechał pod wejście.

Znowu z wysiłkiem otworzyła senne oczy i popatrzyła na niego pytająco.

— Chodź — powiedział gasząc silnik. — Zadzwonimy.

— Do kogo? — zapytała marszcząc brwi.

— A jak myślisz? — zapytał z senatorskim uśmiechem. — Nie wypada, żeby tam wszyscy umierali ze strachu. Zamienimy parę słów z twoim ojcem.

— Z ojcem — powtórzyła i bezmyślnie poprawiła włosy. — Z ojcem. No, nie wiem, czy to będzie szczyt taktu.

— Z kimś musimy zamienić. A ja nie mam lepszego pomysłu.

Weszli do małego budynku, gdzie pachniało kurzem i terpentyną.

Zawiaadowca drzemał w swoim biurze nad rozłożoną krzyżówką. Kiedy otworzyli drzwi, przywitał ich łagodnym mruganiem zaczerwienionych oczu.

— Proszę nam wybaczyć — powiedział Stańczyk. — Ale chcielibyśmy skorzystać z telefonu.

— W zasadzie — mruknął niepewnym głosem zawiaadowca — telefon jest tylko do rozmów służbowych.

— Niech pan będzie lak dobry — uśmiechnął się Stańczyk i położył przed nim złożony poczwornie banknot pięćdziesięciozłotowy.

— No, no — powiedział dobrodusznie tamten i przysunął bliżej aparat. — Jaki numer?

Stańczyk obejrzał się na Elżbietę. Ta oblizwała dolną wargę i szepnęła: — 83310.

Kiedy zadzwonił telefon, Agata już spała, skulona we czworo na fotelu, szara i wymięta.

— Rafał? — zapytała odruchowo, podnosząc słuchawkę. Przez chwilę trwała w niej cisza, potem obcy, ale skądś tam znany jej głos zapytał:

— A pana Kostronia nie ma w domu?

— Nie — odpowiedziała, szukając w pamięci, do kogo mógł należeć ten głos: ostry, władczy i w gruncie rzeczy nieprzyjemny. Ale na razie nie znalazła. Tymczasem głos w słuchawce ciągnął z pogardliwą uprzejmością:

— Jeżeli się nie mylę, mam przyjemność rozmawiać z panią Wołyniec.

— Tak, słucham — potwierdziła i nagle przypomniała sobie wszystko: porwanie Jolki, nie dokończony telefon z nad Strugi, noc z Rafałem w hotelu „Imperial”. Oprzytomniała w mgnieniu oka i czujnym głosem zapytała: — Czy mam coś przekazać?

— Owszem — odpowiedział człowiek w słuchawce. — Mówi Hubert Stańczyk. Pan Kostron będzie wiedział, o kogo chodzi; a może pani także?

Nie odpowiedziała, a on po chwili podjął przerwany wątek, nie wracając do swego poprzedniego pytania:

— Mam prośbę: niech pani możliwie szybko powiadomi pana redaktora, że dzwoniłem. I że jestem w bezpiecznym miejscu razem z jego córką. Jeżeli pani pozwoli, chciałbym na chwilę oddać jej słuchawkę.

Przez chwilę w słuchawce słychać było zmieszane szepty; potem rozległ się dźwięczny, trochę tylko niespokojny głos:

— Pani Agata? Tu Elżbieta. Pani mnie poznaje?

— Oczywiście.

— Wiem, że to wszystko wyszło trochę głupio... Ale niech pani zawiadomi mamę, że wszystko w porządku.

— Czy mam jej powiedzieć tylko tyle?

Elżbieta przez chwilę milczała, potem szepnęła:

— Nie wiem. Ale dla niej będzie najważniejsze, że chwilowo nic mi nie grozi.

— Nie jestem pewna, czy to dla niej będzie najważniejsze

— powiedziała szorstko Agata. — Ale możliwe, że tak. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

Znowu przez chwilę trwały szepty, potem Ela powiedziała bardzo cicho:

— Nie. Niech jej pani na razie powie tylko tyle, że jestem zdrowa i nie mam zawrotów głowy. I że bardzo ją za wszystko przepraszam.

— Zwariowałaś? — krzyknęła Agata. — Elżbieta, słyszysz mnie? Odezwij się!

— To właściwie byłoby wszystko — zabrzmiał znowu męski głos w słuchawce. — Zresztą ja jeszcze zadzwonię: byłbym wdzięczny, gdyby pani chwilowo nie opuszczała mieszkania. Mielibyśmy trudności z następnym kontaktem. Niech pani zrobi sobie kawy, ewentualnie wychyli kieliszek alkoholu i grzecznie czeka na mój telefon. Wtedy powiem więcej.

Usłyszała szcęk odkładanej słuchawki i niemal natychmiast uderzyła w widełki.

Minęło kilka minut, zanim odezwał się sygnał.

Nakręciła numer międzymiastowej i zwijała się z niecierpliwości, zanim ktoś tam wreszcie podniósł słuchawkę.

— Mój numer 83310! — krzyknęła. — Przed chwilą miałam telefon zamiejscowy! Muszę niezwłocznie ustalić, skąd był zamówiony! Czy pani mogłaby...

— ‘Proszę dzwonić na reklamację 902 — odpowiedział jej zdawkowy głos i połączenie zostało przerwane.

Znowu chwilę czekała na sygnał. Wreszcie się odezwał. Drżącymi z napięcia palcami nakręciła numer reklamacji. Był zajęty. Spróbowała po paru sekundach: to samo. Chwyliła książkę telefoniczną i trzęsąc się ze zdenerwowania odnalazła Miejską Komendę MO. Niestety, poza Biurem Dowodów Osobistych były tam tylko niezliczone numery centrali.

Wykręciła pierwszy z brzegu i kiedy usłyszała sympatyczny, kobiecy głos, zawołała:

— Proszę pani, jestem dziennikarką z Radia, moje nazwisko Wołyniec; muszę natychmiast skontaktować się z moim mężem, który przebywa u was w gmachu!

— Zaraz poszukam — odpowiedziała uczynnie telefonistka.

— Pan Wołyniec, prawda?

- Nie, nie Wołyniec, Kostron! — zawołała szybko Agata. Tamta zastanowiła się przez chwilę i zapytała ostrożnie:
- Ale dzwoni pani Wołyniec?
- Tak jest!
- A szuka pani pana Kostronia?
- Przecież mówię!
- Dobrze — powiedziała jeszcze ostrożniej telefonistka. — Pani Wołyniec szuka swego męża, pana Kostronia, tak? W jakim wydziale?
- No, przecież ja nie wiem! — krzyknęła Agata. — Diabli wiedzą, jakie tam macie wydziały! On tam musi być, rozumie pani? Może u komendanta?
- U komendanta? — powtórzyła nieufnie telefonistka.
- No, ja nie wiem!
- To wie pani co, ja panią połączę z oficerem dyżurnym. Zachrobotało i po chwili odezwał się odczłowieczony głos:
- Oficer dyżurny, słucham.
- Tu redaktor Agata Wołyniec. Muszę natychmiast...
- Chwileczkę — przerwał jej dyżurny. Odłożył słuchawkę i zaczął odbierać następny telefon.
- Uderzyła w widelki, ale to nie pomogło; była dalej połączona z Komendą i nie mogła się z nią rozłączyć. Po chwili znowu zgłosił się dyżurny.
- Pani Wołyniec — powiedział. — Słucham.
- Muszę natychmiast porozumieć się z mężem.
- Mąż pracuje u nas?
- Nie, ale został tam wezwany.
- Przez kogo?
- No, nie wiem. Chyba przez porucznika Jasłę!
- Chwilę — odpowiedział dyżurny i zaczął coś sprawdzać. — Porucznika Jasły nie ma w Komendzie. Czy coś przekazać?
- Niech pan słucha! — krzyknęła. — Tu chodzi o sprawę tego zabójstwa dzisiaj rano!
- Jakiego zabójstwa? — zapytał tamten czujnie.
- No, no, tego... Ja nie wiem.
- Niech pani sobie przypomni!

- No, nie mogę!
- Nie pamięta pani nazwiska?
- No, widzi pan, taka jestem zdenerwowana!
- Pani numer?

Podawała.

Widocznie zapisał, bo powiedział przyjaźnie:

- Niech pani się uspokoi, zadzwonię do pani za chwilę.
- Nacisnęła widełki i znowu nakręciła numer reklamacji.

Tym razem jej się udało. Podstarzały kobiecie głos powiedział:

- Słucham?
- Mój numer 83310! — krzyknęła histerycznie. — Przed paru minutami miałam telefon zamiejskowy. Muszę natychmiast sprawdzić, skąd był zamówiony!
- Czy to była rozmowa „R”?
- Dlaczego „R”?
- Rozmowa „R” odbywa się na pani rachunek. Jeżeli została zamówiona bez pani zgody... Albo jeśli telefonistka nie upewniła się, czy pani zgadza się na połączenie, No oczywiście nie ma mowy o obciążeniu pani kosztami.
- Ach, nie! — krzyknęła Agata. — Tu nie chodzi o pieniądze! Sprawa jest naprawdę bardzo poważna i gdyby pani mogła...

- Kiedy to było?

Agata obejrzała -się na budzik i powiedziała:

- No, jakieś dziesięć minut temu!
- Szkoda, że pani nie zadzwoniła od razu...
- Ale pani numer był zajęty!
- No, my rzeczywiście mamy sporo roboty. Proszę zaczekać, za chwilę oddzwonię.

Odłożyła słuchawkę, a Agata rozpaczliwie sięgnęła po papierosy.

Po paru minutach zgłosił się dyżurny z Komendy Miejskiej.

- Pani Wołyniec? — zapytał.
- Tak, to ja.
- Pani dzwoniła przed chwilą?
- Rany boskie! — krzyknęła. — Czy pan wreszcie znalazł mojego męża?

— Pani męża? — powtórzył. — Przez cały czas szukałem pana Kostronia. Jeżeli to nie ten...

— Ale ten, ten!

— Był przed chwilą w klinice Akademii Medycznej, ale już do nas jedzie. Gdyby pani zechciała zadzwonić za chwilę...

— Za ile?

— No, powiedzmy za kwadrans. Myślę, że będzie pod wewnętrznym 313. Ale jeżeli grozi pani jakieś niebezpieczeństwo...

— Rany boskie, nie mi nie grozi! Chcę tylko najszybciej porozumieć się z mężem.

— No, bo mógłbym pani przysłać radiowóz z Pogotowia...

— Nie potrzeba mi żadnego radiowozu!

— W razie czego proszę zadzwonić jeszcze raz. A jeśli chodzi o redaktora Kostronia, to będzie za kwadrans.

Rozłączyli się i Agata, zaciskając ręce, zaczęła biegać po pokoju. W dziesięć sekund później zadzwoniła starsza pani z reklamacji. Głos miała skupiony i pełen ukrytego żalu.

— Miałam rację — powiedziała. — Gdyby pani odezwała się wcześniej, wszystko można by ustalić bez kłopotu. Niestety, nasze pracownice są przeciążone. Mogę pani podać tylko wszystkie połączenia zamiejscowe, jakie doszły do skutku w trakcie ostatniej pół godziny. Jest ich pięćdziesiąt, ale podam je bez rozbicia. A więc: Bydgoszcz, Olsztyn, Zielona Góra...

— Niech pani przestanie — wrzasnęła Agata. — Jeżeli nie możecie podać konkretnych numerów...

— Nasze telefonistki toną w pracy — odpowiedział życzliwy głos po drugiej stronie. — Nie są w stanie spałmętać. Ale myślę, że analiza tych pięćdziesięciu numerów...

— Proszę je zatrzymać! — oświadczyła stanowczo Agata.

— Za chwilę zgłosi się do pani Komenda Miejska MO. Poda im pani wszystko po kolei!

— A fe! — powiedziała starsza pani z reklamacji. — Ja pani idę na rękę, jak mogę, a pani mnie straszy... To bardzo po polsku, ale też bardzo nieładnie. Dobranoc.

Rozłączyła się, a Agata padła bezwładnie na tapczan.

W chwilę potem zadzwonił Rafał.

— Kochanie — szepnęła bez tchu. — Nie wiem, co to znaczy, ale niedawno dzwonił pan Stańczyk. Rozmawiałam z nim i z twoją córką. Twierdzą, że są bezpieczni. Czy wszystko jest w porządku?

— Nie bardzo — odpowiedział Rafał. — Spróbuj sobie przypomnieć, skąd dzwonili.

— Nie wiem! — krzyknęła Agata. — Staralam się to ustalić przez międzymiastową, ale nie wyszło! Wracaj natychmiast do domu, bo on zapowiedział, że jeszcze zadzwoni!

— Agata — powiedział cicho Rafał. — Uspokój się i nie odchodź ani na chwilę od telefonu! Gdyby Stańczyk się odezwał, dzwoń natychmiast na Komendę pod wewnętrzny 313. Ja na razie nie mogę przyjechać.

— Dlaczego?

— No, nie mogę, powiem ci później. W każdym razie siedź kamieniem przy telefonie!

— Dobrze — powiedziała ustępliwie. — Ale co to wszystko znaczy?

— Powiem ci także trochę później.

Rozłączył się, a ona poszła prosto do lodówki i naląła sobie pełną szklankę żytniej z cytryną z pękatej butelki po „Napoleonie”. Nic w niej już nie zostało, więc postawiła ją pod drzwiami, aby wynieść rano do zsypu i położyła się na wznak na tapczanie.

Przez chwilę sufit wirował nad nią jak karuzela. Potem usłyszała dzwonek telefonu i ociężale zwlekła się z tapczanu. Myślała, że to Rafał albo tamten; ale to była żona Rafała.

— Przepraszam — powiedziała nieswoim głosem. — Ale wiem od męża, że Hubert dzwonił do pani.

— Jaki Hubert? — zapytała odruchowo Agata.

— Niech pani nie udaje.

Agata potarła czoło i szepnęła:

— No, dzwonił.

— Niech mi pani dokładnie poda, co powiedział.

— Nie potrafię. Jestem tak śmiertelnie zmęczona...

— Pani musi! — powiedziała z naciskiem Barbara. — Rozumie pani? On jest z Elżbietą?

Zawahała się i szepnęła:

— Zdaje się, że próbuje jej pomóc...

— Pomóc — powtórzyła Barbara i w słuchawce rozległo się coś podobnego do śmiechu. Albo do płaczu. Agata spuściła głowę i nie skwitowała tego żadnym słowem.

— Podobno pani nie wie, gdzie oni są — podjęła znowu Barbara.

— Nie wiem.

— Kazali pani tak mówić, czy pani sama?...

— Naprawdę nie wiem, pani doktor...

— Niech pani do mnie nie mówi pani doktor!

— A jak?

— Wszystko jedno! Możesz mi mówić po imieniu...

— Przepraszam — powiedziała cicho Agata. — Ale nie chcę.

— W porządku. Rozmawiała pani z moją córką?

— Tak.

— Co mówiła?

— Żeby panią przeprosić.

— Za co?

— Nie wiem.

— Jak ona się czuje?

— Chyba dobrze.

— Mam przez nią duże kłopoty — powiedziała z nagłym znużeniem Barbara. — Czy ona o tym wie?

— Myślę, że wie.

— Zdaje się, że nigdy więcej nie pojedę do Szwajcarii...

— To przykre.

— Niech pani da spokój... Czy on kazał mi coś przekazać?

— To była bardzo krótka rozmowa...

— Rozumiem. No, to byłoby wszystko... Pani mnie jeszcze słucha?

— Oczywiście.

— On jest od niej starszy trzydzieści siedem lat. Czy to ma jakiś sens?

— Pani Barbaro — szepnęła najcieplej, jak umiała, Agata — niech pani się położy. Wszyscy dostaliśmy dzisiaj taką szkołę...

— W porządku — przerwała jej Barbara. — Gdyby zadzwonił jeszcze raz, proszę, się łaskawie odezwać. Jestem w domu.

— Oczywiście — powiedziała znowu Agata.

— No, to dziękuję.

W słuchawce rozległ się szczęk i połączenie ustało. Zaraz potem odezwał się dzwonek.

— To jeszcze ja — powiedziała agresywnie Barbara. — Pomyślałam, że byłoby bez sensu, gdyby pani do mnie dzwoniła. Wprawdzie jutro nie idę do szpitala, ale i tak muszę wcześniej wstać. Tak że niech mnie pani nie budzi. Mam do załatwienia mnóstwo zaległej korespondencji.

— Dobrze, pani Barbaro — powiedziała Agata. — Zresztą on zna pani numer, prawda?

— To nie ma znaczenia, bo ja i tak wyłączę telefon.

Agata w milczeniu pokiwała głową i bardzo wolno odłożyła słuchawkę. W parę sekund później odezwał się Rafał.

— Już wiemy, skąd dzwonił — powiedział szybkim, jakby zdyszonym głosem. — Ale to niewiele daje, bo połączył się z przypadkowego aparatu po drodze. A teraz słuchaj: jeżeli masz rozłożony tapczan, to go sprzątnij. Za chwilę będziemy u ciebie.

— Dobrze — powiedziała. — Będę czekać.

Przeskoczyli niskie siodło, ściśnięte między dwoma płytkimi wzgórzami i zaczęli opadać w dół, ku ciemnej tafli wody, połyskującej w kusym świetle księżycy.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Hubert.

W blasku reflektorów pojawił się leśny domek, drewniany, na podmurówce. Dookoła nie było innych zabudowań: dopiero w oddali, za jeziorem majaczyły mętne światła. Może był tam jakiś zakładzik przemysłowy, a może mieszkańcom po prostu nie chciało się spać.

Zatrzymał wóz i przechyliwszy się nad Elżbietą otworzył drzwi z jej strony.

— Wysiadaj.

Wysunęła się niepewnie i od razu poczuła chłód.

— Zimno tutaj.

— Chwileczkę.

Wyjął z bagażnika lotniczą torbę, napchaną po brzegi, i wyszukawszy w kieszeni na piersiach pęczek kluczy wbiegł po czterech drewnianych schodkach na ganek przed drzwiami.

Usłyszała zgrzyt kilku kolejnych zamków i nieufnie zapytała:

— To twoje?

— Tak jakby — powiedział. — Coś w rodzaju wieczystej dzierżawy. Ale nie na moje nazwisko.

Zmarszczyła się i mruknęła:

— Nigdy się nie chwaliłeś, że masz stałą metę w plenerze.

— A po co? — zapytał z uśmiechem. — Żebyś mi tu nasłała swoją mamę?

Zmrużyła oczy i powiedziała:

— Nie mów tak o niej: nie lubię. Jej na tobie naprawdę zależy.

— Niestety.

Otworzył drzwi, wsunął się do środka i trzasnął włącznikiem. Białe światło zalało ganek przed drzwiami.

— Chodź — powiedział i zapalił lampę w środku.

Jeszcze przez chwilę stała bez ruchu na wietrze. Potem pokonała cztery drewniane schodki i znalazła się w dużej izbie, która była czymś pośrednim pomiędzy skansenem i salonem: rzeźbione zydle i stereo, stół na krzyżakach i barek z napojami, galeria naiwnych świątków i kolorowy telewizor z NRD.

— Niezła filia — mruknęła. — I co dalej?

— Rozgość się. Spędzisz tu co najmniej kilka godzin. Gin z tonikiem czy „Cuba Libre”? Ale wszystko ciepłe, bo lodówkę dopiero muszę włączyć.

— Nie — pokręciła głową. — Może nie pamiętasz, ale godzinę temu wyszłam ze szpitala.

— No to siadaj. Zaraz zrobimy sobie mocnej, brazylijskiej kawy. To ci na pewno nie zaszkodzi.

Wyszedł do kuchni, a ona objęła dłońmi zmarznięte ramiona i w zamyśleniu zaczęła się rozglądać dokoła.

W dwadzieścia minut później wszystko już było na stole: kawa w węgierskiej maszynce, angielskie biskwity, wysypane z pomarańczowej blaszanki z napisem „Gaytime Assortment”, słone orzeszki, egipska chałwa i sok pomarańczowy w wysokich szklankach.

Sięgnęła tylko po sok, upiła parę łyków i sponad szklanki spojrzęła uważnie na Huberta.

— Powiedz mi teraz, o co chodzi.

— Najpierw odpocznij.

— Nie, chcę wiedzieć.

Wyjął niedużą fajkę, nabił ją tytoniem „Amphora”, zapalił i pokiwał głową.

— To nie będzie wesołe.

— Wszystko jedno.

Rozłożył ręce i ze smutkiem powiedział:

— Elżbieta, twoja sprawa wygląda niedobrze.

— Jak niedobrze?

— Bardzo. Dwóch waszych współników nie żyje.

— Czyś ty oszalał? — krzyknęła. — Nie miałam żadnych współników.

— Jasne — zgodził się. — Ale tylko dla ciebie i dla mnie. Tamci w to nie uwierzą. Dla nich to wygląda bardzo prosto: współpracowałaś z gangiem, który produkował pornografię i używał wszelkich form szantażu, do jakich był zdolny. Dwóch członków gangu zostało zaszytletowanych, trzeci — ten twój smarkacz — siedzi i prawdopodobnie mówi to samo, co ty: że o niczym nie miał pojęcia. Biedny artysta, który myślał tylko o jednym: żeby przygotować sobie parę zdjęć na następną wystawę w Krakowie. Jeżeli będzie mądry, zrzuci wszystko na was: na ciebie i na tych, którzy teraz spoczywają w lodówkach Zakładu Medycyny Sądowej. I którzy już nigdy nie złożą żadnego zeznania w tej sprawie.

Przez chwilę milczała, przyglądając się w skupieniu rozkołysanej powierzchni soku w szklance. Potem, nie podnosząc oczu, zapytała:

— Kto ich zabił? Marek?

— Nie wiadomo.

— Jest za słaby — powiedziała. — Za słaby psychicznie. To musiał zrobić ktoś inny.

— Może — odpowiedział Hubert obojętnie. — Ale co dla ciebie za różnica?

Potrząsnęła ramionami niepewnie.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę z łagodnym współczuciem, a potem powiedział:

— To jeszcze nie wszystko. Widzisz, pięć z waszych dziewczyn nigdy nie wróciło do domu.

Teraz drgnęła.

— Co to znaczy nie wróciło?

— No, po prostu — odpowiedział, wydymając wargi. — Pewnego dnia wyszły i ślad po nich zaginął.

Odstawiła szklanekę drżącą ręką i opadła na oparcie drewnianej ławy.

— Hubert, co ty mówisz!

Spuścił głowę, jakby sam był zakłopotany tym faktem.

Przez chwilę patrzyła na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami, a potem szepnęła:

— To niemożliwe...

— Ale tak było.

— Czy myślisz, że one też...

Urwała.

— Nie wiem — powiedział cicho. — Ale tak wygląda. Od zniknięcia pierwszej z nich minęło już wiele miesięcy. Gdyby żyła...

Zrobił w powietrzu nieokreślony ruch fajką i umilkł. Ona także milczała, tylko oddychała coraz szybciej i głośniej. Potem zapytała:

— Znasz ich nazwiska?

— Nie.

— No, to może imiona, no, nie wiem, jakieś szczegóły...

Pokręcił głową.

— Ale ja muszę wiedzieć! — krzyknęła. — Może to w ogóle nie są te, które ja przyprowadziłam do Marka!

— Dowiesz się na rozprawie — powiedział. — Ale wtedy

będzie za późno.

Była zupełnie zdruzgotana. Ręce jej latały, zęby dzwoniły jak w gorączce.

— Hubert — szeptała. — Rany boskie, Hubert... Przecież ja nie wiedziałam o niczym! Dla mnie to była tylko zabawa; no, trochę niezdrowa zabawa, ja wiem, ale ostatecznie... Jak oni mogli je zabić? Jak mogli, Hubert, jak mogli! Takie młode gówniary!

Zaczęła płakać i nagle — niemal w połowie najgłośniejszego szlochu — umilkła. Jej oczy, mokre od łez, zrobiły się nagle czujne i nieufne.

— A ty? — zapytała. — A ty skąd wiesz o tym wszystkim?

Uśmiechnął się i potarł w powietrzu palcami.

— Odkąd Fenicjanie wymyślili pieniądze — powiedział — nie ma takiej tajemnicy, której nie można by kupić. Gdybym miał więcej czasu, dowiedziałbym się wszystkiego, aż do najdrobniejszych detali. Ale myślę, że to, co wiem, powinno ci zupełnie wystarczyć.

Opadła głową na stół i po długiej chwili zapytała szeptem:

— Co mam robić?

Wstał, podszedł do barku, odkręcił butelkę „Queen Anne”, nalał sporą porcję do kryształowej szklanki i ze smakiem pociągnął.

— Jest tylko jedno wyjście — powiedział. — Wyjazd.

— Wyjazd gdzie?

— Za granicę.

Nie podniosła głowy znad stołu; dlatego jej głos był dalej stłumiony i mało wyraźny.

— Za granicę — powtórzyła. — Jak, Hubert, jakim cudem? Bez paszportu? A nawet gdyby, to przecież na każdym punkcie... Daj spokój, to śmieszne.

— Nie — powiedział. — To wcale nie śmieszne. Jeżeli mi pomożesz, jutro po południu będziemy w Kopenhadze.

Powoli usiadła. Zobaczył jej ostrożny, nawet trochę podejrzliwy wzrok i zmusił się do swobodnego uśmiechu.

— Przygotowałem wszystko — powiedział i szybko wypił swoją whisky do końca, jakby to był jarzębiak czy

zubrówka. — Musisz zrobić tylko jedną rzecz: powiedzieć tak.

— Kopenhaga — szepnęła. — A co ja bym robiła w Kopenhadze? Nic nie umiem; żadnego zawodu...

— To nieważne — mruknął. — Dopóki będziesz ze mną...

Odstawił szklanke, nachylił się, rozpiął swoją lotniczą torbę i rzucił na stół grubą paczkę małych, zielonych banknotów, ściągniętych gumką od lekarstw.

— To nam wystarczy na rok — powiedział.

Nachylił się nad swoją torbę, poszperał w niej jeszcze raz i wyjął nieduży, kolorowy blankiet

— A to na drugi.

Podszedł do stołu i z głośnym klepieniem rozłożył przed nią ten blankiet na serwecie.

— To moje konto w banku „Nord” w Hamburgu. Wystarczy, że przyjdę i podam hasło „Klara”.

Uśmiechnął się i dodał:

— Na dodatek możesz uspokoić swoje patriotyczne sumienie: to nie są premie za szpiegostwo przeciw PRL. Po prostu pomogłem paru sympatycznym ludziom znad Renu załatwić parę korzystnych transakcji nad Wisłą.

Dotknęła palcem banknotów i nie podnosząc oczu zapytała:

— A dlaczego chcesz to zrobić?

— Już ci powiedziałem: żeby być z tobą.

— Przecież jesteś z mamą.

— Nie bądź śmieszna — mruknął. — Dwadzieścia razy byłem z nią na kawie, dwanaście razy odwiozłem ją na lotnisko w Warszawie i dwanaście razy przywiozłem ją z powrotem; cztery razy spędziłem z nią tak zwany upojny wieczór na dansingu i raz przytrzymałem ją dłużej za rękę. To wszystko.

— Nie — pokręciła głową. — To nie wszystko. Ona myśli, że ją kochasz.

— I co z tego? — zapytał. — Przecież ona jest stara!

— A ty?

Wyprostował się i spochmurniał.

— Daję ci szansę — powiedział. — I chciałbym, żebyś to

doceniła. Zostawiam chałupę, która jest warta półtora miliona, meble za pół miliona i warsztat, który rocznie daje mi prawie milion. Wszystko to robię dlatego, że nie chcę cię widzieć za kratkami. Decyduj.

Podrzuciła na rękę paczkę banknotów, ściągniętych gumką, i położyła ją z powrotem na stole. Potem wstała, wyminęła Huberta, podeszła sama do barku i nie patrząc wzięła pierwszą butelkę z brzegu.

— To pejsachówka — powiedział. — Bardzo mocna. Uważaj, żebyś nie spaliła sobie gardła.

— Nie szkodzi — szepnęła.

Nalała sobie pół kryształowej szklanki, tej samej, w której on przedtem pił „Queen Anne” i wychyliła ją ciurkiem, jakby to była woda.

— Odetchnij głęboko! — zawołał.

Potrząsnęła głową i zatkawszy usta ręką podeszła do telefonu.

— Chwileczkę — powiedział. — Gdzie chcesz dzwonić?

Chuchnęła i zachrypniętym głosem odpowiedziała:

— Do mamy.

Podbiegł i chwycił ją za rękę.

— Zwariowałaś?

— Nie — szepnęła. — Nie mam nic na sumieniu. Jeżeli mają mnie sądzić, to niech mnie sądzą. Nie może być tak, żeby niewinnego człowieka wsadzili do więzienia. A jak trzeba będzie coś odsiedzieć, to odsiedzę. Potem wyjdę, skończę studia i wszystko wróci do normy. A do Danii z tobą nie pojedę.

Spróbowała odtrącić jego rękę, ale on zacisnął ją jeszcze mocniej.

— Dlaczego? — krzyknął. — Elżbieta, zastanów się, co chcesz zrobić!

— Nic specjalnego — odpowiedziała uparcie. — Powiem mamie, gdzie jestem, i poproszę, żeby przyjechała mnie zabrać. Muszę rano być w domu, poprać sobie wszystko, co mi będzie potrzebne, i zgłosić się na milicję. A mój ojciec będzie pilnował, żeby nie zrobili mi krzywdy!

— Twój ojciec — syknął. — Ten wariat, który trzy lata

chodzi w jednych portkach i śpi z głupią myszą, która potrafi tylko jedno: kleić jego idiotyczne taśmy z rozmówkami!

— Zostaw — powiedziała zimno i wyrwała rękę z jego dłoni. Zmrużył oczy i odrzucił do tyłu swoją piękną głowę.

— Daję ci czas do rana.

— Nie warto — powiedziała. — Ja już się zdecydowałam. Pozwól mi zadzwonić.

— Nie — powiedział. — Ktoś tutaj musi być mądry.

— Pozwól mi zadzwonić! — powtórzyła twardo.

Położył dłoń na słuchawce i pokręcił głową przecząco.

— Jak chcesz — powiedziała i zniecierpliwiona rzuciła się ku drzwiom.

Złapał ją przy progu i szarpnął, aż zatoczyła się na ścianę. Potem szybko zamknął drzwi od środka i wrzucił klucze do kieszeni.

Skoczyła ku oknu. Teraz nie zareagował; wiedział, wszystkie okna są zakratowane.

Sprawdziła to i powoli obróciła się twarzą ku niemu.

— Hubert — powiedziała głucho. — Co ty wyprawiasz? Czego chcesz?

— Powiedziałem ci — odpowiedział spokojnie. — Jutro rano pojedziesz ze mną do Kopenhagi, a ja ci powiem, jak to trzeba wykonać.

— Wiesz, że nie pojedę — szepnęła. — Więc po co to wszystko?

— Pojedziesz — powtórzył. — Czy będziesz chciała, czy nie. Ale radzę ci, zrób to dobrowolnie.

— Za nic!

— Jesteś wspaniałą dziewczyną — ciągnął ze złością, a twarz zaczynała mu się już krzywić i drżeć i on jeden wiedział, co to znaczy. — Nigdy w życiu nie spotkałem takiej jak ty. Jesteś piękna, mądra i zepsuta. Potrafisz się bawić innymi dziewczynami i zmuszać je do tego, do czego by ich nie zmusił żaden mężczyzna. Jest w tobie kawałek diabła i to mnie w tobie podnieca. Będziemy najlepszą parą, jaką można było wymyślić w piekle. Ale musisz to

sama zrozumieć!

— Nie! — krzyknęła i znowu podbiegła do telefonu.

Rzucił się na nią i przewrócił ją na podłogę, wyłożoną wełnianym kilimem. Szamotali się przez chwilę, ale był mocniejszy. Przekreślił ją twarzą do ziemi, wygiął ręce do tyłu i związał własnym paskiem od spodni.

— Ty kretynko! — szepnął zdławionym głosem. — Ty mała, głupia samico!

Kłęknęła w milczeniu; teraz już była bezbronna.

Podszedł po raz trzeci do baru i znowu wypił pół szklanki „Queen Anne”. Rysy mu się zaostrzyły, a głos zrobił się gardłowy.

— Ja cię zmuszę, ty suko! — powiedział i chwyciwszy ją pod pachy pchnął przed sobą do kuchni. — Zobaczysz!

Za kuchnią była obszerna spiżarnia, do której schodziło się po sześciu stromych schodkach. Zrzucił ją tam, jakby była workiem kartofli; padając, rozcięła sobie czoło i zalała się krwią. Nie zwrócił na to uwagi. Obu rękami chwycił drewniany regał, na którym stało mnóstwo puszek soku pomarańczowego greckiej firmy „Dodoni”, i odstawił go na bok. Zza regału ukazały się niskie drzwi. Otworzył je specjalnym kluczem. Były od zewnętrznej strony obite grubą warstwą wioliny, pokrytej surowym

brezentem. Potem zszedł parę kroków niżej i otworzył następne drzwi, wygłuszone tak samo jak tamte.

Usłyszała pstryknięcie kontaktu i zobaczyła na dole światło. Zrobiła kolejny wysiłek i kapiąc krwią podniosła się na kolana. Wrócił po nią i bez słowa, mruczając coś tylko pod nosem, zawłókł ją do małej izby bez okien, położonej niżej niż cały domek.

Było tam bardzo mało sprzętów; właściwie nie było ich wcale. Miednica na drewnianym taborecie, obok wiadro i dzbanek, a pod ścianą żelazne łóżko, zasłane pościelą.

Rzucił ją na to łóżko i wydyszał:

— Odpoczniesz tu sobie do rana. I może zmądrzejesz.

Podszedł do dzbanka i spojrział.

— Tu masz zimną wodę. Zmocz sobie chustkę i przyłóż do

czoła. Nie wypada z guzem opuszczać rodzinnego kraju. Jeszcze nie zdążył powiedzieć tego do końca, gdy Elżbieta już była przy drzwiach. Złapał ją z wściekłością i powtórnie rzucił na łóżko. Zaczęła się z nim szamotać. Wtedy uderzył ją w twarz, a gdy upadła, nieco zamroczona, złapał jej lewą nogę i przy pomocy skórzanego jarzma, podobnego do tych, w jakie wyposażone są stoły operacyjne, przytroczył ją do dolnej poręczy. Potem zrobił to samo z jej prawą nogą i zręcznie uniósł ją do pozycji siedzącej.

Poczuła, że rozwiązuje pasek na jej dłoniach i szepnęła z rosnącym przerażeniem:

— Hubert, no, coś ty?

— Nic — wydyszał. — Po prostu myślę, że teraz przestaniesz brykać.

Obejrzała się i zobaczyła, że takie same jarzma zwisają przy wezgielciu łóżka.

Poczuła przenikliwy strach i oburącz chwyciła go za twarz, próbując wbić mu palce w oczy.

Wyzwolił się sprawnym, jakby z dawna wyuczonym gestem, potem chwycił jej lewą dłoń, przywiązał, sprawdził, czy trzyma, i to samo zrobił z prawą.

Leżała teraz rozkrzyżowana na małym, skrzypiącym sienniku i szeroko otwartymi oczyma patrzyła w jego spoconą twarz.

— Hubert! — krzyknęła. — Co to? Do czego? Coś ty tu robił? Hubert! Hubert!

Patrzył na nią bez słowa, a twarz powoli zmieniała mu się w pysk szakala.

Nagle zrozumiała, co to wszystko znaczy, i zaczęła przemawiać do niego najśłodszy glosem, na jaki umiała się zdobyć.

— Hubert — mówiła. — Zawsze ci ufałam. Prawda? Dlaczego teraz zachowujesz się tak dziwnie? Rozwiąż mnie, Hubert, i pogadajmy jak przyjaciele...

Nie słuchał. Oczy miał nieprzytomne, a ręce drżące. Nagle zaczął rozrywać na niej szpitalny fartuch matki.

— Kochany! — jęczała. — Jeżeli będziesz chciał, to jutro wyjedziemy na Zachód i ja ci będę sprowadzać najpiękniejsze dziewczyny, jakie spotkam na ulicy. Ale na razie daj spokój,

dobrze? Chciałabym się napić jeszcze łyk pejsachówki, a potem zrobimy sobie wspólną kolację i obgadamy wszystko w szczegółach. Ale na razie nie rozbieraj mnie, bo będzie mi zimno... Słyszysz? Hubert! Opamiętaj się!

Zadarł jej sweterek i jednym wściekłym ruchem rozerwał biustonosz na piersiach. Zobaczyła, że jest zupełnie obłąkany, a twarz ma purpurową, jakby za chwilę miał ulec apopleksji.

— Przestań! — zawyła najgłośniejszym, jak tylko mogła. — Za chwilę zabijesz mnie! A wtedy co? Beze mnie nie wyjedziesz! Nie wypuszczą! Rozumiesz? Beze mnie pójdziesz na szubienicę!

Zamarł w pół ruchu. Powoli krew zaczęła odpływać mu z twarzy. Potem zagryzł wargi i powoli się wyprostował.

— Nie wyjadę... nie wyjadę bez ciebie... ty suko...

Z całej siły ścisnął jej piersi obu dłońmi, ale to już była bezsilna wściekłość. Rozdrapał jej lewą sutkę do krwi, potem powoli wstał i z grymasem nakrył ją prześcieradłem.

— Jeżeli chcesz — wysapał — możesz krzyczeć. Niejedna już tu krzyczała... I co z tego?

Odwrócił się szybko i wyszedł, zamykając drzwi na głucho.

Świtało już. Siedzieli w sześcioro wokół telefonu i wszyscy mieli jednakowo szare twarze: Agata, Rafał, Szeliga, Jasło, siwy pułkownik i milczący kapral z radiostacją. Po trochu zaczęli przysypiać; znużone głowy same spadały im w dół.

W pewnym momencie major szepnął:

— Nie zadzwoni.

Poruszyli się. Agata poprawiła włosy i gasnącym głosem zapytała:

— Może jeszcze kawy?

Nikt nie zgłosił chęci. Siwy pułkownik ciężko pochylił się nad mapą, rozłożoną na stole. Był tam zakreślony niewielki krąg, którego centrum stanowiła maleńka stacyjka na Pojezierzu.

— Jest w środku tego kola — powiedział. — Tyle mógł ujechać do chwili, kiedy zablokowaliśmy wszystkie drogi. Nie wydobędzie się. Musi zadzwonić, czego chce.

— A jeżeli nie chce niczego?

— Gdyby nie chciał, nie dzwoniłby przedtem do pani.

— Ja jednak poproszę o kawę — szepnął major.

Agata wstała i zataczając się poszła do przedpokoju.

Trzasnęła zapalka, potem zahuczał gaz pod czajnikiem.

— Nie jesteśmy w stanie przeczesać takiego terenu — powiedział żałośnie pułkownik. — Mimo że do akcji weszło wojsko. On się musi odezwać.

Rafał tylko potarł czoło i nic nie powiedział.

Było coraz jaśniej. Pod najbliższym wieżowcem zatrzymał się samochód; niewidoczni ludzie zaczęli z niego wyładowywać druciane pojemniki z mlekiem.

— Ile kaw? — zapytała apatycznie Agata.

— Daj wszystkim — szepnął Rafał. — Nie wiadomo, co nas jeszcze, czeka.

Przez chwilę w milczeniu sypała kawę do metalowego termosu, potem cicho powiedziała przez otwarte drzwi:

— Nie mogę tego zrozumieć. Ten człowiek... taki opanowany, precyzyjny w każdej sprawie... i nagle taka afera? Czy to możliwe?

Przez chwilę nikt jej nie odpowiadał. Potem major szepnął:

— Możliwe, proszę pani.

— Przepraszam, ale ja... — zaczęła i urwała. — Naprawdę trudno uwierzyć. Musiałby się zdradzić, no, ja nie wiem, to byłoby jakoś widać, ludzie musieliby zauważyć! Czy człowiek może być nienormalny tylko w jednym, jedynym punkcie? Bez żadnych objawów na co dzień? W domu? W pracy?

— Owszem, pani Agato — odpowiedział cicho major. — Trzy lata temu mieliśmy podobny przypadek: spokojny szewc, żonaty, dwoje dzieci... A potem się okazało, że co pewien czas wyjeżdża na prowincję i dusi samotnych chłopców... Kryminalistyka zna więcej takich historii...

W tej chwili zadzwonił telefon.

Popatrzyli po sobie, nagle przebudzeni i pełni nieoczekiwanej energii.

— Pan — powiedział major.

Rafał wziął słuchawkę i siłąc się na spokój zapytał:

— To pan, panie Stańczyk?

— Ja — odezwał się zniekształcony głos w słuchawce. — Czy pan mnie dobrze rozumie?

— Wystarczająco.

— No, to bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że jest pan w kontakcie z naszymi zuchami z MO?

— Jestem — powiedział Rafał. — Niech pan mówi.

— Dzwonię z Krętej; to taka mała wioska na Pojezierzu, ale pańscy przyjaciele z pewnością odnajdą ją na mapie.

— Kręta? — powtórzył Rafał i spojrzał na pułkownika. Ten natychmiast pochylił się nad mapą.

— Pan powtarza? — uśmiechnął się Hubert po drugiej stronie kabla. — To znaczy, że pańscy przyjaciele warują u pana w domu. Ale to nie szkodzi, to nawet upraszcza sprawę. Niech pan im powie, że postawiłem następujące warunki: o dziewiątej rano na przystani w Redlince będzie na mnie czekał sprawny kuter z za

pasem paliwa, wystarczającym, aby popłynąć na Bornholm. Pan może nie wie, ale oni będą wiedzieć, że przystań w Redlince oddalona jest ode mnie zaledwie o trzydzieści pięć kilometrów. O wpół do dziewiątej podstawicie mi pod dom otwartego gazika z rozsądnym kierowcą bez broni. Podkreślam, że ma to być otwarty gazik,

nie żadna limuzyna, do której moglibyście podłączyć tlenek azotu albo inne usypiające świństwo. To zresztą nie zdałoby się na nic, ale nie chcę niespodzianek. Domyślam się, że przyjedziecie z całą świtą i nie mam nic przeciw temu, pod warunkiem, że nikt nie zbliży się do mnie bardziej niż na pięćdziesiąt metrów. Czy mam przerwać, czy też powtórzy to pan z pamięci?

— Niech pan mówi — powiedział Rafał. — W moim aparacie są zamontowane dodatkowe słuchawki, tak że ci, którzy powinni to słyszeć, słyszą i zapisują. Co dalej?

— O wpół do dziewiątej otworzę drzwi i wpuszczę pana do środka. Podkreślam, tylko pana i nikogo więcej. Nie radzę próbować żadnych sztuczek ze świecami dymnymi i tak dalej, bo to by się skończyło bardzo niedobrze; mogę panu dać na to święte słowo honoru.

— Niech pan nie będzie śmieszny — powiedział ze złością Rafał.

Pułkownik podniósł palec i dał mu znak, żeby nie przerywał. Rafał zagryzł dolną wargę i skinął głową, Stańczyk bez zakłopotania ciągnął dalej:

— Wejdzie pan do domu, obejrzy, jak wygląda sytuacja, i przekaże pan swoje spostrzeżenia przyjaciom z MO. Myślę, że wyciągną właściwe wnioski. Mogę ich zapewnić tylko o jednym: nic nie zrobią, chyba że zdecydują się poświęcić pańską córkę.

— Rozumiem — powiedział głucho Rafał.

— Do wpół do dziewiątej proszę, żeby mnie nikt nie niepokoił wizytami ani telefonami. Mam za sobą ciężką noc i muszę trochę wypocząć. Do pańskiej osobistej wiadomości podaję, że jutro ręka nie może mi zadrzeć; przekona się pan rano, że nie przesadziłem.

— Co jeszcze? — zapytał Rafał.

— Niech pan powie swoim przyjaciom, że mój dom jest wyjątkowo dobrze zabezpieczony. Każda próba wdzierania się na siłę byłaby nonsensem. Tak że niech mnie zostawi w spokoju. Ja zawsze będę miał więcej czasu niż oni. Czy pan mnie dobrze rozumiał?

— Myślę, że tak.

— A oni?

— Chyba także.

— No, to jestem zadowolony. Jeśli chodzi o pana, to zgadzam się, żeby pan przyniósł ze sobą magnetofon. Pan jest apostołem Polskiego Radia i wiem, że pan musi zrobić ze wszystkiego audycję. Nawet z porwania własnej córki. Życzę panu wielu wdzięcznych słuchaczy.

Szczęknęła odkładana słuchawka.

— Błyskawiczna z Warszawą — powiedział szybko major i podniósł się znad mapy.

Rafał ściągnął brwi i bardzo powoli zapytał:

— Pan chce pójść na jego warunki?

— Jeżeli nie będzie innego wyjścia? — powiedział pułkownik i chłopięcym ruchem odrzucił sobie z czoła siwe

włosy. — I jeżeli mi Warszawa pozwoli. Jeśli chodzi o Stańczyka, to zawsze będzie można żądać ekstradycji. A pańska córka... pan rozumie.

Tu urwał i rozłożył ręce.

Punktualnie o wpół do dziewiątej zajechali pod domek nad jeziorem. Było już jasno, choć pochmurnie; rzadkie słońce z trudem przebijało się przez ciężkie pasma deszczowej waty.

Ustawili wozy w półkole i pułkownik cicho powiedział do Rafała:

— Niech pan idzie. Jak pan wie, jesteśmy przygotowani na kilka różnych ewentualności. Ale nie wiem, czy na wszystkie.

Rafał w milczeniu obejrzał się na Agatę.

— Idź — szepnęła. — I bądź rozsądny.

Powoli ruszył ku drzwiom. Były otwarte. Pchnął je i wszedł do półmrocznego pokoju, który pachniał sokiem pomarańczowym, alkoholem i kawą.

Na ławce za stołem siedział Stańczyk. W prawej dłoni trzymał pięknie naoliwiony pistolet i końcem lufy gładził Elżbietę po zagłębieniu szyi pod uchem. Elżbieta była w szpitalnym fartuchu matki, twarz miała podrapaną i brudną, a na jej czole widniał długi, skośny strupek zaschniętej krwi. Ale patrzyła na ojca twardo i nieustępliwie.

— Witam pana — powiedział Stańczyk. — Niech pan podejdzie do baru i naleje sobie, czego pan chce. Te wszystkie trunki i tak zostaną zaplombowane.

— Nie pijam tak wcześnie — powiedział Rafał. — Czy możemy wyjść?

— Wyjdziemy — uśmiechnął się Stańczyk. — Ale najpierw niech pan się przyjrzy. Jak pan widzi, mam tu doskonale zakonserwowany egzemplarz pistoletu P-38, który kiedyś należał do wyposażenia niemieckiej policji, jako stary kombatant wie pan, że języczek spustowy tego pistoletu jest niesłychanie czuły. Wystarczy lekki nacisk... Równocześnie zwracam uwagę, że pańska córka ma ręce związane na plecach solidnym kablem, a koniec tego kabla trzymam w lewej dłoni. Cokolwiek się zdarzy, ja jeszcze zawsze

zdążę nacisnąć spust. Nie muszę panu chyba tłumaczyć, jak potem wyglądałaby główka pańskiej córki.

Rafał przeniósł wzrok na Elżbietę. Milczała, ale wzrokiem wzywała go do działania.

— Niech pan przynajmniej podniesie bezpiecznik — powiedział. — Zawsze może się zdarzyć nieszczęśliwy wypadek, a to pokrzyżowałoby również pańskie plany. Z naszej strony nie będzie żadnych niespodzianek.

— Nie — uśmiechnął się Stańczyk. — Póki jest tak, jak jest, mam świadomość, że jestem nietykalny. O ile mi wiadomo, nasze drogie organa mają zakaz strzelania w takich warunkach. Co innego Amerykanie... Ale my, chwalić Boga, jesteśmy w Europie.

— Duńska policja wyda pana.

— Zobaczymy.

— Rozmawialiśmy z centralą w Kopenhadze.

— Gwiżdżę na wasze rozmowy. Oświadczę, że jestem uchodźcą politycznym, którego chcecie oczernić po to, żeby go dostać z powrotem w swoje ręce. Zdążę otworzyć sklep i dorobić się domku z garażem, zanim zapadnie jakakolwiek decyzja. Niech pan raczej myśli o córce. Może pan mieć ją z powrotem jeszcze dziś wieczór.

Rafał znów spojrział Elżbiecie w twarz. Nic nie powiedziała, ale zacisnęła wargi z nienawiścią.

— W porządku — powiedział. — Ale muszę pana lojalnie uprzedzić: w pięć minut po pańskim wyjeździe ten dom zostanie przeorany do ostatniej deski. Myślę, że znajdziemy tu szczątki tych pięciu dziewczyn, które pan wywiózł z miasta i prawdopodobnie zamęczył na śmierć. Pełna dokumentacja pańskich zbrodni pójdzie za panem na Zachód.

— Powiedziałem już panu, że gwiżdżę na to. Proszę sobie nalać pejsachówki. Ja też przy okazji prosiłbym o łyżeczek. Jeżeli pan to uzna za stosowne, może pan także nalać pańskiej córce. Czeka ją jeszcze parę nerkowych godzin.

Rafał podszedł do barku i nalał jeden kieliszek.

— Rodzina nie pije? — zapytał Stańczyk.

— Nie.

— Niech pan to postawi na rogu stołu i cofnie się na bezpieczną odległość.

Rafał wykonał polecenie bez oporu i stanął przy framudze drzwi wyjściowych.

Stańczyk, nie wypuszczając kabla z palców lewej ręki, sięgnął po kieliszek i wypił go ze smakiem.

— Mam nadzieję, że kuter czeka?

— Oczywiście.

— No, to proszę, żeby pan wyszedł pierwszy i opowiedział wszystko gliniarzom. Mogą zrobić jakieś głupstwo, a Elżbieta za to zapłaci.

Rafał wyszedł i w dwóch słowach zdał relację pułkownikowi.

Ten przez chwilę milczał, potem przywołał do siebie jednego z oficerów i powiedział mu coś na ucho. Oficer kiwnął głową, szybko podbiegł do najbliższego z radiowozów i natychmiast odjechał w stronę morza.

— Zajeżdżaj przed dom — mruknął pułkownik ku kierowcy gazika.

Stańczyk wyszedł pogodnie, wyniosły, a nawet lekko uśmiechnięty. W prawej dłoni nadal trzymał pistolet, przytknięty do szyi Elżbiety, a w lewej — oprócz kabla — miał wypchaną lotniczą torbę.

— Odsuńcie się, chłopcy — powiedział. — Chciałbym, żebyśmy te ostatnie minuty spędzili w zgodnej współpracy. Pułkownik kiwnął ręką; milicjanci odsunęli się od gazika.

Stańczyk przyjrzał się kierowcy z namysłem, a potem powiedział:

— Ty też. Zostaw kluczyki w stacyjce i spływaj. Poprowadzi tatuś — i uśmiechnąwszy się w stronę Rafała dodał: — Zawsze większa gwarancja, prawda?

— Wykonaj — powiedział pułkownik do kierowcy.

Ten zostawił kluczyki w stacyjce i wyskoczył.

— Pan pierwszy — powiedział Hubert do Rafała.

Rafał w milczeniu zajął miejsce za kierownicą.

— Mam pytanie — odezwał się niezbyt głośno pułkownik.

— Myślę, że nie będzie pan miał nic przeciw temu, żeby przodem pojechał nasz radiowóz na syrenie. Chcielibyśmy

uniknąć jakichkolwiek przypadkowych kolizji.

— Bardzo słusznie — odparł Stańczyk. — Tylko proszę o przyzwoity dystans... z przodu i z tyłu.

— Będzie zachowany.

— No, to ładnie.

Stańczyk wrzucił torbę do wozu i uważnie dopomógł Elżbiecie przy wsiadaniu.

— Możemy — powiedział.

Radiowóz, który miał ich eskortować z przodu, włączył syrenę i skręcił na drogę ku morzu.

— Niech pan rusza — uśmiechnął się Stańczyk.

Rafał wrzucił bieg i łagodnie odpuścił sprzęgło. Polecieli syrkim traktem na północ. W ślad za nimi, zachowując należyty odstęp, potoczyły się inne wozy. Niemal w tym samym momencie pod opuszczony dom zajechały dwa ambulanse Zakładu Kryminalistyki i Zakładu Medycyny Sądowej.

— Pan wybaczy — powiedział po chwili Rafał, obracając lusterko tak, aby mieć w nim zaciętą twarz Elżbiety. — Ale jestem reporterem i nie lubię spraw niewyjaśnionych do końca. Czy mogę zadać panu parę pytań?

— Bardzo proszę.

— W torbie mojej żony była skrytka. Domyślamy się, że to pan wyjmował z niej materiały pornograficzne, a potem wkładał pan tam swoje instrukcje i kopie przelewów.

— Oczywiście — odpowiedział Stańczyk. Jeżeli przed chwilą musiał maskować napięcie, to teraz rozluźnił się.

— Kiedy pan to robił, bo przecież nie był pan u mojej żony w domu?

— Zgadza się. Ukrywałem tę znajomość, żeby tamtym chłopcom nie przyszło coś do głowy. Błony z materiałem i adresy wyjmowałem, wioząc panią Barbarę na lotnisko. A instrukcje i przelewy wkładałem, przywożąc ją z powrotem na Wybrzeże. Zawsze znalazł się taki moment, że mogłem to zrobić nie zwracając jej uwagi.

— Przelewy, rzecz jasna, dotyczyły pańskiego własnego konta?

— Mojego, panie redaktorze. W tej chwili mam już tam

prawie dziesięć tysięcy dolarów. Ładnie, co?

— Nie przeczę. I domyślam się, że nikt poza panem nie mógłby ich ruszyć, nawet znając hasło.

— Oczywiście.

— Wobec tego tamta trójka pracowała dla pana zupełnie za darmo.

— Na tym polega wyższość ludzi mądrych na głupimi.

— Czy od początku zamierzał pan zabić wszystkich trzech?

— Skądże znowu! Chciałem ich po prostu zostawić wyjeżdżając; bo kiedyś i tak musiało dojść do wyjazdu, pan rozumie. A potem, kiedy zaczęły się kłopoty... Widzi pan, ten jej śliczny gówniarz w ogóle nie wiedział, że istnieje. Od razu postanowiłem, że go wam podrzucę na otarcie łez. Ostatecznie ktoś powinien odpowiadać przed sądem. Myślę, że już macie nóż, który schowałem w klozecie naprzeciw akademika.

— Mamy.

— No, właśnie. A tamci? Z Hartmanem nie miałem kłopotu — pan Szmidt mnie wyręczył. Jednego Waškowiaka załatwiłem osobiście. Powinniście mi być wdzięczni, bo Waškowiak to był klasyczny pasożyt.

— Jasne — kiwnął głową Rafał. — Myślę, że w Komendzie już panu wypisują odpowiedni dyplom. Niech mi pan tylko powie, czemu pan w ostatniej chwili zmienił taktykę. Była zupełnie dobra. Trzeba było tylko zarznąć tę dziewczynę, z którą pan był umówiony na stacji w Kościerzance.

— To był błąd — powiedział Stańczyk ze smutkiem. — Powinienem być pojechać tam w niedzielę i zrobić to. Pańska córka zdenerwowała mnie i jakoś się cofnąłem. Teraz bardzo żałuję. Gdyby nie moja słabość, siedziałbym obecnie w mojej gdańskiej jadalni i pił „Liptona”, słuchając radia Luksemburg. Kiedy się opamiętałem, było już za późno: nie wyszła z domu przez następne trzy dni, a w końcu przyjechała po nią milicja. Wtedy zrozumiałem, że gra jest przegrana. A przynajmniej ta runda, panie redaktorze. Elżbieta wciąż milczała. Po paru minutach wjechali na przystań w Redline.

Była to nieduża osada rybacka, położona na płaskim brzegu, okolonym wydiami. Przystań osłaniał niewielki, drewniany falochron. Przy krótkim, dość zniszczonym pomoście kołysał się mały, żółty kuter.

W pobliżu, ale nie przy samym kutrze, stała grupka milicjantów, pomieszanych z wopistami. Było tam także paru ludzi w granatowych mundurach — prawdopodobnie funkcjonariuszy Urzędu Morskiego.

Dokoła panował absolutny spokój i tylko morze było trochę wzburzone.

— Niech pan zatrzyma dwadzieścia metrów od brzegu — powiedział zachryple Stańczyk.

Był teraz blady; widocznie czuł, że zbliża się do finału.

Rafał stanął tam, gdzie mu kazano, i czekał. Z tyłu podjechały wozy milicyjne, zatrzymały się w bezpiecznej odległości, a ze środka bez pośpiechu wysiedli pracownicy komendy. Podeszli do grupki, czekającej już na przystani, i zastygli w bezruchu.

— Jeżeli pan zmienił zdanie — powiedział Rafał, nie oglądając się za siebie — to lepiej nie przedłużać tej nieprzyjemnej sytuacji. Niech pan mi poda pistolet i wyśiądzie. Będzie pan traktowany zgodnie z prawem.

— Dziękuję — skrzywił się Stańczyk.

Ciągle jeszcze nie mógł się na coś zdecydować. Wreszcie mruknął:

— Proszę wysiąść i stanąć tyłem do mnie.

Rafał kiwnął głową, wyszedł z wozu i stanął twarzą do morza.

Hubert wyrzucił torbę na piasek, potem podniósł się, pomógł Elżbiecie przy wysiadaniu i sam szybko zeskoczył tuż za nią.

Chwilę tak stał, mierząc kuter nieufnym spojrzeniem, aż wreszcie odwrócił się w stronę pułkownika i zawołał:

— Mam nadzieję, że nie wymyśliliście żadnych sztuczek! Chcę dopłynąć tam, gdzie powiedziałem.

— Dopłynie pan — odpowiedział niezbyt głośno pułkownik. — Ale radzę się śpieszyć: komunikaty meteo nie wróżą nic dobrego. Wiatr się wzmaga, koło jedenastej będzie pan miał ciężkie warunki.

— Myślę, że najcięższe mam już za sobą — powiedział

Stańczyk.

Potem znowu odwrócił się do pułkownika i z niedowierzaniem zapytał:

— Naprawdę nie macie żadnego pomysłu? Dla jednej głupiej pannicy gotowi jesteście wypuścić wielokrotnego mordercę?

Nikt mu nie odpowiedział.

Po chwili wyczekiwania wziął Elżbietę za ramię i popchnął w stronę kutra. Szarpnęła się.

Rafał usłyszał odgłosy szamotania i ostrożnie odwrócił głowę.

— Dziecko — powiedział z wysiłkiem — idź z nim na pokład.

— Nie pójdę! — krzyknęła i zapała się w miejscu.

— Bądź mądra — wydyszał jej Stańczyk w ucho. — Przecież widzisz, że wszyscy idą nam na rękę. Nie wygłupiaj się, bo mogę niechcący nacisnąć cyngiel!

— Tato! — krzyknęła przeraźliwie. — Naprawdę chcecie mu pozwolić odpłynąć? Czy wyście poszaleli? Co robicie?

— Córeczko — powiedział Rafał. — Posłuchaj mnie. Jeszcze dzisiaj będziesz z powrotem w domu.

— Jesteś idiota! — krzyknęła, a z oczu popłynęły jej łzy. — Czy ty nie rozumiesz, że jak on zobaczy Bornholm, zgwałci mnie i zabije? Już dziś w nocy mało tego nie zrobił, ale byłam mu potrzebna! Jak możecie być tacy głupi!

Rafał spuścił oczy, a pułkownik zawołał z naciskiem:

— Daję pani słowo, że wróci pani cała i zdrowa. Proszę iść z tym panem na pokład!

— Ludzie! — krzyczała dalej Elżbieta, nie dając się poprowadzić w stronę kutra. — Niech mnie sądzą, jeżeli jestem winna! Ale nie pozwólcie, żeby on wsiadł na ten kuter. Nie może być tak, żeby morderca robił, co chce, a potem wyjeżdżał, dokąd mu się spodoba! Musi być jakaś sprawiedliwość! Zabijcie go, jeżeli nie możecie inaczej! Zabijcie go, nawet, gdybym ja miała zginąć razem z nim! Strzelajcie do niego, słyszycie? Strzelajcie! Strzelajcie!

Przez chwilę było cicho, potem Stańczyk powiedział swobodnie:

— Chodź, mała, bo czasu szkoda. Panowie są mądrzejsi od ciebie. Prześlemy im za to widokówkę z duńską syrenką.

Rzuciła się na kolana, naciągając kabel, oplatający jego lewą dłoń i zaczęła się tarzać w piasku.

Nikt nie pośpieszył jej z pomocą, a Stańczyk przycisnął jej plecy kolanem, lewą ręką boleśnie wykręcił jej związane dłonie, a prawą wbił jej w bok lufę pistoletu.

Pokonana i obezwładniona podniosła się najpierw na klęczki, a potem stanęła na drżących nogach.

Stańczyk kopnął torbę nogą i krzyknął zdyszonym głosem do Rafała:

— Niech pan wrzuci mój bagaż na kuter.

Rafał znowu w milczeniu wykonał jego rozkaz.

— A teraz, panowie — krzyknął Stańczyk — w tył zwrot i do samochodów! Nie wejść na pokład, póki nie zniknie stąd ostatni z was... w mundurku czy bez! Zrozumiano? A wasze ptaszki — tu pokazał ręką na niebo — niech się nie zbliżają na odległość strzału!

Pułkownik dał znać i wszyscy, którzy byli w pobliżu, zaczęli ładować się do wozów. Rafał ostatni pomachał ręką córce i odszedł.

— Zgubiłeś mnie, tatusiu! — zawołała słabym głosem Elżbieta. — Zgubiłeś mnie, ale pewnie nie mogłeś inaczej... Pożegnaj ode mnie mamę!

— Nie bój się — zawołał drżącymi ustami Rafał, odchodząc w stronę ostatniego wozu. — Wszystko będzie dobrze!

Zostali tylko we dwoje na pustej plaży, którą przeczesywał zimny, północno-wschodni wiatr.

— Nie wierzyłaś mi — szepnęła Hubert. — A teraz widzisz: ja zawsze wiem, co robię.

Popchnął ją przed sobą i po chwiejnym trapie wprowadził na pokład.

Był teraz czujny i napięty. Nie odejmując pistoletu od pleców dziewczyny zajrzał najpierw przez okno do sterówki. Była pusta.

— A teraz proś Boga — powiedział — żeby oni nie ukryli

jakichś dzudoków w pomieszczeniu dla załogi. To jest ich ostatnia szansa; ale ty zostaniesz tu z przestrzelonym kręgosłupem!

Popchnął ją na dziób i zdławionym głosem warknął:

— Kładź się!

Opadła na kolana.

— Niżej!

Wtedy położyła się na płask na wilgotnych deskach.

Uwolnił lewą dłoń z kabla, rzucił koniec na pokład, mocno przydepnął go stopą i gwałtownie otworzył drzwiczki, które prowadziły do małego kojca, gdzie w czasie połowów sypiała załoga.

Ale i tam nie było nikogo.

— No i bardzo dobrze — powiedział, podnosząc Elżbietę z pokładu. — Nasi panowie są przynajmniej konsekwentni.

Popchnął ją do sterówki i syknął:

— Siadaj! Nie, nie tu, na podłodze!

Usiadła, on zaś przywiązał ją do jakichś metalowych przewodów, zerkając raz po raz przez boczne okienka. Ale nikt mu w niczym nie przeszkadzał, nikt nie podchodził, dokoła było pusto i cicho.

Wyszedł ostrożnie na pokład, wciąż trzymając przed sobą gotowy do strzału pistolet; przystań była dalej bezludna i martwa — widocznie milicjanci ostrzegli mieszkańców osady, że nie wolno im zbliżać się do brzegu.

Zrzucił trap, odwiązał cumy, nerwowo wrócił do sterówki, zapuścił silnik i z niedowierzaniem włączył bieg.

Kuter z głośnym warkotem odbił od pomostu.

Bez przeszkód wyminęli falochron i wyszli w morze.

Dopiero teraz Hubert położył pistolet obok siebie i przetarłszy czoło szepnął:

— No, proszę.

Elżbieta siedziała ze spuszczoną głową i milczała. Nie mógł nawet zobaczyć jej twarzy.

Po godzinie brzeg za nimi rozplynął się w błękitnej mgle. Fala rosła, kutrem kołysało, ale Stańczyk się tym nie przejmował. Ciągnął prosto przed siebie, a po jakimś czasie odezwał się z

satysfakcją:

— Może cię to zmartwi jako obywatelkę PRL. Ale właśnie opuściliśmy wody terytorialne naszego drogiego państwa. Teraz ja jestem pierwszy po Bogu, a poza mną nie ma już nikogo. Jeżeli chcesz się modlić, powinnaś się modlić do mnie.

— O co? — zapytała nie podnosząc głowy.

Nie odpowiedział; obrzucił ją tylko dziwnym, drapieżnym spojrzeniem i zacisnął wargi.

— Nie wypuścisz mnie, prawda? — zapytała.

— Nie — pokręcił głową. — Sama rozumiesz, że nie mogę. Byłabyś pierwszym świadkiem, który by potwierdził ich zarzuty. Jeżeli dopłynę sam, będę mógł wszystkiemu zaprzeczyć.

— Nie uwierzą ci.

— Zobaczymy.

Przez chwilę milczała, potem szepnęła:

— Bardzo bolą mnie ręce...

— Mogłaś płynąć jako mój gość.

— Ale ja już dłużej nie mogę! Zabij mnie, na co czekasz?

Skrzywił się i mruknął.

— Siedz cicho, bo ci zawiążę pyszczek!

W tej chwili silnik kutra zakaszłał, a potem zgasł.

Przez chwilę panowała martwa cisza; potem Hubert zaczął gorączkowo naciskać starter.

Silnik jednak nie zaskakiwał.

Zjeżył się, chwycił pistolet i wyskoczył na pokład. Ale znikąd nie było widać nadchodzącego niebezpieczeństwa: dwa samotne kutry, jakie miał z lewej strony, oddalone były co najmniej o pół mili i obojętnie kierowały się w stronę brzegu.

Podniósł szybko głowę ku niebu, ale i tam niczego nie zobaczył.

Jeżeli gdzieś, w gęstniejącej pokrywie chmur krążył jakiś helikopter, to był w każdym razie tak daleko, że nie mógł skutecznie ostrzelać pokładu.

Otworzył nerwowo pokrywę silnika i przez chwilę w nim grzebał, ale nie mógł się doszukać uszkodzenia.

Wrócił z wściekłością do sterówki i pchnął Elżbietę lufą w

twarz.

— Co to znaczy?

— Nie rozumiem...

— Gadaj, bo wytlukę ci wszystkie zęby!

Westchnęła i odpowiedziała bardzo cicho:

— Przecież nie rozmawiałam z nikim... nawet z ojcem!

Znowu wybiegł i nachylił się nad silnikiem, ale i teraz niczego nie wskórał.

Zaklął i usiadł bezradnie na pokrywie silnika. Dwa kutry, które miał z lewej strony, oddalały się i rozplywały we mgłę.

Pochylił się nad samą torbą, która wciąż jeszcze leżała na pokładzie, tak jak ją tam wrzucił Rafał — wyjął pękata butelkę „Queen Anne”, odkręcił metalową zakrętkę i prosto z szyjki upił parę łyków. Potem chwilę siedział bez ruchu, medytując ze spuszczonej powiekami, aż wreszcie wstał, ciężko wszedł do sterówki, zdjął wiszącą tam lornetkę i zaczął przepatrywać okolicę.

Nagle drgnął.

Daleko z prawej strony — prawie na widnokręgu — kołysała się niewielka jednostka, opatrzona nie znanymi mu znakami.

Poprawił ostrość i czekał bez ruchu, aż wiatr rozwinie małą flagę, której nie mógł dobrze zobaczyć.

Wreszcie flaga rozwinęła się.

Była to flaga norweska.

Obejrzał się jeszcze raz na dwa kutry, które odeszły w stronę ładu. Już ich nie widział, nawet przez lornetkę; mógł ryzykować.

Wbiegł znowu do sterówki i zaczął gorączkowo przetrząsać wszystkie jej zakamarki, aż znalazł to, czego szukał: raketnicę z pudełkiem rakiet.

Odpalił trzy, jedna za drugą, zanim ujrzał odpowiedź: czerwoną gwiazdę, która uniosła się z obcego kutra i poszybowała w pochmurne niebo.

Wtedy zatknął pistolet za pasek spodni, odwiązał Elżbietę i kazawszy się jej pochylić, przeprowadził ją do pomieszczenia dla załogi. Tam przywiązał ją do koi, zakneblował pękiem pakul, przepasanym szmatą, przykrył ją gładko kilku grubymi

kocami i wybiegł z powrotem na pokład.

Norweski kuter zbliżał się bez pośpiechu. Na pokładzie stało leniwie kilku brodatych ludzi w połyskliwych kurtkach. Każdy z nich trzymał w ustach krótką fajkę i wszyscy żuli je podobnym, nieco trawożernym ruchem.

Na wszelki wypadek wziął pistolet do ręki i odsunął kciukiem bezpiecznik, ale nie wysuwał lufy poza burzę.

Tamci wyhamowali w odległości dwóch kilkunastu metrów i rudy szyper, uzbrojony w tubę z elektrycznym wzmacniaczem zawołał po angielsku:

— Co tam, stary? Jakies kłopoty?

— Silnik mi wysiadł — krzyknął Hubert, natężając krtań aż do zdarcia. — Może macie dobrego mechanika?

— Mamy mechanika, ale nie mamy czasu — odpowiedział lakonicznie szyper. — Jeżeli nie masz radia, to zawiadomimy Gdynię, gdzie jesteś. Czekaj spokojnie, aż cię wezmą. Ciao!

Pomachał Hubertowi ręką i dał znak człowiekowi w sterówce.

— Nie! — wrzasnął Hubert. — Chwileczkę! Jestem uciekinierem politycznym! Nie mogę tam wracać! Podejdźcie i weźcie mnie na pokład!

Tamci przez chwilę naradzali się — zresztą bez większego zainteresowania — a potem szyper znowu podniósł tubę do ust:

— Chcesz zostawić łajbę bez opieki?

— Mam w nosie łajbę!

— Nie możemy jej wziąć na hol!

— W porządku, weźcie tylko mnie! Rozumiecie?

— Wiatr się wzmaga — pokręcił głową szyper. — Wiesz, co będzie z twoją łajbą za godzinę?

— Mam to w nosie! — krzyknął Hubert. — Bornholm, rozumiecie? Muszę dopłynąć do Bornholmu!

Szyper roześmiał się bez troski i zawołał:

— Nie po drodze!

— Zapłacę! — krzyknął rozpaczliwie Hubert.

Schowal pistolet, nachylił się nad swoją torbą i wyszarpnął z niej zwitek zielonych banknotów.

— To wszystko za Bornholm! Nie bądźcie idioci! Po-

dejdźcie bliżej! Ja muszę!

Tamci znowu gwarzyli ze sobą przez długą chwilę, wytrząsając popiół z fajek i ładując je tytoniem na nowo. Wreszcie szyper zapytał:

— Ile chcesz dać?

— Trzysta!

— Daj pięćset, to spróbujemy.

— Daję!

Szyper skinął na człowieka w sterówce. Zaczęli podchodzić z dużą ostrożnością, bo fala była spora i groziła uszkodzeniem obu kutrów.

— Łap! — krzyknął wreszcie szyper.

Rzucili mu cumę.

Złapał ją w powietrzu i zaczął wybierać. Dwóch Norwegów z bosakami czuwało, by nie dopuścić do zderzenia. Kiedy podeszli na trzy stopy, zgrabnie przytrzymali kuter Huberta.

— Skacz — powiedział obojętnie szyper.

Hubert przerzucił do nich swą lotniczą torbę, a potem, zacisnąwszy zęby, skoczył.

Dwóch ludzi z brodami złapało go troskliwie pod ręce i już nie puściło. Trzeci wprawnie obmacał go i wydobył ukryty pistolet.

— Panowie! — krzyknął ostatni raz po angielsku Hubert. — Nie rozumiem!

W tej chwili ze sterówki norweskiego kutra wyszedł smukły blondyn w mundurze porucznika milicji.

— Cieszę się, że pana widzę, panie Stańczyk — powiedział podchodząc z uśmiechem. — Pan pozwoli, że się przedstawię: porucznik Jasło z Miejskiej Komendy MO.

Hubert milczał i tylko jego oddech robił się coraz szybszy i coraz bardziej nierówny.

Jasło stanął przed nim i ciągle uśmiechając się powiedział:

— Widzi pan, zbiornik paliwa w pańskim kutrze został nieco przekonstruowany. Jestem pewien, że nawet w tej chwili wykazuje pełny poziom. Naprawdę było w nim tylko tyle ropy, żeby pan mógł dopłynąć mniej więcej w to miejsce. Mówię mniej więcej, bo pan odchylił się od kursu prawie o trzy stopnie. Musieliśmy zdrowo ciąg-

nać, żeby spotkać się z panem o właściwej porze. Ale niech pan będzie spokojny, już więcej nie damy panu popełnić podobnego błędu.

Nałożył mu kajdanki i obrócił się w stronę szypra:

— Poszukajcie tam jeszcze dziewczyny — powiedział — a potem zdejmijcie flagę i zawiadomcie helikopter, że operacja skończona.

— Tak jest, panie poruczniku — odpowiedział najczystszą polszczyzną norweski szyper i przeskoczył na pokład opuszczonego kutra.

W chwilę później wojskowy helikopter niósł już Elżbietę w stronę lądu. Tulila się do ojca jak dziecko i płakała. Rafał gładził ją po głowie i milczał; ale też był wzruszony.

— A ja myślałam — wyjąkała wreszcie — że wy naprawdę...

— Wszystko było obliczone jak w zegarku — odpowiedział drżącymi ustami. — Nawet to, że śniadanie zjemy w porcie o jedenastej pięćdziesiąt. Myślę, że już tam dla nas parzą kawę.

A potem pochylił się ku niej i szepnął:

— Ale myślę, że na przyszłość oboje będziemy mądrzejsi. Prawda?

– Ludzie! – krzyczała dalej Elżbieta, nie dając się poprowadzić w stronę kutra. – Niech mnie sądzą, jeżeli jestem winna! Ale nie pozwólcie, żeby on wsiadł na ten kuter! Nie może tak być, żeby morderca robił, co chce, a potem wyjeżdżał, dokąd mu się spodobał. Musi być jakaś sprawiedliwość! Zabijcie go, jeżeli nie możecie inaczej! Zabijcie go, nawet gdybym ja miała zginąć razem z nim! Strzelajcie do niego, słyszycie? Strzelajcie! Strzelajcie!

Przez chwilę było cicho, potem on powiedział swobodnie:

– Chodź, mała, bo czasu szkoda. Panowie są mądrzejsi od ciebie. Prześliśmy im za to widokówkę z duńską syrenką

Rzuciła się na kolana, naciągając kabel, oplatający jego lewą dłoń, i zaczęła się tarzać w piasku.

Nikt nie pośpieszył jej z pomocą...

